ZESZYT DZIEWIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT LITERACKI
PARYŻ
1990

ZESZYT DZIEWIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT LITERACKI
PARYŻ 1990

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 458

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0126-6

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Jacek TRZNADEL

STAN WOJENNY (CZAS GENERAŁA)

Stan wojenny wprowadzony po 13 grudnia 1981 roku należy do historii Polski. Historia ma to do siebie, że można ją interpretować, ale nie można jej zmienić. Komuniści „zmieniali" historię. Dziś, na naszych oczach dokonywana jest, w imię masy spadkowej komunizmu i także przez jej głównych spadkobierców — ale nie tylko — tak daleko idąca zmiana oceny stanu wojennego, że można to tylko nazwać fałszowaniem historii.

Gdyby sprawę stanu wojennego wstydliwie zasunięto w niepamięć, należałoby to do swoistej gry politycznej, fałszowania przez przemilczenie. Ostatecznie minęło osiem lat. Jednak komuniści zdołali narzucić grę także swoim niedawnym przeciwnikom. Pragną mieć rację teraz i pragną ją mieć w przeszłości. Ci oczywiście, którzy pozostali na placu. A ponieważ na placu pozostali główni aktorzy stanu wojennego, żeby wymienić tylko Jaruzelskiego, Kiszczaka i Rakowskiego — dokonuje się swoistej reinterpretacji stanu wojennego. Ma ona na celu nie tylko wybielenie, ale także heroizację tego podłego aktu przemocy. Inicjatywa jest w ręku niedawnych sprawców, specjalistów od manipulowania opinią publiczną i socjotechnik. Ale i ci, w których stan wojenny godził, zgodzili się na tę grę. Jest to w ich mniemaniu prawdopodobnie dobra transakcja — bo o handlu pokątnie-politycznym tu trzeba mówić — ale kontrahentem tej transakcji jest cały naród, choć nie pytano go o zgodę.

Ponieważ ci, których niedawno naród oskarżał o stan wojenny, zajmują nadal kluczowe strategiczne stanowiska w aparacie władzy, pragną uzyskać nie przebaczenie, lecz namaszczenie

w obliczu ubiegłej historii. Wyliczmy elementy tej strategii. Po pierwsze: stanu wojennego nie należy ukrywać, należy go oswoić. Generałowie Kiszczak i Jaruzelski chętnie udzielają wywiadów w najdrażliwszej materii, wywiady te ukazują się w sztandarowych pismach związanych z niedawną opozycją. Z generałem Jaruzelskim rozmawia jego niedawny przeciwnik ideowy, Michnik. Pominę wywiady innych oficjeli stanu wojennego; wygląda to na plan, choć myślę, że to raczej atmosfera. Zaraźliwa. Koniunkturalny dziennikarz zachodni, a więc poważny kredytodawca, pisze drobiazgową książkę o stanie wojennym, pierwsza noc, godzina po godzinie. Tylko powstrzymuje się od jakiejkolwiek oceny. Książkę wzbogaca zdjęciami, nie tak dawno sekretnie przekazywanymi dokumentami przemocy, i wydaje w Warszawie w masowym nakładzie. Więc ukazujemy całą prawdę, zresztą nie mamy się czego wstydzić. Wstydzimy się, owszem, drobiazgów, nasz dzisiejszy minister, pani Cywińska, była zatrzymana przez kilka dni... Wstydzą się, nie wszystkiego jednak mogli dopilnować. Nie należy ukrywać sprawy kopalni „Wujek", tyle że policyjną masakrę nazywa się tragedią. Głównodowodzący stanu wojennego złoży tam kwiaty. Ten sam, który był ministrem obrony w roku 1970, gdy wojsko strzelało na wybrzeżu. W każdym normalnym kraju albo sprawcy zostaliby ukarani i oddani pod sąd, albo minister zdegradowany i zesłany ze sceny politycznej. Przywódcy niedawnej opozycji włączają się do gry. W filmie o Jaruzelskim-prezydencie Wałęsa mówi, że w 1981 roku było za wcześnie, by sprawa Solidarności mogła się udać. Prymas Glemp zaświadcza, że Jaruzelski bardzo wtedy cierpiał... Co należy czytać: naraził się na niepopularność w wyższym celu i wykonywał gwałt, do którego nie jest stworzony. Ale chodziło o zbawienie Polski.

Tu przesłanka druga, zresztą nie nowa, ale świeżo opakowana: mniejsze zło. Czyż więc Solidarność była złem? Tak, w pewnym sensie, ale zła była również sytuacja historyczna. Następuje tu odwołanie do dwu zasad oceny historycznej: że przemiany dziejowe dojrzewają same i że nie wolno biegu historii przyspieszać (ani opóźniać; skąd my to znamy?!), wszystko powinno się dziać zawsze w odpowiednim czasie, a to potrafi ocenić partia i jej przywódca oraz argument drugi, trafiający do tych, którzy odrzucają determinizm dziejów: spiskowa teoria historii. Więc: istniał straszny Breżniew, nie było jeszcze *pieriestrojki*, był plan inwazji na Polskę. Autorzy spisku już nie żyją, nie zaprzeczą, *ignorabimus*, powiada „urzędowy" historiograf, Meretik. Jaruzelski wyznaje, że są rzeczy, o których nikomu nie powie, tragiczny w służbie narodu zejdzie z nimi do grobu.

Za co więc cierpieliśmy wtedy? Idioci, w czas sztormu

chcieliśmy naród załadować do czółna i płynąć przez historię? Na szczęście znaleźli się mądrzy, którzy wydarli nam z rąk wiosła i zamknęli nas, póki sztorm się nie uspokoi.

Przyjrzyjmy się teraz opisanym grupom faktów. Oswajanie stanu wojennego każe zapomnieć, jak był straszny. Był gwałtem wojskowym na suwerennym narodzie, miliony ludzi poczuło się pohańbionymi. Ucierpiały w więzieniach i internowaniu dziesiątki tysięcy ludzi, skazywanych przez doświadczony, często stalinowski jeszcze aparat totalitarny. Były ofiary śmiertelne od strzałów, znęcania się i pałek. Usiłuje się z nich teraz zrobić, mówiąc językiem Norwida, zamierzone przez komunistów „ofiary w przyszłość". Niszczono kruchą tkankę struktur, rozbijano elity, rozwiązywano związki twórcze. Wymuszono emigrację elit i najwartościowszego nieraz elementu nowej generacji Polaków. Jest to strata historyczna niepowetowana, a emigracja była przecież jednym z oficjalnych elementów przetargu i ceną wyjścia z więzienia, była zaplanowana. W zdruzgotanym ekonomicznie kraju odwleczono zmiany strukturalne, niszczono normy moralne i deprawowano ludność, nic bowiem tak nie deprawuje, jak rządy siły. Pogłębiono jeszcze deprawację administracji i aparatu. Był to pierwszy w historii tego kraju stan wojenny kontrolowany przez oddane systemowi polskie siły.

A jakie byłoby większe zło, przed którym nas obroniono? Porządne myślenie historyczne nie pozwala na taki zabieg: zasłaniać się faktami, które nie miały miejsca, a ich dowody są tylko w instrumentariuszu socjotechniki komunistycznej. Ingerencja obca nie musiałaby być wiele gorsza. Przykładem wkroczenie obcych armii do Czechosłowacji: nie było ceny krwi (a to jest ten najcięższy argument) w walce zorganizowanej. Interwencja obca byłaby interwencją mieszaną, jak w Czechosłowacji, czołgi obce w strategicznych punktach, a internowaliby podejrzaną masę obywateli ci sami ludzie. Ale wtedy też socjotechnika zwyciężyła: Jaruzelski musiał wiedzieć, że kojarzony z czołgami sowieckimi nie ma szans na przyszłych prawdopodobnych wirażach historii. Ta hipoteza jest co najmniej równie mocna, jak hipoteza mniejszego zła. Co więcej, wiadomo dziś, że inwazja Polski byłaby dla Breżniewa ostatecznością, na którą nie wiadomo, czy by się zdecydował. Pacyfikacja Polski bez interwencji sowieckiej to był najlepszy podarunek, jaki mógł Breżniewowi zrobić oddany przyjaciel. Jaruzelski nie tyle ochronił Polskę przed większym złem, co nie dopuścił do ujemnego, a w tamtej sytuacji wręcz koszmarnie kosztownego bilansu politycznego dla Sowietów. Nie tyle więc zbawca Polski, co największy sojusznik Breżniewa.

Osiem lat to dużo. Ale to jednak bardzo mało jak na pamięć ludzką i dlatego tak zdumiewają sukcesy tej socjotechniki.

Pora podsumować. Powiedziałem, że stan wojenny to fakt historyczny. Żeby go więc lepiej zobaczyć, można odwołać się do historycznych analogii. W XIX wieku margrabia Wielopolski, którego także w ostatnich latach próbowano „oswoić" dla potrzeb komunistycznej racji stanu, powiedział — a cytuję prawie dosłownie — że jeżeli nie można Rosjan zwalczyć, to należy ich pokochać, zrezygnować dobrowolnie z suwerenności. Wielopolski wiedział, że przygotowuje się powstanie — a nie był to ruch społeczny o kwakierskich zasadach jak Solidarność — więc zarządził brankę według przygotowanych list proskrypcyjnych. Nie był to normalny pobór, miano na wiele lat odebrać krajowi najbardziej zaangażowaną młodzież, właściwie więc ją zniszczyć. Ale Rosjanie też chcieli uniknąć polskiego powstania, które było dla nich kosztowne i rewolucjonizowało masy. Dla nich też rządy Wielopolskiego miały być mniejszym złem. Gdyby Wielopolski wygrał, czy przyznalibyśmy mu palmę tragiczności i mniejszego zła? Czy raczej uznalibyśmy w nim rusyfikatora i narzędzie carskiej polityki, którym przecież był? Za hasłem mniejszego zła kryje się także komunistyczny pacyfizm, potępiający każdą przelaną kroplę krwi, ale tylko przelaną w walce z komunizmem.

Na zakończenie chcę zwrócić uwagę, że argument mniejszego zła można rozciągnąć w przeszłość. Bierut może się bronić zza grobu, że rządy polskich komunistów były mniejszym złem, niż ścisła okupacja sowiecka, zamykanie akowców do więzień było mniejszym złem niż krwawe nowe powstanie bez szans. Tak można byłoby potępić połowę ruchów demokratycznych i wolnościowych w historii, dlatego, że przegrały, a na ołtarz wynieść tyranów. Berman był lepszy niż Żdanow rządzący w Warszawie, Radkiewicz lepszy od Berii, a Różański od Sierowa. I byli na pewno lepsi dla Stalina: bezpośrednia okupacja wschodniej Europy zaostrzałaby zimną wojnę.

Więc dobrze zrobili ci, co zdławili wolnościowe i demokratyczne aspiracje narodu, bo było o siedem i pół roku za wcześnie? Będzie się z nas śmiać następne pokolenie, jeśli się na podobny wskaźnik numeryczny zgodzimy. Koszt takiej inflacji moralnej byłby nieporównywalnie wyższy niż ten, który płacimy za inflację gospodarczą złotego.

Jacek TRZNADEL

Warszawa, 1 stycznia 1990

(Tekst przedstawiony na spotkaniu PPP dnia 5 stycznia 1990 r. Zebrani postanowili poprzeć ten głos jako diagnozę sytuacji i znamienne ostrzeżenie.)

Bolesław DRUKIER

DWIE REWOLUCJE

Minęła 200-na rocznica rewolucji francuskiej, niemniej warto do jej problematyki powrócić, zwłaszcza wobec kontrowersyjnych ocen i porównań z rewolucją rosyjską.

Rewolucję francuską przyjęli z entuzjazmem — przynajmniej do czasu — m.in. Goethe i Kant, ale też spotkała się z potępieniem (np. współczesnego jej Burke)[1]. Te same różnice zdań trwają do dziś. W oficjalnych uroczystościach 200-lecia, choć starano się potraktować rewolucję *en bloc*, akcentowano jednak demokratyczne treści wczesnych jej faz. Doczekał się „rehabilitacji" nawet Danton, ale nie Robespierre — uosobienie jakobińskiej dyktatury. To wywołało krytykę „z lewa" za zepchnięcie w cień plebejskiego nurtu rewolucji. Z drugiej strony aktywny ruch tzw. „Anty-89" generalnie zanegował tradycję rewolucji. Wśród historyków przybrał na sile nurt krytyczny wobec apologetyki rewolucji, wskazując m.in. na ogrom jej kosztów materialnych i ludzkich. Wyrażane są opinie, że wobec postępującego rozkładu struktur feudalnych rewolucja zgoła nie była potrzebna dla wzrostu burżuazji i rozwoju kapitalizmu. Zaprzecza się tezie Marksa o nieuchronności rewolucji jako „lokomotywy dziejów", a czynią to nie tylko tzw. historycy burżuazyjni. Np. w artykule w polskim piśmie partyjnym pisze się o „micie" rewolucji, który nadaje jej fatalistyczny, wyklucza-

1. Goethe pisał o „promieniu nowego słońca", Kant o „święcie rozumu", Hegel o „wspaniałej jutrzence". Z późniejszych Kirkegaard: „Dajcie nam z powrotem 1789 rok" itp.

jący alternatywę charakter, przemilcza jej negatywne strony i gloryfikuje radykalny nurt. W innym artykule, pt. „Pożegnanie rewolucji", stwierdza się m.in. wręcz, że historia dowiodła, że wszystkie (!) utopie rewolucyjne zawiodły[2]. Nawet w historiografii sowieckiej, np. w referacie na sesji naukowej w Moskwie, znalazła się krytyka „mesjanizmu" rewolucyjnego, a uwagi o „idealizowaniu" rewolucyjnej przemocy dotyczyły tyleż rewolucji francuskiej, co w domyśle rosyjskiej. Autor wyciąga z tego wniosek, że koncepcja rewolucji jako „akuszerki historii" wyczerpała się, podobnie jak idea „dyktatury opartej bezpośrednio na przemocy"[3].

Rewolucję francuską poprzedziły rewolucje w Niderlandach już w XVI w. i w Anglii w XVIII w. Obie rozchwiały struktury feudalne[4]. Francuska najpełniej jednak je rozbiła, torując drogę dominacji burżuazyjnej. Historiografia sowiecka nazywa dwie pierwsze rewolucje „burżuazyjnymi", francuską zaś — zważywszy na jej plebejski nurt — „burżuazyjno-demokratyczną"[5]. Marks uznał ją za „wielką", wykonała bowiem zadanie swego czasu — zwycięstwo własności burżuazyjnej nad feudalną. Rewolucja ta — pisał Lenin — mimo jej ograniczeń zwyciężyła, dała bowiem „takie podsatwy burżuazyjnej demokracji i wolności, które były już nie do usunięcia". Niezadługo wszelako bolszewicy pod jego przewodem je w Rosji usuwali.

Do demokratycznych treści wczesnych (przedjakobińskich) faz rewolucji francuskiej odwoływały się zawsze polityczne siły demokratyczne. Z okazji rocznicy wyraził to m.in. prezydent RFN von Weizsäcker, nawiązując do Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela: wielkie idee rewolucji francuskiej przetrwały do dziś, przede wszystkim zasady demokracji i praw człowieka. Do jakobińskich natomiast tradycji nawiązywały ruchy rewolucyjne[6]. Marks pisał, że jakobini 1793 r. stali się komunistami naszych czasów. Zaznaczmy, że odżegnał się jednak od tego formujący się ruch socjalistyczny, którego inauguracyjny kongres II-giej Międzynarodówki odbył się w 100-ną rocznicę rewolucji francuskiej. Lenin mówił, że bolszewicy to „współcześni jako-

2. *Polityka* nr 8 z 15.7.89. M.in. wzmianka, że rewolucja w Polsce została wniesiona „z zewnątrz".

3. *Woprosy istorii* nr 5/1989.

4. O kilka lat wcześniejsza wojna rewolucyjna w Ameryce Płn. o tyle miała inny charakter, że nie było tam struktur feudalnych.

5. Pierwszy określił rewolucję francuską jako „burżuazyjną" jej uczestnik Barnave.

6. W toku rewolucji powstawały kluby jakobińskie w szeregu miast Europy zachodniej. W Polsce w czasie powstania Kościuszki w 1794 r. działała grupa „polskich jakobinów" (uczestnikiem był m.in. Zajączek).

bini" itp.[7] Odnotujmy, że Róża Luksemburg krytykowała „neojakobinizm" Lenina, a Trocki nim przystał do bolszewików nazwał go „karykaturą Robespierre'a". W historiografii sowieckiej utrzymuje się, choć oględniej eksponowany, apologetyczny stereotyp jakobińskiej tradycji. Ale przywódcy komunistyczni przemilczeli ją w wypowiedziach z okazji rocznicy. Gorbaczow mówił o „demokratycznych i humanistycznych tradycjach" (!), o spadku ideowym, który odegrał znaczną rolę w przygotowaniu „własnej" rewolucji.

I

Po bez mała 130-tu latach po rewolucji francuskiej doszło do rewolucji w Rosji. Odtąd dokonywano w różnych ujęciach ich porównań. Nie tu miejsce na omówienie przyczyn rewolucji — obszerna jest zresztą na ten temat literatura. Różne były warunki zewnętrzne obu rewolucji: we Francji zaczęła się w czasie pokoju, do wojny doszło dopiero w trzecim roku jej trwania. W Rosji nastąpiła w czwartym roku klęsk wojennych i rozkładu gospodarki. Jak pisał historyk: we Francji rewolucja zrodziła wojnę, w Rosji wojna rewolucję. W obu krajach doszło do interwencji — w obu, z różnych powodów, bezskutecznych[8]. W obu doszło do wojny domowej i buntów chłopskich. We Francji (najbardziej krwawe w Wandei) pochłonęły setki tysięcy ofiar, „normalizacja" nastąpiła po upadku jakobinów. W Rosji spacyfikowane zostały ostatecznie przez masowe represje okresu kolektywizacji, które pochłonęły miliony ofiar.

Wybuch obu rewolucji był żywiołowy, różne jednak było przygotowanie sił politycznych. We Francji dopiero kształtowały się różne ugrupowania — konstytucjonalistów, żyrondystów i in. i kluby radykalne — jakobinów, kordelierów. W Rosji działały już partie — kadetów (konstytucyjnych demokratów) i in. oraz nielegalne — SR-owców (socjal-rewolucjonistów) i podzielona socjaldemokracja. We Francji dopiero kształtowały się programy czerpiące z przedrewolucyjnych idei[9]. W Rosji partie dyspono-

7. Kautsky pisał, że bolszewicy są tym, czym byli w swoim czasie jakobini. Znany historyk Furet nazwał bolszewików „potomkami jakobinów".

8. We Francji m.in. wobec rozbieżności w koalicji austro-pruskiej wspieranej przez Anglię. Jaruzelski wspomniał, że powstanie Kościuszki przeszkodziło udziałowi caratu w interwencji. W Rosji wskutek zmęczenia wojennego aliantów i rachub na wewnętrzne załamanie się władzy bolszewików.

9. Montesquieu, encyklopedyści, a zwłaszcza Rousseau, jak i wzorce angielskie i amerykańskie.

wały już zarysami programów — na lewicy SR agrarystycznym, socjaldemokracja marksistowskim w różnej interpretacji, bolszewicy z tezą o dyktaturze proletariatu. W obu rewolucjach nastąpiło zwiększenie roli państwa — we Francji zwłaszcza w dyktaturze jakobińskiej, w Rosji w bolszewickiej „dyktaturze proletariatu" z wszechobejmującą ingerencją w życie społeczne. Rewolucja we Francji przyspieszyła kształtowanie się narodu w nowoczesnym pojęciu, w wielonarodowym państwie sowieckim tłumione przez dziesięciolecia aspiracje narodowe przybrały dziś eksplozywną siłę.

Rewolucja francuska trwała 5 lat, rosyjska niespełna 9 miesięcy — z pewnym podobieństwem ich faz. We Francji: 1) do połowy 1791 r. dominacja sił akceptujących monarchię konstytucyjną, 2) dominacja żyrondystów i grup częściowo o tendencjach republikańskich[10], 3) od połowy 1793 r. dyktatura jakobinów. W Rosji: 1) od lutego rząd liberalnej burżuazji z włączeniem w maju przedstawicieli SR i mienszewików, 2) od lipca rząd Kiereńskiego — SR-owsko-mienszewicki, 3) przewrót bolszewicki. W obu rewolucjach ujawniały się słabości umiarkowanych sił demokratycznych, niezdolnych do stawienia oporu agresywności sił skrajnych (Kautsky porównywał w tym względzie żyrondystów i rząd Kiereńskiego). W pierwszych fazach zmiana ekip rządzących dokonywała się pokojowo, w końcowych przemocą. Jakobini siłą usunęli z Konwentu żyrondystów (21 z nich zgilotynowano), bolszewicy ujęli władzę w zbrojnym powstaniu. Niezadługo rozpędzili siłą wybraną przed przewrotem Konstytuantę, w której stanowili mniejszość. *Nb.* Lenin mówi z tej okazji, że oznacza to „kompletną i jawną likwidację idei demokracji przez ideę dyktatury proletariatu".

W obu rewolucjach przewrotu dokonała tzw. „rewolucyjna mniejszość", mająca, przynajmniej do czasu, oparcie w pewnych grupach społecznych. Jakobini w sojuszu niższych warstw drobnomieszczaństwa i elementów plebejskich, bolszewicy w części klasy robotniczej i biedoty wiejskiej. Rewolucyjna dyktatura sprawowała jednak władzę wbrew i przy oporze zdecydowanej większości społeczeństwa. Nie byłaby jej utrzymała bez terroru i masowych represji. Terror jakobinów przybrał niespotykane rozmiary. Przez rok zgilotynowano ok. 17 tysięcy ludzi, ogółem stracono ok. 40 tysięcy, liczba uwięzionych szła w setki tysięcy, powstał też prawzór obozów koncentracyjnych. Robespierre mówił o... „despotyzmie wolności", o państwie opartym na „cnocie i terrorze". Swego czasu z pasją występował przeciw karze śmierci, później z taką samą namiętnością uzasadniał bezlitosny

10. We Francji monarchia zniesiona została dopiero w 1792 r., w Rosji z początkiem rewolucji lutowej.

terror. Marks i Engels, z zastrzeżeniami wprawdzie do nadmiaru okrucieństw, aprobowali terror jakobinów jako „plebejską metodę" rozprawy z wrogami. Lenin, który uznawał „terror jako zasadę", odpierał zarzuty u początków władzy, że „takiego jaki stosowali francuscy rewolucjoniści gilotynując bezbronnych ludzi nie stosujemy i mam nadzieję, że stosować nie będziemy". Wiadomo, czym się ta nadzieja skończyła, sam Lenin zresztą jej zaprzeczył. Jemu podlegała CzeKa i, jak mówił, bez takiej instytucji władza robotnicza nie może się utrzymać. W 1918 r., gdy proklamowano „Czerwony terror", Lenin oświadczył, że „CzeKa ma bronić rewolucji nawet jeśli jej miecz spada na niewinne głowy" (wkrótce przywrócono karę śmierci, zorganizowano pierwsze łagry). W następnych latach Lenin polecał „kampanię bezlitosnych aresztów", mówił wręcz, że „za mało jest egzekucji", pouczał, że sądy powinny nie usuwać terroru, ale „uprawomocnić go pryncypialnie". Szczególną wymowę ma list do Kamieniewa, że błędem jest uważać, iż NEP oznacza koniec terroru. Szacuje się — w/g niepełnych danych — że przez pierwsze cztery lata dokonano 140 tysięcy egzekucji, po czym terror rósł, dochodząc do ludobójstwa okresu Stalina. Wiele o tym już napisano, tu dodajmy jedynie niektóre dane publikowane ostatnio w ZSSR. M.in. podano, że w okresie 1936-50 przebywało w „łagrach" po 8-12 milionów więźniów, przy wysokiej zaś śmiertelności zmarło w tym okresie ok. 12 milionów. Wraz z innymi represjami szacunek ofiar podano na ok. 20 milionów[11]. Jeśli wziąć w rachubę poprzednie i późniejsze represje, uzasadnione są szacunki ofiar rzędu 30 milionów (niektóre jeszcze wyższe). Znaczy to co najmniej 15% własnej ludności (ludobójstwo hitlerowskie wymierzone było w „obcych"). Terror jakobinów ustał po ich upadku, terror w sowieckim państwie komunistycznym stał się na dziesięciolecia instrumentem władzy.

Rozbieżności w ekipach rządzących we wczesnych fazach rewolucji rozwiązywane były pokojowo, w końcowych represjami. Jakobini szybko rozprawili się ze skrajną grupą tzw. „wściekłych", posyłając ich przywódców na gilotynę. W 1794 r. rozbili współdziałający dotąd z nimi klub kordelierów. W marcu na gilotynie znalazł się radykalny Hebert i inni, związani z Komuną Paryską, po miesiącu bardziej umiarkowany Danton. Pozycja Robespierre'a umocniła się tylko pozornie — po czterech miesiącach sam położył kark pod gilotynę[12]. Rozprawa

11. Potwierdzono też to, co Stalin powiedział Churchillowi, że kolektywizacja kosztowała ok. 10 milionów ofiar. *Woprosy historii* nr 4/89.

12. Trocki określał dojście Stalina do władzy jako Thermidor (upadek jakobinów). Porównanie tyleż błyskotliwe co bezpodstawne — stalinizm tak czy owak był kontynuacją „leninowskiej" rewolucji.

jakobinów z oponentami była szybka i krwawa — w sowieckiej Rosji ciągnęła się latami, kończąc się jeszcze bardziej krwawo. Lenin i jego grupa zwalczali trockistów, wyeliminowali kolejno „lewicowych komunistów", po czym tzw. „robotniczą opozycję" i inne grupy oskarżane o pomniejszanie kierowniczej roli partii-monolitu. W 1921 r. zjazd partii zakazał tworzenia frakcji, ale kontrowersje nie pociągały jeszcze — poza czystkami — innych represji. W masowej skali nastąpiły za Stalina: „dobił" trockistów, zaś w latach 30-tych zlikwidował — wygrywając je przeciw sobie — kolejno tzw. „odchylenie lewicowe" i „odchylenie prawicowe". W procesach moskiewskich poleciały głowy najbliższych współtowarzyszy Lenina[13]. Represje pochłonęły blisko 2/3 czołowego aktywu, ok. 1 miliona członków i więcej byłych członków partii[14]. Po wojnie nastąpiła nowa, ale już nie takich rozmiarów fala represji wobec członków partii. W obu rewolucjach sprawdziły się gorzkie słowa Dantona, że „rewolucja jak Saturn pożera własne dzieci".

W obu rewolucjach ujawnił się, jak pisano, „tragiczny dylemat" czy „iluzja rewolucji"[15]. Ba, Engelsa „nawet naszła refleksja, że „narody, które dokonały rewolucji, nazajutrz odkrywają, że w niczym nie przypomina tej, której pragnęli". „Państwo cnoty" Robespierre'a przybrało postać terrorystycznej dyktatury, socjalizm Lenina — terrorystycznego totalitaryzmu. *Nb.* Marksowi nieobcy był lęk przed „koszarowym socjalizmem", Plechanow ostrzegał, że może powstać „coś w rodzaju" chińskiego czy peruwiańskiego despotyzmu, Bertrand Russell szybko dostrzegł, że władza sowiecka staje się systemem „azjatyckiego typu". Dziś można napotkać np. w polskiej publicystyce drastyczne ostrzeżenia przed reżymem „komuno-faszystowskim" (!). W organie partyjnym zaś mowa o wszystkich (!) wielkich rewolucjach „przeradzających się w monstrualne zaprzeczenie swoich wartości wyjściowych"[16].

Z punktu widzenia rozwoju historycznego istnieje między obu rewolucjami zasadnicza różnica. Widział ją Lenin, pisząc, że rewolucja burżuazyjna wyrasta z feudalizmu, gdy w jego łonie dojrzewają struktury kapitalistyczne. Inaczej jest z rewolucją socjalistyczną — w kapitalizmie nie ma struktur socjalistycznych i trzeba je dopiero stworzyć. Jest to tym trudniejsze, im bardziej zacofany jest kraj, w którym „siłą zygzaków historii" doszło do rewolucji socjalistycznej. Niemniej Lenin, rewidując tezę Marksa, uznał za możliwą rewolucję w zacofanej Rosji jako

13. W procesach paryskich zarzucano oskarżonym powiązania z Austrią, w moskiewskich z wszelkimi wywiadami.

14. Polityka 24.12.88. Roy Miedwiediew, „Straszna statystyka".

15. O „iluzji rewolucji" pisał Tocqueville, w naszych czasach m.in. Camus.

16. *Zdanie* nr 5/89, artykuł zrehabilitowanego A. Schaffa. *Trybuna Ludu* 7.9.89.

„słabym ogniwie" kapitalizmu[17]. Stalin interpretował, że rewolucja burżuazyjna kończy się zdobyciem władzy i doprowadza do zgodności ustroju politycznego z rozwojem ekonomiki kapitalistycznej. Rewolucja socjalistyczna zaś zaczyna się od zdobycia władzy i trzeba dopiero budować nową ekonomikę. Jak pisał historyk: „kapitalizm się rozwija, socjalizm się buduje". Zbudowana zaś została centralnie sterowana gospodarka „pod komendą", z przymusem pozaekonomicznym (cechował on niewolnictwo, częściowo feudalizm, zanikł w kapitalizmie) — system, który nie wytrzymał próby życia. Rzecz nie tylko w błędnym wyjściowym założeniu Lenina, ale w tym, że system ten z istoty swej okazał się niewydolny.

II

Rewolucja francuska była wyzwaniem dla feudalnej Europy, w 130 lat po niej przewrót bolszewicki dla kapitalistycznego świata. Odtąd przez z górą 70 lat historia toczyła się po dwóch rozbieżnych liniach różnych ustrojów i systemów wartości moralnych. Jeśli przyjąć za miarę 70-letni odcinek czasu od rewolucji we Francji, wchodziła ona w drugą połowę XIX w. i należała do przodujących krajów Europy. Burzliwe perypetie polityczne zakłócały, ale nie powstrzymały szybkiego rozwoju gospodarki, napędzanego przez „rewolucję przemysłową". W ostatnim zaś 30-leciu XIX w. ukształtował się system pluralistycznej demokracji parlamentarnej. Po 70-ciu latach daleko Związkowi Sowieckiemu do krajów ekonomiczno-technicznie przodujących, a impas, w którym się znalazł, nie da się wyjaśnić przedawnioną argumentacją o starcie z zacofania.

Przez 70 lat od rewolucji francuskiej przetoczyła się przez Europę fala rewolucji (zwłaszcza Wiosna Ludów 1848 r.) i reform typu mniej lub bardziej „burżuazyjnego", przyspieszających rozwój kapitalizmu[18]. W przemianach politycznych „przebijała się", nie bez zahamowań, ale wyraźnie, tendencja do parlamentarnej demokracji. W 70 lat po przewrocie bolszewickim nie doszło do rewolucji socjalistycznej w żadnym (!) kraju rozwiniętym. Doszło do nich jedynie w krajach zacofanych lub wniesione zostały „na bagnetach". Doprowadziły wszystkie te kraje do stanu kryzysowego. Zagłuchło latami głoszone hasło „rewolucji

17. Marks pisał, że kraje bardziej rozwinięte dają przykład mniej rozwiniętym i sądził, że rewolucje socjalistyczne nastąpią wpierw w krajach najbardziej industrialnie rozwiniętych.

18. Poza Europą takimi były reformy w Japonii — tzw. „rewolucja Meidżi".

światowej" — nie ma dla niej przesłanek w krajach rozwiniętych, dla zacofanych przestała być atrakcyjna.

W Europie XX w. kształtowanie się demokracji parlamentarnej zahamowane zostało przez dwie odmiany totalitaryzmu. Pierwsza wyrosła z przewrotu bolszewickiego 1917 r., druga powstała w latach 20-tych w postaci faszyzmu włoskiego, a w latach 30-tych nazizmu[19]. Demokracja parlamentarna odrodziła się jednak po klęsce wojennej faszyzmu i w II połowie wieku utrwaliła się w warunkach długotrwałego pokoju i integrującego współdziałania międzynarodowego. Demokracja, jak mówił Churchill, nie jest doskonałym ustrojem, ale lepszego nie znaleziono. Alternatywa komunistyczna została przez historię zdyskredytowana.

Marks mylił się, gdy w ub. stuleciu twierdził, że kapitalizm hamuje rozwój sił wytwórczych. Mylił się też Lenin, gdy w początkach obecnego stulecia zapowiadał szybki upadek „gnijącego" kapitalizmu[20]. Marazm powojenny i głęboki kryzys lat 30-tych nie powstrzymały jednak ekonomiczno-technicznego rozwoju kapitalizmu w okresie międzywojennym. W tym czasie ZSSR stworzył ekstensywnymi metodami i ogromnymi kosztami ludzkimi znaczny potencjał przemysłowy o niskiej jednak efektywności i niskim poziomie technicznym. Rolnictwo po kolektywizacji również uległo głębokiej degradacji. Nie stać też było ZSSR na redukcję ówczesnej luki technologicznej wobec Zachodu, tym bardziej, że dogmatyzacja systemu spowodowała „blokadę" nauki w imię „twórczego" marksizmu[21]. Drastyczna stała się konfrontacja po II wojnie światowej, gdy po otrząśnięciu się z jej skutków wysoko rozwinięte kraje kapitalistyczne stawały się w latach 60-tych, mimo wahań koniunktury, tzw. „społeczeństwami obfitości". Przy tym — czego sobie marksiści nie wyobrażali — powstały mechanizmy redukujące sprzeczności i organizacje współpracy w skali Europy i świata (EWG, OECD itd.). Rewolucja naukowo-techniczna zdynamizowała gospodarkę i stworzyła przesłanki jej nowej fazy rozwoju. ZSSR stał się w tym czasie potęgą militarną o dużym zasięgu ekspansji, ale jego organizm drążyły procesy, które poprzez omal 20-letnią stagnację doprowadziły gospodarkę do obecnego katastrofalnego stanu.

Teza o „wyższości socjalizmu" musiała wreszcie wypaść z obiegu ideologii komunistycznej. Lenin pisał, że o wyższości ustroju decyduje w ostatecznym rachunku wydajność pracy. Jest

19. Terminu „totalitaryzm" pierwszy użył Mussolini. W latach 20–30-tych powstał też w Europie szereg reżimów faszyzmopodobnych.

20. Jest ironią historii, gdy Gorbaczow mówi, że przestarzałe struktury stały się „hamulcem sił wytwórczych" w ZSSR.

21. Za „łże-nauki" uznano m.in. teorię Einsteina, cybernetykę, nowoczesną genetykę itd.

ona zaś w ZSSR co najmniej 2 razy niższa niż w krajach wysoko rozwiniętych, tyleż wyższe są takie wskaźniki efektywności jak materiało- i energochłonność, rolnictwo zaś nadal pozostaje niewydolne[22]. Generalny wskaźnik — dochód narodowy na 1 mieszkańca — jest ok. 2,5 raza niższy niż w USA, 2 razy niższy niż w Japonii. Decydująca o rozwoju gospodarki rewolucja naukowo-techniczna zaczęła się i burzliwie rozwija w kapitalizmie, nie w socjalizmie, nieustannie poszerzając lukę technologiczną[23]. Wszystkie podstawowe współczesne wynalazki powstały i wdrażanie ich zaczęło się na Zachodzie[24]. Szczególnie drastyczna jest coraz większa dysproporcja w tak ważkiej współcześnie informatyce[25]. W sferze nauki wymowna jest m.in. uderzająca dysproporcja nagród Nobla w naukach ścisłych[26]. By obecną lukę technologiczną zredukować, ZSSR potrzebowałby w obecnym jego stanie dziesiątków lat, i to przy pomyślnym przebiegu *pieriestrojki*, a wiadome są trudności, jakie napotyka. Hasło Stalina sprzed półwiecza „dogonić i przegonić" czy butna zapowiedź Chruszczowa sprzed ćwierćwiecza, że ZSSR dogoni USA w latach 80-tych brzmią dziś jak szyderstwo. ZSSR ugrzązł w strukturalnym kryzysie gospodarki z przejawami destabilizacji, w tym eksplozji odśrodkowych aspiracji narodowych. Pękają ogniwa bloku sowieckiego (dotąd Polska, Węgry... a dalej?), w stanie kryzysu znajdują się wszystkie kraje komunistyczne związane i niezwiązane z ZSSR. Konsekwencje, siłą rzeczy, rzutują na międzynarodowy ruch komunistyczny i już dobitnie się ujawniają (w szczególności, ale nie tylko, w partii włoskiej).

Kryzys komunizmu ujawnił niespotykany dotąd w historii fenomen o zwrotnym znaczeniu[27]. Feudalizm w swym rozwoju nie nawracał do systemu niewolnictwa ani kapitalizm do feudalizmu (a ich pozostałości zanikały). Inaczej obeszła się historia z

22. W rolnictwie ZSSR pracuje blisko 20% ogółu zatrudnionych, w USA poniżej 4%, a ZSSR zmuszony jest do masowego importu zbóż i to głównie z USA.

23. Nie zmieniają tego faktu pewne sukcesy ZSSR w kosmosie, osiągane ogromną, niewspółmierną z realnymi możliwościami gospodarki i jej kosztem, koncentracją środków i kadr.

24. M.in. energia atomowa, laser, tworzywa sztuczne, komputery i roboty, inżynieria genetyczna itd.

25. Wg szacunków sprzed kilku lat komputerów różnego typu było w USA ok. 30 razy więcej niż w ZSSR, w EWG i Japonii kilkunastokrotnie więcej.

26. Mogą budzić obiekcje nagrody Nobla z dziedziny literatury, w mniejszej jednak mierze w naukach ścisłych. W tych dziedzinach w okresie powojennym przypadło USA blisko 130 nagród, Europie Zachodniej ponad 100, zaś ZSSR — choć blokada nauki ustała — 7.

27. Przypomnijmy marksistowską teorię wyższości następujących po sobie formacji społecznych.

(prezentowanym jako wyższy) systemem socjalizmu. Rzecz nie tylko w tym, że ZSSR musiał zawsze korzystać z transferu technologii (i *know-how*) z rozwiniętych krajów kapitalizmu — jego własna była przeważnie imitacją, a gospodarka miała niską zdolność innowacyjną. Istota rzeczy w tym, że w dramatycznej próbie wyjścia z impasu — *pieriestrojce* — ZSSR zmuszony jest do rewizji ideologicznych kanonów i nawrotu czy „zapożyczeń" z kapitalizmu (zwłaszcza, ale nie tylko, mechanizmu rynkowego z jego konsekwencjami). Siłą rzeczy nieuniknione stają się przemiany polityczne o różnym zasięgu — wyrazem ich jest powrót wyklętych pojęć właściwych demokracji parlamentarnej (pluralizm, opozycja, wolne wybory itd.). Procesy te dokonują się w ZSSR „na hamulcach", z uporczywą obroną jedynowładztwa partii. Daleko jednak zaszły w Polsce i na Węgrzech, wyprowadzając je z ram systemu komunistycznego. Nie wiadomo, czy i o ile procesy te mogą być zahamowane (jak w Chinach), sądzić jednak można, że w krótszej czy dłuższej perspektywie historycznej są nieodwracalne.

Głębi kryzysu komunizmu nie mogą zaprzeczyć jego przywódcy, w opinii zachodnich ekspertów następuje jego rozkład, schyłek czy „początek końca". Zdaniem niektórych wchodzi w stan agonalny[28]. Jakiekolwiek byłyby prognozy, dość jest podstaw, by sądzić, że wywodząca się z 1917 r. linia rozwojowa doprowadziła do ślepej uliczki, z której wyjście możliwe jest jedynie przez nawrót (czy choćby zbliżenie) do kształtującego się od dwóch stuleci systemu pluralistycznej demokracji parlamentarnej. Jaruzelski w rocznicowym wywiadzie mówił m.in., że ani rewolucja francuska, ani — stawiając niejako znak równości — rewolucja październikowa nie są dziś jedynym kluczem do rozwiązywania wszystkich problemów współczesności[29]. Dalej posunął się czołowy działacz włoskiej partii komunistycznej, Napolitano, gdy stwierdził (*nb.* powołując się na Berlinguera), że impulsy rewolucji październikowej wyczerpały się. Należy zatem wrócić do haseł rewolucji francuskiej — wolność, równość, braterstwo — jako „bardziej uniwersalnych niż nauki Rewolucji Październikowej".

Bolesław DRUKIER

---

28. P. np. S. Bialer, *The Soviet Paradox: External Expension - Internal Decline* 1986 r. P. Kennedy, *The Rise and the Fall of Great Powers* 1987, Z. Brzeziński, *The Grand Failure* z podtytułem *the Birth and the Death of Communism*, 1989. M.in. Dżilas pisał, że komunizm jest *practically dead* w Financial Times 3.9.89.

29. *Le Monde* 7.7.89.

Jan CIECHANOWSKI

PRZYSTĄPIENIE ANGLII DO WOJNY

Wielka Brytania zawsze dążyła i nadal dąży do utrzymania równowagi sił w Europie. Ściślej mówiąc Londyn zawsze starał się nie dopuścić do hegemonii jednego państwa nad Europą, bez względu na to, czy była to Francja, Rosja czy Niemcy. W imię tej właśnie przez czas uświęconej zasady Lloyd George „oszczędzał" pobite Niemcy, a „zwalczał" Polskę w okresie Wersalu.

W brytyjskim ujęciu problem niemiecki, po pierwszej wojnie światowej, polegał na tym, aby Niemcy nie zostały zbyt drastycznie, boleśnie i trwale osłabione. Pokonane Niemcy miały nadal odgrywać poważną rolę jako element w utrzymywaniu równowagi sił na kontynencie europejskim oraz partner gospodarczo-handlowy. Pokrótce Foreign Office działał zgodnie ze starą angielską dewizą, że Anglia nie ma stałych przyjaciół czy wrogów, a ma tylko stałe interesy, domagające się utrzymania równowagi sił w Europie.

Ponadto Londyn starał się w latach trzydziestych zaspokoić dążenie Hitlera do zjednoczenia wszystkich ziem niemieckich i Niemców w ramach Trzeciej Rzeszy, gdyż uważano je w Londynie w dużej mierze za usprawiedliwione. Dążono jednak do tego, by ewentualne zmiany terytorialne w Europie zachodziły drogą pokojową, bez użycia siły i za zgodą wszystkich zainteresowanych stron.

Inaczej mówiąc, głównym celem brytyjskiej polityki zagranicznej w latach 1918-1939 było utrzymanie pokoju przez niedopuszczenie do powstania w Europie dwóch zwalczających się zaciekle obozów, gdyż groziło to wybuchem nowej wojny w Europie. Wojny, która nieuchronnie doprowadzić by musiała do

spadku sił i znaczenia Wielkiej Brytanii, a wzrostu Stanów Zjednoczonych i ZSSR, z czym liczył się Neville Chamberlain, który objął urząd premiera rządu brytyjskiego w maju 1937 roku.

Głównym i zasadniczym celem polityki Chamberlaina było utrzymanie pokoju w świecie przez „ugłaskanie" ewentualnych agresorów, przede wszystkim zaś Niemiec hitlerowskich.

Zatrutym owocem tej polityki było Monachium i zgoda Wielkiej Brytanii na podział Czechosłowacji — zgodnie z zasadą, że Sudety należą się Niemcom, że Wielka Brytania nie ma żadnych żywotnych interesów w naszej części Europy oraz wreszcie, że Czechosłowacja nie jest warta kości nawet jednego brytyjskiego grenadiera.

Duże otrzeźwienie i odwrót od tej zgubnej polityki ze wszystkimi jej późniejszymi następstwami nastąpiły w marcu 1939 roku, po zajęciu całych Czech przez Hitlera.

Do tej jednak pory Neville Chamberlain święcie wierzył, że w Monachium udało mu się uratować pokój oparty na honorowych zasadach.

Marcowe posunięcia Hitlera wywołały wielkie i żywe zaniepokojenie w Anglii, szczególnie że 17 marca poseł rumuński w Londynie Virgie Tilla zaalarmował Lorda Halifaxa, brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, że Niemcy mogą „wtargnąć w najbliższym czasie do Rumunii"[1].

Tego samego dnia Chamberlain wygłosił w swym rodzinnym Birminghamie przemówienie z okazji swych 70-tych urodzin, w którym ostro zaatakował politykę Hitlera. Oświadczył przy tym, że „każda próba dominacji nad światem przy użyciu siły spotka się z oporem krajów demokratycznych" oraz że Wielka Brytania nie jest „obojętna wobec tego co dzieje się w Europie południowo-wschodniej".

Innymi słowy, Chamberlain zaczął dochodzić do wniosku, że jego dotychczasowa polityka *appeasementu* wobec Niemiec jest już nie do utrzymania ze względu na ostatnie kroki Hitlera oraz co najważniejsze, że dalsza niczym nie pohamowana ekspansja III Rzeszy nawet w naszej części Europy zagraża bezpośrednio żywotnym interesom Wielkiej Brytanii i jej imperium.

Już następnego dnia — 18 marca — gabinet brytyjski zaczął obradować nad najlepszym sposobem powstrzymania Hitlera od dalszych agresji oraz stworzenia bloku państw antyniemieckich. W trakcie tych narad Chamberlain przyznał, że kontynuowanie oficjalnych rozmów z III Rzeszą na poprzednich

1. O szczegóły patrz: Simon Newman. *Gwarancje brytyjskie dla Polski*, Warszawa 1981, str 149-150.

zasadach nie jest dalej możliwe, chociaż nie dotyczyło to, jak się wyraził, niemieckiego społeczeństwa. Jednocześnie ustalono, że najważniejszym zadaniem polityki brytyjskiej jest zmuszenie Niemiec do podjęcia walki na dwa fronty (w razie wybuchu wojny). Wspomniano też, iż byłoby wskazanym utworzenie koalicji antyniemieckiej składającej się z Anglii, Francji, Turcji i ZSSR. Podkreślano również ujemne skutki zdobycia przez Niemcy ogromnej ilości uzbrojenia w Czechosłowacji[2], gdzie uzyskali oni sprzęt dla 36 dywizji piechoty najwyższej jakości, ciężką artylerię oraz około 1.700 samolotów, z których 500 było pierwszej linii. Ogólna wartość zdobytego w Czechosłowacji sprzętu wynosiła 300 milionów funtów szterlingów[3].

Gabinet brytyjski dużo uwagi poświęcił Polsce, którą Chamberlain uważał za „klucz do zaistniałej sytuacji".

„Nasze związki z Polską pójdą najprawdopodobniej dalej — mówił premier brytyjski — niż z innymi krajami. Zapytamy nie tylko o to, jakie stanowisko zajmie Polska, ale wyjaśnimy, w jaki sposób oceniamy sytuację; że nadszedł czas, by wspólnie przeciwstawić się natychmiastowemu czy też ultymatywnemu zagrożeniu ze strony Niemiec".

W rezultacie tych obrad zdecydowano się ogłosić gotowość Anglii do przeciwstawienia się agresji niemieckiej oraz rozpatrzyć sprawę przyspieszenia wykonania programu zbrojeń[4]. Obawiano się jednak, iż może to zwiększyć zagrożenie Wielkiej Brytanii ze strony Niemiec.

„Obecny kryzys jest cięższy od poprzedniego we wrześniu 1938 roku — notował w swym dzienniku Alexander Cadogan, stały podsekretarz w *Foreign Office*, 20 marca 1939 roku — chociaż ludzie nie zdają sobie z tego sprawy. Obawiam się, że stoimy na skrzyżowaniu dróg... Jeśli jasno i otwarcie będziemy mówić to, co myślimy, to ryzykujemy skierowanie ataku Hitlera na siebie. Jest to ryzyko, które podjąć musimy. Kraj nasz zresztą podejmował to ryzyko już wcześniej, ale oczywiście nie jesteśmy na to gotowi i nigdy nie będziemy"[5].

Anglicy byli przeświadczeni, że muszą koniecznie siłą powstrzymać dalszą ekspansję Niemiec, chociaż brakowało im do tego odpowiednich sił i środków. Stąd zaczynali szukać sojuszników, którzy mogliby im w tym pomóc, a na razie starali się przywołać Hitlera do porządku drogą dyplomatycznych ostrzeżeń.

---

2. J. Stefanowicz, „Gwarancje brytyjskie dla Polski w 1939 roku, w świetle narad gabinetu londyńskiego", *Wojskowy Przegląd Historyczny* nr 1/1971, str. 216-219.
3. H.L. Dalton, *The Pathfinders*, Londyn 1957, str. 228.
4. T. Colvin, *The Chamberlain Gabinet*, Londyn 1971, str. 189.
5. A. Cadogan, *The Diaries of Sir Alexander Cadogan*, Londyn 1971, str. 161.

Dwudziestego marca Brytyjczycy złożyli w Paryżu, Moskwie i Warszawie propozycję, by Wielka Brytania, Francja, ZSSR i Polska opublikowały deklarację, zobowiązującą je do konsultacji w obronie zagrożonego pokoju w Europie.

Propozycja ta nie spotkała się z dobrym przyjęciem na Wierzbowej, gdyż była sprzeczna z dotychczasową polityką płk. Becka niewiązania się z ZSSR, bo mogło to spowodować natychmiastowe zagrożenie Polski ze strony Niemiec, w obliczu którego same konsultacje nie będą najlepszym i skutecznym środkiem obrony. Na Wierzbowej sądzono, że Polska ciągle jeszcze nie może wdawać się w żadne pakty, skierowane przeciwko Niemcom, które nie zawierałyby jasnego zobowiązania partnerów do udzielenia automatycznej i natychmiastowej pomocy przeciw ewentualnej agresji niemieckiej[6].

W związku z czym Beck zaproponował Wielkiej Brytanii natychmiastowe zawarcie dwustronnego paktu polsko-brytyjskiego na wzór przymierza polsko-francuskiego.

Propozycja ta została życzliwie przyjęta w Londynie. Beck został zaproszony do Anglii, a dnia 31 marca Chamberlain złożył oświadczenie gwarantujące niepodległość Polski.

W oświadczeniu tym premier brytyjski podkreślał, że:

„...Na wypadek jakichkolwiek działań wojennych mogących wyraźnie zagrozić niepodległości Polski i które by Rząd Polski uznał zatem za konieczne odeprzeć przy użyciu swych narodowych sił zbrojnych, Rząd Jego Królewskiej Mości będzie się czuł zobowiązany do udzielenia Rządowi Polskiemu natychmiastowego poparcia, będącego w jego mocy"[7].

W Warszawie oceniono, że oświadczenie Chamberlaina „zdjęło z nas poczucie osamotnienia politycznego, w jakim żyliśmy od kilku tygodni". Łudzono się też, że „tego dnia Anglia przełożyła swą baldwinowską granicę bezpieczeństwa znad Renu nad Wisłę"[8].

Zdaniem Grigore Gafencu, ministra spraw zagranicznych, „była w tym cała istota polityki Becka. Pragnął porozumienia 'bezzwłocznego' z Anglią, gdyż było mu pilno jak najprędzej powstrzymać ofensywę dyplomatyczną Rzeszy, wznowioną przez von Ribbentropa nowymi naciskami na Polskę 21 marca, a jednocześnie oddziałać na wzburzoną opinię publiczną w Polsce.

---

6. Komisja Historyczna Polskiego Sztabu Głównego w Londynie. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej.* Tom I *Kampania Wrześniowa. Część pierwsza.* Londyn 1951, str. 97 — dalej *PSZ.*

7. *Sprawa polska w czasie drugiej wojny światowej na arenie międzynarodowej*, Warszawa 1965, str. 18 — dalej *Sprawa polska.*

8. P. Starzeński, *Trzy lata z Beckiem*, Londyn 1972, str. 182.

Nie miał jednak zamiaru przystępować do jakiegoś systemu bezpieczeństwa zbiorowego. Przeciwstawiał Rzeszy sojusz z Wielką Brytanią, nie prowokując Hitlera przymierzem z Rosją. Chciał być zarazem nieustępliwy i giętki, a wiążąc się z Anglią łudził się nadzieją pogodzenia się kiedyś z Niemcami".

Zaproponował zatem Londynowi pakt dwustronny i trzymał się tego określenia nawet wówczas, gdy dla dobra sprawy był zmuszony chwilowo przyjąć deklarację jednostronną na korzyść Polski złożoną przez Chamberlaina 31 marca.

Beck nie rozumiał, że gwarancje brytyjskie dla Polski były po prostu dyplomatycznymi gestami bez żadnego pokrycia. Nie dostrzegał też, iż Brytyjczycy udzielili ich nam w dużej mierze dlatego, że obawiali się, iż bez nich skapitulujemy wobec żądań Berlina i przejdziemy do obozu państw Osi, co doprowadziłoby do całkowitej zmiany układu sił w Europie na korzyść III Rzeszy, osłabiłoby pozycję i prestiż Wielkiej Brytanii i skierowało główną uwagę Hitlera — przynajmniej tymczasowo — na Zachód.

Pokrótce, zwiększyłoby to bardzo poważnie bezpośrednie zagrożenie Wielkiej Brytanii przez Niemcy i zachęciło inne państwa do szukania porozumienia z Berlinem. Wszystko to poderwałoby mocno pozycję Anglii jako wielkiego mocarstwa i jeszcze bardziej wzburzyłoby przeciwko rządowi brytyjską opinię publiczną, i tak już głęboko poruszoną zajęciem Czech i Kłajdepy przez III Rzeszę.

Stąd też wypływało wielkie, wręcz niespotykane dotąd zainteresowanie Londynu Polską i Europą południowo-wschodnią, chociaż jeszcze w październiku 1938 roku w Foreign Office panowało przekonanie, że Wielka Brytania powinna się „odciąć" od tej części kontynentu europejskiego.

„Powinniśmy dążyć do utrzymania naszej pozycji w Europie Zachodniej i w basenie Morza Śródziemnego — notował w swym dzienniku Cadogan, 13 października 1938 roku. — Musimy odciąć się od naszych kłopotów w środkowej i wschodniej Europie — niech Niemcy tam się usadowią, jeśli potrafią tam znaleźć swój *Lebensraum*"[9].

Brytyjskie zainteresowanie Polską było więc zainteresowaniem koniunkturalnym, a brytyjska polityka wobec Polski funkcją polityki Londynu wobec Berlina, czego Beck nie dostrzegał, łudząc się, że Polska rzeczywiście przedstawia wielką wartość dla Anglii i jest kluczem do utrzymania pokoju w Europie.

Tymczasem udzielane nam gwarancje miały zapewnić Londynowi większy wpływ na naszą politykę wobec Niemiec i zachęcić je do szukania pokojowego rozwiązania ich sporu z nami.

9. A. Cadogan, *op. cit.*, str. 162.

Miały też odstraszać III Rzeszę od dalszych agresji widmem walki na dwa fronty. Wreszcie w przypadku wojny miały zapewnić automatycznie nasz w niej udział po stronie aliantów zachodnich, nie zapewniając nam jednak żadnej konkretnej i natychmiastowej pomocy z ich strony.

„Istota sprawy polega na tym — powiedział Chamberlain 20 marca — że jeśli Niemcy okażą zamiar kontynuowania swego pochodu ku dominacji nad światem, będziemy musieli podjąć środki, aby go wstrzymać, atakując na dwóch frontach. *Powinniśmy atakować Niemcy nie po to, aby ocalić którąś z ich agresji, ale by obalić tyrana*"[10]. Brytyjski premier natychmiast jednak dodawał, że „nie powinniśmy być ani zbyt konkretni co do natury naszego współdziałania, ani używać słów, które by nas wiązały zbyt mocno. Najpilniejszą i najbardziej istotną sprawą jest publiczne ostrzeżenie. Nie szkodzi, moim zdaniem, że to ostrzeżenie będzie ujęte w cokolwiek ogólnikowej formie i pozostawi niepewność, co się za nim kryje"[11].

Co więcej, Chamberlain nalegał, aby tekst deklaracji nie wspominał o pogwałceniu granic i ograniczał się do niepodległości państwa[12]. Zależało mu też na podkreśleniu różnicy między integralnością terytorialną a niepodległością Polski, z pewnością dlatego, aby zachować Anglii możliwość ewentualnej rewizji istniejącego *status quo* naszym kosztem, szczególnie, ponieważ sądził, że „polski korytarz" zamieszkiwała „mniejszość niemiecka"[13].

Nie była to więc postawa, jak to trafnie określił Lord Halifax, „szczególnie heroiczna"[14] lub też zbyt wiele dobrego dla Polski wróżąca, czego w Warszawie znowu nie rozumiano.

Dnia 27 marca Lord Halifax podkreślił: „Nie ma prawdopodobnie sposobu, jaki Francja i Wielka Brytania mogłyby zastosować, by nie dopuścić do zagarnięcia Polski i Rumunii. Stoimy wobec dylematu: albo bezczynność, albo rujnująca wojna. W pierwszym wypadku oznaczałoby to wielki wzrost potęgi Niemiec i utratę przez nas sympatii i poparcia w Stanach

10. Sprawozdanie z posiedzenia rządu brytyjskiego, 20 marca 1939 roku. *Public Record Office* — PRO, CAB 23198. Wszystkie podkreślenia moje — JC.

11. Sprawozdanie z konferencji w Foreign Office, 19 marca 1939 roku. PRO, 3858/15/18, FO 371/22967.

12. Sprawozdanie z posiedzenia rządu brytyjskiego, 20 marca 1939 roku, PRO, CAB 23/08.

13. Sprawozdanie Chamberlaina, 26 marca 1939 roku, PRO, PREM 1/321.

14. Sprawozdanie z posiedzenia rządu brytyjskiego, 20 marca 1939 roku, PRO, CAB 23/98.

Zjednoczonych, wśród państw bałkańskich i w innych częściach świata. W tych okolicznościach, gdybyśmy stanęli przed wyborem jednego z dwóch wielkich nieszczęść, wolałbym wybrać wojnę"[15].

Wypowiedź Halifaxa jasno stwierdzała, że zobowiązania brytyjskie wobec Polski nie mogły być na wypadek wojny wypełnione.

O naszych losach miał zadecydować ostateczny wynik wojny i końcowe zwycięstwo aliantów nad Niemcami, które w opinii polityków zachodnich było nieuniknione.

Tymczasem „zagwarantowani", mieliśmy przyjąć na siebie w przypadku wojny pierwsze uderzenie Hitlera, związać jego siły i dać czas Anglii i Francji do przygotowania się do wojny.

Wynikało to jasno z oceny sytuacji militarnej dokonanej w tym czasie przez brytyjskich szefów sztabu, którzy podkreślali, że istnienie drugiego — wschodniego — frontu „przeciwko Niemcom zależy od udziału Polski w wojnie".

„Nie jesteśmy w stanie ocenić — utrzymywali — czy i jaki efekt odstraszający taki pakt z Polską wywoła w Niemczech, ale należy uznać za ważną z punktu widzenia militarnego jego konsekwencję, a mianowicie, jeśliby taki pakt zachęcił Polskę i Rumunię do nieustępliwości, wojna mogłaby nastąpić, zanim nasze siły będą w jakiejkolwiek mierze do niej przygotowane. A taka wojna mogłaby się rozpocząć na skutek agresji niemieckiej wyłącznie na Gdańsk".

Szefowie sztabu stwierdzili, że posiadanie Polski jako sojusznika nie wpłynie na sytuację na morzu i w powietrzu, ale dopomoże znacznie Anglii na lądzie, szczególnie, iż wysoko oceniali oni zalety bojowe naszej armii. Pokrótce zmusi Niemców do osadzenia i walki na dwa fronty.

Utrzymywali również, że było wysoce nieprawdopodobnym, aby Niemcy mogły podjąć (w początkowej fazie wojny) „ofensywę na wielką skalę równocześnie na Wschodzie i na Zachodzie".

Jeśli rozpoczną od wielkiej ofensywy na Wschodzie, to z pewnością zajmą Rumunię i polski „korytarz". Jeśliby kontynuowali ofensywę w Polsce dalej, to „całkowite wyeliminowanie Polski z wojny byłoby tylko kwestią czasu, prawdopodobnie paru miesięcy".

„Jednakże nawet po pobiciu Polski — podkreślali — liczba wojska potrzebnego do utrzymania okupowanych obszarów oraz ich zabezpieczenie przed możliwym atakiem Związku Sowieckiego, byłaby nie mniejsza lub niewiele mniejsza od liczby wojska

15. Sprawozdanie z posiedzenia rządu brytyjskiego, 27 marca 1939 roku, PRO, CAB 27/624.

użytego do pokonania Polski. Ponadto podczas ofensywy przeciwko Polsce Niemcy ponieśliby znaczne straty"[16].

Brytyjczycy zakładali, że Niemcy użyją przeciwko Polsce od 40 do 45 dywizji oraz że do jej pokonania będą potrzebowali około sześciu miesięcy, głównie ze względu na przestrzenie, które będą zmuszeni pokonać i zły stan dróg[17].

Co więcej, od początku 1939 roku byli przekonani, że Hitler planuje jakąś nową agresję, która najprawdopodobniej będzie skierowana przeciwko Polsce[18].

Brytyjscy szefowie sztabu dodawali również, że nawet jeśliby „Niemcy nie podjęły ofensywy na wielką skalę, nie miałyby prawdopodobnie dość sił, by atakować z powodzeniem linię Maginota". Mogłyby zapewne zająć na Zachodzie jedynie Holandię i część Belgii[19].

Brytyjczycy chcieli zyskać na czasie, gdyż zdaniem Lorda Halifaxa, każdy miesiąc przysparzał im 600 samolotów[20].

Ponadto Brytyjczycy liczyli, że po pobiciu Polski dojdzie do bezpośredniej styczności pomiędzy III Rzeszą a ZSSR, co prędzej czy później może doprowadzić do starcia między nimi oraz do powstania bardziej pożytecznego i trwałego frontu wschodniego.

Stąd dla Wielkiej Brytanii nasze znaczenie jako alianta nie polegało na tym, że stawimy Niemcom długi i skuteczny opór, na co byliśmy za słabi, lecz że związemy znaczne siły niemieckie na Wschodzie i przez to odciążymy front zachodni.

Na początku kwietnia minister Beck udał się z oficjalną wizytą do Londynu, w czasie której ustalono, że tymczasowe gwarancje brytyjskie zostaną zastąpione trwałym, wzajemnym zobowiązaniem pomocy i współpracy. Ogłoszony 6 kwietnia komunikat stwierdzał, że jeszcze przed zawarciem traktatu o wzajemnej pomocy Wielka Brytania i Polska zobowiązują się do udzielenia sobie wzajemnej pomocy w wypadku, gdyby ich niepodległość została bezpośrednio lub pośrednio zagrożona[21].

---

16. Memorandum Szefów Sztabu — *Oceny Europejskie 1939-40* i do lutego 1939 roku, PRO, DP(P) 44, CAB 16/183A.

17. O szczegóły patrz: J.R.M. Butler ed, *History of the Second World War: Grand Strategy, Volume II: September 1939-June 1941*, Londyn 1957, str. 53 i dalsze.

18. J.M.R. Butler, *op. cit. Volume I*, Londyn 1976, str. 691.

19. *Oceny Europejskie 1939-40.*

20. John Harvey ed, *The Diplomatic Diaries of Oliver Harvey 1937-1945*, Londyn 1970, str. 278 — dalej *Harvey Diaries.*

21. Komunikat polsko-brytyjski o wizycie ministra J. Becka w Londynie, 6 kwietnia 1939 roku.

Beck uważał porozumienie z Wielką Brytanią za swoje kardynalne osiągnięcie, do którego dążył od dawna, ponieważ o ile rządy przedmajowe widziały bezpieczeństwo Polski głównie w jej stosunkach z Francją, to pomajowe z Anglią, słusznie zakładając, że w razie wojny wywołanej przez Niemcy nasz „francuski sojusznik na pewno się nie ruszy bez poparcia z zaplecza Anglii"[22].

Dla Becka układ z Anglią był niezbędnym „uzupełnieniem" naszego przymierza z Francją, a więc rodzajem „reasekuracji", do której przywiązywał ogromną wagę. Niemniej nasz sojusz z Wielką Brytanią, podobnie jak i z Francją, miał posiadać „charakter wyłącznie obronny", co miało go uczynić bardziej strawnym dla Berlina, szczególnie że Polska wzbraniała się przed wzięciem udziału w jakimkolwiek bloku państw zarówno pro-jak i anty-niemieckich[23].

„Mieliśmy oczywiście też do wyboru, by pójść ręka w rękę z Niemcami — mówił Beck jadąc do Londynu w kwietniu 1939 roku — przeciw Rosji. Wciąż nam to proponowano. Ale czego Polska potrzebuje — to pokoju, a nie awantur wojennych i to w towarzystwie Niemców. Byłoby to sprzeczne z zasadniczymi założeniami naszej polityki, polskich tradycji i naszej linii postępowania w świecie... Jako partner słabszy od Niemiec stalibyśmy się rychło ich wasalami"[24].

Z drugiej strony Beck nie zamierzał pójść z Rosją przeciw Niemcom, do czego zaczynali go teraz namawiać Anglicy.

„Pakt o nieagresji z Rosją uważam za jeden z najważniejszych układów — podkreślał minister Beck — jaki dla Polski negocjowałem. Ale za ten układ nie mam zamiaru wychodzić. Zawsze obawiałem się koncepcji i układów europejskich, które przy rozbrojeniu Zachodu miały doprowadzić do okrążenia Niemiec. Jeśli Francja i Anglia będą chciały teraz ponowić rozmowy z Rosją, to niechże to robią... Co do nas, nie będziemy im stawiali przeszkód, ale ja sam w tej niebezpiecznej zabawie nie będę brał udziału".

Beck uważał, że „Rosja z własnej woli do wojny nie wejdzie; jest na to i za słaba i za mądra. Będzie patrzyła, jak się Europa bije i niejedna karta pójdzie wtedy w ręce sowieckie"[25].

Był również przekonany, że „jeśli Hitler oszaleje i zacznie wojnę, to zniszczy nie tylko Niemcy, ale o wiele więcej krajów

22. P. Starzeński, *op. cit.*, str. 19.

23. *Tamże*,, str. 184.

24. *Tamże*, str. 185.

25 *Tamże*, str. 185 — wszystkie podkreślenia moje — JC.

niż swój własny. Hitler to zemsta Anglii za Sadową. *On nigdy tej wojny nie wygra.*

Przy tym nie wierzył, „by Niemcy i Rosja mogły wejść w trwałe porozumienie".

Płk Beck słusznie podkreślał, że polska polityka zagraniczna była „niemożliwie trudna". Pocieszał się jednak, że „Polska jest wieczna". Zapewniał zarazem, że jechał do Londynu, „by zachować pokój".

Płk Beck szukał natychmiastowej, konkretnej i skutecznej pomocy i wsparcia dla Polski w obliczu niemieckiego zagrożenia w odległej Anglii, która do Monachium niewiele się nią interesowała i która nie była w stanie ani nawet nie zamierzała nam jej udzielić w początkowej, a dla nas kluczowej fazie, zbliżającej się wojny. A nie myślał nawet o nią zabiegać ewentualnie w Moskwie... Dlatego też Beck zapewniał Hitlera, że Polska i Anglia nie miały „zamiaru prowadzenia polityki okrążenia Niemiec"[26], chociaż w tym czasie był to już jedyny sposób „odstraszenia" Niemiec od wojny.

Beck wciąż jeszcze myślał o podjęciu bezpośrednich rozmów z Berlinem na temat Gdańska celem utworzenia tam condominium, które zabezpieczałoby zarówno interesy ludności niemieckiej jak i interesy Polski[27].

Pomimo, że Beck był wciąż nastawiony całą duszą na „ratowanie pokoju", nie „wyrażał się zbyt pesymistycznie o ewentualnej wojnie"[28].

Beck sądził, że „układ z Anglią dawał nam gwarancję przetrzymania wojny i zwycięskiego końca"[29]. Przyznawał, że „będzie to oczywiście bardzo ciężka wojna", ale pocieszał się myślą, że „Hitler się zastanowi, zanim ją rozpocznie. *Il n'est pas téméraire*"[30].

Stanowczo odrzucał też możliwość, że wojna wisi na włosku, o czym bezskutecznie starał się go przekonać nasz dobrze poinformowany *attaché* wojskowy w Berlinie[31].

Becka dość często ponosiła oficerska buta, a życie nie zdołało wykrystalizować w nim jednorodnej, zdefiniowanej psychicznie indywidualności. Równorzędnie współistniały w nim dwie odmienne, często sprzeczne i przeciwstawiające się sobie indywidualności: z jednej strony wybitny, zrównoważony i przezorny

26. *Tamże*, str. 208.
27. *Tamże*, str. 208.
28. *Tamże*, str. 207.
29. *Tamże*, str. 196.
30. *Tamże*, str. 215.
31. *Tamże*, str. 207. Patrz też: A. Szymański, *Zły sąsiad*, bdw, str. 128-31.

dyplomata, a z drugiej zadzierzysty, czasem ryzykancki pułkownik konnej artylerii. Zawsze rodziła się obawa, by na scenie politycznej nie wystąpił bojowy pułkownik zamiast przezornego ministra[32].

To „pułkownikowstwo" Becka było powiązane z przesadnym przeświadczeniem o jego przemożnej roli na europejskiej arenie politycznej[33], co utrudniało mu właściwą ocenę sytuacji i naszych możliwości, które były o wiele skromniejsze, niż mu się wydawało.

Po powrocie z Londynu błędnie przypuszczał, że układ z Anglią i nasze twarde, żołnierskie stanowisko odstraszy Niemcy od dalszych wrogich kroków przeciwko Polsce.

Niestety stało się inaczej.

Porozumienie z Anglią przyśpieszało, zamiast zażegnać atak niemiecki na Polskę, gdyż przekonało Hitlera, że nie będzie w stanie uczynić z niej satelity III Rzeszy. Ponadto wzmagało z pewnością jego dążenie do porozumienia z Moskwą, co miało postawić Polskę w beznadziejnej sytuacji oraz udowodnić Londynowi i Paryżowi, że ich nadzieje na wejście ZSSR do antyniemieckiego obozu były płonne.

Tymczasem wielki wpływ na politykę międzynarodową wywierała postawa Moskwy. Stalin z dużą podejrzliwością przyjął gwarancje Chamberlaina dla Polski. Na Kremlu podejrzewano, że niespodziewana gotowość Londynu do udzielenia Polsce pomocy w jej konflikcie z Niemcami jest swego rodzaju zachętą dla Hitlera, aby skierował swą następną agresję na Wschód, co musiało doprowadzić do wzrostu zagrożenia ZSSR.

Stalin przypuszczał, czemu dał świadectwo na XVIII Zjeździe WKP(b) 10 marca 1939 roku, że państwa zachodnie starają się sprowokować konflikt między Związkiem Sowieckim a Niemcami, popychając ich dalej na Wschód[34]. Ze swej strony zapewniał, że ZSSR zamierza się kierować w przyszłości własnymi interesami oraz sowiecką racją stanu.

Niemniej 17 kwietnia Moskwa wystąpiła z propozycją zawarcia trójstronnego sowiecko-francusko-brytyjskiego paktu o wzajemnej pomocy, uzupełnionego konwencją wojskową. Propozycja sowiecka została jednak odrzucona. Premier brytyjski uważał, że w stosunkach z ZSSR Anglia powinna zabiegać przede wszystkim o zapewnienie dostaw surowców i sprzętu wojsko-

32. E. Kwiatkowski, „Józef Beck" *Arka* 10-12/1985, str. 154.

33. *Tamże*, str. 160.

34. Referat sprawozdawczy z działalności KC WKP(b) wygłoszony na XVIII Zjeździe WKP(b), 10.III.1939 roku. J. Stalin, *Zagadnienia leninizmu*, Łódź 1947, str. 522.

wego dla Polski i Rumunii na wypadek zaatakowania ich przez III Rzeszę.

„Chamberlain odnosił się do ZSSR bardzo nieufnie i nie doceniał w pełni jego znaczenia i potencjału militarnego. Obawiał się również, że brytyjskie zbliżenie z Moskwą będzie źle widziane w Warszawie"[35].

Jednocześnie Aleksiej Mieriekałow, ambasador sowiecki w Berlinie, oświadczył Niemcom gotowość Moskwy do polepszenia stosunków z III Rzeszą.

Stalin czynił co tylko mógł, aby zabezpieczyć interesy Związku Sowieckiego. Pragnął uniknąć lub jak najdalej odwlec wojnę z Niemcami. Z braku innych rozwiązań wysuwał różne projekty zbiorowego bezpieczeństwa, ale żywił głęboko zakorzenioną nieufność do państw zachodnich, wątpił w ich wolę oporu wobec Hitlera.

Wzrost napięcia w stosunkach Berlina z Warszawą i Londynem sprzyjał polityce Moskwy. Moskwa nie wykluczała możliwości porozumienia z Londynem, Paryżem i Warszawą. Jeszcze w marcu 1939 roku rozpoczęły się pierwsze rozmowy brytyjsko-francusko-sowieckie na temat możliwości zawarcia układu politycznego. Rozmowy z państwami zachodnimi nabrały większego rozmachu, gdy w połowie czerwca przystąpiono do bezpośrednich rokowań w Moskwie. Dnia 12 sierpnia rozpoczęły się rozmowy delegacji wojskowych. Czternastego — ludowy komisarz obrony, marszałek Kliment Woroszyłow, postawił swym zachodnim rozmówcom, jak to sam określił, najbardziej kardynalne pytania. Sprowadzały się one do trzech kwestii:

Czy radzieckie siły zbrojne zostaną przepuszczone przez terytorium Polski w rejonie Wilna, przez tzw. korytarz wileński? To raz.

Czy radzieckie siły zbrojne będą miały możliwość przejścia przez terytorium polskie w Galicji dla zetknięcia się z wojskami agresora? To dwa.

Czy będzie zapewniona dla sił zbrojnych ZSSR możność skorzystania w razie potrzeby z terytorium Rumunii, jeżeli agresor będzie działał w tym południowym kierunku? To trzy.

Marszałek Woroszyłow ostrzegał przy tym swych zachodnich rozmówców, że: 'bez ścisłych i niedwuznacznych odpowiedzi na te pytania dalsze rozmowy nie będą miały aktualnie ważnego znaczenia' "[36].

Stało się więc jasne, że bez zgody Polski oraz Rumunii na

35. S. Newman, *op. cit.*, str. 258 i dalsze.

36. *Międzynarodowe tło agresji Rzeszy Niemieckiej na Polskę w 1939 roku.* Warszawa 1986, str. 121.

wprowadzenie sowieckich sił zbrojnych na ich ziemie nie mogło być mowy o podpisaniu brytyjsko-francusko-sowieckiego porozumienia.

Konsultacje prowadzone przez Londyn i Paryż w tej sprawie w Warszawie ujawniły nieprzejednane stanowisko Polski. Analogiczne stanowisko zajmowali Rumuni. Beck uważał, że „nie możemy dopuścić do traktowania naszego terytorium jako przedmiotu negocjacji pomiędzy państwami trzecimi"[37].

Tymczasem Hitler parł już zdecydowanie do wojny i walnej rozprawy z Polską, co niezbicie wynikało z jego wypowiedzi, wygłoszonej na odprawie najwyższych dowódców niemieckich sił zbrojnych w dniu 23 maja 1939 roku. Hitler podkreślał, że głównym wrogiem III Rzeszy jest Anglia, która widziała „w naszym (niemieckim) rozwoju tworzenie potęgi, zdążającej do hegemonii, a tym samym zagrażającej zniszczeniem żywotnych sił Anglii. Anglia jest zatem naszym wrogiem, a rozprawa z nią będzie walką na śmierć i życie".

Hitler dodawał też, że „Polska będzie zawsze po stronie naszych nieprzyjaciół. Mimo traktatów przyjaźni Polska zawsze skrycie dążyła do wykorzystania każdej sposobności, by nam zaszkodzić.

Gdańsk nie jest bynajmniej przedmiotem zatargu. Idzie o rozszerzenie naszej przestrzeni życiowej na Wschodzie, o zapewnienie środków żywności, o załatwienie problemu bałtyckiego".

„Problem Polski — mówił przywódca niemiecki — jest nieodłączny od konfliktu z Zachodem. Wewnętrzna zdolność oporu Polski przed bolszewikami jest wątpliwa, toteż Polska przedstawia wątpliwą wartość jako bariera przeciw Rosji".

Führer utrzymywał, że jest rzeczą wątpliwą, czy można będzie osiągnąć sukcesy militarne na Zachodzie przez „szybką decyzję". Wątpliwe było również zachowanie Polski. „Rząd Polski nie oprze się naciskom Rosji. Polska widzi niebezpieczeństwo w niemieckim zwycięstwie na Zachodzie i będzie się starała nam w tym zwycięstwie przeszkodzić. Dlatego nie może być mowy o oszczędzeniu Polski i pozostaje nam decyzja: *zaatakować Polskę przy pierwszej dogodnej sposobności*". „Nie możemy oczekiwać powtórzenia się imprezy czeskiej" — zapewniał Hitler swych generałów. — *Nie obejdzie się bez wojny.* Naszym zadaniem jest odizolować Polskę. Korzystny wynik izolacji będzie miał wpływ decydujący".

Dlatego też *Führer* zastrzegał sobie „prawo dania defini-

37. J. Beck, *op. cit,* str. 172.

tywnego rozkazu do ataku": „nie może dojść do jednoczesnego konfliktu z mocarstwami zachodnimi (Francją i Anglią)".

„Zasadniczo więc należy ustalić, że konflikt z Polską zaczynający się od ataku na Polskę tylko wtedy uwieńczony będzie powodzeniem, jeżeli mocarstwa zachodnie będą się od niego trzymały z daleka. Jeżeli to okaże się niemożliwe, będzie lepiej zaatakować na Zachodzie, załatwiając się z Polską w tym samym czasie".

Hitler był przekonany, że „izolacja Polski" jest „zagadnieniem umiejętnej polityki"[38]. Sądził, iż uda mu się „odizolować Polskę od państw zachodnich poprzez porozumienie z ZSSR", który do niedawna uchodził w Berlinie za głównego wroga III Rzeszy.

Niestety, ani w Warszawie, ani w Londynie i Paryżu nie zdawano sobie sprawy, że nadchodzi moment niemiecko-sowieckiego porozumienia. Hitler, który na skutek zawarcia polsko-brytyjskiego sojuszu w kwietniu 1939 roku znalazł się w politycznym impasie, „doskonale pojął" sugestie zawarte w przemówieniu Stalina wygłoszonym 10 marca. Potwierdzały je zresztą kontakty przedstawicieli obu państw. Rozmowy na temat zawarcia niemiecko-sowieckiego traktatu handlowego, które toczyły się w Berlinie od 22 lipca 1939 roku, stanowiły grunt do zawarcia porozumienia politycznego. Stalin wobec braku zadowalającego go postępu w rokowaniach wojskowych z Anglią i Francją, kierując się względami sowieckiej racji stanu, postanowił rozegrać kartę niemiecką do końca.

W nocy z 21 na 22 sierpnia 1939 roku podana została w Berlinie wiadomość o podróży von Ribbentropa do Moskwy celem zawarcia paktu o nieagresji między III Rzeszą i ZSSR. Dnia 23 sierpnia von Ribbentrop przybył do Moskwy, gdzie w nocy z dnia 23 na 24 sierpnia doszło do podpisania niemiecko-sowieckiego paktu o nieagresji, do którego dołączono dodatkowy znany obecnie tajny protokół.

Późnym latem 1939 roku tymczasowe porozumienie ze Związkiem Sowieckim było Hitlerowi bardzo na rękę. *Führer* sądził, iż pozwoli mu ono na zlokalizowanie konfliktu z Polską i zapewni jej całkowitą izolację. Hitler był przekonany, że po podpisaniu niemiecko-sowieckiego paktu o nieagresji państwa zachodnie porzucą Polskę i wycofają się ze swych zobowiązań wobec Warszawy.

„Było dla mnie jasną rzeczą — mówił Hitler na odprawie wyższych dowódców niemieckich sił zbrojnych 22 sierpnia — że

38. *Sprawa polska...* Wszystkie podkreślenia moje — JC.

konflikt z Polską musi nastąpić wcześniej, czy później. Zdecydowałem się nań już na wiosnę, ale myślałem, że najpierw zwrócę się przeciw Zachodowi, a dopiero potem przeciw Wschodowi. Kolejności niepodobna jednak ustalić z góry. Nie wolno zamykać oczu na groźną sytuację".

Zdaniem Hitlera stosunki z Polską „stały się nie do zniesienia":

„Moja dotychczasowa polityka była sprzeczna z życzeniami społeczeństwa. Moje propozycje dotyczące Polski (Korytarz, Gdańsk) zostały storpedowane przez interwencję brytyjską. Polska zmieniła ton wobec nas. Nie możemy pozwolić, by inicjatywa przeszła od nas do innych; moment obecny jest bardziej korzystny, niż to będzie miało miejsce za dwa lub trzy lata. (...) Obecnie wielkie jest prawdopodobieństwo, że Zachód nie będzie interweniował"[39].

Co więcej, Hitler utrzymywał, że generał von Brauchitsch obiecał mu „zakończyć wojnę w Polsce w ciągu kilku tygodni". „Gdyby mi był powiedział, że będzie to trwało dwa lata lub choćby rok, nie byłbym dał rozkazu maszerowania i zawarłbym chwilowo pakt z Anglią zamiast z Rosją. Nie możemy prowadzić długiej wojny. W każdym razie powstała obecnie nowa sytuacja. Widziałem w Monachium to nędzne robactwo, Chamberlaina i Daladiera. Ci panowie nie będą mieli odwagi zaatakować i nie pójdą dalej niż na blokadę, przeciw której mamy naszą samowystarczalność i rosyjskie surowce. Polska zostanie wyludniona i skolonizowana przez Niemców. Mój pakt z Polską miał na celu jedynie zyskanie na czasie, ... w Rosji stanie się to samo, do czego doprowadziłem w Polsce. Po śmierci Stalina (a jest on poważnie chory) rozbijemy w puch Związek Sowiecki"[40].

Hitler zapewniał swych generałów, że obecny moment jest najwłaściwszy do rozpoczęcia wojny z Polską, która w istocie miała być wstępem do walnej rozprawy z Anglią. Jego zdaniem sprawy odkładać nie było już można, gdyż w przyszłości sytuacja będzie się dla Niemiec stawała coraz gorsza. Hitler przyznawał, że i obecnie ryzyko jest wielkie, ale uważał, że będzie ono stale wzrastać. „Obecnie jest jeszcze wielkie prawdopodobieństwo, że Zachód nie weźmie udziału w wojnie. Zwłaszcza że dotąd Zachód liczył na Rosję, a tymczasem ... dzisiejsze ogłoszenie o pakcie nieagresji z Rosją podziałało jak wybuch

39. *Dokument norymberski* nr 799 — PS.

40. *Dokument norymberski* L-3 T. Cyprian, J. Sawicki, *Agresja na Polskę w świetle dokumentów*, tom II, Warszawa 1945, str. 133-142.

granatu. Następstwa będą tak wielkie, że na razie nie można ich ocenić..."[41].

Hitler zakończył odprawę zapowiedzią, że rozpoczęcie wojny z Polską nastąpi prawdopodobnie 26 sierpnia rano. Ścisłe rozkazy miały wyjść dodatkowo[42].

Führer za wszelką cenę parł do ostatecznej rozprawy z Polską i był gotów na ryzyko, że jego atak na nas wywoła również wojnę z Anglią i Francją. Niemniej prawie do końca sądził, że państwa zachodnie udzielą Polsce poparcia dyplomatycznego, ale na „wojnę o Gdańsk" nie pójdą. Bardzo nikła pomoc finansowa Zachodu dla Polski i słabość militarna Anglii w tym czasie utwierdzały go w tym przekonaniu[43].

Stalin decydując się na porozumienie z Berlinem pragnął przede wszystkim jak najdłużej utrzymać Związek Sowiecki z dala od wojny, do której miało dojść w ciągu następnych kilkunastu dni, i poprawić jego sytuację strategiczną.

Dnia 26 sierpnia brytyjska i francuska misja wojskowa opuściły Moskwę, a rząd sowiecki całą odpowiedzialność za rozbicie rokowań z państwami zachodnimi przypisał ich kierownictwom oraz nieustępliwej postawie rządu polskiego w sprawie przyznania wojskom sowieckim prawa przemarszu poprzez terytorium polskie[44].

Zdaniem marszałka Woroszyłowa, brak konkretnych i pozytywnych danych w sprawie przepuszczenia i działania sowieckich sił zbrojnych przeciwko agresorowi na terytorium Polski i Rumunii, z którymi Anglia i Francja miały „odpowiednie stosunki polityczne i wojskowe", oznaczał że istnieją „wszelkie powody do zwątpienia w ich dążenie do rzeczywistej i poważnej współpracy wojskowej z ZSSR". Wobec czego odpowiedzialność za zwłokę i przerwanie brytyjsko-francusko-sowieckich rokowań spada naturalnie na stronę francuską i angielską[45].

Najwyższe władze Rzeczpospolitej nie doceniały znaczenia i wymowy niemiecko-sowieckiego porozumienia i nadal spodziewały się, że „Rosja jednak zajmie stanowisko w dużej mierze neutralne, a może nawet do pewnego stopnia życzliwe dla Polski. Nie wykluczano też możliwości uzyskania od Rosji pewnych dostaw materiałowych"[46].

---

41. Protokół odprawy Hitlera dla wyższych dowódców niemieckich sił zbrojnych w dniu 22 sierpnia 1939 roku. PSZ, tom I, część I, str. 76.
42. *Tamże.*
43. *Tamże.*
44. Cf. PSZ, tom I, *Kampania Wrześniowa 1939*, część I, str. 72.
45. *Międzynarodowe tło agresji Rzeszy Niemieckiej na Polskę*, Warszawa 1986, str. 141.
46. Cf. PSZ, tom I, część I, str. 77-78.

Dnia 28 sierpnia 1939 roku płk Beck oceniał nasze „ogólne położenie jako nienajgorsze. Wielkie przygotowania wojskowe, które kontynuujemy, stawiają nas dziś wojskowo na dobrym punkcie. Francja zrobiła ogromny wysiłek wojskowy i ma dziś zgromadzoną na linii Maginota armię dwumilionową. Oczywiście, jeśli dojdzie do wojny, to nie będzie się można w pół drogi zatrzymać. Sowiety wydają się dość speszone po podpisaniu paktu o nieagresji z Niemcami"[47].

Na Wierzbowej sądzono, że „nasze położenie polityczne i wojskowe kształtuje się pomyślnie i że najgorszą dla nas ewentualnością byłyby jakieś wysiłki kompromisu i naciski międzynarodowe w kierunku uczynienia ustępstw w stosunku do Niemiec"[48].

Optymizm władz był uderzający. Częściowo wynikał on z rozmów wojskowych z naszymi zachodnimi aliantami. Rząd polski przywiązywał wielką wagę do „solidarności sprzymierzeńców" i liczył na skuteczną i wydatną pomoc Francji i Anglii na wypadek wybuchu wojny. Dalszy rozwój wypadków rozwiał te nadzieje w bardzo konkretny i bolesny sposób.

Tymczasem w Warszawie liczono zgodnie z przyrzeczeniem gen. M. Gamelin, złożonym gen. Kasprzyckiemu w maju 1939 roku, że:

„Gdy tylko zaznaczy się główny wysiłek niemiecki przeciw Polsce, Francja rozwinie działanie ofensywne przeciw Niemcom swymi głównymi siłami, począwszy od 15 dnia ogólnej mobilizacji francuskiej"[49].

Gen. Gamelin utrzymywał, że około 40 francuskich dywizji piechoty „może wziąć udział w tej ofensywie"[50].

Dodatkowe porozumienie lotnicze przyrzekało bombardowanie celów w Niemczech siłą do 60 samolotów o zasięgu do 1500 km i udźwigu 150 kg bomb na samolot, lądujących po wykonaniu zadania w Polsce, po starcie zaś z Polski — we Francji[51].

Analogiczne rozmowy polsko-angielskie dały w wyniku przyrzeczenie bombardowań na terenie Polski oraz porozumienie co do działań morskich[52].

Marszałek Śmigły-Rydz zakładał, że francuska ofensywa na Niemcy wyruszy w dwa tygodnie po wybuchu wojny[53].

---

47. *Diariusz i Teki Jana Szembeka*, tom IV, str. 701.
48. *Tamże.*
49. *PSZ*, tom I, część I, str. 99.
50. *Tamże*, str. 98.
51. M. Porwit, *Komentarze do polskiej wojny domowej*, tom I, str. 72.
52. *Tamże*, str. 73.
53. *Tamże.*

Dnia 25 sierpnia doszło do podpisania polsko-brytyjskiego traktatu wzajemnej pomocy, który zastępował dotychczasowe ustalenia oparte na komunikacie z 6 kwietnia 1939 roku. Duży wpływ na przyspieszenie podpisania sojuszu miał układ niemiecko-sowiecki z 23 sierpnia. Ze względu na sytuację międzynarodową układ brytyjsko-polski wchodził natychmiast w życie bez wymaganej przy tego rodzaju porozumieniach ratyfikacji.

Układ w swych najważniejszych postanowieniach przewidywał, że jeśli jeden z sygnatariuszy znalazłby się w stanie wojny z którymś z mocarstw europejskich wskutek agresji tego państwa, to współpartner udzielić mu miał niezwłocznie pomocy zbrojnej. Zobowiązanie do udzielenia pomocy dotyczyło też pośredniego zagrożenia niepodległości jednej z układających się stron, pod warunkiem, że przeciwstawi się zbrojnie tej akcji. W tajnym protokole do układu stwierdzono, że przez wyrażenie „mocarstwo europejskie" należało rozumieć Niemcy. Na wypadek agresji dokonanej przez „mocarstwo europejskie inne aniżeli Niemcy, umawiające się strony miały się konsultować, w celu wspólnego podjęcia środków".

Zajęcie Gdańska uznano za *casus foederis*, tak samo jak atak na Polskę. Na zasadzie wzajemności Polska zobowiązała się uznać za *casus foederis* atak na Belgię i Holandię[54].

W Warszawie układ oceniano jako niezmiernie korzystny dla Polski.

„Mając takiego sojusznika — nie potrzebujemy się niczego obawiać"[55]. Nastroje polskiej opinii publicznej oddawał w pełni artykuł Mieczysława Niedziałkowskiego, w którym stwierdzał:

„Tekst sojuszniczego układu uderza swoją prostotą i jasnością, nie ma w nim żadnych niedomówień, nie ma żadnej przesłanki dla jakichkolwiek nieoczekiwanych interpretacji"[56].

Niemniej „atrament jeszcze nie zasechł na dokumencie — pisze w swych wspomnieniach Edward Raczyński, ambasador polski w Londynie — kiedy Lord Halifax w rozmowie ze mną rozwinął nowe koncepcje kompromisu z Berlinem"[57].

„Koncepcje" te spaliły jednak na panewce, gdyż Hitler nie godził się już w istocie na żadne rokowania z Polską w sprawie swych żądań pod naszym adresem. *Führer* dążył teraz do naszej całkowitej kapitulacji, na co my znowu nie mogliśmy przystać, lub wojny.

---

54. Układ o wzajemnej pomocy między Rzeczypospolitą Polską a Zjednoczonym Królestwem Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej.
55. W. Bartoszewski, *1859 dni Warszawy*, Kraków 1975, str. 18.
56. *Robotnik* nr 239 z 27.VIII.1939 roku.
57. Edward Raczyński, *W sojuszniczym Londynie*, Londyn 1960, str. 33.

Niemniej podpisanie polsko-brytyjskiego układu, podobnie jak oświadczenie Mussoliniego, złożone również 25 sierpnia, że Włochy ze względu na nieprzygotowanie do wojny nie będą mogły wziąć w niej udziału, spowodowało chwilowe wahanie Hitlera, który w ostatniej chwili odwołał rozpoczęcie ataku niemieckiego na Polskę, pierwotnie wyznaczonego na 26 sierpnia. Ostatnie dni sierpnia upłynęły pod znakiem prób ratowania pokoju podejmowanych przez dyplomację brytyjską. Próby te nie powiodły się, gdy po początkowym wstrząsie spowodowanym postawą Londynu i Rzymu *Führer* znowu doszedł do przekonania, że Anglia w ostateczności nie udzieli Polsce pomocy. Hitler uważnie śledził politykę i zachowanie się Anglii i Francji i doszedł do mylnego wniosku, że „obydwa państwa znowu się przestraszą" ostatecznej decyzji wywołania wojny, „a kiedy uda się szybko i bez reszty zlikwidować Polskę, wówczas zabraknie partnera, któremu dało się słowo". Hitler łudził się, że po wyeliminowaniu Polski mocarstwa zachodnie pogodzą się z faktem dokonanym. Przekonany o słuszności swego rozumowania, 31 sierpnia 1939 roku nakazał ostateczne uderzenie na Polskę na dzień 1 września o godzinie 4.45 rano[58].

Zgodnie z rozkazem Hitlera 1 września 1939 roku Niemcy uderzyły na Polskę. *Führer* uderzając na Polskę sądził, że uda mu się konflikt z Polską zlokalizować i że mocarstwa zachodnie — Anglia i Francja — nie wypowiedzą wojny Niemcom z naszego powodu.

Złudne nadzieje Hitlera prysły ostatecznie 3 września, kiedy Anglia i Francja wypowiedziały wreszcie wojnę Niemcom. Dotychczasowa polityka Chamberlaina — uniknięcia wojny — leżała w gruzach. Pozostał on jednak nadal brytyjskim premierem. Niemniej anglo-francuskie deklaracje wojny były na razie po prostu pustymi politycznymi gestami.

We wrześniu walczyliśmy samotnie bez żadnej pomocy z Zachodu. Przesądziło to w istocie o wyniku kampanii wrześniowej, gdyż tylko natychmiastowa silna ofensywa francusko-brytyjska mogła uratować Polskę od klęski. Tymczasem sztaby brytyjski i francuski jeszcze przed wybuchem konfliktu doszły do przekonania, że na wypadek wojny Polska zapewne będzie szybko pokonana, ale jej ostateczny los nie zostanie jeszcze przez to przesądzony. Zależeć on będzie od końcowego wyniku wojny, od zdolności zachodnich aliantów do pokonania Niemiec, a nie od tego, czy potrafią udzielić Polsce bezpośredniej, natych-

58. M. Kamiński i M. Zacharias, *Polityka zagraniczna II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1988, str. 285-86.

miastowej pomocy, zmniejszyć na nią nacisk i uratować ją od klęski na początku konfliktu. Nasi zachodni alianci uważali, że ostateczne losy naszej niepodległości rozstrzygną się nie nad Wisłą, ale nad Renem. Polska miała odgrywać po prostu rolę pierwszej linii oporu. Nasz opór miał wiązać poważne siły niemieckie, zadać im jak największe straty i dać naszym sprzymierzeńcom czas na przygotowanie i zmobilizowanie się do rozstrzygającej rozgrywki z Niemcami.

Nasz samotny, okupiony wielkimi stratami wrześniowy bój dał zachodnim aliantom osiem miesięcy czasu na przygotowanie się do ich własnej walnej rozgrywki z Niemcami. Francuzi czas ten właściwie zmarnowali, sądząc po rozmiarach ich klęski w 1940 roku. Brytyjczycy zaś w pełni go wykorzystali do rozbudowy swych sił zbrojnych, szczególnie lotnictwa myśliwskiego, które później odegrało tak wielką rolę w czasie bitwy o Wielką Brytanię.

Jan CIECHANOWSKI

Henryk GODULSKI

NA ZAOLZIU
1 maja 1945 — marzec 1947

W numerach 81 i 82 *Zeszytów Historycznych* ukazały się znakomite artykuły M.K. Kamińskiego na temat stosunków polsko-czechosłowackich w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej, kiedy to po raz kolejny doszło do zatargu o Zaolzie[1]. Niniejszy artykuł jest uzupełnieniem pracy Kamińskiego, poruszającym głównie wydarzenia rozgrywające się na terenie samego Zaolzia w omawianym okresie i później, aż do podpisania układu z 10.03.1947 kroku. Wydarzenia dotyczące szczegółów rokowań między Warszawą a Pragą ograniczone więc zostały do niezbędnego minimum. W artykule wykorzystano gromadzone przez wiele lat unikalne dokumenty i prasę.

Problem przyszłości Zaolzia nie zajmował sporo miejsca w programach komunistów polskich. Z zagadnieniem tym spotykamy się pośrednio przy analizie stosunku komunistów do konfederacji polsko-czechosłowackiej. Krytykując wszelkie koncepcje federalne, stwierdzano jednak, że problem ten powinien być załatwiony w nieco inny sposób. Bliżej tego nie określano[2]. Sprawa nabrała rozgłosu w momencie starań komunistów o uznanie przez Czechosłowację tzw. rządu tymczasowego, podczas których Beneš zażądał oświadczenia o wyrzeczeniu się przez

1. M.K. Kamiński, „Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne przed konferencją trzech mocarstw w Poczdamie (maj-czerwiec 1945)", *Zeszyty Historyczne* nr 81, str. 220-238, nr 82, str. 106-122.
2. *Wolna Polska*, 24.08.1943, *Nowe Widnokręgi*, 15.05.1944.

Polaków pretensji do Zaolzia[3]. Odrzucając to żądanie, Bierut i Gomułka kierowali się chwytliwym argumentem o budowie jednolitego narodowo państwa, skupiającego w swych granicach wszystkich Polaków z Ziem Zachodnich, w tym i z Zaolzia, które zresztą w 1945 formalnie znajdowało się w granicach Polski. Szanse polskie na uzyskanie poparcia w tej kwestii miała zwiększyć krytyka polityki Becka z 1938 oraz kierowanie się kryterium etnograficznym przy wytyczaniu granicy polsko-sowieckiej. Przeważająca liczebnie na Zaolziu ludność polska przemawiała na korzyść tych postulatów, a sukces w tej sprawie mógł zwiększyć poparcie dla komunistów w kraju[4]. To zadecydowało o tak znacznym zaangażowaniu się Polskiej Partii Robotniczej w sprawę Zaolzia w latach 1945-1947.

Nieporozumienia co do przyszłości Zaolzia dały o sobie znać już w momencie zajęcia Śląska Cieszyńskiego przez wojska sowieckie. Do przejęcia władzy pretendowali zarówno Polacy, dla których linia graniczna z 23.11.1938 pozostawała nadal aktualna, jak i Czesi, uważający rok 1938 za początek okupacji. W tych pierwszych dniach aktywniejsi i szybsi okazali się Polacy.

Po wkroczeniu Rosjan do Cieszyna 3.05.1945 uaktywniła się grupa zakonspirowanych członków Szarych Szeregów i AK. Mając poparcie oficerów sowieckich i wojewody śląsko-dąbrowskiego A. Zawadzkiego, utworzono Grupę Operacyjną „Zaolzie", która w nocy z 4 na 5.05. przekroczyła Olzę, stawiając w stan pogotowia ocalałe po aresztowaniach grupy ruchu oporu, głównie z byłej siatki Margicioka i Grupy Operacyjnej AK, „Śląsk Cieszyński". Rozpoczęło się żywiołowe tworzenie polskich komitetów obywatelskich i rad narodowych. Pojawiły się polskie flagi i napisy. Jednak już 10.05. przybył do polskiego (wschodniego) Cieszyna czeski łącznik od gen. Svobody z pismem, z którego wynikało, iż teren po zachodniej stronie Olzy powinna przejąć administracja czechosłowacka. To zadecydowało o odwołaniu przez komendanta miasta mjra Krasnikowa uzbrojonych oddziałów polskich, które znacznie się już rozrosły. Po stronie wschodniej zostały one rozbrojone przez UB, po zachodniej przez Rosjan. W samym tylko czeskim (zachodnim)

3. „Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-czechosłowackich", t.I, cz.1, str. 17

4. Czechosłowacja uznała ten rząd 30.01.1945 bez warunków wstępnych. Liczbę Polaków na Zaolziu (w przybliżeniu obszar pow. cz. Cieszyn i Frysztat) określało się na podst. spisu z 1910. Wykazał on tam 69% Polaków, 18% Czechów, 12% Niemców. D.V.L. (*Deutsche Volksliste*) z grudnia 1939 wykazała odpowiednio: 60% (ze „Ślązakami"), 21%, 17%.

Cieszynie rozbrojono w hotelu „Polonia" 400 polskich bojowców[5]. W ten sposób polska ludność Zaolzia została po daremnym oczekiwaniu na wojsko polskie pozbawiona lokalnej ochrony.

Na Zaolzie zaczęła napływać stara czeska administracja oraz jednostki czeskiej armii. Do akcji przystąpili też byli członkowie NSDAP, spod znaku Kożdonia i członkowie Slezskiego Odboju, odpowiedzialnego za wiele antypolskich ekscesów. Zaczęto zrywać polskie flagi, rozpędzać wiece, przeprowadzać aresztowania[6].

Sposób, w jaki Czesi rozpoczęli administrowanie Zaolziem, zaskoczył władze w Warszawie, przekonane, że problem granicy na odcinku cieszyńskim jest otwarty. Gen. Zawadzki rozpoczął akcję interwencyjną u Bieruta, aby ten przedyskutował sprawę z Rosjanami. Niezadowolenie potęgowały także skargi Polaków, które zaczęły napływać z Zaolzia do Katowic i Warszawy. W liście do Zawadzkiego z 4.06. grupa mieszkańców cz. Cieszyna, Karwiny i Frysztatu prosiła na przykład, aby rząd polski:

„1) wydał przez kilkakrotne ogłoszenie w Radio katowickim zgodne z prawdą oświadczenie, że granica na Zaolziu jest obecnie tymczasowa i zostanie ustalona ostatecznie dopiero później,

2) poczynił energiczne kroki w celu natychmiastowego zniesienia przepustek granicznych, bo granicy nie ma,

3) spowodował w porozumieniu z władzami radzieckimi, aby ustał natychmiast napływ czeskiego, obcego zatem elementu na Zaolziu i umożliwił powrót tamże osobom pochodzącym z Zaolzia, które musiały swego czasu opuścić ten teren,

4) spowodował powołanie komisji polsko-czeskiej przy władzach radzieckich na Zaolziu, która by załatwiała bieżące skargi miejscowej ludności,

5) spowodował, aby Czesi nie zabierali repatriantom Polakom ich mienia,

6) spowodował, aby wysiedlenia Polaków z Zaolzia zostały natychmiast wstrzymane"[7].

Szczególna nienawiść czeskich szowinistów skupiła się na tzw. polskich okupantach, czyli tych Polakach, którzy przybyli

5. Relacja „Szarego", członka „Zaolzia", zbiory własne autora (dalej z.w.a.-H.G.). Siatka wywiadowcza A.K. J. Margicioka ps. August powstała wiosną 1941. Większość członków wsypał w 1943 r. J. Gałuszka, mieszkający dalej na Zaolziu, G.O. „Śląsk Cieszyński" gen. bryg. B. Olbrychta ps. Olza obejmowała odtwarzane pułki 21 D.P. W ramach „Burzy" miała wkroczyć na Zaolzie.

6. Pismo R. Szostoka z Cieszyna do Zawadzkiego z 22.06.1945, z.w.a.

7. Pismo gmin: Frysztat, Karwina do Zawadzkiego 4.06.1945, z.w.a.

na Zaolzie po 2.10.1938, a których liczbę określano na 5.300 osób[8]. Większość z nich reprezentowała jednak część spośród kilkunastotysięcznej masy zaolziańskich Polaków, którzy opuścili Zaolzie po 1920 roku. Walka z polskością objęła także ludność wpisaną na Volkslistę (D.V.L.). Okazało się, że w najgorszym położeniu znaleźli się ci, którzy w ogóle nie wpisali się na D.V.L. i byli przez Niemców wysiedlani bądź osadzani w obozach. Prawie wszystkich Czesi aresztowali jako„beckowców" i „faszystów". Osoby z D.V.L.-3 i D.V.L.-4 namawiano do zmiany narodowości i posyłania dzieci do szkół czeskich w zamian za szybką rehabilitację. Namawiano też do czechizacji nazwisk, grożąc wysiedleniem, utratą pracy i odłożeniem rehabilitacji do roku... 1950. Natomiast osoby z D.V.L.-2 od razu rehabilitowano po wyrażeniu chęci zmiany narodowości. Ludzie tego typu powiększali szeregi antypolskich szowinistów[9].

Przyczyn opisywanej sytuacji należy doszukiwać się przede wszystkim w przeszłości Śląska Cieszyńskiego, obszaru obciążonego narastającym latami konfliktem polsko-czeskim. Po agresji czeskiej w styczniu 1919 roku i niekorzystnym podziale ciążącego ku Polsce Śląska Cieszyńskiego w rok później, tamtejsza ludność polska stanęła przed groźbą wynarodowienia. Sama zaś postawa Pragi, patrzącej przez palce na poczynania lokalnej administracji stała się jedną z przyczyn poparcia przez większość zaolziańskich Polaków zmian granicznych na korzyść Polski w 1938 kroku i to pomimo późniejszych rozczarowań, związanych z krótkowzroczną polityką Warszawy na rynku pracy. Polacy udzielili też milczącej zgody na wysiedlenie z Zaolzia prawie 20-tu tysięcy Czechów na przełomie 1938/1939, wśród których byli głównie napływowi nacjonaliści i karierowicze. W okresie okupacji hitlerowskiej karta ponownie się odwróciła — wielu pokrzywdzonych Czechów współpracowało przeciwko Polakom z Gestapo, które zadowolone było z takiego obrotu sprawy. Nic więc dziwnego, że kiedy w 1945 Warszawa po raz kolejny upomniała się o Zaolzie, zdecydowana większość Czechów uznała silny element polski za jedną z przyczyn rozkładu Republiki, żądając definitywnego rozwiązania.

Do najbardziej niechętnych Polakom należała tradycyjnie partia narodowych socjalistów, których liderem na Zaolziu był poseł F. Uhlíř. Polityk ten był w czasie wojny doradcą Beneša i ekspertem od spraw śląskich. Dał się poznać jako zwolennik idei czeskiego „Wielkiego Śląska", żądając włączenia do Czech sporych połaci Dolnego i Górnego Śląska oraz Wschodniego Śląska

8. *Rzeczpospolita*, 29.12.1945
9. „Pismo gmin..."

Cieszyńskiego jako rekompensaty za rok 1938[10]. Działały także takie organizacje jak Svaz Pratel Kladska czy Slezska Narodni Rada. W Pradze kolportowano ulotki prezentujące Czechosłowację w „nowych granicach"[11]. Wymienione ugrupowania domagały się wysiedlenia Polaków z Zaolzia do Polski, asymilacji bądź rozproszenia najbardziej opornych.

Odmienne poglądy głosiła Komunistyczna Partia Czechosłowacji. Jednak w pierwszych tygodniach po zakończeniu wojny położenie komunistów komplikował brak konkretnych wytycznych „centrali" co do rozwiązania kwestii polskiej. Warto przypomnieć, że w tzw. Programie Koszyckim nie było mowy o ludności polskiej. Już w samej sprawie nadania praw Polakom istniało spore niezdecydowanie i zamieszanie, różnie bowiem określano zakres tych praw. Działający z polecenia Gottwalda V. Novy i J. Kotas stanęli więc na Zaolziu przed trudnym zadaniem, mając jedynie niewiele mówiące wskazówki o równouprawnieniu narodowym. Trudności te pogłębiał fakt, iż nastawienie większości Czechów do Polaków było na Zaolziu negatywne, a nawet zdecydowanie wrogie, przejawiające się chociażby w popieraniu rugowania Polaków ze składów miejskich, gminnych czy zakładowych rad i komitetów, co miało miejsce w Trzyńcu, Karwinie, Łyżbicach czy Ligotce Kameralnej[12]. Wzrost popularności komunistów mógł nastąpić jedynie poprzez konkretne obietnice dla zagrożonych Polaków, poparte konsekwentną ich realizacją. Jednakże kierownictwo KPCz nie dopuszczające możliwości przyznania Zaolzia Polsce mogło natrafić na niechęć Polaków, zwłaszcza, że stanowili oni większość członków partii w tym ważnym gospodarczo rejonie Czechosłowacji. Wartość gospodarcza Zaolzia była oczywiście najważniejszą przyczyną starań o przywrócenie nad Olzą granic przedmonachijskich. Mimo tego komuniści poczęli kokietować Polaków hasłami równych praw dla Czechów, Słowaków i Polaków, nie precyzując ich dokładnie, co z czasem doprowadziło do wielu poważnych nieporozumień. Część Polaków widziała w nich możliwość istnienia stale otwartej granicy, część liczyła na przyznanie Zaolziu autonomii. Polityka KPCz na Zaolziu związana była także z walką polityczną o władzę, która jak wiadomo miała nieco innych przebieg niż w Polsce[13]. Komuniści znaleźli więc w Polakach sojuszników przeciwko narodowym socjalistom, ludowcom

10. *Jutro Polski*, 1.07.1942.

11. *Polska Zachodnia*, 4.11.1945.

12. „Pismo R. Szostoka...".

13. K. Kaplan, „Povalecne Ceskoslovensko. Ceskoslovensko 1945-1948", Mnichov 1985.

i socjal-demokratom, kiedy to zgodnie z przyjętą taktyką sprzeciwiać się zaczęli usuwaniu Polaków z kierowniczych stanowisk i popierać wybieranie do lokalnych przedstawicielstw osób jeszcze niezrehabilitowanych. Wielu Polaków zaczęło przejawiać inicjatywę, korzystając z poparcia KPCz. Doszło wtedy też do pierwszych podziałów wśród Polaków na tle stosunku do problemu granicy polsko-czeskiej. Niektórzy zadowolili się obietnicami komunistów, inni nadal zajmowali pozycję wyczekującą. Nadal jednak większość liczyła na zmianę aktualnej sytuacji.

W połowie czerwca 1945 roku doszło do znacznego napięcia między Warszawą a Pragą. Na Zaolziu władze czeskie zarządziły rejestrację „cudzoziemców", za których uważano głównie Polaków, przeprowadzając przy tym brutalne rewizje i liczne aresztowania[14]. Warszawę zaniepokoiły także fakty naruszania granicy przez Czechów w rejonie Kotliny Kłodzkiej. Garnizony wojskowe w południowej Polsce zostały postawione w stan pogotowia, a Rola-Żymierski ze słowami „...Zaolzie musi wrócić do Polski" udał się do Cieszyna[15].

Pojawienie się wojsk polskich na pograniczu Czesi uznali za demonstrację zbrojną, natomiast zaolziańscy Polacy za nadchodzący moment wyzwolenia. Między 15 a 18.06. aresztowano prawie tysiąc osób[16]. Dopiero rozpoczęcie rozmów w Moskwie rozładowało napięcie.

21 czerwca pojawiła się na Zaolziu odezwa „Ludu Cieszyński", podpisana przez czeskie partie, w tym i narodowych socjalistów. Odezwa gwarantowała pełnię praw dla wszystkich lojalnych obywateli[17]. Mimo tak otwartej deklaracji w rzeczywistości sytuacja nie uległa zmianie. Wydaje się, że została ona ogłoszona jedynie w celu rozładowania nastrojów i dla dobrego wrażenia na czas rokowań moskiewskich.

Kiedy tylko okazało się, że Zaolziu nie grozi interwencja wojsk polskich, prześladowania Polaków znacznie się nasiliły. Obiektami szczególnie mocno atakowanymi były polskie szkoły. 8 maja 1945 komunistyczny minister Z. Nejedly wydał polecenie otwarcia polskich paralelek przy klasach czeskich, co nie zadowoliło Polaków i jak się okazało pozostało na papierze[18]. 6 czerwca grupa Polaków wystosowała specjalne memorandum do

14. M.K. Kamiński, *op.cit.*, *Trybuna Robotnicza*, 15.06.1945.
15. *Trybuna Robotnicza*, 17.06.1945.
16. M.K. Kamiński, *op. cit.*, „Odezwa czterech stronnictw politycznych woj. śląsko-dąbrowskiego i Polskiego Związku Zachodniego z 14.06.1945", *Trybuna Robotnicza*, 15.06.1945.
17. *Głos Ludu*, (KPCz, jedyne pismo w j. polskim na Zaolziu), 22.06.1945.
18. *Głos Ludu*, 16.09.1945.

władz, w którym domagano się otwarcia szkół według stanu z 1938 roku[19]. Inicjatywa ta pozostała bez odpowiedzi. Mimo to wkrótce, niezależnie od polskich wniosków, władze zdecydowały się na odbudowę szkolnictwa. W sumie w roku szkolnym 1945/1946 planowano 75 szkół dla 5.181 dzieci oraz 21 przedszkoli. Od 1.10 miano uruchomić gimnazjum polskie w czeskim Cieszynie[20].

Możliwość otwarcia szkół polskich miejscowi Czesi uznali za niebezpieczeństwo odrodzenia „beckowszczyzny". Od razu też przystąpili do przeciwdziałania. Rozpoczęła się nagonka na rodziców, aby nie zapisywali dzieci do szkół, grożąc utratą pracy, odmową rehabilitacji, wysiedleniem. Dochodziło do przypadków prowadzenia zapisów przez policję a nawet wojsko, aby wymusić zapisanie uczniów do szkół czeskich. Do dość ciekawej sytuacji doszło we Frysztacie, gdzie władze niezadowolone z dużej liczby dzieci zapisanych do szkół polskich, zarządziły ponowne zapisy, lecz już bez podania narodowego oblicza przyszłych szkół[21]. Około 1/3 nauczycieli odmówiło rejestracji, motywując to popieraniem sanacji, działalnością wywrotową i oczywiście nie wpisaniem się na D.V.L., co automatycznie stawiało ludzi poza nawiasem społeczeństwa. Emerytowanym nauczycielom nie wypłacano zasiłków, nie wydawano kartek żywnościowych, itp. Występowały przypadki pobić nauczycieli i rodziców oraz rozpędzania zebrań szkolnych[22].

Nie mogły reaktywować się polskie partie polityczne, organizacje społeczne, kulturalne i sportowe. Komuniści polscy nie posiadali już w ramach KPCz własnej sekcji. Nie mogło wznowić działalności Towarzystwo Nauczycieli Polskich (TNP) i zasłużona dla polskości Macierz Szkolna w Czechosłowacji, której Tymczasowy Zarząd na czele z J. Ofikiem na próżno starał się o rejestrację. Podobnie było z Harcerstwem Polskim, Polskim Stowarzyszeniem Robotniczym Oświatowo-Gimnastycznym „Siła", Towarzystwem Turystyczno-Sportowym „Beskid Śląski", któremu skonfiskowano schronisko górskie na Kozubowej[23]. Działało jedynie kilka klubów piłkarskich, a podczas jednego z meczów zawołanie „Sportowi Cześć" po polsku uznano za przejaw szowinizmu[24]. Nie powiodły się próby utworzenia Związku Młodzieży Polskiej w Czechosłowacji czy nawet Związku Mło-

19. *Głos Ludu*, 16.06.1945.
20. W 1938 r. sama tylko Macierz Szkolna utrzymywała 105 szkół i przedszkoli.
21. „Pismo gmin...".
22. *Dziennik Zachodni*, 24.10.1945, „Pismo gmin...".
23. *Dziennik Zachodni*, 24.10.1945.
24. *Dziennik Zachodni*, 12.10.194, *Rzeczypospolita*, 17.07.1945.

dzieży Śląskiej z sekcją czeską i polską. Część inicjatorów musiała w ogóle w obawie przed represjami przejść kordon graniczny na Olzie[25]. Ten sam los spotkał Centralne Stowarzyszenie Spożywców dla Śląska w Łazach, którego cały majątek przejęła czeska spółdzielnia „Budućnost"[26]. Atakowano polskich księży i pastorów ewangelicko-augsburskich za prowadzenie nabożeństw w języku polskim. Naciskano na parafie ewangelickie, aby połączyły się z Kościołem luterańskim na Słowacji bądź czeskobraterskim na Morawach, twierdząc, że połączenie się tego Kościoła z Kościołem wschodniocieszyńskim w 1938 roku było już likwidacją jego samodzielności[27]. Przy kościołach nie działały też żadne stowarzyszenia, a nawet chóry. Na Zaolziu nie mógł działać PCK, a paczki UNRR-y nie były często rozdzielane wśród Polaków[28]. W wypowiedziach wielu zaolziańskich Polaków słyszało się, iż sytuacja była gorsza niż w latach 1920-1938.

Wydarzenia na Zaolziu bacznie obserwowano w Polsce. Od 15 czerwca radio katowickie wzorem lat poprzednich rozpoczęło nadawać specjalne audycje dla Zaolziaków, co Czesi przyjęli jako zachętę dla irredenty. Po fiasku rozmów moskiewskich rozpoczęła się w prasie obu krajów kampania oszczerstw. We wschodnim Cieszynie skupiło się wielu dawnych mieszkańców Zaolzia, którym sytuacja nie pozwalała na powrót do stron rodzinnych. Polski Związek Zachodni prowadził specjalny dom pomocy dla najbardziej potrzebujących. Wielu zaolziańskich działaczy zajmowało się działalnością polityczną, informując władze polskie o wydarzeniach na pograniczu, zbierając materiały do przyszłych negocjacji z Czechami. 4 września odbyła się w Cieszynie wielka manifestacja na rzecz odzyskania Zaolzia, poparta przez PPR, PPS, wojsko i milicję[29]. 6 września powstała w Cieszynie Rada Narodowa Zaolzia, na której czele stanął inż. K. Musiał z Niemieckiej Lutyni. 18 października Rada wystosowała do Bieruta, Osóbki-Morawskiego, Żymierskiego i Rzymowskiego specjalny memoriał, w którym czytamy:

„...Czesi zmobilizowali cały arsenał do walki z nami. Już z samych jakże częstych enuncjacji wszystkich po kolei ministrów czeskich widać, że problemowi polsko-czeskiemu poświęcają Czesi więcej uwagi, niż tak kapitalnemu zagadnieniu, jakim jest zagadnienie Sudetów. (...) Cierpimy tym bardziej, że nie widzi-

25. *Dziennik Zachodni*, 18.08.1945.
26. *Głos Ludu*, 16.07.1945, *Rzeczpospolita*, 23.10.1945.
27. *Dziennik Zachodni*, 24.10.1945.
28. *Dziennik Zachodni*, 1.09.1945.
29. *Rzeczpospolita*, 11.09.1945.

my ani skutków naszych skarg, ani jaśniejszego światła przed sobą, które by nas do upragnionej Polski doprowadziło. Przeraża nas milczenie polskich mężów stanu w naszej obronie (...) Ale wiara nasza w Polskę silniejsza jest i twardsza od naszych cierpień, bólu i zawodów. Ma głębsze korzenie, które tkwią w duszy polskiego ludu na Śląsku. Wszak przez 600 lat nie zatroszczyła się o nas ani Polska Królewska, ani Polska szlachecka. Jednak Polska żyła we krwi, sercach i duszach tutejszego ludu i przechowała się nienaruszona w widomym znaku: w mowie, obyczajach i polskiej determinacji tegoż ludu. Toteż mamy prawo upomnieć się o pomoc, obronę i opiekę u obecnego Rządu R.P., który powstał z ludu i jest dla ludu. Ażeby ta obrona i walka o nasze prawa była skuteczna prosimy, aby Rząd R.P.:

po 1) przeciwstawił jednolitemu frontowi czeskiemu jednolity front polski przez zharmonizowanie i skoordynowanie wszystkich poczynań czynników państwowych na wszystkich szczeblach,
po 2) wydał odnośne zarządzenie ujednolicenia działania i metod tak czynnikom centralnym, wojewódzkim jak i politycznym,
po 3) zaprzągnął do pracy na wszystkich szczeblach pracy państwowej (M.S.Z., Poselstwo w Pradze, Województwo, Starostwo w Cieszynie, komórki polityczne) przynajmniej po jednym przedstawicielu ludności zaolziańskiej jako najlepiej zorganizowanym w problemie polsko-czeskim, do chwili powrotu Zaolzia w granice Rzeczypospolitej,
po 4) dołożył starań o poprawę sytuacji gospodarczej na pograniczu czeskim, gdzie dysproporcje na naszą niekorzyść stanowią wybitny atut propagandy czeskiej przeciw Polsce,
po 5) złożył oświadczenie przy okazji, którą uzna za stosowną, co do stanowiska Rządu w sprawie Zaolzia i pretensji czeskich,
po 6) przeciwstawił czeskiej propagandzie w świecie zaznajomienie i naświetlenie za granicą faktycznego stanu rzeczy w sporze polsko-czeskim przez radio w obcych językach, prasę, literaturę i odpowiednio kierowaną propagandę,
po 7) starał się przyspieszyć ostateczne załatwienie powrotu Zaolzia do Polski, gdyż Czesi wykorzystują swą władzę w terenie do przyśpieszonego tępienia tam polskiego stanu posiadania.

Zatarg o Zaolzie nie jest dla ogólnej polityki polskiej problemem małym ani błahym. W problemie tym odzwierciedla się dusza narodu czeskiego i jego istotny stosunek do Narodu

polskiego. Przy okazji zatargu zaolziańskiego ujawnia się tendencja polityki czeskiej do ogólnej polityki polskiej. Wszelkie zaś z naszej strony nawoływania do zgody i przyjaźni Czesi uważają za słabość Narodu, który jest wyniszczony i zrujnowany, a oni przez 'mądrą i realną' politykę pomnożeni i wzbogaceni. Przedkładamy Najwyższym Czynnikom Państwowym R.P. nasze skargi, uwagi i projekty — powodowani coraz tragiczniejszym położeniem polskiej ludności Zaolzia, oraz troską najwyższą o dobro Polski w najdonioślejszych chwilach Jej dziejów, gdy na pokolenia decydować się mają Jej granice i wielkość..."[30]

Można powiedzieć, że w treści powyższego memoriału jest zawarte sedno problemu Zaolzia, istniejącego realnie, mimo prób jego negacji przez historiografię czeską. Trzeba bowiem pamiętać, że teren po zachodniej stronie Olzy zamieszkiwała najbardziej uświadomiona i najlepiej zorganizowana ludność polska. Decyzja Rady Ambasadorów z 1920 roku, przerywająca związek tej ziemi z Macierzą, spowodowała więc ogromne rozgoryczenie, czego nigdy nie mogły bądź nie chciały zrozumieć lokalne władze czeskie, biorące naturalne odruchy obronne za działalność wywrotową. Kroki odwetowe czeskiej policji powodowały dalsze zaostrzenie sytuacji. Doświadczona przeżyciami z lata 1918-1920 ludność polska Zaolzia, znająca metody postępowania polityków czeskich, szczególnie była wyczulona na wypowiedzi Warszawy, dotyczące stosunków z Czechosłowacją. Protesty władz polskich brano za dowód stałego zainteresowania rodakami żyjącymi za kordonem granicznym, a wszelkie wahania i różnice w poglądach za oznakę słabości i tajemniczych machinacji politycznych. Nie należy więc dziwić się pamiętnemu entuzjazmowi Zaolziaków w październiku 1938 roku, kiedy zdecydowana akcja polska zyskała spore uznanie i została tam przyjęta jako naprawienie błędów z roku 1919 i 1920.

Podobna sytuacja panowała i po wojnie, kiedy to ponownie Zaolziacy byli przekonani, że droga do porozumienia polsko-czechosłowackiego powinna prowadzić przez Cieszyn, tym bardziej że rzekomo faszystowska sanacja odeszła w przeszłość. Wkrótce jednak po raz kolejny miało się okazać, że interesy Zaolzia były zbyt małe, aby przelicytować różne „racje stanu" i aktualne potrzeby wielkiej polityki, co nadaje dziejom tamtejszych Polaków wymiar na wskroś tragiczny.

Niemniej dramatyczną wymowę miała odezwa, wystosowana z Zaolzia w dniu 5.11.1945, a więc w rocznicę układu polsko-czeskiego. W odezwie czytamy:

30. Memoriał w sprawie Zaolzia do Krajowej Rady Narodowej, Rządu R.P., Min. Spraw Zagr., Min. Obrony Nar. z 18.10.1945, z.w.a.

„... Oskarżamy Czechów, że w sposób podstępny i bezwzględny dążą do wytępienia polskości na naszej ziemi. Metody, zaś, jakimi się w tej robocie posługują, nie są nic lepsze od metod niemieckiego Gestapo, a często swą przezornością i chytrością je przewyższają. Coraz głośniej słychać skargi wśród naszych braci, że jest im gorzej niż było za okrutnych Niemców. Dla Polaków nie ma lżejszej i lepszej pracy, dla naszych synów z wykształceniem nie ma miejsca urzędniczego. Dla Polaków — tak jak za Niemców — jest tylko miejsce pracy niewolnika. (...) Cel jest jasny: chodzi o szybkie nadanie charakteru 'rize' czeskiego, naszej odwiecznie polskiej ziemi..."[31].

5 listopada jest również datą ważną w rokowaniach polsko-czechosłowackich. W tym dniu ambasador polski w Pradze S. Wierbłowski przekazał J. Masarykowi notę polską w sprawie konieczności podjęcia rozmów na tematy sporne. Warszawie podobnie jak i Pradze ciążył nienormalny stan stosunków, zwłaszcza gospodarczych, gdyż oba kraje stosowały wobec siebie różne formy nacisku i szantażu. W odpowiedzi Masaryk, podzielając ogólne uwagi Wierbłowskiego, nie zgadzał się jednak na podejmowanie tematyki Zaolzia jako już nieaktualnej, wnosząc równocześnie pretensje do Kłodzka, Głubczyc i Raciborza oraz protestując przeciwko rzekomemu prześladowaniu Słowaków w polskiej części Spisza i Orawy. Odpowiedź Wierbłowskiego polemizowała znów z notą czeską, nawiązywała jednak do konieczności przedyskutowania najważniejszych problemów. 4.01.1946 Masaryk przekazał kolejną notę podtrzymującą wcześniejsze stanowisko, ale będącą zachętą do przeprowadzenia negocjacji. Obie strony zaczęły się przygotowywać do spotkania. Rząd w Warszawie ograniczył nieco ataki na przypadki prześladowania Polaków na Zaolziu[32].

Na wieść o mających się odbyć rokowaniach nabrała tempa praca zaolziańskich ekspertów. Do Warszawy napływały nowe memoriały i rezolucje, depesze i odezwy. Wiara w polską dyplomację pogłębiła kryzys w zaolziańskiej KPCz. Często bowiem okazywało się, że co innego obiecywano Polakom w terenie, a co innego mówiono na zebraniach partyjnych w Morawskiej Ostrawie. Ta dwulicowość znalazła odbicie w depeszy komunistów polskich do Bieruta, w której czytamy:

---

31. Odezwa polskich stronnictw politycznych na Zaolziu z 5.11.1945, z.w.a.

32. J. Skodlarski „Epilog układu Sikorski-Beneš", Łódź 1988, str. 76-78. (Praca dotyczy głównie zagadnień polsko-czechosł. rokowań gospodarczych).

„...W walce o nasze i naszych dzieci prawa przychodzimy do Ciebie, Towarzyszu Prezydencie, a w twojej Osobie i najwyższym piastowanym przez Cię Urzędzie — przychodzimy do Polski. Myśmy zahartowani w walce o prawa demokracji i dziś w Twej znakomitej Osobie i postawie Rządu Jedności Narodowej widzimy praw naszych najlepszą porękę i gwarancję. Przychodzimy do Polski, którą zawsze uważaliśmy za swoją Ojczyznę, przychodzimy do Niej, jako wierni synowie — nie żeby w Niej szukać zaszczytów i łatwizny życia, ale żeby Jej ofiarować nasze najlepsze usługi: myśli i serca, nasze zahartowane dłonie i by stanąć z naszymi braćmi — towarzyszami w pierwszych szeregach budowniczych wspaniałej Demokratycznej Polski. W imieniu naszym i naszego ludu zaolziańskiego wołamy: Przyjmijcie nas do Siebie i już nas nigdy od siebie nie odtrącajcie!"[33].

Efektem pracy wielu zaolziańskich patriotów były liczne projekty rozwiązania spornego problemu. Przykładem niech będzie „Memoriał w sprawie Zaolzia", opracowany przez inż. Musiała. Po krótkiej charakterystyce metod czechizacji Polaków od 1918 roku autor zajął się analizą czeskiej argumentacji, mającej przemawiać za koniecznością pozostawienia Zaolzia w Czechosłowacji. Odrzucając anachroniczny argument historyczny o przynależności Śląska Cieszyńskiego do Korony Czeskiej, Musiał proponował, aby granicę polską przesunąć na Ostrawicę, czyli dalej niż przebiegała linia z 5.11.1918 i linia z 23.11.1938. W ten sposób w granicach Polski znalazłby się powiat frydecki, zamieszkiwany wg spisu z 1910 tylko przez 9% Polaków. Powiat frydecki był jednak sczechizowanym terenem polskim, czego najlepszym śladem są do dzisiaj rzesze mówiących po polsku Czechów. Przesunięcie granicy o 10-12 km na zachód na linię Ostrawicy miało więc być naprawieniem błędów z lat 1918-1920. W tej propozycji, nie branej raczej pod uwagę w Warszawie, widziano również okazję do ewentualnych przetargów z Czechami, w czasie których Polska mogłaby pójść na ustępstwa obejmujące teren między Ostrawicą a linią z 5.11.1918.

Na zainteresowanie zasługuje także przeprowadzona przez Musiała analiza czeskich argumentów gospodarczych. Wynika z niej, iż w latach 1920-1938 Czechosłowacja wprost dławiła się węglem Zagłębia Karwińsko-Ostrawskiego: część kopalni musiała ograniczać wydobycie i skracać czas pracy górników. Kwestia gospodarczej wartości Zaolzia była jednakże bardziej skomplikowana. Rozwinięty i nie wymagający większych nakładów finansowych przemysł Zaolzia był zawsze dla Pragi koronnym argu-

33. Depesza komunistów polskich do Bieruta, 4.02.1946, z.w.a.

mentem i zbyt cennym kapitałem, aby stawiać go na jednej szali z interesami pracujących w nim Polaków, traktowanych przez wiele lat co najwyżej jako dodatek do hut i kopalń. Nie mogły więc zdać się na wiele słowa, że „...Polaków też nikt się nie pyta o to, skąd wezmą nafty, benzyny czy smarów po oddaniu olbrzymiej części pól naftowych na rzecz Ukrainy..."[34]

Na Zaolziu z nadzieją oczekiwano na rozpoczęcie kolejnej rundy rozmów z Czechami. 13 lutego w apelu do delegacji polskiej i czeskiej ponad stu Zaolziaków pisało:

„...Pragniemy pokojowego i braterskiego współżycia z Czechami tak jak tego pragnie cała Polska i dlatego apelujemy jeszcze w ostatniej chwili do obu Delegacji, żeby sprawę tę załatwiono sprawiedliwie, mądrze i z pożytkiem na przyszłość dla obu państw. Jeżeli jednak Czesi będą trwali w swoim nielogicznym i szkodliwym uporze, należy sprawę postawić tak, że Polska wojny z Czechami prowadzić nie będzie, lecz odbierze tylko siłą to, co siłą było zrabowane. Bo gdyby nie było gwałtu czeskiego w roku 1919, nie byłoby też polskiego w roku 1938, a dzisiaj nie byłoby trudności w stosunkach polsko-czeskich. Więc dla świętej zgody i braterskiego pożycia obu narodów należy usunąć to zło, które powstało w roku 1919, a tym samym zbudować most łączący na zawsze dwa Państwa — Polskę i Czechy"[35].

17 lutego „w przyjacielskiej atmosferze" rozpoczęły się w Pradze rokowania polsko-czechosłowackie. Jednak już przy pierwszych próbach rozwiązania kwestii granicznych doszło do ostrej polemiki, co też przesądziło o wynikach polskiego wyjazdu do Pragi. Do propozycji polskich należało między innymi oddanie Czechosłowacji części Kotliny Kłodzkiej, polskiej części Spiszu i Orawy w zamian za Zaolzie. Mówiło się o korzystnych dla południowego sąsiada dostawach węgla i pomocy w budowie dodatkowych połączeń kolejowych, swobodnym tranzycie towarów przez Polskę. Polskie postulaty zostały nawet ograniczone do wąskiego pasa przygranicznego z czeskim Cieszynem jako jedynym większym ośrodkiem, ale i to nie spowodowało zmiany argumentacji czeskiej — gospodarczego znaczenia Zaolzia[36]. Po kilku dniach bezowocnych negocjacji rokowania zostały przerwane.

Fiasko rozmów praskich znacznie pogorszyło sytuację Pola-

34. „Memoriał w sprawie Zaolzia...".

35. Apel do delegacji polskiej i czeskiej, Zaolzie 13.02.1946, z.w.a.

36. M.K. Kamiński, „Polska-Czechosłowacja 1945-1946", *Warszawskie Zeszyty Historyczne*, t.I.

ków za Olzą. Coraz częściej szermowano hasłami o konieczności wysiedlenia większości z nich do Polski. Twórcy tych pomysłów zapominali chyba, że realizacja tego postulatu spowodowałaby trudny do opanowania kryzys ekonomiczny w całej Czechosłowacji, gdyż obsadę zaolziańskich kopalń i zakładów przemysłowych stanowili właśnie Polacy. Los polskiego szkolnictwa był nadal tragiczny. Po kolejnych interwencjach w Pradze (12.10, 30.10.1945, 3.01, 27.01, 14.06.1946), w Radzie Szkolnej w Brnie (13.11, 21.12.1945, 31.01.1946) oraz kilkudziesięciu interwencjach w Morawskiej Ostrawie, Czeskim Cieszynie i Karwinie nadal większość dawnych szkół polskich nie została otwarta[37]. Działacze dawnego TNP nie ustawali jednak w wysiłkach na rzecz restytucji stanu posiadania sprzed 1938, mimo iż byli pomijani przy podwyżkach i zmuszani do podpisywania krępującej deklaracji *spolehlivosti*. Był okres, że zamknięte były polskie przedszkola, zwłaszcza kiedy ministrem szkolnictwa został narodowy socjalista Stransky, a resortem d/s przedszkoli kierował sam Uhliř. W tym okresie ukazała się także książka Uhliřa „Tesinske Slazsko", w której przedstawił on własny pogląd na historię spornego terenu. W rzeczywistości praca ta nie była niczym innym jak powtarzanym już wcześniej stekiem bzdur i kłamstw na temat pochodzenia Polaków znad Olzy, począwszy od ich podziału na Ślązaków, Lachów, górali itp., a skończywszy na tezach o spolszczonych Morawcach i galicyjskich emigrantach. Książka Uhliřa wywołała jednak w Polsce sporo zamieszania i protestów, głównie ze względu na pochlebną o niej opinię wielu czołowych polityków czechosłowackich[38].

Drugi kwartał 1946 roku upłynął na Zaolziu pod znakiem kampanii wyborczej do Zgromadzenia Narodowego w Pradze. Zapowiedziane na 26 maja wybory miały być poważną próbą sił między komunistami a partiami uważanymi w Warszawie za „burżuazyjne". Prasa PPR-owska ograniczyła więc artykuły, w których domagano się zwrotu Zaolzia, nie chcąc zaszkodzić „bratniej" KPCz. Atakowano natomiast inne partie, obarczając je odpowiedzialnością za represjonowanie Polaków[39]. Ale chyba tylko naiwni wierzyli, że zwycięstwo komunistów ułatwi rozwiązanie spornych kwestii. Rezygnacja z Zaolzia mogła przecież spowodować utratę sporej liczby wyborców, z czego przywódcy czescy zdawali sobie sprawę. „Straszak zaolziański" stanowił więc dla przeciwników KPCz oręż propagandowy w walce o wpływy.

37. Memorandum T.N.P. w sprawie położenia ludności polskiej z 1.04.1946, z.w.a., pismo Macierzy Szkolnej do MSZ z 26.01.1946, z.w.a.

38. F. Uhliř, „Tesinske Slezsko", Moravska Ostrava-Praha 1946.

39. *Dziennik Zachodni*, 16.04.1946.

Najaktywniejsza na Zaolziu partia czeska — Czechosłowacka Partia Narodowo-Socjalistyczna — podjęła próbę niedopuszczenia Polaków do głosowania, motywując to brakiem u większości z nich zaświadczeń o rehabilitacji. W ten sposób komuniści zostaliby pozbawieni większości wyborców. Dla Uhlířa walka z polskością łączyła się teraz z walką z KPCz. Narastające trudności spowodowały interwencję Gottwalda, który choć nie tak dawno jeszcze obstawał przy wysiedleniu Polaków i żądaniach Kłodzka, teraz ze słowami o „słowiańskim braterstwie" wizytował zaolziańskie kopalnie. Jednocześnie zaś wszelkie głosy o zmianie granic uznał za separatyzm i sekciarstwo. Dzięki naciskom komunistów przyspieszono rehabilitację Polaków[40].

Większość ludności polskiej Zaolzia zdecydowała się, wobec braku alternatywy, głosować na KPCz. Do głosowania na komunistów zachęcano Zaolziaków także za pośrednictwem radia katowickiego, gdyż jedynie w programie KPCz była mowa o Polakach. Uchylenie się od głosowania mogło również oznaczać zapowiedź represji. Mimo to niektórzy Polacy zbojkotowali głosowanie lub głosowali za ludowcami. W sumie jednak głosy polskie przyczyniły się do sukcesu KPCz w pow. czeski Cieszyn (33,77 %) i pow. Frysztat (42,87 %)[41]. Polacy czekali więc na wypełnienie przedwyborczych obietnic, licząc na poprawę ciężkiego losu.

Sukces komunistów w Czechosłowacji i mianowanie Gottwalda premierem powitano w Warszawie entuzjastycznie. Dalsze tygodnie nie potwierdziły jednak ani trochę pokładanych w komunistach czeskich nadziei. Możliwość odzyskania Zaolzia powoli odchodziła w przeszłość. Coraz częściej pojawiały się w Warszawie symptomy zmęczenia i rezygnacji z postulatów rewindykacyjnych. Z miesiąca na miesiąc malało zainteresowanie polskiego politbiura dla Zaolzia, zwłaszcza że sytuacja w Polsce coraz bardziej była komunistom na rękę[42]. Kolejne skargi zaolziańskich Polaków wywoływały już raczej zażenowanie i niechęć niż prawdziwą troskę. Wielu członków rządu było niezadowolonych z braku powiązań gospodarczych z graniczącą z Polską na odcinku ponad tysiąca kilometrów Czechosłowacją.

Nieunormowane stosunki polsko-czechosłowackie poczęły także budzić niezadowolenie na Kremlu. Stalin, starający się „ujednolicić" i scentralizować system polityczny na wschód od Łaby, niechętnie patrzył na zadawnione spory małych narodów, zwłaszcza, że Czechosłowacja raz po raz podnosiła kwestię granic

40. *Głos Ludu*, 28.03, 31.03, 11.04.1946.
41. *Głos Ludu*, 28.05.1946.
42. M.K. Kamiński, „Polska-Czechosłowacja...".

na forum międzynarodowym. Początkowo więc nadzieje, jakie w Stalinie pokładali Polacy, okazały się złudne. Moskwa, patrząca Benešowi i jego zwolennikom na ręce, nie chciała zaryzykować wybuchu konfliktu w samym środku swojego władztwa[43].

W tym okresie z prasy polskiej znikają artykuły o zwrocie Zaolzia, a prasa czeska coraz mniej pisze o Dolnym Śląsku. Polska nie domagała się już zmiany linii granicznej, lecz jedynie zapewnienia zaolziańskim Polakom możliwie jak najszerszych praw, odkładając ewentualną możliwość uzyskania części Zaolzia na okres późniejszy. Pojawiają się natomiast artykuły o „braterskiej przyjaźni i sojuszu"[44]. Wielu obserwatorów dostrzegło jednak sztuczność, a nawet groteskowość tej nowej sytuacji. W rzeczywistości bowiem była to kolejna przegrana polska w batalii o Śląsk Zaolziański.

Sygnały o wycofywaniu się Polski z walki o przyłączenie Zaolzia przyjęto tam z rozgoryczeniem. Ludzie poczuli się oszukani i zdradzeni. Propaganda czeska przedstawiająca Polskę jako kraj chaosu i niepokoju zaczęła zbierać coraz obfitsze żniwo. Część Polaków w zamian za pracę i jakie takie warunki egzystencji powoli zaczęła godzić się z losem. W sumie po ukończeniu rehabilitacji liczba Polaków zmniejszyła się o ok. 30 tys. osób. W liczbie tej, obok szczechizowanych przymusowo i dobrowolnie, były także ofiary wojny oraz osoby, które nie powróciły na Zaolzie bądź z niego wyjechały[45].

Śledząc rokowania na temat przyznania Zaolziakom praw politycznych, sami zainteresowani ponownie rozpoczęli interwencję. W piśmie do przygotowujących układ polsko-czechosłowacki z 21 września czytamy:

„....My, członkowie delegacji zaolziańskiej i przedstawiciele ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim, która jest czasowo skazana na przebywanie w granicach Czechosłowacji, pozwalamy sobie przedstawić życzenia i najważniejsze postulaty tej ludności:
1) zezwolenie na utworzenie polskiego samodzielnego stronnictwa politycznego, które będzie skupiało całą ludność polską w CSR. (...)
2) odnowienie i rzeczywiste przywrócenie szkolnictwa polskiego w rozmiarach z roku 1938 (...)
3) (...) reaktywowanie ze zwrotem majątku następującym instytucjom:

43. J. Skodlarski, *op. cit.*, str. 85-88.
44. *Trybuna Robotnicza*, 16.09.1945, *Rzeczpospolita*, 15.08.1946.
45. *Kalendarz Cieszyński*, 1985, str. 81-82. Na Zaolziu podczas wojny zginęło 1.467 Polaków i 223 Czechów. W obozach i więzieniach było 1.236 Polaków i 328 Czechów.

a) spółdzielnie spożywcze (...)
b) spółdzielnie kredytowe (...)
c) spółdzielnie rolnicze
d) inne, drukarnia „Olza" itd. (...)

Zagwarantowanie praw Polakom, posiadającym przynależność państwową a mieszkającym na terenie Zaolzia:

a) prawo do uczęszczania do szkół CSR. (...)
b) prawo do zarobkowania stosownie do kwalifikacji
c) niewysiedlenie tych osób przymusowo do Polski (...)
d) prawo do odszkodowań za szkody wojenne doznane na terenie CSR.
e) prawo do uzyskiwania przepustek granicznych (...)
f) prawo bezcłowego zabrania całego swego ruchomego majątku przy ewentualnym przesiedleniu do Polski".

Autorzy dokumentu domagali się również przywrócenia dawnych praw językowych w urzędach i szkolnictwie, utworzenia polskiej placówki dyplomatycznej w Morawskiej Ostrawie, gdzie zatrudniano by Zaolziaków oraz utworzenia „sprężystej egzekutywy", czuwającej nad przestrzeganiem podpisanych porozumień[46]. Warto także zwrócić uwagę na traktowanie przynależności Zaolzia do Czechosłowacji jako stanu tymczasowego. Jak się jednak okazało, żądania te były nie do przyjęcia dla rządu praskiego, nie dopuszczającego nawet myśli o przywróceniu Polakom dawnych przywilejów.

Rozmowy polsko-czechosłowackie toczyły się dość sprawnie w odniesieniu do spraw współpracy gospodarczej i kulturalnej, ślamazarnie w odniesieniu do Zaolzia. Strona czechosłowacka nie chciała się zgodzić na tworzenie przez Polaków organizacji politycznych, widząc w tym możliwość powtórzenia się w przyszłości roku 1938. Jedyne ustępstwo Czesi widzieli w istnieniu polskiego szkolnictwa i kontrolowanej przez władze polskiej organizacji kulturalnej. Różnica zdań doprowadziła do kolejnej polemiki między Warszawą a Pragą. Polacy z Zaolzia okazali się groźniejsi dla Beneša i Gottwalda od Ukraińców ze wschodniej Słowacji, którym nadano szerokie uprawnienia mniejszościowe[47].

Ostatecznie, po naciskach Stalina, w jawnym protokole-załączniku do układu polsko-czechosłowackiego z 10.03.1947 obie strony zapewniły, że „... zapewnią Polakom w Czechosłowacji względnie Czechom i Słowakom w Polsce w ramach praworządności i na zasadzie wzajemności możliwość rozwoju narodowego, politycznego, kulturalnego i gospodarczego (szkoły,

46. Najważniejsze postulaty i przypomnienia ludności polskiej na Zaolziu do umowy czechosłowacko-polskiej, Warszawa-Cieszyn, 21.09.1946, z.w.a.

47. M.K. Kamiński, „Polska-Czechosłowacja..."

stowarzyszenia, spółdzielnie na zasadzie jedności spółdzielczości w Polsce względnie w Czechosłowacji) ..."[48]. Przyszłość miała pokazać, jak władze interpretowały ten załącznik w Polsce, a jak na Zaolziu. Wszystkie kwestie terytorialne miały być załatwione nie później, niż w ciągu dwu lat.

Henryk GODULSKI

48. „Dokumenty i materiały...", str. 172.

Agata TUSZYŃSKA

MODLITEWNIK „NA POLSKOM JAZYKIE"

Na Syberii nie ma już właściwie Polaków, choć co piąty mieszkaniec tego kraju mówi, że w jego żyłach płynie polska krew.

Na Syberii są jeszcze święci o twarzach polskich zesłańców.

Zaludniali to wielkie więzienie przez całe zeszłe stulecie. Rosyjskie słowo „katorga" pochodzi z greckiego „kateirgo" — zmuszam. Odmiana tego rzeczownika i kilku innych — etap, kibitka, zesłanie, dożywotne osiedlenie — była codziennością polskiego słownika patriotycznego poprzednich i tego wieku.

Antoni Czechow mówił, że im, Rosjanom, do takich miejsc jak na przykład Sachalin wypada iść na pielgrzymkę, jak Turkom do Mekki. „Zamęczyliśmy w więzieniach miliony ludzi, zamęczyliśmy za nic, bezmyślnie, po barbarzyńsku. Gnaliśmy po mrozie zakutych w kajdany dziesiątki tysięcy wiorst, zarażaliśmy ich syfilisem, deprawowaliśmy, mnożyli przestępców..."

Droga do dalekiej ojczyzny polskiego cierpienia wiedzie dziś po zatartych śladach. I wiele czasu będę błądzić w zaczarowanym kręgu, zanim mały, niespełna trzyletni Andriucha, praprawnuk polskiego powstańca, przywita mnie słowami: orzeł biały.

Czechow jechał na Syberię w 1890 roku „uzbrojony od stóp do głów". Zaopatrzony w krótki kożuszek, wielkie buty i „duży nożyk do krojenia kiełbasy i polowania na tygrysy". Była wiosna. „Błoto, deszcze, wściekły wiatr, zimno..." Szczególnie doskwierały mu mokre buty filcowe. „Czy wiecie, co to są

mokre buty filcowe?! Jakby galaretka na nogach!" Ta galaretka! — symboliczny wyraz statusu turysty na ziemi, która słyszała prawdziwe skargi. Rodzaj wstydliwej słabości, na jaki, wydawało mi się, właściwie tutaj nie można sobie pozwolić. W Muzeum Dekabrystów w Irkucku przechowuje się kajdany, w które zakuwano katorżników — nożne ważyły 12 kilogramów.

Ów kraj, gdzie — jak pisał Słowacki — wiatry „wieją jak hieny", przywitał mnie październikowym babim latem, pokazując, jak w specjalnym wydaniu folderu dla zagranicznych gości, wszelkie cuda niezwykłej, wschodniej przyrody. Dostojeństwo wielkiej tajgi — modrzewi, cedrów, limb, surowość rzek, niekończące się przestrzenie nadbajkalskich pejzaży. Jak na znane mi z setek opisów piekło, było tu zdecydowanie zbyt pięknie. I nie zawsze godziłam się z autorem „Sali numer 6", gdy pisał: „Wspomnienia o przeszłości tej części kraju, opowiadania towarzyszy podróży o srogich zimach i nie mniej okrutnych miejscowych obyczajach, bliskość katorgi... wszystko to razem odbiera ochotę do zachwycania się krajobrazem".

Otóż nie do końca. Syberia to inny oddech, inny splot, coś odrębnego, nierosyjskiego. Patagonia czy Teksas — rozmyślał Czechow płynąc Amurem i był pewien, że Puszkin i Gogol są tu niezrozumiali. Dziwił go tutejszy kult kobiety i równoczesna możliwość odsprzedania jej przyjacielowi za pieniądze. Dziwiło traktowanie zesłańców jak braci i zupełne rozgrzeszanie cichych polowań na zbiegłych katorżników. Jedno było znajome... wódka. „Rosjanin to wielka świnia — pisał — wódka jest nawet w najbardziej zapadłych wsiach w dowolności". Pod względem wartości produkcji tutejsze gorzelnie zajmowały już wówczas pierwsze miejsce wśród innych gałęzi przemysłu. I wyglądało na to, że i tam, jak w całej Rosji, bardziej potrzebują szynków niż wielkiego wynalazku Gutenberga.

Na Syberii mówią: czterdzieści procent to nie wódka, tysiąc wiorst nie droga, tysiąc rubli nie pieniądze, sześćdziesiąt stopni nie mróz, a sześćdziesiąt lat nie starucha. I może w związku z owym zachwianym poczuciem wielkości mieszkańcy Syberii są inni niż na przykład moskwiczanie. Siber — z mongolskiego — znaczy silny, czysty.

Na Syberii żyje się wolniej. Starcza czasu nawet na wysłuchanie aktualnych dowcipów. Przychodzi kobieta do sklepu: czy są ryby? Nie. U nas nie ma mięsa. Ryb nie ma po drugiej stronie ulicy. Albo: Kolega przychodzi z wizytą. Będziesz mył ręce? Tak. A herbata? Też, poproszę. W takim razie — bez cukru. To są ogólnosowieckie dowcipy, ale słucha się ich inaczej. Nie

wiem dlaczego, bo przecież nawet zaprzyjaźnieni Jakuci nie częstują już struganiną, potrawą z zamrożonej na kamień surowej ryby (nelmy lub cziry) struganej ostrym nożem na cienkie wiórki maczane w soli z pieprzem, a omul — przysmak bajkalskich wód — żyje już niemal tylko w legendzie. Nie są to widać jedyne życiodajne legendy tych okolic.

Poznałam w Irkucku młodego historyka, Rosjanina o wspaniałym wyglądzie zeszłowiecznego czynownika-birbanta i werwie kilku tychże, absolutnie opętanego pamięcią dekabrystów. W domach Trubeckich i Wołkońskich ożywia niestrudzenie dawne salony miejscowej inteligencji, opowiadając ich historie, grając na fortepianie, wystawiając amatorskie przedstawienia. Można tam oprócz tego potrzymać w rękach łopaty i kilofy, którymi dekabryści dobywali rudę, obejrzeć portret Aleksandry Grigorjewny Murawiowej, a szczególnie jej włosy, w których przewiozła do więzienia w Czycie puszkinowskie wiersze, popatrzeć na zrezygnowany podpis cenzora na tuzinach listów, zrazu czytałam — Liparski, potem już tylko widziałam — Liparski. Gdyby tam znaleźć podobnego przewodnika po polskich losach...

W informacyjnym słowniku encyklopedycznym Alberta Starczewskiego z 1855 roku czytam pod hasłem Syberia: „Tak nazywają się wszystkie posiadłości Rosji za Górami Uralskimi, w Starym Świecie. Zajmują one jedną trzecią Azji i stanowią najobszerniejszą część naszej ojczyzny". Powierzchnia Syberii liczy 12.766.000 kilometrów kwadratowych (obwód irkucki jest trzykrotnie większy niż cała Polska). Odległości od początku pociągały szafarzy kar, chodziło o to, by zesłać daleko, jak najdalej. Praktykowano to już od końca XVI wieku, a w samym XIX zesłano tam 2 miliony ludzi.

W 1652 roku kozacka ekspedycja pod wodzą Iwana Pochabowa wybudowała na prawym brzegu Angary, wprost miejsca, gdzie wpada do niej Irkuta, w odległości jednego dnia jazdy konno od brzegu Bajkału — obronny obóz nazwany Zimowiskiem Irkuckim. Trzydzieści sześć lat później osada otrzymała prawa miejskie. I herb: tygrys — symbol siły, trzyma w zębach sobola — symbol syberyjskiego bogactwa. Do początku naszego stulecia przez Irkuck wiodła jedyna droga nad Bajkał, największy zbiornik słodkiej wody na świecie. W piosence śpiewa się, że Irkuck to środek ziemi.

Po 1863 roku było tam około 3 tysięcy Polaków, z 20 tysięcy zesłanych w głąb Rosji. W 1873 „polscy buntownicy"

stanowili 10% ludności miasta. Oto jak ich zobaczy Michał Orfanow, Rosjanin:

„Hotel, gdzie się zatrzymaliśmy, prowadzony jest przez zesłańca politycznego (a więc Polaka). Cała służba hotelowa, począwszy od bufetowego, a kończąc na woźnicy — wszyscy Polacy. Wynajmujecie dorożkarza, okazuje się, że i on przestępca polityczny, wchodzicie do rzeźnika, mleczarni, do krawca, szewca, do jakiegokolwiek rzemieślnika czy drobnego sklepikarza — wszędzie polityczni, ofiary ostatniego powstania polskiego".

Czechow nazwie ich „miłymi, gościnnymi, arcydelikatnymi ludźmi". W Iszymie koło Tomska poznał bogatego pana Zaleskiego, „którego córka jest bardzo podobna do Saszy Kisielowej". Dał mu za rubla wyborny obiad i pokój, gdzie mógł się wyspać. „Prowadzi karczmę, skułaczał do szpiku kości, zdziera, jak może, ale jednak znać pana w manierach, w wikcie, we wszystkim. Nie wraca do ojczyzny przez chciwość, przez chciwość znosi śnieżyce w maju; po jego śmierci córka urodzona w Iszymie zostanie tu na zawsze — w ten sposób zaczną się mnożyć na Syberii czarne oczy i delikatne rysy. Te przypadkowe domieszki krwi są potrzebne, bo ludność na Syberii jest brzydka".

Wielu spędziło na przymusowym osiedleniu dużą część swego życia. Wykonywali różne zawody, byli rzemieślnikami, architektami, lekarzami, cukiernikami. Tutaj najchętniej wspomina się badaczy Syberii. Jana Czerskiego, osiemnastoletniego zesłańca, który podczas ćwierć wieku trwającej zsyłki sporządził pierwszą geologiczną mapę wybrzeży Bajkału. Benedykta Dybowskiego, twórcę nauki o jeziorach — miłośnika i badacza jakuckiej kultury i obyczajów. Edwarda Piekarskiego — autora pierwszego słownika języka jakuckiego. Aleksandra Czekanowskiego — geologa, którego nazwiskiem ochrzczono wieś koło Bracka. Góry Czerskiego ciągną się daleko za Kręgiem Polarnym, aż po górny bieg rzeki Kołymy.

„Polaków — to znaczy nie Polaków, lecz ludzi o polskich nazwiskach, znaleźć można na Syberii bardzo wielu — powie mi tutejszy historyk. Nikt oczywiście nie prowadził statystyki, to moje subiektywne zdanie, ale sądzę, że i 100 i 200 tysięcy. W przypadkowo zgromadzonej grupie ludzi na pewno co trzeci, czwarty lub piąty przypomni sobie, że ktoś z jego przodków był zesłany albo przesiedlony. Ale to bardzo, jak by to określić, umowni, względni Polacy. W kolejnych pokoleniach małżeństwa były po tylekroć zmieszane. Wśród potomków byli więc Polacy, ale nie tylko, także Rosjanie, Żydzi, Tatarzy, albo jeszcze inne

narodowości. Co zrobić z córką Polki i Łotysza, która wyszła za mąż za Buriata? Jakiej narodowości będą jej dzieci? Co ważniejsze, nie wszyscy owi Polacy czują się Polakami. W najlepszym razie mogą powiedzieć, że jest w nich jakaś część polskiej krwi. Są i tacy, którzy potrafią wykazać swój polski rodowód, ale ani nie mówią po polsku, ani nie rozumieją".

Jest w Irkucku ulica Polskich Powstańców, na pamiątkę „strasznego powstania" polskich zesłańców nad Bajkałem. W czerwcu 1866 roku bunt zaczął się w Kułtuku, stłumiono go w ciągu kilku dni. Egzekucja czterech przywódców zabajkalskiego powstania odbyła się w listopadzie.

„Kiedy przy piątym słupie koło jakuckiej rogatki zszedł z wózka Szaramowicz, podszedł do niego ksiądz Szwermicki (zesłany na Syberię za udział w spisku Konarskiego). Ksiądz był blady i ręce mu drżały. Szaramowicz widząc to powiedział: Ojcze, zamiast nas krzepić i dodawać nam odwagi w ostatnich minutach, sam upadłeś na duchu. Potrzebujesz pomocy. Twoja ręka, która powinna nas błogosławić, drży. Uspokój się i módl się nie za nas, a za Polskę, która będzie. Nam jest obojętne, gdzie zginiemy za naszą ojczyznę, czy u siebie w domu, czy też na wygnaniu. Myśl, która zawsze była dla nas gwiazdą przewodnią, nie umrze i po nas. Oto co nas podtrzymuje i uspokaja. Powiedziawszy to, Szaramowicz uściskał towarzyszy i podszedł do jednego z wbitych w ziemię słupów. W chwili, gdy wiedział, że śmierć jest blisko, zdjął z głowy czapkę i rzucił ją do góry, krzyknął: jeszcze Polska nie zginęła! Potem kolejno zabito następnych skazańców. Dobosze jeszcze bili w werble, kiedy tłum zaczął się rozchodzić. Wielu ludzi, którzy kiedyś rzucali w Polaków kamieniami, płakało".

Opowiadała mi tę sceny sekretarz Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej w Irkucku. Również płakała. I błagała o wyjaśnienie, dlaczego Polacy tak nienawidzą Rosjan. „Przecież to nie my, nie my robiliśmy to wszystko" — szlochała, uderzając się w piersi.

U zbiegu ulicy Polskich Powstańców z ulicą Suche-Batora stoi polski kościół. Wejść tam trudno, od dziesięciu lat jest to sala koncertowa irkuckiej filharmonii i poza dniami występów nie sposób sforsować drzwi. — Polacy, znowu Polacy, no i co z tego — warczy cieć i nie otworzy. Mimo nalegań, które rozwścieczają go i cieszą. To jedyne chwile, kiedy czuje się naprawdę ważny.

Drewniany budynek z początku wieku spłonął, a był tam ołtarz — dzieło Polaka Ignacego Eichmillera, skazanego za spo-

liczkowanie generał-gubernatora. Twórcą obecnego kształtu kościoła jest Józef Tamulewicz. Pierwsza msza odbyła się w 1883 roku. Wnętrza wykonano wedle projektów Wojciecha Koperskiego (do dziś został fragment jego roboty na balkonie chóru). To jedyna późnogotycka świątynia na Syberii. Powstała dzięki staraniom Krzysztofa Szwernickiego, kapłana „największej bodaj parafii świata, rozciągającej się na obszarze setek tysięcy kilometrów kwadratowych". Były zesłaniec nie wrócił do kraju, wierny swemu powołaniu. Papież Leon XIII mianował go apostolskim misjonarzem całej Syberii. Od parafian otrzymał w darze kielich spowity cierniem.

Polski kościół powstał ze składek Polaków w kraju (patronat Przeglądu Katolickiego w Warszawie, w 1884 zbiórka 20.000 rsr plus dary: ornaty, lichtarze, kadzielnice) i na zesłaniu. Pod koniec wieku polscy organiści, z najsłynniejszym — Karolem Gryblewskim — grali tam na organach produkcji amerykańskiej firmy. Do końca lat dwudziestych kościół był ważnym ośrodkiem życia tutejszej polskiej kolonii. W 1938 roku zamknięto go, przekształcając na studio kroniki filmowej.

W Irkucku były 34 cerkwie, zostało 19, w tym działające — 3. Krestodwiżenja ostała się dlatego, że założyli w niej muzeum ateizmu. Na planie miasta wszystkie figurują pod nazwami „zabytek architektury" z XVIII czy XIX wieku. Był tu katedralny sobór, podobno największy w Rosji, na 10.000 osób. Przy jego budowie brał udział polski zesłaniec Kudelski. W trzydziestych latach świątynię zrównano z ziemią, stawiając w tym samym miejscu równie gigantyczny dom partii. Na okalającym go Placu Kirowa odbywają się manifestacje i pochody. Stojący z boku gotycki polski kościół robi dziwne wrażenie. Tam, gdzie rozstrzelano czterech przywódców zabajkalskiego powstania, był najpierw krzyż, potem klęczący anioł. A potem zniszczono wszelkie ślady i bez przewodnika już tam trafić nie sposób.

Podobnie jak na cmentarz. Wielki irkucki cmentarz jerozolimski, gdzie chowano zmarłych od początku istnienia miasta, zamieniono na Park Kultury i Wypoczynku imienia 40-lecia Rewolucji Październikowej. Robotę zaczęto w 1955 roku, do końca 56 rozburzono wszystko. Nie ruszono tylko jednej mogiły — pisarza Zagoskina (1830-1904). Inna ocalała — dekabrysty katolika Józefa Poggio (1792-1848) — nie stoi na swoim miejscu. Podobno szef tamtej akcji — Dieriagin — jest zasłużonym obywatelem miasta Irkucka. Dostał rozkaz dostarczyć kamienie z cmentarza na fundamenty nowych osiedli. Niszczyli starą metropolię dziewięć miesięcy. Trudno było. Solidne, rzeź-

bione nagrobki z Lipska, Warszawy, Petersburga nie poddawały się. — I anioły, potłuc tyle aniołów — poskarży się i zadziwi niemłoda kobieta, która pamięta.

Cmentarz składał się z trzech części. Wszystkie zrównano z ziemią. Na żydowskiej postawiono rejonowy dom partii i teatr lalek. W części prawosławnej odbywają się potańcówki. Na polskiej stoi wielkie, wesołe miasteczko. Kolorowe karuzele i diabelski młyn kręcą się w rytm wrzaskliwej muzyki do zawrotu głowy.

Jak złowrogie proroctwo brzmi z tej perspektywy pisany sto lat wcześniej, 15 kwietnia 1857 roku, list księdza Szwernickiego do generałowej Juszniewskiej:

„U nas teraz w czasie świąt Wielkanocnych wesoło się bawią irkuczanie. Karuzel mnóstwo. Ale jedna zasługuje na uwagę, tak zwana przez Niemców — parowa. Zamiast jednak siły pary, siła konia działa, a miejsce maszyny zajmuje samowar dymiący. Ludzi masa na niej, a więc i dochody znaczne, jakże przemyślni ci Niemcy!"

Dwukrotnie powtórzona została wizja syberyjskiej odmiany miłoszowskiej karuzeli. Grób księdza Szwernickiego był także na jerozolimskim cmentarzu. „I wzlatywały pary / wysoko w pogodne niebo..."

Poszukiwania Polaków zaczynam od Klubu Wisła. Tak mi polecono, a przecież w Klubie Wisła nie ma Polaków. Zanim się o tym przekonam, przyjmę czerwoną różę na powitanie i w Domu Drużby porozmawiam o Towarzystwie Przyjaźni Radziecko-Polskiej w Irkucku. To w jego skład wchodzą Wiślanie, działający już od 20-tu lat przy Bibliotece Obwodowej. Gdy zaczynali, było ich około 200, teraz zostało 20-30 osób. Chcą wiedzieć „wsio o Polsze", więc czytają *Gospodynię* i *Przyjaźń* i chodzą na kursy języka polskiego. Mają różne zawody, są w różnym wieku, interesują się różnymi sprawami — turystyką, przyrodą, muzyką, folklorem. Polska jest dla nich biało-czerwona kolorami z oficjalnej propagandy.

Niecierpliwią się, gdy ich pytać o tutejszych Polaków. Jak to, działają już tyle lat, znają lepiej język niż tamci, a wszyscy chcą się widzieć z potomkami zesłańców. Są mniej ważni — niezasłużenie. Bo odkąd pani Izolda rozpętała akcję poszukiwania potomków, coraz częściej mylą się z nimi. Ale wnuczka Wojciecha Koperskiego uparła się — celem tego klubu będzie odnajdywanie Polaków... Z żalem czyta takie dawne listy, jak ten: „Nie interesujecie się nami, potomkami polskich powstańców. Niemożliwe jest uzyskanie od was jakiejkolwiek pomocy. A tak nas już mało". Nie rozumie, dlaczego tak się stało. Nie umiem jej wytłumaczyć tak, by zrozumiała.

Z Syberii do Polski jest bardzo daleko. Może dalej niż z Polski na Syberię?

Nam trudno nie widzieć Syberii męczeńskiej i jednocześnie niełatwo ją taką zobaczyć. Dwie główne ulice w Irkucku nazywały się Bolszaja i Amurskaja, później przechrzczono je na Karola Marksa i Lenina. Takie skrzyżowanie jest zwykle centralne w każdym z syberyjskich miast. I w Irkucku stoi tam standardowy pomnik Lenina. Ale na szczęście tylko serie zunifikowanych pocztówek usiłują bezskutecznie narzucić wizję socjalistycznego wystroju tej okolicy. I może z wdzięczności, że pozwolono pozostać zeszłowiecznej, drewnianej i kamiennej architekturze (mniejsza na razie o jej stan), może z wdzięczności darowuję im te nazewnicze zmiany. I Dom Pionierów i ulicę Dzierżyńskiego, której nazwa — od starej Arsenalskiej — przez grafa Kutaisowa, Trockiego, wreszcie Dzierżyńskiego — odzwierciedla z wrażliwością barometru tutejsze przemiany.

Ale w Irkucku są miejsca, które sprawiają, że przeszłość żyje. Ożywa na tyle, iż każe poruszać się tam, jak po miejscu świętym. Mimo wszystko. Mimo tego, co się tu stało, a może właśnie dlatego. Nie wiem, na czym to polega. Czy na bliskości starych drzew, czy domów?

Pożar z 1879 roku zniszczył 75% miasta. Żar był tak wielki, że dzwony irkuckich cerkwi płakały brązowymi łzami. Ale wiatr wiał ku Angarze i to ocaliło posiadłość Wołkońskich. Dom, w którym dekabrysta z rodziną przeżył 17 lat, z 30-tu spędzonych na zsyłce. Dom, gdzie na werandzie jest zimowy ogród Marii Nikołajewny, z chińską różą i drzewkiem pomarańczowym. Więc może to ten dom sprawia, że łatwiej pamiętać? A może smak cedrowych orzeszków, który jest — jak mówią — taki sam, albo zapach syberyjskiego pieroga z czerwoną rybą? A może po prostu wzrok irkuckiego świętego Innocentego, niezmienny, jak wówczas?

Jeśli się postarać, można znaleźć w Irkucku dawne widoki. Na przykład stając przed polskim kościołem, a potem ostrożnie odwracając wzrok na lewo ku rzece i zatrzymując na dwóch osiemnastowiecznych soborach Bogojawlenja i Spasskim. Trzeba uważać, by nie obrócić się bardziej gwałtownie i nie natrafić na wieczny ogień, gdzie dzieci defiladowym krokiem maszerują na zmianę warty. Ale pod synagogą, jeśli nie wchodzić do wnętrza, pod teatrem, nawet na rynku, gdy ominąć wzrokiem pudło uniwermagu, czuje się dawny klimat.

Inwentaryzacja z wiosny tego roku wykazała 501 obiektów wymagających renowacji, w tym 362 domy mieszkalne. Ósma część tych obiektów jest zużyta w 60%, te można jeszcze remontować. Reszta jest w dużo gorszym stanie. Czekają na wyrok? Czy ocalenie?

W sadzie nad Angarą stała rzeźba przedstawiająca dwugłowego orła. Bibliotekarka z Nowosybirska całowała się tam jako studentka ze swoim chłopcem. Z oburzeniem opowiada o niszczeniu przeszłości, nie tylko religijnej, także dawnych narodowych symboli. I o pomyśle powrotu do biało-niebiesko-czerwonego dwugłowego orła, tyle że bez cesarskich insygniów. I oczywiście do biało-zielonego sztandaru Syberii.

Przez wiele lat uparcie pozbawiano ich prawa do polskości. „Rośliśmy w przekonaniu, że trzeba o tym raczej milczeć" — powie wnuczka polskiego powstańca 1863 roku, Weronika Rybińska z Irkucka. „Żeś Polak, dotychczas nie warto było się chełpić" — doda Helena z Szackich, prawnuczka zesłańca. A jej matka, Izolda Nowosiołowa, postara się wszystko to zrozumieć. „Czasami zapomnienie o własnej inności było jedyną możliwością przetrwania" — mówi. Ktoś jeszcze poskarży się — ze skruchą, że po rosyjsku — *„U nas wsie Poljaki obrusieli. 70 liet sowietskoj własti i oni prywykli, czto oni russkije..., czto my russkije..."*.

Ci Polacy są rodzonymi braćmi zeszłowiecznych Iwanów Niepomniaszczich, syberyjskich włóczęgów i zbiegów, którzy rzeczywistą lub udaną utratą pamięci ratowali się przed wszelkim niebezpieczeństwem.

Wedle spisu sprzed 10-ciu lat w 600-tysięcznym Irkucku tylko 719 osób zachowało polską narodowość w paszporcie, w obwodzie — 3.561. Tych, dla których polski rodowód znaczy coś naprawdę, jest jeszcze mniej. Ale zaczynają o tym myśleć, zaczynają stawiać pytania, szukać rodowodów dość skutecznie niszczonych biografii. Przecież i im pozwolono pamiętać. Chwilowo nie racjonują prawdy na talony, nie określają liczby okresowych przydziałów. Bez ograniczeń. Więc gorączkowo starają się sobie przypomnieć. Wygląda to jak lekcja pierwszych słów. Jak zbieranie okruchów, gdyż okaleczona pamięć niczego innego nie jest w stanie przywołać. Jak w tych kilkunastu listach, wzruszających i przerażających jednocześnie.

...„podejrzewam, że mój pradziad był polskim zesłańcem, Tomaszewicz Józef to wszystko, co o nim wiem. W pamięci zostały opowiadania ciotki mamy o tym, że pradziad był zesłany za działalność rewolucyjną i ożenił się z piękną Sybiraczką, moją prababką..."

...„mój ojciec, Jan Janowicz Franiewski, Polak, był zesłany na Syberię, jak inni Polacy do wsi Żigajłowo..."

...„nasz dziad, Iwan Ustinowicz Chrostowski, urodził się w 1840, umarł w 1913. Polak, student krakowskiego uniwersytetu, za udział w powstaniu 1861 roku został zesłany na wieczne osiedlenie w Syberii (irkucki obwód, niżnielińskij rejon, wieś Romanowa)".

...„mam 28 lat, nazywam się Helena, mój pradziad Franc Kułakowski był zesłany na Syberię do czitińskiego obwodu, w bolejski rejon, wieś Jełkina..."

...„mój pradziad i prababka byli zesłani z Polski w 1863 roku w Zabajkalje. Nazwisko pradziada Lejman Wikienty Karłowicz".

...„mój pradziad po linii matki — Sroka Walerian, albo Walenty Adamowicz — około 1850 roku urodzenia, Polak, był zesłany na katorgę w latach 70-tych za podpalenie. Czy przyświecały mu jakieś polityczne cele, moja matka nie wiedziała, ponieważ w domu przy dzieciach o tym się nie mówiło".

...„moja prababcia, Franciszka Konstantinowna, była córką zesłańców, urodzona w 1873 roku. Kim byli jej rodzice nie pamiętam. Ojciec nazywał się Kisielewski, na imię Konstantin..."

...„na prośbę siostry aktorki karę śmierci Adolfa Wikientiewicza Grabowskiego, mego dziada, zamienili na zesłanie. Szedł etapami w kajdanach razem z Lewandowskim, który był ogrodnikiem..."

Listy napisane po rosyjsku. Także prośby o pomoc w poszukiwaniu korzeni genealogicznych drzew. W tej swoistej grze z pamięcią miesza się wszystko. Walc zesłańca Kamińskiego z pytaniem Tamary z Bracka, czy dziad mógł być tu mistrzem wyrobów kiełbasianych, jak dawniej, czyjaś śmierć w Mandżurii i zaginięcie w Warszawie, dorewolucyjny Tułun, gdzie mieszkali Polacy i rada, by zwracać się do spółki „Łączność Czasów", która odnajduje przodków za odpowiednią opłatą. Czy kiedykolwiek uda się dopasować te rozrzucone elementy?

Bolesław Szostakowicz skarży się: „Istnieje pewien stereotyp, pewna wizja Syberii, z jaką przyjeżdżają tu Polacy. Chcą zwykle bardzo szybko zrobić bardzo sensacyjny materiał i rozprzestrzeniają bzdury. Widzą to, co przyjechali zobaczyć, co im podsuflowała wyobraźnia. Więc tłumy Polaków, najlepiej zesłańców, albo represjonowanych, kajdany, krew na śniegu i nieprzebytą dal. Raz raz, dawajcie, parę fotografii, kościół polski, ulica Powstańców, kilka zbliżeń, zaraz, proszę, wszystko opowiedzcie, dziękuję, już opowiedzieliście, szybko, szybko, świetnie, już nakręcone. Przecież to zupełne pomieszanie wszystkiego ze wszystkim".

— Czy to prawda, że będzie w Irkucku Muzeum Polskich Zesłańców?

Przepraszam, ale muzeum zesłańców, to także kolejny stereotyp. Owszem, mieliśmy pomysł, żeby w budynku polskiego kościoła założyć muzeum Polaków na Syberii — w ogóle Polaków, nie tylko katorżników i zesłańców. Chciano to zrobić, ale w końcu pomysł organowych koncertów wyparł z tego gmachu wszystko inne. Myśli pani, że dlatego, bo tak było bezpieczniej? Nie wiem. Do pomysłu nie wrócono. Ale przecież Polacy na Syberii to nie tylko zesłańcy. Byli tu również Polacy na służbie, jako nauczyciele, lekarze, wojskowi. Nie sami męczennicy i cierpiący za idee. Jeśli by organizować Muzeum Zesłańców, co zrobić z innymi syberyjskimi Polakami?

Jest w Irkucku Muzeum Krajoznawcze i Muzeum Dekabrystów. W tym pierwszym zwykle część ekspozycji poświęca się Polakom i XIX-wiecznej zsyłce. Teraz muzeum jest w przebudowie, remontowane są dla niego gmachy zabytkowych cerkwi.

Rotę przysięgi powstańców 1863 roku odczytują wnukowie mozolną polszczyzną:

„Ja, żołnierz polski, przysięgam walczyć za ojczyznę moją do ostatniej kropli krwi... A gdybym nie dotrzymał tej przysięgi, niech spadnie na mnie przekleństwo braci i kości moje niech nie spoczną w ojczyźnie..."

— Tak mówili, pani Agata. A ja tej ojczyny nie widział, nie znam.

Naturalnej wielkości Jezus Chrystus wyrzeźbiony z cedrowego drzewa przez Wojciecha Koperskiego ma jego rysy. Jak dwaj inni święci, łudząco podobni do małej Maszy, praprawnuczki, która zna jeden polski wiersz o bosym motylku.

To wszystko przyszło niedawno, bo na pamięć trzeba — prócz pozwolenia — mieć jeszcze czas, ale teraz Izolda Nowosiołowa jest ze swego dziada dumna. Nie tylko dlatego, że w irkuckim więzieniu robił z chleba rozmaite figurki, nawet amforę, i to go ocaliło. Nie dlatego, że zbudował parowóz, w którym pod prawdziwym kotłem paliło się węglem. I nawet nie dlatego, że za udział w powstaniu skazano go na śmierć. To znaczy dla tego wszystkiego również, ale głównie dlatego, że był prawdziwym Polakiem i mówiono, że miał warszawski akcent.

Urodził się w 1838 roku w rodzinie leśniczego, dokładnie nie wiadomo gdzie. Wyrok zamieniono na katorgę i wraz z innymi więźniami przybył Aleksandrowskim Traktem do Irkucka, gdzie czekał w więzieniu na dalszy transport do kopalń w

Karze. No i tu uratowały go jego ręce. Jakie to dziwne — zastanowi się pani Izolda. Sam generał-gubernator zainteresował się sprawą i odwiedził w Moskiewskich Wrotach niezwykłego więźnia. Zaraz postanowił zatrudnić go przy urządzaniu wnętrz swojej rezydencji — Białego Domu nad Angarą. Przez dwa lata dowożono stolarza — snycerza ze wsi Ust Bolej, gdzie wyremontował młyn — do pracy w gubernatorskim pałacu. Stawał się coraz bardziej znany, toteż powierzać mu zaczęto inne projekty wnętrz, nawet cerkwi. A kiedy w 1904 roku przez Irkuck miał przejeżdżać następca tronu, wielki książę Mikołaj, polecono znanemu już wówczas mistrzowi wykonanie ozdobnego talerza na chleb, którym witać miano dostojnika. A piękny był ten talerz, z agatu! Z rzeźbą przedstawiającą typową syberyjską wieś, ozdobiony wszelkimi odmianami metali i minerałów występujących na Syberii. Wielki książę był zachwycony. Chciał podarować Koperskiemu swój pierścień, którego Polak nie przyjął. Z tego także pani Izolda jest dumna. To także świadczy o tym, że był prawdziwym Polakiem. Jak jego ożenek, tu na miejscu, z córką przyjaciela zesłańca — Heleną Kiejsiewicz. Dziewczyną, którą wychowywał. Była od niego młodsza o 30 lat, ale wcześniej żadna z Polek zamieszkałych w Irkucku nie dojrzała do małżeńskiego stanu, a z Rosjanką żenić się nie chciał. To była wielka miłość. Z tego związku urodziło się pięcioro dzieci.

Troje z nich zobaczę na fotografii, również ojca pani Izoldy, który już jednak ożenił się z Rosjanką (z kim miał się tutaj żenić?) i potomstwo zapisał jako prawosławne. Po polsku mówił, ale dzieci nie uczył i pani Izolda powie, że widać wiedział, co robi. „Po co mieliśmy się wyróżniać wśród innych? Inni to znaczy automatycznie gorsi, winni i narażeni.

Nie wolno winić ludzi, że zapominali. Tak było łatwiej. Bezpieczniej. Były takie lata, że nie trzeba było za dużo wiedzieć. Dlatego teraz nie możemy niczego znaleźć. Ludzie wszystko niszczyli. Ze strachu, z nadmiaru gorliwości, z obawy przed gorszym losem. U nas zachowało się trochę zdjęć".

Oglądam portret kapitana Siewińskiego, męża siostry Heleny Kiejsiewicz, także zesłańca, który prowadził parowce na Angarze i zmarł podczas służby. Portret prababki Barbary, o której, jak o pradziadku Nikodemie, niczego już nie wiedzą. Pamiątkę pierwszej komunii Stanisława Koperskiego, nieżyjącego już syna Wojciecha, którą przyjął 16 czerwca 1913 roku w kościele w Irkucku z rąk miejscowego proboszcza księdza Jóźwiaka. I jeszcze albumik z wierszowaną dedykacją — „wielce szanownemu Wojciechowi Koperskiemu w Irkucku:

Choć burza huczy wokoło nas,
Choć terror niewoli męczy nas,
W Twem towarzystwie Zacny Seniorze,
Ujrzeliśmy przyjemnych chwil zorze!

Toteż na pamiątkę tych mile spędzonych chwil
Przyjm dobry Patrioto kilka fotografii
Przyjm nasz hołd, nasz wielki dla Ciebie szacunek
Ofiaro za ojczyzny miłość i porachunek.

Polacy, jeńcy spod zaborów Austriackiego i Niemieckiego, wygnańcy z 1914 r. J. Popławski, Jan Kobierzyński, W. Malinowski, St. Mittej, Emil Kobierzyński, Wład. Swinarski".

To są relikwie Izoldy Nowosiołowej.

I jeszcze obraz. „Ten obraz był w pięknej drewnianej ramie, podarował go dziadkowi w 1897 roku polski ksiądz. Ja pamiętam, jak ojciec zdjął tę ramę i spalił ją, a obraz wsunął między stare gazety. Tak i przeleżała Matka Boska Częstochowska pięćdziesiąt kilka lat pod górą niepotrzebnych śmieci, aż ją pewnego dnia przypadkowo znalazła moja córka. To był ważny dzień. Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta..."

Na spotkanie ze mną pani Izolda przypina sobie na piersi broszkę roboty dziada — złoty wieniec cierniowy opasuje monetę, polską dwuzłotówkę, która na rewersie ma tarcze herbowe Orła i Pogoni i napis na obwodzie — Królestwo Polskie — 1831.

Władysław Faliński miał dziadka Filipa, powstańca i syberyjskiego katorżnika, który mu powiedział: „Pamiętaj chłopaku, że jesteś Polakiem". „Wot ja eto i pamiętam. I ja w paszporcie Poljak". Dziad w latach dwudziestych wrócił na Ukrainę, ale zaraz zesłali na Sybir jego syna, którego zabili z żoną w tajdze, za Taszkientem. Dzieciom, zostało pięcioro dzieci, powiedzieli, że to był wypadek samochodowy. Dziesięć lat przyszło spędzić w sierocińcach potomkom wrogów narodu. „Byłem we wsi Birjusa, potem Kwitok, wszędzie mówili o mnie piłsudczyk. W 1937 miałem 17 lat, poprosiłem, żeby dali skończyć siedem klas. Pracowałem jako koniuszy, dobrze się uczyłem, ale odprawili do Irkucka, żeby zrobić ze mnie szewca. Uciekłem do szkoły malarstwa, ale w 1940 roku wzięli mnie do armii. Ktoś kiedyś usłyszał, jak mówię o Andersie. Zerwali mnie wtedy o drugiej w nocy i pytają — co ty tam, może w inne miejsce miałbyś ochotę...

Do tej *pieriestrojki* nawet zająknąć się nie pozwalali, że jesteś Polakiem... A z sierocińca byłem ruski. Kilka lat walczy-

łem o to, żeby przepisali — Poljak. Chodziłem, prosiłem, chodziłem, błagałem, w końcu znalazłem odpowiedniego inspektora. I ona tak mi powiedziała, to była już starsza kobieta; mieliśmy instrukcję, wszyscy, którzy są w sierocińcach, muszą być Rosjanami. Rosjanie albo Ukraińcy, żeby mi tam jakichś takich nie było — Żydów, Polaków, Węgrów. Więc i byliśmy wszyscy, jak kazali. Ale swoje dzieci ja zapisałem — Poljaki. I córkę po polsku mówić nauczyłem".

Władysław Faliński zaprowadzi mnie jeszcze raz na miejsce dawnego irkuckiego cmentarza. — Tu, gdzie stoją te ławeczki i piją piwo, były mogiły powstańców listopadowych. Styczniowi leżeli w miejscu największej karuzeli, o tam wirują kolorowe krzesełka... Dalej jest beczka śmiechu — na grobach zaliwszczyków i konarszczyków. „Mogiły ludzi — wyrecytuje — którzy umarli na wygnaniu z sercem drżącym z tęsknoty do ojczyzny i z nadzieją w jej zmartwychwstanie".

Bolesław Szostakowicz, docent irkuckiego uniwersytetu, historyk:

„Mój pradziad był uczestnikiem powstania styczniowego. Ukończył Akademię Medyczno-Chirurgiczną w Wilnie i pracował jako lekarz weterynarii. Rodzina pochodzi z pogranicza litewsko-białoruskiego, dokładniej z rejonu Święcian. Istniał wtedy podział na wyznania — katolicy albo prawosławni, ale pradziad był chyba ateistą. Później jechał coraz dalej na Wschód, ożenił się z Rosjanką i dzieci zapisano jako prawosławne. Jego syn urodził się na Uralu. Na Uniwersytecie Moskiewskim zaplątał się w rewolucyjne spiski. To on przyczynił się do udanej ucieczki Jarosława Dąbrowskiego z więzienia. Aresztowany, tłumaczył się z uporem, że przypadkowo spotkał osobnika przebranego w strój kobiecy i nieświadomie udzielił mu schronienia. Skończyło się zatem tylko na osiedleniu w guberni tomskiej. Tam nawiązał niedozwolone kontakty, toteż musiał przenieść się jeszcze dalej na Wschód, do Irkucka. Tu urodził się Dymitr, ojciec kompozytora i Włodzimierz, uczony minerolog. Potem mój ojciec i ja.

Moje zainteresowanie polskimi sprawami na Syberii zaczęło się właściwie w stulecie powstania 1863 roku. Okoliczności jubileuszowe sprzyjały ogólnej fascynacji tą problematyką, prowokowały naszą ciekawość. W toku pracy okazało się, że to bardzo obszerny temat i potrzebny jest cały zespół dla jego penetracji, jeden człowiek nie wystarczy. Tak, ja mam dostęp do naszego irkuckiego archiwum, ale podkreślam, to nie jest jedyne źródło wiedzy o Polakach na Syberii. W każdym większym syberyjskim mieście jest takie archiwum i każde ma podobne materiały.

Irkuck, jako stolica Syberii Wschodniej, ma ich stosunkowo najwięcej. Są to w głównej mierze dokumenty — państwowe, tzw. *statiejne spiśki*, a więc urzędowe wykazy zesłańców z dokładnym *dossier* — kategorią winy i kary, administracyjną korespondencją dotycząca ich spraw, z urzędowymi prośbami, pismami, podaniami. Czasem znaleźć można interesujące drobiazgi — prywatne listy, półoficjalną korespondencję w języku francuskim. 95% wszystkich materiałów jest — rzecz jasna — po rosyjsku. Dokumentacja dotycząca konkretnych ludzi — to najbardziej wartościowe fragmenty zbiorów. Jeśli chodzi o świadectwa bardziej indywidualne — to interesujące są dla nas polskie archiwa, z których ja sama również korzystam.

Podpisaliśmy porozumienie z gdańskim uniwersytetem na wydawanie książek, organizowanie konferencji na temat Polaków na Syberii, przygotowanie bibliografii tematu, tak rozproszonej i mało znanej. Co u was powstaje na ten temat, co u nas, a co za granicą? Byłbym wdzięczny za taką wiadomość. W tym przypadku Irkuck rzeczywiście jest bardzo daleko od naukowych i intelektualnych centrów.

Zaprzyjaźnionym miastem, z którym utrzymujemy stosunki w Polsce, jest Piła. Szkoda, że nie jakiś ośrodek naukowy, u nas w Irkucku jest 9 wyższych uczelni, tam nie znajdujemy partnerów do dyskusji".

„Bez chleba nie syto, bez soli nie słodko" — mówili już w XVII wieku zesłańcy w sybirskiej solance nad brzegiem Angary. Po powstaniu styczniowym zesłano tu ponad 100 polskich szlachciców, pracę w warzelniach soli traktowano jako lżejszą. Stąd też zezwalano im pisać do rodzin. Często powstawały listy — syberyjskie opowieści. Także malowane lub rysowane, z widokami kopalń, koszar, szpitala, kościoła, szkoły. Podobno dochodziły tylko do granicy. Po wojnie jakimś cudem znaleziono w warszawskim archiwum 31 rysunków stamtąd autorstwa Aleksandra Sochaczewskiego i Stanisława Koterli. Wśród nich portret przejeżdżającego w 1864 roku przez Usolje Czernyszewskiego.

Odbywali katorgę, żenili się z Sybiraczkami, płodzili dzieci, zostawiając im najczęściej tylko polskie nazwiska. Do dzisiaj są w Usolju Karpińscy, Dudzińscy, Wojciechowscy, Krasiłowscy, Nizowscy. Raczej nie demonstrują swego pochodzenia. Krajoznawca, Wasilij Szamanskij, Tunguz, znał Polaka, który umiał czytać po polsku — Karpiński Walery, syn Witolda. Od niedawna nie żyje. Jest jeszcze Faina Dudzińska, córka Piotra Bonifacego, który w latach dwudziestych i trzydziestych był karczmarzem. Nazywano go „burżuazją". Miał poważne kłopoty, gro-

żono mu nawet więzieniem. Faina Pietrowna twierdzi, że *„ona uże nie Polka i daże gawarit' po polski nie umiejet"*.

Ze Spasskiej cerkwi (1723) został tylko dzwon (w muzeum). Tam też jest pozytywka po polskim zesłańcu grająca wiedeńskiego walca. W Usolju 4 czerwca 1890 roku w drodze na Sachalin zatrzymał się Czechow. Pensja dyrektorki muzeum krajoznawczego wynosiła 162 ruble, więc przeniosła się do spółki, gdzie zarabia 500 rubli, jako krawcowa.

Kobieta o rysach Buriatki niechętnie trzyma mnie na progu. Polacy? Nie ma tu dawno żadnych Polaków. Nie ma, powtarza i chce zamykać furtkę. I nie wiem, co w mojej twarzy budzi nagle jej zaufanie, bo pochyla się do mnie i mówi szybko: mój ojciec był Polakiem i w 1937 go zabili. Ostatnie słowo przycinają zamykające się drzwi.

Stolarz podnoszący dom powie, że była jedna Polka, Leokadia, ale umarła.

Od 1888 roku działa w Usolju fabryka zapałek „Słońce". 16 osób robiło ręcznie 703 skrzynie zapałek rocznie. Teraz również słynne są komplety zapałek stamtąd — kilkadziesiąt sztuk z widokami Syberii. Kupić nie można nigdzie. Dostaję w prezencie. Za polskość.

Wiera Prochorowna Wojciechowska, po mężu Karpińska, pochodzi z Ukrainy. Ma 85 lat, jest wdową po Walerym Witoldowiczu, synu Witolda Sewerynowicza Karpińskiego, powstańca 1863 roku. W Usolju, w domu, w którym mieszkał w latach 1876-1911, wisi pamiątkowa tablica. Były konduktor warszawskiej kolei związany był z organizacją przygotowującą fałszywe dokumenty dla rewolucjonistów uciekinierów z katorgi i więzień. Wiera Prochorowna wyjmuje z szafy paczkę związaną sznurkiem — dokumenty, fotografie. Dwie szczególnie interesujące — z pogrzebu i stypy Witolda Karpińskiego. Otwarta trumna, obok której siedzi mały chłopiec, Wiera nie widzi już kto, u wezgłowia palą się dwie świece. — Żyjemy nie tak, jak chcemy, ale jak się zdarzy — powie staruszka, która mieszka sama w betonowym bloku, gdzieś na końcu świata.

Idę długą ulicą w kierunku Angory. Nazywała się Bolszaja, nazywa się Lenina. W porządku, normalnie, nic nadzwyczajnego.

— Jak żyjecie, babuszki, ostatnio — lepiej, gorzej?

— Oj, gorzej, dziesięć razy gorzej. Cukru ta nie ma, herbatki nie popijesz, bo z czym?

— A mydło jest?
— Nie, u nikogo nie ma. Nic nie ma, kochana.
— A myjecie się czym?
— A niczym. Za maj dali o taki kawałeczek. I wszystko. Ciężko żyć. Zupełnie licho. Nic nie warte to życie. A przedtem to wszystko było. Pójdziesz do sklepu — kupisz. I cukier był. I cukierki. I pierniki były.
— A skąd o *pieriestrojce* wiecie?
— A w radio mówili.
— Co mówili?
— Chwalą. Siebie chwalą. Mówią, emerytury podniosą.
— A ile dostajecie?
— 26 rubli.
— No i na co to starczy?
— Na co — na chleb, kartofle sama sadzę.
— Bądźcie zdrowe, babuszki, może będzie lepiej.
— Nie, będzie gorzej. Gorzej będzie.
— Myślicie, że gorzej?
— Gorzej, codziennie gorzej i gorzej. Gorbaczow, on w Moskwie rządzi.
— Dlaczego w Moskwie? W całym kraju.
— Powiedzcie mu, że herbatki nie ma z czym popić. Licho się żyje. Powiecie?
— Powiem.

Ulica jest dziś z dala od nowoczesnego centrum, obsadzona wspaniałymi drewnianymi domami pamiętającymi (wbrew planom właścicieli tego kraju) jeszcze zeszły wiek. Domy są duże, zwykle parterowe, ciemne, z kolorowymi, rzeźbionymi okiennicami — niebieskimi, zielonymi, białymi. Okna patrzą niemal znad samej ziemi. Ulica prowadzi do kurortu Usolje, równie starego jak ona sama. Jest długa. Pod numerem trzecim, blisko rzeki, w 1818 roku polscy zesłańcy założyli kościół. I wtedy ten dom niewiele różnił się od pozostałych, teraz — bez krzyża — jest taki sam, jak inne.

Pukam. Kobieta idąca po wodę do studni tłumaczy, że mieszkają tam cztery rodziny. Dobijam się, jak się zdaje bez skutku. W pewnej chwili otwiera się wysoka brama i staje na progu maleńka, pomarszczona, przygłucha i bezzębna kobieta w chustce na głowie. Pyta, czego chcę. Próbuję przekrzyczeć ujadające psy i jej niesłyszące uszy. Opowiadam, że przyjechałam z Polski, że tu byli Polacy (czy wie?) zesłańcy, kościół w tym domu, krzyż, ołtarz... Milczy. Po chwili równie długo i głośno tłumaczy, że kiedy tu przyszła z mężem po wojnie, śladu po Polakach i krzyżach nie było. Po kościele też. Wszystko zniszcz-

czone, długo remontowali, a potem mąż umarł i żyje sama za 30 rubli renty i śpi ubrana, bo taki ziąb.

Patrzę na tę dziwną, nieco wschodnią, bardzo starą twarz, zamazane szkła okularów, ciemne ubranie, sękate ręce. Za jej plecami zaglądam na podwórko — graciarnię niezwykle kolorową i malowniczą. Rozmaite sprzęty, miska, części narzędzi, resztki butów, plakatów, jedzenia dla zwierząt. Wszędzie poprzyczepiane tasiemki lub skrawki materiału, jak w świętym miejscu nad Bajkałem. Wreszcie ośmielam się poprosić, żeby wpuściła mnie do środka. Waha się krótko.

Z przedsionka, gdzie stoi drewniane łóżko i nie ma miejsca nawet, żeby przystanąć, przechodzę do jedynego pokoju, jak go nazwać — gościnnym? Jest bardzo czysto. Niezbędne sprzęty (półeczki, krzesła, jeszcze jedno łóżko) niemal niewidoczne pod bukietami kwiatów. Kwiaty suszone i kwiaty wyschnięte, bibułkowe i plastikowe, świeże i cięte i doniczkowe, trochę zwiędłe i zupełnie nowe, wszędzie. Także na okrągłym, na środku pokoju stojącym stole. Pachnie pleśnią, mdłym lekarstwem, lepko słodkawym ciepłem. Serweta na stole jest zniszczona i pocerowana w każdym niemal miejscu, ale starannie wykrochmalona, aż sztywna, biała. W centrum duży portret Stalina w ozdobnych ramach. Domowe mauzoleum.

Taka mi zostanie fotografia z polskiego kościoła w Usolju.

Młodej dziewczynie z Sachalina w dworcowej knajpie w Usolju Sybirskim, nad kompotem, bo nie ma nic innego i kobieta przy kontuarze nie rozumie, dlaczego miałoby być, w zapoconym nieświeżym powietrzu poczekalni opowiadam o witrażach katedry Notre Dame. Patrzy na mnie wzrokiem, który mnie peszy. Pełny uwielbienia podziw miesza się w nim z leciutkim niedowierzaniem, szczególnie wówczas, gdy na jej prośbę opisuję wygląd paryskich ulic i sklepów. Coraz trudniej mi mówić, coraz bardziej czuję się winna i niezasłużenie uprzywilejowana, bąkam coś w końcu o tym, że i ona, że przecież wszystko jest możliwe... Grzebię w torebce, w końcu udaje mi się odszukać długopis z Paryża. Daję go jej i lekkomyślnie obiecuję, że kiedyś sama zobaczy ślimaki i gotyk i będzie umiała odróżnić Wersal od Kremla.

W podbajkalskim osiedlu Bolszoj Ług także mieszkają potomkowie zesłańców. Na przykład mąż Tani Azowskiej jest praprawnukiem polskiego powstańca, a jej siostra Lena tak opowiada:

„Wiem ze słów babci, Haliny Sawickiej, że Władysława Sawickiego, studenta uniwersytetu z Krakowa, zesłano do jakiejś

wsi pod Irkuckiem. Pracował jako kowal, studiował języki obce. Ożenił się z rosyjską chłopką. Potem zastrzelił się. Był zbyt wrażliwy. Wkrótce przysłano ułaskawienie. Przywrócono też szlachectwo, co pozwalało m.in. studiować za darmo na uczelniach carskiej Rosji. Korzystały z tego dzieci. Syn ukończył instytut techniczny i kierował budową zabajkalskiego traktu.

Z Moskwy do Irkucka jest 5.191 kilometrów. Pociągiem jedzie się 84 godziny, czyli trzy i pół doby. Z Irkucka do Wierszyny już blisko, nieco ponad 200 kilometrów. Kiedy tu przyjeżdżali na początku wieku Polacy z podkatowickich wsi, podróż trwała koleją dwa tygodnie. Do Czeremchowa. Dalej tylko 67 osób przedostało się przez Angarę do ukrytej w górach buriackiej miejscowości Wierszyna. Dziś jest to jedyna na Syberii wieś, gdzie mówi po polsku trzecie pokolenie. Dzielą świat na „Sybir" i „Polszę". Mówią — „u nas w Sibirii" i „u was w Polsze".

Na początku zachłystywali się pięknem i bogactwem tej ziemi. Potem niektórzy chcieli wracać, utrudzeni koniecznością ciężkiej pracy i niewygodami długiej zimy, ale przeszkodziła wojna. Zostali. Postawili domy wyrąbane z sosnowych brewion, wodne młyny i studzienne żurawie. Poozdabiali drewniane okiennice i małe ogródeczki. Zżyli się ze sobą. Pożenili. Nie chcieli się łączyć z tubylczą ludnością. I dziś rosną wnuki dobrowolnych osadników Mitręgów, Traczyków, Pietrasów, Zielińskich. Razem dwieście osób.

Mówią po polsku. „Jak dziwnie gadasz, Hania. To tak teraz w Polsce wszyscy gadają?" — pytali przed kilkunastu laty Hannę Krall. Dziś słuchają polskiej mowy z pełnym nabożeństwa skupieniem. „Przepraszam, proszę pana — zapomnięte, bo nie wiemy kaj to użyć". Po polsku nie piszą i nie czytają. Ich marzenie o nauczycielce spełni niedługo mieszkanka Wierszyny — Ludmiła Figura — która właśnie pojechała studiować na gdańskim uniwersytecie, by wrócić do rodzinnej wsi i uczyć polskiego. Niepiśmienni rodzice przekazywali polskość w mowie i „w śpiwkach". Toteż śpiewają „Szła dzieweczka do laseczka" i „Piąty raz dojrzały wiśnie i maliny" ku uciesze i zachwytowi okolicznych Buriatów, od których wzięli tarasun, czyli bimber, i uwielbienie dla tajgi. Sąsiedzi są wiernymi widzami ich folklorystycznego zespołu Jarząbek, który założyli dla kontynuowania tradycji. Narzekają bardzo na brak polskiego kalendarza, bo nie wiedzą, kiedy już wolno zacząć „Bóg się rodzi...". Tutaj się nie da sugerować pierwszym śniegiem.

A od 1930 roku ksiądz po kolędzie już nie przyjeżdża. Kościół, który sami zbudowali — zniszczono. Swój, Polak, zwalił dzwonnicę, a potem uciekł do kraju. Tam zmarł i w Wierszynie

mówią, że „Pan Bóg go skarał". Organy, obrazy — powywożono, potopiono. Nie ma kościoła i drugie pokolenie jest już niechrzczone. Ale chcieliby, żeby kościół był, „żeby się ostała ta kultura, co ją ojcowie nasi z Polski przywieźli".

„Gorbaczow — mówią — rozwiązał języki", więc opowiedzą o 1937 roku, jak to zebrano chłopów, „samych robotiagów" — Janaszków, Figurów, Wiktorowskich, Raczków, i ślad wszelki po nich zaginął. Wiedzą, co się działo przedtem i potem. Wiedzą, czym jest Syberia na mapie wspólnego polskiego losu. Paradoksalnie — nie ma w nich przed tą ziemią lęku.

Do kraju nie tęsknią, bo albo go już nie pamiętają, albo w ogóle nie znają. Tak, chcieliby zobaczyć, jak tam jest naprawdę. Ale nie lubią się ruszać z Wierszyny. Swoje groby mają w lesie na wzgórzu.

Zostały nazwiska.

Zostały fotografie Wojciechowiczów, Skarżyńskich, Godlewskich, Milewskich, Jastrzębowiczów, Depczyńskich, Łokuciewskich, Mikuliczów, Ziółkowskich...

W zbiorach irkuckiego muzeum jest spory portret Henryka Sienkiewicza z autografem i dedykacją: Antoniemu Porębskiemu czytelnikowi — ziomkowi — Warszawa, sierpień 1902. Jest wiele osobistych rzeczy należących do polskich zesłańców — ich zegarki, talerze, stoliki. Jest miniatura przedstawiająca polskiego króla Jana Sobieskiego. Jest okaryna i książka „Hrabia de Monte Christo". Jest drewniana popielnica w kształcie polskiego, narodowego (!) buta z napisem: Zakopane. Zostało kilka modlitewników „na polskom jazykie".

Agata TUSZYŃSKA

październik 1989

Andrzej SUCHCITZ

SPRAWA NADANIA GEN. KOMOROWSKIEMU KRZYŻA KOMANDORSKIEGO ORDERU VIRTUTI MILITARI

Za działania w II wojnie światowej tylko dwóch polskich dowódców otrzymało Krzyż Komandorski Orderu Wojennego Virtuti Militari (II klasy). Byli to gen. dyw. Władysław Anders, dowódca 2 Korpusu, oraz gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski, dowódca Armii Krajowej. O ile odznaczenie gen. Andersa nie budziło żadnych poważniejszych wątpliwości, to nadanie tegoż orderu gen. Borowi-Komorowskiemu było bardziej problematyczne i spowodowało kontrowersję, zakończoną rezygnacją kanclerza Kapituły Orderu.

Wniosek o odznaczenie generała Tadeusza Komorowskiego Krzyżem Komandorskim wpłynął od Naczelnego Wodza, gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, który w piśmie do Kapituły z 29 września 1944 podkreślił zasługi dowódcy Armii Krajowej: „po chlubnie odbytej kampanii wrześniowej tworzy tajną organizację wojskową na terenie Krakowa i Małopolski Zachodniej i dowodzi okręgiem, następnie obszarem ZWZ. W początkach 1940 r. zostaje zastępcą komendanta głównego Związku Walki Zbrojnej (późniejszej Armii Krajowej). Po aresztowaniu gen. Kaliny-Roweckiego został przeze mnie mianowany dowódcą Armii Krajowej.

W ciągu pięcioletniej pracy żołnierskiej, prowadzonej w najtrudniejszych warunkach konspiracyjnych, gen. Tadeusz Bór-Komorowski składa dowody najwyższego męstwa, hartu ducha i siły charakteru. Oddaje on walczącej nieustannie i zwycięsko

Armii Krajowej olbrzymie usługi, jako jej współtwórca, a następnie dowódca.

Walki ZWZ, następnie Armii Krajowej na przestrzeni lat 1939-1944 r. to jeden wielki epos żołnierski, jedna wielka bitwa Narodu, walczącego z najazdem o przyszłość, całość, niepodległość i wielkość Polski. Armia Krajowa w największym trudzie i wśród niezliczonych ofiar osiąga szczyty techniki konspiracyjnej, form i metod walki podziemnej, pełnej sukcesów i zwycięstw nad potężnym wrogiem. Walki Armii Krajowej, niezależnie od ich wagi politycznej, mają wielkie znaczenie moralne dla Kraju, podtrzymują i krzepią ducha uciskanej ludności, utwierdzają społeczeństwo w jego nieugiętej postawie wobec okupanta.

Jako organizator i dowódca akcji zbrojnej 'Burza', Gen. Bór-Komorowski wykazał w najcięższych warunkach umiejętność śmiałego i pełnego inicjatywy prowadzenia operacji wojennej w większym stylu. Jako dowódca zadecydowanych przez władze krajowe operacji powstańczych w Warszawie, Gen. Tadeusz Bór-Komorowski dzięki inicjatywnemu, umiejętnemu i pełnemu woli niezłomnej dowodzeniu, potrafił walki, obliczone pierwotnie na krótki przeciąg czasu, rozwinąć w wielką, długotrwałą i legendarną już dzisiaj bitwę. W bitwie tej oddziały Armii Krajowej, bez odpowiednich zasobów, uzbrojone niedostatecznie, osamotnione i pozbawione należytej pomocy z zewnątrz, toczą przez dwa miesiące przy współdziałaniu ludności stolicy śmiertelny bój przeciwko potężnemu wrogowi, rozporządzającemu przytłaczającą przewagą techniczną. Obrona Warszawy stanowi jedyny w dziejach tej wojny przykład tak długotrwałej i nieugiętej walki, w warunkach podobnie straszliwej dysproporcji sił. Jest ona, bez względu na wynik końcowy, niewątpliwym zwycięstwem żołnierskiego ducha i żołnierskiego honoru nad brutalną przemocą fizyczną.

Dopiero historia odsłoni, jakie znaczenie w ramach tej wojny miała dla losów Polski bitwa o Warszawę. Ale już teraz stwierdzić trzeba, iż stanowi ona czyn bojowy miary najwyższej.

Gen. dyw. Bór-Komorowski zasługuje w całej pełni na odznaczenie go Krzyżem Komandorskim VIRTUTI MILITARI za całokształt dowodzenia Armią Krajową i jej historycznymi bojami"[1].

Ciekawe, że we wniosku tym gen. Sosnkowski zaznacza, iż

1. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego (IPMS): A.XII.77/1 — pismo Naczelnego Wodza do Kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari, 29 września 1944.

decyzja powstania została powzięta przez władze krajowe, tak jakby odsuwał od siebie odpowiedzialność, którą jako Naczelny Wódz ostatecznie ponosił. W dzień po wystosowaniu powyższego pisma gen. Sosnkowski już nie był Naczelnym Wodzem, a w pięć dni później gen. Komorowski był w niewoli niemieckiej. 30 września 1944 Kapituła Orderu Wojennego Virtuti Militari przygotowała formalny wniosek, do którego załączono pismo gen. Sosnkowskiego oraz wybór depesz gen. Komorowskiego z okresu Powstania Warszawskiego, opatrzony komentarzem szefa Sztabu NW, gen. Stanisława Kopańskiego, że: „nie ulega wątpliwości, że tak długie trwanie i bezprzykładna zaciętość obrony Warszawy, nie mająca sobie równej w dziejach tej wojny i stanowiąca nadzwyczajny czyn bojowy — stały się możliwe tylko dzięki umiejętnościom dowódczym gen. Komorowskiego, jego zdecydowaniu, spokojowi, odwadze i ogromnej sile woli"[2]. Wniosek został podpisany przez wszystkich obecnych członków Kapituły oprócz sędziwego kanclerza gen. broni Lucjana Żeligowskiego, liczącego wówczas 79 lat. Pierwsze omówienie wniosku odbyło się 30 października 1944 na posiedzeniu Kapituły w Edynburgu. Na wstępie gen. Żeligowski w krótkim przemówieniu oddał hołd bohaterskiej Warszawie, zaznaczając, że „naród nie zazna spokoju, dopóki tragedia Warszawy nie będzie wyjaśniona w sposób całkowity i bezkompromisowy", lecz że „dziś możemy tylko kornie schylić czoła w hołdzie dla tych, którzy oddali swoje życie za ideały i honor narodowy". Prosił członków Kapituły o wstanie i zarządził trzyminutową ciszę celem oddania hołdu „tak nam wszystkim bliskim i tak przez nas kochanym bohaterkom i bohaterom Warszawy"[3]. Następnie przystąpiono do omówienia wniosku odznaczenia Bora. Referentem wniosku był gen. bryg. Gustaw Paszkiewicz, zastępca kanclerza Kapituły. Odczytał materiały dostarczone przez Oddział VI Sztabu NW (odpisy depesz Bora) i pismo byłego Naczelnego Wodza. Gen. Paszkiewicz podkreślił fakt nawiązania łączności na całym terenie okupacji niemieckiej i zasilanie Warszawy spoza stolicy. Uznał okres dowodzenia AK przez Bora za „okres najbardziej intensywnych walk z Niemcami... ponad 5-cioletnią walkę o niepodległą i suwerenną Polskę kończy tragiczną, a niesłychanie ważną dla przyszłości Polski bitwą o Warszawę, która poruszyła sumienia całego świata, bitwą, która na tle całej długiej historii

2. IPMS: A.XII.77/1 — załącznik numer 2 do wniosku odznaczeniowego gen. T. Bór-Komorowskiego.

3. IPMS: A.XII.77 — protokół nr 13 z posiedzenia Kapituły Orderu Virtuti Militari, 30 października 1944, s. 1.

Państwa Polskiego ma i będzie miała najwymowniejszą kartę — kartę protestu o samodzielny byt Polskiego Narodu. Praca w podziemiach Polski miała olbrzymie znaczenie polityczne szczególnie wobec nieprzychylnego stanowiska Rosji". Kończąc gen. Paszkiewicz nazwał gen. Komorowskiego symbolem „naszej walki z najeźdźcą i odznaczenie Go — to uznanie przez Kapitułę pracy Armii Krajowej"[4]. Ciekawe, że w niecały rok po tej gorącej wypowiedzi ten sam gen. Paszkiewicz był dowódcą 18 Dywizji Piechoty w Ludowym Wojsku Polskim i brał aktywny udział w walce przeciwko pozostałym grupom akowców celem utrwalenia nowej władzy komunistycznej.

Po referacie Paszkiewicza gen. Żeligowski poprosił członków o wypowiedzenie swoich opinii, zaczynając od najmłodszego stopniem chor. pil. Stanisława Kłosowskiego. Wszyscy byli za wnioskiem oprócz ppłk. pil. Stefana Witorzeńca, który stwierdził, że „powstanie miało tylko znaczenie moralne. Wyższych dowódców należy oceniać nie tylko z punktu widzenia moralnego, a przede wszystkim sukcesu wojennego, jakiego dokonali. Następstwa powstania są tragiczne"[5]. Proponował odłożenie wniosku aż do wyjaśnienia sytuacji. Pułkownik Kazimierz Rybicki, weteran Kapituły z lat dwudziestych, sprzeciwił się interpretacji ppłk. pil. Witorzeńca, głosząc, że powstanie to czyn „Armii Krajowej — zorganizowanej i szkolonej pod ziemią. Powstanie nie było chaotycznym odruchem mas — pozbawionych kierownictwa — było to niespodziewane wystąpienie wojska, starannie zorganizowanego i dobrze wyszkolonego, które poparte wolą całego społeczeństwa Warszawy trwało na posterunku bojowym 63 dni. Jakaż jest odmienna ocena czynu orężnego żołnierza regularnego, dla którego jest pisana ustawa VM, a ocena czynu i działania żołnierza Armii Podziemnej. Dziś nie zastanawiam się nad interpretacją — czy czyn gen. Bora-Komorowskiego podpada pod art. 4 ustawy orderu woj. VM — wychodząc z założenia, że życie jest silniejsze i pisze samo ustawy, chociaż Powstanie upadło"[6]. Właśnie w tym leżało sedno sprawy. Nikt nie kwestionował moralnego zwycięstwa Powstania, lecz było ono niewątpliwie klęską militarną. Dotychczas jeszcze nie nadano Krzyża Komandorskiego za przegraną bitwę. Ustawa mogła mieć i miała niedociągnięcia, ale dopóki jej nie zmieniono, trudno było ją zupełnie ignorować, inaczej podrywało się samą

4. *Ibidem.*
5. *Ibidem.*
6. *Ibidem.*

samą zasadę robienia ustaw lub regulaminów[7].

Po wypowiedzi płk. Rybickiego zabrał głos gen. Żeligowski. Chciał, aby odłożono wniosek celem możliwości zbadania dokładnie i bez pośpiechu wszystkich elementów, między innymi z czyjego rozkazu powstanie wybuchło. Chciał, aby Kapituła trzymała się ściśle ustawy i odłożyła wniosek do następnego posiedzenia. Jak wynikało z wypowiedzi, ośmiu członków Kapituły było za nadaniem orderu, a dwóch za odłożeniem sprawy. Gen. Żeligowski zarządził następnie tajne głosowanie, wynikiem którego pięciu członków głosowało za nadaniem orderu, a pięciu za odłożeniem wniosku. Gen. Paszkiewicz na zapytanie kanclerza oświadczył, że powinno głosować się ponownie. Natomiast kpt. Franciszek Sakowski (sekretarz Kapituły) oświadczył, że kanclerz ma rozstrzygający głos. Płk Rybicki, który był przeciwny rozstrzygającemu głosowi kanclerza uważał, że „zaszedł wypadek bardzo niezręczny". Przy wyrażeniu opinii jawnej ośmiu członków było za nadaniem, a po wyrażeniu zapatrywania kanclerza, który swego zapatrywania nie poddał pod dyskusję — trzech członków zmieniło zapatrywanie... Po co było głosować kartkami, co zostało jawnie stwierdzone"[8]. Widać z powyższego, że jawne głosowanie krępowało część członków Kapituły, wywierając na nich niepożądaną presję. A może argumenty gen. Żeligowskiego trafiły do przekonania owym trzem członkom? Zresztą gen. Żeligowski zapytał słusznie dlaczego płk Rybicki nie protestował przed tajnym głosowaniem. Rybicki oświadczył, że w takim wypadku głos kanclerza będzie rozstrzygający, co oznaczało chwilowe odłożenie wniosku. Tak też kanclerz zarządził. Na zakończenie gen. Paszkiewicz oświadczył, że na następnym posiedzeniu przedstawi dodatkowy materiał.

Jednym z następstw posiedzenia Kapituły było jej zwrócenie się do Prezydenta RP Władysława Raczkiewicza z zapytaniem, kto wydał rozkaz rozpoczęcia powstania. Trzy tygodnie później nadeszła pisemna odpowiedź, że Delegat Rządu na Kraj miał pełnomocnictwa „do powzięcia wszystkich decyzji wymaganych tempem ofensywy sowieckiej, a w razie konie-

---

7. Artykuł 4 ustawy brzmiał: „Krzyż Komandorski — dowódcy Armii lub wyższemu dowódcy, a wyjątkowo dowódcy grupy dywizji lub równorzędnemu, za śmiałe i pełne inicjatywy prowadzenie wojennej operacji, mającej duże znaczenie dla przebiegu wojny. W drodze wyjątku może być krzyż komandorski nadany oficerowi, który przyczynił się wybitnie i w sposób stanowczy do rozstrzygającego zwycięstwa".

8. IPMS: A.XII.77 — protokół nr 13, s.3.

czności nawet bez porozumienia się z Rządem"[9]. 2 listopada gen. Paszkiewicz i kpt. Sakowski odbyli półgodzinną rozmowę z Prezydentem Raczkiewiczem, m.in. celem zaznajomienia go z motywami odłożenia wniosku odznaczenia gen. Komorowskiego. Raczkiewicz również dał wówczas ustną odpowiedź na zapytanie, na czyj rozkaz wybuchło powstanie. Dodatkowe zamieszanie spowodował sfingowany rozkaz pożegnalny gen. Komorowskiego, który krążył po Londynie, mimo że Oddział VI Sztabu NW nic o takim rozkazie nie wiedział. „Rozkaz ten został dołączony do wniosku przedstawionego na posiedzeniu Kapituły 30 października 1944. Na posiedzeniu generał Paszkiewicz jako referent odczytał rozkaz. Po posiedzeniu okazało się, że rozkaz ten był fałszywy. Kpt. Sakowski zrobił odpowiednią notatkę na rozkazie z rozmowy na ten temat z ppłk. dypl. Marianem Utnikiem, szefem Oddziału VI Sztabu NW, i zameldował o tym gen. Paszkiewiczowi. Ten rozkazał, aby nie umieszczać wzmianki o rozkazie w protokole nr 13 posiedzenia Kapituły, co też kpt. Sakowski wykonał[10].

Do wniosku gen. Bora-Komorowskiego powrócono na posiedzeniu Kapituły 18 grudnia 1944. Gen. Paszkiewicz ponownie referował sprawę, odczytując list gen. Stefana Dembińskiego, szefa Gabinetu Wojskowego Prezydenta RP. Nie kto inny tylko generał Paszkiewicz podkreślił, że „Warszawa mogła liczyć na pomoc Rosjan. Rosjanie nie kwapili się z pomocą, ponieważ kierowali się tym samym co i Niemcy, tj. niszczeniem Polaków i Warszawy". Dalej, że „były gen. Żymierski rzucił oskarżenie Borowi, że nie dowodzi w Warszawie, a znajduje się poza Warszawą. Wypowiedzi Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w sprawie Warszawy i oskarżenie gen. Bora-Komorowskiego to odizolowanie się od Narodu Polskiego (...) co by było, gdyby Armia Krajowa nie zaczęła powstania (...) odpowiadam — w opinii świata bylibyśmy kłamcami. Armia Krajowa nie istnieje. Okazałoby się, że Rząd nie panuje nad sytuacją i że to wszystko co mówi rząd polski na emigracji jest nieprawdą. Powstanie moim zdaniem ma wielkie polityczne znaczenie"[11].

Kanclerz podkreślił, że nadmiar polskiej krwi się wylewa, na

9. IPMS: A.XII.77/1 — pismo gen. Paszkiewicza do Prezydenta RP, 2 listopada 1944 oraz pismo gen. S. Dembińskiego do gen. Paszkiewicza z 24 listopada 1944.

10. IPMS: A.XII.77 — oświadczenie kpt. F. Sakowskiego z 17 lutego 1945. Pełny tekst sfingowanego rozkazu gen. Komorowskiego został ogłoszony w *Dzienniku Polskim* z 13 lutego 1945 w artykule por. Pomiana „Od Goebbelsa do lubliniarzy".

11. IPMS: A.XII.77. — protokół nr 15 z posiedzenia Kapituły Orderu Virtuti Militari 18, 19 i 20 grudnia 1944, s. 2-3.

co Paszkiewicz zauważył, że właśnie Moskwa i gen. Żymierski potępiają czyn Bora i że przez to, że poszedł do niewoli, zadał kłam oszczercom. Czyn Bora „to podkreślenie walki o samodzielny byt Narodu", a odznaczenie go „zamknie usta tym, którzy nie wierzą w naszą Niepodległość". Mniej trafnie uważał, że powstanie poruszyło sumienie świata. Poruszyło w takim stopniu, że praktycznie nie zrobiono prawie niczego, aby pomóc walczącemu miastu. Gen. Żeligowski szukał, co zaszło nowego od ostatniego posiedzenia, co mogłoby zmienić sytuację. Podkreślił, że sam będzie się starał o udekorowanie Komorowskiego w odpowiednim czasie. Osobiście był zdania, że powstanie rozpoczęto o kilka miesięcy za wcześnie, a skutkiem powstania było „zniszczenie Warszawy, nieszczęście ludności, kobiet i dzieci"[12]. Nie rozumiał, dlaczego z takim pośpiechem chce się nadać gen. Komorowskiemu Virtuti Militari. Płk Rybicki zauważył, że odkładanie wniosku „to uchylenie się od spełnienia obowiązku". Należy zaznaczyć, że ostry sąd kanclerza nie był głosem całkiem odosobnionym wśród polskich żołnierzy na Zachodzie. Gen. Władysław Anders, dowódca 2 Korpusu we Włoszech, w depeszy do Ministra Obrony Narodowej gen. Mariana Kukiela oddał hołd bohaterstwu Warszawy, ale zauważył, że „żołnierz nie rozumie celowości powstania w Warszawie (...) wywołanie powstania uważamy za ciężką zbrodnię i pytamy się, kto ponosi za to odpowiedzialność"[13]. Jak na poprzednim zebraniu, tak i na tym wyraz spokojnego rozumowania dał ppłk pil. Witorzeńc, który stwierdził, że „szybkie nadanie orderu gen. Borowi-Komorowskiemu — może okazać się niesłusznym... a ... jeżeli gen. Bór poszedł do niewoli — to nic nadzwyczajnego, bo wypływa to ze spełnienia obowiązku". Dodatkowo nie był wcale pewny, że powstanie poruszyło sumienie świata[14].

Następnie zabrał głos płk Rybicki, który uważał że wbrew temu co mówił gen. Żeligowski, nie było dyskusji na poprzednim zebraniu. Stwierdził, że głosowanie które się odbyło nie wyrażało „faktycznej woli członków Kapituły i stanowi tylko opinię przypadkową skutkiem błędu natury proceduralnej". Tłumaczył to tym, że w jawnym głosowaniu 8 głosów padło za wnioskiem, a 2 przeciwko. W tajnym głosowaniu odbytym po przemówieniu kanclerza — bez dyskusji — głosy były podzielone 5 na 5. Płk Rybicki uważał, że dalsze odkładanie sprawy byłoby szkodliwe i należałoby „kategorycznie odpowiedzieć, czy

12. *Ibidem*, s. 3.

13. IPMS: KOL.11/10 — depesza gen. Andersa do gen. M. Kukiela, 24 sierpnia 1944.

14. IPMS: A.XII.77 — protokół nr 15, s. 3-4.

odznaczenie nadać gen. Borowi-Komorowskiemu, czy też wniosek Naczelnego Wodza uchylić...". Sam był za wnioskiem, opierając się, jak sam mówił, „na przesłankach wojskowych". Zwycięski pochód Armii Czerwonej i inwazja zachodniej Europy w pełni uzasadniały decyzję dowódcy AK. Uważał, że walka o Warszawę była formą współdziałania operacyjnego z armią sowiecką przez to, że zamiarem Bora było „utrudnienie przemarszu niemieckich sił na wschodni brzeg Wisły"[15]. Swój wywód płk Rybicki zakończył stwierdzeniem, że „wiemy z naszej przeszłości, że chociaż w wyniku końcowym wojna była przegrana — wysokie odznaczenia VM otrzymali Naczelnik gen. Tadeusz Kościuszko, Naczelny Wódz Książę Józef Poniatowski". Zapomniał w tym miejscu dodać, że obaj wyżej wymienieni odnieśli zwycięstwa w bitwach przed ostatecznie przegraną wojną. Trudno porównać Powstanie Warszawskie do wojny. Była to jedna z bitew sześcioletniej wojny, i to bitwa w sensie czysto militarnym przegrana. Zresztą Kościuszko i Poniatowski otrzymali ordery w czerwcu 1792, a więc nie tyle za całokształt dowodzenia, ile za osobistą odwagę. Później książę Poniatowski otrzymał Krzyż Wielki (I klasy) za czasów Księstwa Warszawskiego[16].

Generał Paszkiewicz podkreślił, że nienadanie orderu podtrzymałoby oskarżenia Moskwy przeciwko gen. Komorowskiemu i niepodległej Polsce. Zauważył, że „mamy wielką tragedię, gdy idzie o naszych generałów. Są generałowie chwaleni przez Rosjan, przez Anglików. Przecież celem nas wszystkich jest Niepodległość Polski, a nie pochwały obcych". Kanclerz zrozumiał te słowa tak, że jeżeli Polacy pójdą z Niemcami, to wojna będzie wygrana, a jeżeli z Rosją, to przegrana. Nastąpiło ostre spięcie między obu generałami i Paszkiewicz zdecydowanie odciął się od interpretacji kanclerza[17]. Na sugestię płk Rybickiego zabrano się do głosowania. Ppłk pil. Witorzeńc był zdania, że należy zaczekać do „czasu uzyskania danych co do opinii publicznej Warszawy odnośnie powstania". Według niego ocena bilansu powstania może być tylko ujemna. Płk Rybicki był zdania całkiem odmiennego. Nie uważał, że można porównywać powstanie do inwazji kontynentu. Prawdę mówiąc płk Rybicki przekręcił tu słowa Witorzeńca, który wcale nie porównywał obu akcji, zauważył tylko, że sprzymierzeńcy musieli kalkulować wszystkie możliwości przed inwazją i że gen. Komorowski powinien był zrobić to samo.

---

15. *Ibidem*, s. 4.

16. Grzegorz Krogulec, *Uwagi o orderze wojskowym Virtuti Militari*, Warszawa 1987, s. 9, 11, 17-18.

17. IPMS: A.XII.77 — protokół nr 15, s. 5.

Gen. Paszkiewicz wyjaśnił, że nie dołączył „rozkazu" gen. Komorowskiego do protokołu poprzedniego zebrania, gdyż wyszło na jaw, że był on sfingowany. Gen. Żeligowski przerwał dalszą dyskusję, polecając jawne głosowanie, tak aby wiedziano, jak kto głosował. Za jawnym głosowaniem padło 9 głosów, przeciwko jeden. Za nadaniem gen. Komorowskiemu Orderu Virtuti Militari II klasy padło osiem głosów: chor. pil. Stanisław Kłosowski, chor. Józef Pełko, kpt. mar. Józef Bartosik, kpt. Bronisław Kliś, kpt. Franciszek Sakowski, kmdr. por. Stanisław Nahorski, płk mgr Kazimierz Rybicki i gen. bryg. Gustaw Paszkiewicz. Za odłożeniem wniosku padły dwa głosy: ppłk pil. Stefan Witorzeńc i gen. broni Lucjan Żeligowski. Brakowało trzech członków Kapituły — gen. bryg. Stanisława Maczka, który był na froncie ze swą 1 Dywizją Pancerną, mjr. pil. Stanisława Kucharskiego, który służbowo wyjechał do Kanady, oraz bosmana Lucjana Wyrwantowicza z powodu wyjścia jego okrętu na morze. Wobec wyniku głosowania kanclerz stwierdził, że uchwalono przedstawienie Prezydentowi RP wniosku na odznaczenie gen. dyw. Tadeusza Bora-Komorowskiego komandorią orderu Virtuti Militari „za śmiałe i pełne inicjatywy dowodzenie Armią Krajową w historycznym boju o wyzwolenie Warszawy z rąk najeźdźcy w okresie od dnia 1 sierpnia 1944 do dnia 3 października 1944". Wniosek został podpisany przez wszystkich obecnych członków oprócz kanclerza, który odmówił złożenia podpisu. Nie pomogły wyjaśnienia gen. Paszkiewicza i kpt. Sakowskiego, że cała Kapituła podpisuje wniosek po zapadnięciu uchwały większością głosów[18]. Później, już po rezygnacji, generał Żeligowski zwrócił się do Kapituły prosząc o przesłanie protokołu z 18 grudnia 1944 do podpisania „w części uchwalenia wniosku o nadaniu Orderu 2-giej klasy generałowi Borowi..."[19]. Kapituła nie przychyliła się do tej prośby. Wracając do posiedzenia 18 grudnia: po odmowie gen. Żeligowskiego podpisania wniosku posiedzenie przerwano. Kiedy je wznowiono, kanclerza już nie było. Następnego dnia gen. Żeligowski wysłał Prezydentowi Raczkiewiczowi telegram z rezygnacją ze stanowiska kanclerza Kapituły Orderu Virtuti Militari. Nazajutrz Żeligowski przedstawił Prezydentowi szczegółowy meldunek, motywując swoją rezygnację uchwałą Kapituły o przedstawieniu wniosku nadania gen. Komorowskiemu orderu Virtuti Militari II klasy:

(...)

18. *Ibidem*, s. 5-7.

19. IPMS: A.XII.77 — gen. Żeligowski do gen. G. Paszkiewicza 20 stycznia 1945. Pismo to stanowi załącznik nr 2 do 17 protokołu z posiedzenia Kapituły, 31 stycznia do 2 lutego 1945.

„1) Dziś jeszcze nie mamy wszystkich elementów potrzebnych dla tej uchwały. Nie wiemy czemu powstanie nie było dostatecznie przygotowane i rozpoczęło się na kilka miesięcy za wcześnie, czemu nie było wywiadu o stanie armii niemieckiej na przedpolu Pragi, czemu nie było ścisłej łączności z dowództwem armii Sowietów. Nareszcie czemu nie były zabezpieczone dostawy przez inne armie sojusznicze. Te wszystkie dane będziemy posiadać dopiero po zakończeniu wojny, kiedy to będą mogli wypowiedzieć się wszyscy uczestnicy bohaterskiej stolicy.

2) Na posiedzeniu Kapituły 31 paźdz. 1944 (winno być 30-go — A.S.) figurował rozkaz pożegnalny gen. Bora, w którym dawał wskazówki swoim żołnierzom i stanowczo żądał, ażeby składano broń na ręce niemieckie i aby unikano współpracy z armią Sowietów.

Na posiedzeniu 18 grudnia 1944 referent gen. Paszkiewicz stwierdził, że rozkaz ten był sfałszowany. Wytworzyła się groźna sytuacja, nie wiadomo było bowiem, jakie dokumenty są prawdziwe, a jakie sfałszowane. Fałsze dotarły nawet do dokumentów Kapituły. Tym łatwiej mogą one trafić do oddziałów bojowych i ludności. W takich warunkach nie wiemy, co wróg może zrobić z uchwałą Kapituły i czy jej nie wykorzysta dla własnych celów.

3) W marcu br. jako poseł na Sejm warszawski wydałem odezwę do rodaków, przypominając im, że jesteśmy Słowianami, wezwałem do czujności wobec fałszerstw niemieckich, zdążających do wywołania zatargu zbrojnego między bratnimi słowiańskimi narodami — polskim i rosyjskim.

Swoją rezygnacją pragnę podkreślić myśli zawarte w tej odezwie. Prawda Idei Słowiańskiej jest szczególnie wyraźna w dobie obecnej. W Niej bowiem tkwi największa siła Polski, i moralna, i historyczna, i geo-polityczna.

Zbyt pospieszna dekoracja gen. Bora może zaszkodzić interesom Polski. Godność Narodu i najwyższej odznaki bojowej wymagają, ażeby, po zakończeniu wojny, wyjaśniony był najdrobniejszy szczegół warszawskiej tragedii.

To są powody, które mnie zmusiły do zrezygnowania z godności kanclerza.

Pragnę przestrzec, że na szwank może być narażony nie tylko *prestige* Kapituły, lecz i losy Narodu"[20].

Odkładając na bok sprawę idei panslawistycznej, którą gen. Żeligowski silnie popierał w ostatnich latach życia, jego list

20. IPMS: A.48.1/W — telegram i list gen. L. Żeligowskiego do Prezydenta RP W. Raczkiewicza, 21 grudnia 1944.

doskonale ilustruje, jak ograniczone informacje posiadała Kapituła. Wystarczy wskazać na przykład sprawę rzekomego braku wywiadu o armii niemieckiej. Szef Oddziału II Komendy Głównej AK, płk dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki, przedstawił dokładnie wszelkie dane o tych siłach i ich wzroście. Inną już rzeczą jest, że informacje te nie były wzięte pod uwagę przy ostatecznej decyzji o rozpoczęciu powstania.

Pismem z dnia 19 stycznia Prezydent Raczkiewicz zwolnił gen. Żeligowskiego z obowiązków kanclerza Kapituły, dziękując mu „za pracę na tym stanowisku, będącą dalszym ogniwem w Jego długoletniej, pięknej żołnierskiej służbie dla dobra Ojczyzny"[21]. Jednocześnie Raczkiewicz powołał gen. Gustawa Paszkiewicza na p.o. kanclerza Kapituły. 6 kwietnia 1945 gen. Paszkiewicz przeprowadził rozmowę z Prezydentem, podczas której m.in. poprosił o zatwierdzenie odznaczenia gen. Komorowskiego II klasą orderu. Wiążącej odpowiedzi nie otrzymał. Przeszło dwa lata minęły, nim sprawa odznaczenia gen. Komorowskiego została ostatecznie załatwiona, chociaż nie bez pewnych oporów, tym razem samego odznaczonego. Zaszły również zmiany w składzie Kapituły. W lipcu 1945 gen. Paszkiewicz, który tak bojowo bronił honoru polskiego słowami, wyjechał do Polski i zaciągnął się w szeregi Armii Ludowej. Gen. Stanisław Maczek objął stanowisko p.o. kanclerza Kapituły. W grudniu 1946 Prezydent RP wyznaczył gen. dyw. Władysława Andersa kanclerzem. Na posiedzeniu Kapituły 16 kwietnia 1947 gen. Anders zapoznał zebranych (ze starej Kapituły pozostali gen. Maczek, kmdr Nahorski i chor. pil. Kłosowski, z nowych byli gen. Tadeusz Bór-Komorowski, gen. Stanisław Kopański, gen. Bronisław Duch, płk Władysław Bobiński, ppłk pil. Aleksander Gabszewicz, ppłk Andrzej Stańczyk, ppłk Aleksander Florkowski, chor. Karol Czechowski i wachm. pchor. Czesław Zieliński) z wyjątkami protokołów zebrań z 18-20 grudnia 1944 odnośnie odznaczenia gen. Komorowskiego (obecnie członka Kapituły). Gen. Anders zapytał członków, czy podtrzymują decyzję poprzedników o nadaniu orderu. Wszyscy byli za nadaniem, wobec czego kanclerz podał decyzję Kapituły do wiadomości gen. Komorowskiemu. Wówczas Komorowski poprosił, „aby Prezydent nie nadawał mu odznaczenia w obecnym okresie"[22]. Gen. Kopański proponował, aby wniosek przedstawić Prezydentowi do zatwierdzenia z tym, że wstrzymano by ogłoszenie odznaczenia w rozkazie.

21. IPMS: A.48.1/W — list Prezydenta Raczkiewicza do gen. Żeligowskiego 19 stycznia 1945.

22. IPMS: A.XII.77 — protokół nr 25 z posiedzenia Kapituły Orderu Virtuti Militari, 16 kwietnia 1947, s. 2.

Dnia 20 kwietnia 1947 Prezydent Raczkiewicz podpisał rozkaz, nadający krzyż komandorski orderu Virtuti Militari gen. Borowi-Komorowskiemu. Rozkaz ten nigdy nie został ogłoszony w *Dzienniku Personalnym.*

Nadanie orderu zamknęło dwu i pół letni okres od pierwszego wniosku o nadanie. Gdyby rzeczywiście zaczekano z wnioskiem do zakończenia wojny, co pozwoliłoby zebrać więcej danych o Powstaniu Warszawskim i roli dowódcy AK, kontrowersja która nastąpiła przypuszczalnie nie miałaby miejsca. Pośpiech nie był wskazany, ponieważ wówczas decyzja o nadaniu orderu musiała być powzięta bez wszystkich danych, co później mogło się odbić ujemnie na pracach Kapituły. Fakt, że tak się nie stało, nie uzasadnia *a posteriori* pośpiechu. Ostatecznie zwycięscy generałowie wojny polsko-sowieckiej 1919-1920 musieli czekać dwa lata po zakończeniu wojny, nim zostały nadane pierwsze krzyże komandorskie. Na pierwszy rzut oka odznaczenie gen. Bora-Komorowskiego stwarzało nowy precedens — odznaczenie bardziej za postawę moralną niż za zwycięstwo wojenne. W tym wypadku raczej za wojskową klęskę, co rzeczywiście było pierwszym takim odznaczeniem w nowoczesnych dziejach orderu. Natomiast należy podkreślić, że wielu dowódców wojny polsko-sowieckiej odznaczonych komandorią orderu otrzymało je tyleż za postawę moralną co za zwycięskie dowodzenie. Przykładowo można wymienić generałów Wacława Iwaszkiewicza, Stanisława Hallera czy samego Lucjana Żeligowskiego.

Ciekawe jest, że gen. Bór-Komorowski nie otrzymał orderu za całokształt dowodzenia Armią Krajową, lecz za samo Powstanie Warszawskie. Można przypuszczać, że kryła się za tym świadomość, że wówczas order należałby się bardziej gen. Stanisławowi Roweckiemu. Również nasuwa się myśl, że odznaczenie to było raczej symbolicznym uznaniem bohaterstwa żołnierzy i ludności cywilnej walczącej Warszawy, niż osobistym wyróżnieniem wojskowych umiejętności dowódcy Armii Krajowej. Zresztą gen. Bór-Komorowski w swojej skromności dał temu wyraz, będąc przeciwny nadawaniu mu orderu (przynajmniej chwilowo) i ogłoszeniu rozkazu, nadającego mu komandorię orderu Virtuti Militari.

Andrzej SUCHCITZ

WSPOMNIENIA

Józef KUROPIESKA

JAK KANDYDOWAŁEM NA SENATORA

Gdzieś w marcu 1989 r. około godz. 22.15 wpadł do mnie minister Aleksander Kwaśniewski wprost z Magdalenki, by mi obwieścić, że debatujący czołowi rzecznicy obu umawiających się stron okrągłego stołu zgodzili się na powołanie senatu. Na moje pytanie, kto będzie Izbie Najwyższej „marszałkował" — usłyszałem — „Wałęsa, ale to tajemnica". Z kolei powiedział, że dyskutujący ten temat niewiele o nim wiedzieli i prosił, abym mu pomógł w zebraniu odpowiedniego materiału. Poprosiłem żonę, by nakarmiła wygłodniałego gościa, a sam zabrałem się do szukania w moim sporym księgozbiorze jakichś odpowiednich publikacji. Przyrzekłem, że cały jutrzejszy dzień poświęcę tej sprawie i najpóźniej w poniedziałek przekażę mu rano odpowiednie materiały (była sobota późny wieczór).

Następnego dnia w niedzielę udałem się do biblioteki Kierbedziowej (stara przedwojenna nazwa) na ulicę Koszykową. Znalazłem kilkanaście pozycji, między innymi Bardacha, Leśnodorskiego, Ajnenkiela.

W poniedziałek prawie o świcie byłem już w bibliotece sejmowej, gdzie dzięki wyjątkowej życzliwości i uczynności pani Barbary Pochrzęst, w ciągu kwadransa miałem już w worku 11 doskonałych publikacji, które natychmiast odesłałem do Urzędu Rady Ministrów Aleksandrowi Kwaśniewskiemu. Zdumiewające, jak wspaniale zostały wydane w 1921 roku znakomite albumy

posłów i senatorów z fotografiami i sensownie opracowanymi biogramami. Dziś, choć byłem posłem przez 2 kadencje (8 lat) nie ma o tym śladu, choć zacząłem posłowanie przed 32 laty. Brak nawet porządnych spisów (a przecież Sejm Ustawodawczy został powołany i trwał w czasie wojny 1918-1921). Jest to przykre, ale prawdziwe.

Po kilku dniach uzupełniłem poprzednio wysłany zbiór książek jeszcze kilkoma dodatkowymi pozycjami dotyczącymi Izb Wyższych w parlamentach Japonii i Stanów Zjednoczonych. Ponoć zostały wszystkie dobrze wykorzystane — jak twierdził pan Aleksander, który brał żywy udział w najbardziej doniosłych spotkaniach prowadzonych w Magdalence.

Ponieważ bardzo byłem ciekawy, jak osądza on swych kontrpartnerów, to często wypytywałem go, jak ich widzi. Bardzo dobre wrażenie wywarł na nim Frasyniuk i uważa go za działacza szczególnej zdatności, wielce rozważnego, o szerokich zainteresowaniach, śmiałego i zdecydowanego. W porównaniu z Bujakiem, który też jest dzielnym, doświadczonym konspiratorem, wielce poprawnym w tym co robi i bardzo dobrym organizatorem — Frasyniuk wydaje się zdatniejszy.

Najinteligentniejszym z całego zespołu znanego mu z Magdalenki wydaje mu się być Adam Michnik, który kiedyś powiedział, że przedstawiciele władzy są nieprzywykli do rozmów z nowymi partnerami (z „S"), jakżeż różnymi od ludowców czy demokratów. Stąd takie trudności w rokowaniach. Pan Adam przyznał się, że kiedyś pokpiwał sobie z Wałęsy, ale w ostatnich latach nabrał przekonania, że Lech jest użyteczny, bo ma charakter i spryt — choć jego wiedza o otaczającym go świecie nie jest ugruntowana i nadmierna.

Zapytany kiedyś, co sądzi o kardynale Glempie, odpowiedział, że jest to skrzyżowanie gen. Baryły i redaktora Lobmana. Po artykule pod tytułem „Wasz prezydent, nasz premier", zapytany przez współkolegę z „S", kogo miał na myśli jako premiera — odpowiedział bez zająknięcia, że siebie — co zdziwiło pytającego.

Z różnych spotkań, jakie miał Kwaśniewski, ciekawa była rozmowa jego ze Stelmachowskim, który przewodził 3-osobowemu zespołowi starców — a jego przeciwnikiem był Kwaśniewski z dwoma młodszymi od siebie kolegami. Widok 30-latków naprzeciw starego, wielce wymownego prof. Chrzanowskiego, ponad 60-letniego Stelmachowskiego z trzecim jeszcze starszym kolegą, wywołał dziwne wrażenie na starych i doświadczonych negocjatorach, reprezentujących opozycję w komisji powołanej do ustalenia warunków, na jakich mają, czy mogą być załatwiane kwestie związane z wysuwanymi przez młodzież postulatami. Już samo zestawienie i dobór negocjatorów były wielce zabawne.

Radykalny odłam młodzieży reprezentowali starcy, a pragnący zachować *status quo*, młodzieniaszki. W każdym razie rozmowa zakończyła się w dobrej atmosferze i Stelmachowski oświadczył, że jest z niej rad (zadowolony był również Kwaśniewski) bo ma zrozumienie dla argumentów ministra i sądzi, że może i powinno dojść do zgody. Z kolei Kwaśniewski był zadowolony również z uprzejmego traktowania przez prof. Stelmachowskiego.

Za wykształconego, przygotowanego i zręcznego negocjatora uważa Kwaśniewski również Geremka. Słuchając tych charakterystyk byłem rad, że nareszcie z pokolenia 30- i 40-latków w naszym społeczeństwie wyłuskaliśmy ludzi śmiałych, zręcznych, wykształconych, znających sporo świata i to po obu stronach politycznej barykady.

Ze szczególną uwagą wysłuchuję młodego 34-letniego Kwaśniewskiego, czy jeszcze odeń młodszego Koźmińskiego, starszego o rok czy dwa Kosowskiego, Cytryckiego, Oleksego. Ciekawi są również Rykowski, czy bystry (choć nieco rozkapryszony) Ordyński oraz doświadczony działacz młodzieżowy Andrzej Witkowski, dziś już autentyczny prezes „Polmotu", wielkiej firmy, z którą na pewno da sobie radę, choć powinien według mnie zostać w polityce.

Po drugiej stronie jest również doskonały zespół ludzi wyjątkowo uzdolnionych, śmiałych, zmyślnych i rozmiłowanych w działalności politycznej: Kuroń, Michnik, Onyszkiewicz, Geremek, Frasyniuk, Romaszewski, Bujak, Lityński, Konopka, Lis, Hall.

Pod koniec marca (1989) Kwaśniewski zaproponował mi kandydowanie na senatora, z tym, że wszystkie kłopoty związane z tym faktem bierze na siebie, włącznie z zebraniem 3 tys. podpisów wśród wyborców.

W pierwszej chwili roześmiałem się, przypominając panu Aleksandrowi o swym zmurszałym już wieku — co on z kolei przyjął śmiechem, dodając, że jest przekonany, że uzyska zgodę zwierzchnika, abym znalazł się na liście proponowanych. Kiedy po kilku dniach powróciliśmy do tego tematu, w zasadzie zgodziłem się na jego propozycję pod warunkiem, że będę wystawiony w województwie radomskim, gdzie się urodziłem (choć wydawało mi się, iż uważał, że lepiej by było, gdybym znalazł się w jakiejś większej aglomeracji). Zrobiłem to dlatego, gdyż byłem ciekawy, jak zareagują na moje nazwisko Jedlnia, Radom, Pionki, gdzie nie tylko się urodziłem, ale przez 12 lat chodziłem również do szkoły. W 1951 roku zorganizowano w pionkowskiej wielkiej fabryce zebranie, by mnie potępić jako szczególnie wyrodnego syna wielkiej parafii jedlnieńskiej.

Choć nie mam tam bliskich krewnych, jednak tylko w Jedlni i okolicy spotyka się to nazwisko — poza tym w Polsce

nigdzie. Poza mną najbardziej popularny w tej okolicy po wojnie był ksiądz Józef Kuropieska, proboszcz parafii w Garbatce na terenie powiatu kozienickiego. Do tej pory jedynym wybitnym rodakiem, którego wydała ziemia kozienicka był Jan Kochanowski z Czarnolasu. W XIX i XX wieku nikt nie osiągnął znaczniejszej popularności.

Młodzież chłopska, która jeszcze przed wojną I światową i tuż po niej tłumnie ruszyła do szkół średnich w Radomiu i uniwersyteckich w Warszawie, nie miała, jak się okazało, w swym gronie ludzi wybitniejszych, przysparzających chwały swym parafiom, osadom czy miasteczkom. Nie znalazł się wśród niej biskup, minister, generał czy wybitny uczony. Ciekawe, że w całym województwie radomskim na wielu najbardziej znaczących stanowiskach politycznych, administracyjnych czy gospodarczych są ludzie spoza ziemi radomskiej. Jest to znakomity przykład następstw wrodzonych niechęci pierwotnych hord, plemion, siół, gmin, miast, a ostatnio obserwowanych w kraju województw — kiedy Kielce przez 30 lat powojennych jako stolica województwa zmajoryzowały Radom, który dziś jest brudnym, wyjątkowo zaniedbanym miastem.

Pomysł mianowania Kielc stolicą województwa był świetnym dowodem uroków rzuconych przez natchnionych poetów i pisarzy oraz powszechnej skłonności czczenia ich po odzyskaniu niepodległości. Nic dziwnego, że z miasteczka, jakim był w 1919 roku Nowogródek, zrobiono stolicę województwa — bo tak bardzo tego pragnął miłośnik Mickiewicza, przyszły wojewoda Beczkowicz. A inni, rozmiłowani w księgach Żeromskiego, również wykorzystali możliwość uczczenia tego niewątpliwie wielkiego pisarza miastem, w którym chodził do gimnazjum (choć nie zdał egzaminu maturalnego). A przecież nierównie bardziej winien stolicą województwa zostać Radom, miasto uprzemysłowione, ludniejsze (ponad dwukrotnie), w okresie Królestwa Polskiego stolica województwa sandomierskiego, posiadająca potężny przemysł garbarski i około 2 tys. warsztatów szewskich, wielkie odlewnictwo, więcej szkół średnich i zawodowych oraz żywotniejsze ośrodki kulturalne i sportowe (tor wyścigowy, przyzwoity stadion). Nic dziwnego, że Radom stał się siedzibą dyrekcji kolejowej, bo na to pozwalały nierównie lepsze warunki. Natomiast niechętni Radomowi twierdzili, że wybrano Kielce, bo były one węzłem kolejowym, bo obok trasy kolejowej Strzemieszyce — Dęblin miały jeszcze odnogę do Herbów (Radom otrzymał bezpośrednie połączenie z Warszawą w latach 30-tych, a w czasie wojny połączyli go Niemcy z Tomaszowem).

Propozycja kandydowania na senatora została ponowiona przez Kwaśniewskiego na przełomie marca i kwietnia. Jak

wspomniałem, wymagało to zgody zwierzchnika, dlatego pan Aleksander umówił się z Czesławem Kiszczakiem, że nazwisko moje sprezentuje on Jaruzelskiemu. Na drugi dzień po zakończeniu obrad okrągłego stołu zostałem zaproszony przez Kiszczaka na drugie śniadanie, przy którym oficjalnie zaproponował mi kandydowanie tam, gdzie zechcę, a więc, jak to proponowałem Kwaśniewskiemu, w województwie radomskim. W kilka dni później zostałem poproszony przez Kwaśniewskiego do URM, gdzie przedstawiono mi trzech panów, którzy od tej pory mieli mi pomagać w akcji wyborczej. Ponadto z inspiracji Kwaśniewskiego, który zagajał to spotkanie, mieli mi pomagać moi znajomi Andrzej Witkowski i Jan Ordyński, redaktor *Rzeczpospolitej*.

Pierwszym z trójki wyznaczonych pomocników był pan Koźmiński, dyrektor generalny URM, sekretarz komitetu polityczno-społecznego (prawa ręka w tym komitecie Kwaśniewskiego), do niedawna sekretarz międzynarodowej organizacji młodzieżowej naszego bloku, mającej swą siedzibę w Pradze. Człowiek inteligentny, wykształcony, wymowny i bystry. Teoretycznie miał on sprawować opiekę nad całym zespołem wspomagającym mnie.

Drugim był pan Pietraszkiewicz, szef gabinetu ministra Kwaśniewskiego, który miał zapewnić wszelką pomocą techniczną środkami URM, a więc transport, papier, druk, miejsce pracy, noclegi i posiłki. Autentycznym wykonawcą — robotem nawiązującym kontakty z komitetami wyborczymi, troszczącym się o ustalenie godzin zebrań, spotkań, kolportażem druków, pism i listów — został pan Waldemar G. (kilka dni później dodano mu p. Jabłońskiego, urzędnika z Komitetu Młodzieży i Turystyki, podlegającego również ministrowi Kwaśniewskiemu. Zalecenia zapewnienia mi pomocy otrzymali, jak już mówiłem, Witkowski i Ordyński).

Już następnego dnia przybył do mnie p. Andrzej Witkowski, który umyślnie odszukał byłego I sekretarza partii w Radomiu (w 1976 r.), Półtoraka, by się zorientować, co można byłoby zrobić sensownego, by dobrze zorganizować przemyślaną i skuteczną akcję wyborczą. Po rozmowie z tym byłym wieloletnim sekretarzem radomskim (obecnie bodaj wiceministrem w budownictwie) Andrzej oświadczył mi, że nic sensownego w tej mierze nie sposób zrobić w tym mieście i województwie. Ku przerażeniu Witkowskiego, Półtorak odsądził od czci i wiary nie tylko kierownictwo polityczne Komitetu Wojewódzkiego, ale również radomską administrację i największe zakłady przemysłowe (jak „Walter", „Radoskór" i Pionki) i ich dyrekcje. Mówił o zadziwiającym rozpowszechnieniu się przekupstwa i nadmiernie

wielkich i dalej wzmagających się wpływach tak zwanej opozycji i kleru.

Relacje Półtoraka ilustrowane ciekawymi przykładami wręcz wystraszyły Witkowskiego, który jeszcze poprzedniego dnia „śnił" o wielkiej akcji z afiszami, wystąpieniami w telewizji i radiu, z artykułami na pierwszych stronach prasy lokalnej (kielecko-radomskiej) i centralnej (*Trybuna Ludu, Sztandar Młodych, Słowo*), kronikami telewizji krakowskiej i gościnnym występem jako gość Passenta — a ponadto wiecami w wielkich zakładach oraz o wykorzystaniu nagrań radiowych w najbardziej odległych gminach. A tu nagle, po rozmowie z Półtorakiem i po sprawdzeniu pewnych fragmentów jego relacji, Andrzej przestał wierzyć w powodzenie jakichkolwiek akcji i — co najdziwniejsze — początkowo jeszcze nieśmiało, ale wyraźnie zaczął odradzać mi kandydowanie na senatora. Nie zdziwiło mnie to ani oburzyło. Postanowiłem jednak, już bez wiary w powodzenie, przyjrzeć się tej całej, jakże interesującej w owych dniach, akcji, by coś więcej dowiedzieć się o własnych rodakach, społeczeństwie i moich licznych znajomych: politykach, wojskowych, duchownych i uczonych, którym będę się mógł bliżej przyjrzeć w najbardziej demokratycznych warunkach, bez jakichkolwiek ograniczeń, jakie miały miejsce nawet w poprzednich wyborach do Izby Wyższej parlamentu w Polsce.

Postanowiłem natychmiast pojechać do Zwolenia pod pretekstem spotkania z czytelnikami moich książek. Na szczęście tegoż dnia zadzwoniono do mnie z sekretariatu wiceministra Pożogi, zastępującego przebywającego na urlopie gen. Kiszczaka. Domyśliłem się, że pan Czesław nie zapomniał, że jestem bez samochodu. Rzeczywiście domysł okazał się słuszny. Już następnego dnia miałem czym pojechać na umówione spotkanie w bibliotece publicznej Zwolenia, na które bardzo namawiał mnie pan Zwolski, dyrektor wojewódzkiej biblioteki w Radomiu i automatyczny przełożony bibliotek gminnych. Człek światły, historyk, rzetelnie wykształcony i wielce życzliwy.

Postanowiłem jechać przez Kozienice i Garbatkę, by nawiązać w niej kontakt z proboszczem. Otóż jak wspomniałem, władał tą plebanią jeszcze przed kilkunastu laty ks. kanonik Józef Kuropieska. Sądziłem, że będę mógł ten fakt wykorzystać w przyszłej akcji wyborczej. W Garbatce podjechałem pod kościół. Ku memu miłemu zdziwieniu bardzo mi się jego wnętrze podobało. Wiele światła, ściany ze smakiem pomalowane. Z kolei udałem się na plebanię, gdzie w hallu spotkałem zakonnicę i jakiegoś starszego pana w spodniach i rozchełstanej koszuli. Na pytanie, czego poszukuję, odpowiedziałem, że pragnę mówić z księdzem proboszczem. „To ja jestem". Poprosił mnie do są-

siedniej, skromnie urządzonej izby, gdzie stało porządnie zasłane łóżko i biurko. Kiedy powiedziałem swoje nazwisko i wyraziłem chęć obejrzenia kanonika Kuropieski, przekonałem się, że ksiądz proboszcz — również kanonik — Podgórski wszystko wie o mnie i niegdysiejszej wizycie, jaką złożyłem przed około 25-ciu laty dzisiejszemu nieboszczykowi.

Kontakt mój z księdzem Józefem Kuropieską rozpoczął się od otrzymania od niego listu w grudniu 1956 r. z prośbą o pomoc w zakupieniu materiałów do pokrycia dachu budującej się w Garbatce świątyni. W pierwszej chwili zdziwiła mnie owa prośba, bo niby w imię czego ten kapłan zwraca się do mnie. Dopiero podpis księdza Józefa wyjaśnił mi sens tego zabiegu przedsiębiorczego kanonika. Zareagowałem natychmiast „telefonem" do przewodniczącej Rady Narodowej w Kozienicach, pani Tarnawskiej, by nie omieszkała zadbać o realizację prośby proboszcza w Garbatce. Zostało to zrobione dość rychło.

Po kilku latach, przejeżdżając przez Garbatkę z gen. Janem Drzewieckim do rejonu odbywających się w tej okolicy ćwiczeń, przypomniałem sobie księdza Kuropieskę. Postanowiłem doń wstąpić. Przyjął nas zadziwiająco serdecznie. W niewiele lat później zmarł. W czasie rozmowy o nim z ks. Podgórskim dowiedziałem się, że wychowywał się w Radomiu, mieszkał trzy kamienice ode mnie, doskonale mnie pamięta jako podporucznika i dobrze zna moją siostrę, od której jest niewiele starszy. Czytał również moje wspomnienia, włącznie z ostatnio wydanymi „Nieprzewidzianymi przygodami".

Ponieważ spieszyłem się do Zwolenia, obiecałem mu, że go odwiedzę. Jadąc myślałem, że będę mógł wykorzystać to spotkanie i rozmowę z proboszczem w celu zorganizowania jakiegoś poważniejszego wiecu wyborczego.

W Zwoleniu było dużo ludzi, choć zebranie odbywało się koło południa. Głównie, ku memu miłemu zdziwieniu, była młodzież obojga płci z miejscowej szkoły średniej, z klas maturalnych. Niewielu starszych, ale wśród nich kandydat na senatora pan Janowski, znany i powszechnie szanowany doktor weterynarii. Zgadaliśmy się z nim o jego krewnym, a moim koledze (starszym o rok w studiach w Wyższej Szkole Wojennej — 1935 r.) płk. dypl. Rudnickim. Ponadto była również córka mego przyjaciela z obozu, Podgorzelskiego, który za publiczne głośne czytanie podziemnego tygodnika polityczno-wojskowego (czołowe artykuły były mojego pióra) w 1944 roku został zabrany z Woldenbergu do obozu koncentracyjnego. W Zwoleniu jest ona kierownikiem miejscowego muzeum. Ja tam jeszcze nikomu nie mówiłem, że będę kandydował. Nie wiedział o tym również pan Zwolski. Z zebrania byłem zadowolony. To, co

mówiłem, mogło nie budzić nadmiernego entuzjazmu, choć mówiłem, jak bardzo na korzyść młodzieży zmieniły się ostatnio warunki, bo jest nierównie śmielsza i bardziej pomysłowa niż przed kilkunastu laty.

Z kolei pojechałem na spotkanie z czytelnikami do podchorążych szkolących się w pilotażu w filii Dęblińskiej Szkoły w Radomiu. Na moje wynurzenia zareagowali gorzej niż młodzież w Zwoleniu. Nie zadawali złośliwych pytań, ale nie było również bardziej ciekawych. Patrząc na nich przypomniałem sobie narzekania, że ostatnio do szkół wojskowych idzie młodzież coraz mniej wydarzona.

Tegoż dnia po powrocie do domu miałem spotkanie z Witkowskim, Waldemarem G. i redaktorem Ordyńskim. Nie zgadzałem się z opinią byłego I sekretarza w Radomiu, jednak nie polemizowałem na ten temat z panem Andrzejem, bo mój powód kandydowania, wynikający z chęci wzięcia bezpośredniego udziału w wyborach, wydałby mu się nieprawdziwy, jeśli nie wręcz głupi. On z kolei nie zrezygnował z zapewnienia mi pomocy, której udzielenie niewątpliwie obiecał Kwaśniewskiemu.

Zebrani zaproponowali szczególnie uroczyste zainaugurowanie mej działalności wyborczej na już przygotowanym spotkaniu z mymi czytelnikami. Miało się to odbyć w Empiku, z udziałem Andrzeja Kurza (mego wydawcy) i znanego działacza politycznego z Krakowa oraz dyrektora Krakowskiego KAW, Tomasza Łopuszyńskiego, jak i krakowskiej telewizji. Obydwaj krakowscy wydawcy mieli przywieźć po kilkadziesiąt egzemplarzy ostatnio wydanych mych książek, „Nieprzewidziane przygody", nie do zdobycia na rynku, i nowe wznowienie „Z powrotem na służbie". W Radomiu na tym spotkaniu nie było tłumów jak to miało miejsce 2 listopada 1988 roku w tym samym lokalu, ale było kilkadziesiąt osób, z których wiele dobrze mnie znało choćby z opowiadań, a nie z książek, o które widać moje „rodzinne" miasto nie nadmiernie dbało.

Zebranie przebiegało w bardzo miłej atmosferze. Doskonale, w znakomitej formie przedstawił mnie publiczności doc. Andrzej Kurz, niegdyś osobisty wieloletni sekretarz członka Biura Politycznego PZPR, Romana Zambrowskiego, następnie sekretarz miejski partii w Krakowie i wreszcie dyrektor Wydawnictwa Literackiego i docent Wyższej Szkoły Teatralnej. W 1981 roku był z-cą prezesa Komitetu Radia i Telewizji dla spraw telewizji i ponownie dyrektorem Wydawnictwa Literackiego, równocześnie prezesem wydawnictw w kraju. Nadmiernie mnie chwalił, choć nie rażąco, podkreślając szczególnie prawdomówność mych wspominkowych wynurzeń — na co szczególną uwagę zwrócił zmarły już Olgierd Terlecki. Zadawano mi wiele pytań dotyczą-

cych okresu uwięzienia, na które dość gorąco odpowiadałem. Pod koniec zabrał głos pan Zwolski, by w imieniu komitetu obywatelskiego zaproponować mi kandydowanie na senatora — na co wyraziłem zgodę. Po czym rozpoczęto zbieranie podpisów wyborców. Było ich kilkadziesiąt. Rozsprzedano również wszystkie książki przywiezione z Krakowa, którymi gospodarowała dyrektorka Domu Książki w Radomiu, rozważna i przezorna pani Domańska.

Swą osobistą akcję z wyborcami pragnąłem rozpocząć od Jedlni, wsi, w której się urodziłem. Zabawne, że przy kościele w Jedlni było i jest kilka domostw, które wraz z plebanią stanowią tak zwane Poświętne. Widnieje to w mojej metryce, a następnie w paszportach. Dawniej we wszystkich dokumentach jakie miałem od szkoły powszechnej jako miejsce urodzenia podawałem Jedlnię, gdzie światło dzienne ujrzał przywilej nadany przez Jagiełłę *neminem captivabimus nisi jure victum*, czyniący z Jedlni znaną i cenioną miejscowość dla historyków i ludzi miłujących dzieje własnego kraju.

Postanowiłem pojechać do proboszcza w Jedlni, korzystając z uprzejmości dyrektora Orbisu w Radomiu, który na moje szczęście okazał się znajomym redaktora Ordyńskiego. Okazało się, że dyrektor ów zna wszystkich proboszczów, ponieważ plebani organizują wiele wycieczek zagranicznych zarówno do Rzymu, jak i ostatnio do Wilna. Znał również proboszcza z Jedlni, ks. Jaskulskiego, ale nie mogliśmy się z nim rozmówić, bo go nie było, albo z kolei dyrektor miał szczególne kłopoty z ciężko chorym własnym dzieckiem i nie mógł się ze mną wybrać. Ruszyłem zatem z panem Czesławem Pskitem, który twierdzi od lat, że jest moim krewnym — o czym nigdy przedtem nie słyszałem, choć jakiejś dziesiątej wody po kisielu nie wykluczam — a człek to sprytny i życzliwy. Wybraliśmy się wieczorem do księdza. Opowiedziałem plebanowi coś o sobie, ale głównie o Jedlni. Przy okazji wręczyłem mu ksero książki księdza Gackiego, wydanej w 1874 roku w drukarni pana Trzebońskiego w Radomiu, opisującej dokładnie historię Jedlni i jej kościoła, zawierającej wiele wiadomości o wizytach Jagiełły i jego synów — o przywilejach królewskich, o samorządzie chłopskim i tak zwanym prawie „obelnym", regulującym życie mieszkańców puszczy, z licznymi przykładami sporów między jedlnianami i sposobami ich rozwiązań. Bardzo często w tych zapiskach spotyka się nazwisko Kuropieska z różnymi imionami. Przyjazdy królewskie są dokładnie odnotowane, jak również cudzoziemskich gości, którzy wizytowali tam króla i jego synów.

Powiedziałem księdzu, że pragnę się osiedlić w puszczy na ostatnie lata, że nawet wybrałem miejsce między Kozienicami a Jedlnią, ale na terenie gminy w Augustowie. Wspomniałem rów-

nież, że chciałbym tu zorganizować bibliotekę wykorzystując swój spory księgozbiór.

Następnego dnia również odwiedziłem księdza, zaopatrując go w emigracyjną *Kulturę* i dwa *Zeszyty Historyczne*, wydane przez Instytut Literacki Giedroycia w Paryżu, i bodaj ostatni numer *Aneksu*.

Od księdza dowiedziałem się, że w niedzielę po sumie odbędzie się zebranie przedwyborcze parafian. Dopiero wówczas oświadczyłem, że jestem tym bardzo zainteresowany, ponieważ również jestem kandydatem na senatora. Ksiądz dorzucił, że nabożeństwo odbędzie się o godz. 11-tej. Przyrzekłem, że przyjadę. Dziwiło mnie, że księdzu nie przychodziło do głowy, by mi zaproponować choć szklankę herbaty, czy mleko, choć za każdym razem siedziałem co najmniej godzinę. W każdym razie byłem wielce rad, że naprawdę rozpocznę sensowną i pożyteczną dla mnie próbę akcji wyborczej, tym bardziej, że w Poświętnym miałem znajomego Rojka, dobrego gospodarza, bardzo rozpolitykowanego i znanego w okolicy postępowego ludowca, który mógł mi pomóc w załatwieniu wielu spraw.

Jadąc do Warszawy rozważałem zachowanie się plebana. Wydawało mi się, jakby był wyraźnie zdziwiony moim oświadczeniem, że kandyduję. Tak się złożyło, że przez pierwsze dni mego pojawienia się w Radomiu nie miałem kontaktu z prominentami tego miasta, ani z I sekretarzem Prusem, ani z wojewodą Wojciechowskim. Oficjalnie mieli mnie przedstawić przedstawiciele Kwaśniewskiego, który dzwonił do I sekretarza i powiadomił o decyzji Biura, że kandyduję w Radomskiem. Niezależnie od Waldemara Gierczewskiego i Jabłońskiego wybrałem się, bo akurat był w Komitecie, do Prusa. Widziałem go po raz pierwszy w życiu. Poprawny w zachowaniu, nie robił jednak wrażenia, by był uszczęśliwiony moim widokiem, tym bardziej, iż z rozmowy między nami wynikało, że niewiele o mnie wie, bo wyraził zadowolenie, iż dobrze się stało, że miejscowy organ coś o mnie napisał — bo nie jestem tu znany.

On sam nie jest z ziemi radomskiej, ale ostatnio przed przybyciem na stanowisko I sekretarza wojewódzkiego w Radomiu, był przez wiele lat powiatowym sekretarzem w Grójcu, który w 1975 roku znalazł się w województwie radomskim. Słysząc to, poprosiłem go o pomoc w nawiązaniu kontaktów ze spółdzielcami i innymi organizacjami czy związkami sadowników i rolników w Grójeckiem. Coś mi tam obiecał. Powiedziałem mu, iż zależy mi wiele na organizacji spotkań w rejonie Kozienic i Pionek, bo te ostatnie przez setki lat były częścią parafii w Jedlni i radbym mieć jak najrychlej spotkanie z mieszkańcami tych miast i osiedli. Przyszło mi do głowy, że byłoby dobrze

poprosić go, by zadzwonił zaraz do naczelnika w Pionkach, do którego natychmiast pojadę (była już 16.15 i małe prawdopodobieństwo, że go schwytam). Zadzwonił i na moje szczęście powiedział włodarzowi Pionek, że już do niego wyruszam.

Z całego spotkania wnosiłem, że traktuje mnie jak podrzuconego przez centralę, która tego z nim nie uzgodniła — i począłem się obawiać, że z jego strony i pomocników sekretarzy komitetu — nie mogę się spodziewać jakiejś serdeczniejszej pomocy.

Do Pionek z Radomia jest jakieś niespełna 20 km. Naczelnik czekał. Powiedziałem mu o co chodzi i prosiłem o pomoc w zorganizowaniu spotkania z wyborcami. Ofiarowałem mu również swoją ostatnio wydaną książkę, wielce poszukiwaną na rynku czytelniczym.

Naczelnik nie był pochodzenia miejscowego, a przybył do Pionek ze Słomnik.

Pionki, przez setki lat zwane Zagrożdżonem (wzięły to miano od przysiółka składającego się z kilku domostw, znajdujących się na wschodnim skraju Jedlni) są obecnie największym po Radomiu miastem w województwie i siedzibą kilku zakładów przemysłowych, na czele z wytwórnią prochu, której budowę rozpoczęto w połowie lat dwudziestych. Udało mi się przez Stefana Pomarańskiego, przyjaciela z 1-ej kadrowej, zapewnić ojcu memu pracę z łopatą u kolegi, również legionisty z kadrówki, inżyniera Profa. Obecnie załoga tego zakładu liczy wiele tysięcy ludzi, dlatego pragnąłem jak najrychlej znaleźć się wśród niej. Okazało się, że nikogo w tych Pionkach nie znałem, choć jako chłopiec znałem połowę Zagrożdżonego i przyjaźniłem się później z kolegą szkolnym Trafiszem, synem tamtejszego gajowego.

Najpierw jednak postanowiłem wystąpić w samej Jedlni, gdzie poza plebanem rozmawiałem jedynie z dyrektorką szkoły, której również wręczyłem swą książczynę i zrobiłem obietnicę, że postaram się dla szkoły o ksero książki ks. Gackiego.

W umówioną już niedzielę przed 11-tą przyjechałem z Warszawy i zanim znalazłem się w kościele, spotkałem pana X., mieszkającego obok szkoły, podobno miejscowego działacza, który pokazał mi arkusz z nazwiskami wyborców i ich podpisami na mnie. Idąc wspólnie do kościoła znaleźliśmy się w zakrystii, gdzie jakiemuś wikaremu opowiedziałem coś o starożytności Jedlni. Mój przewodnik poinformował mnie, że ks. Jaskulski jest w konfesjonale i spowiada, natomiast nabożeństwo odprawione będzie przez innego kapłana (z uwagi na wiek nie wyglądał mi na wikarego, choć może w dużych parafiach wikariusze mają około 40-tki i więcej).

Mój towarzysz przed wejściem do kościoła namawiał mnie

gorąco, abym razem z nim usiadł w ławce kolatorskiej przy wielkim ołtarzu, ale ja się uparłem i zająłem miejsce w pierwszej ławce poza prezbiterium. On również ze mną.

Kościół schludnie utrzymany. Ostatni raz byłem w nim w 1922 roku w czasie wakacji. Wnętrze niewiele się zmieniło. Przybyło ławek. Dawniej tłum docierał przed wielki ołtarz. „Komornik" nie mógł się bezkarnie pchać do przodu. Czołowe miejsca przed prezbiterium były dla gospodarzy, a nie dla bezrolnych komorników. Zresztą tego dnia, choć kościół był pełny, prawie wszyscy mieli miejsca siedzące. Co mnie uderzyło, to dobra znajomość tekstów pieśni śpiewanych wcale dobrymi głosami. Dla ułatwienia, teksty nowych pieśni wyświetlane są na ekranie — np. pieśń o Popiełuszce.

Nabożeństwo przebiegało sprawnie, występowały nawet chóry młodych dziewcząt i chłopców. W pewnej chwili celebrujący ogłosił komunikat, w którym wspomniał i mnie jako uczestnika w nabożeństwie i kandydata na senatora. Kazanie wygłoszone dobrą polszczyzną, zgrabnie, z kąśliwymi uwagami pod adresem władzy. Najzabawniejszy był dla mnie moment występu plebana z koszyczkiem (zamiast tacy), do którego wierni rzucali pieniądze. Obchodzący naszą ławkę ks. Jaskulski zrobił odruchowo gest, byśmy coś doń rzucili. Ale nie wiedziałem, czy mam pieniądze w kieszeniach marynarki i zrobiłem ruch mający znaczyć, że później. Gdy się obmacałem, stwierdziłem, że w bocznych kieszeniach nic nie mam. Pieniądze, po kilku okradzeniach mnie, trzymam zawsze w spodniach, ale w kieszeniach znajdujących się po wewnętrznej stronie spodni. Tym razem było podobnie. Jak je wyciągnąć? Ksiądz dalej chodził po drugiej połowie kościoła. Zacząłem szukać tych pieniędzy. Namacałem jakiś banknot. Okazało się, że było to 5.000 zł. Byłem uratowany. W powrotnej drodze księdza położyłem je do koszyczka plebana. Nie wiedziałem, że najbardziej hojni są wymieniani z nazwiska przy podziękowaniu za datki. Okazało się, że było nas dwóch — ja, bo dałem 5.000 zł i jakiś gospodarz, co dał 10.000 zł.

Nabożeństwo wydawało mi się nieco przydługie, ale podobno tak jest zawsze w niedzielę, bo ksiądz proboszcz rozmiłowany jest w śpiewach chóralnych. Sam śpiewa i dyryguje, także pieśni poświęcone ks. Jerzemu Popiełuszce, z nienadzwyczajnym tekstem, za to dość długim. Nie darował w odśpiewaniu ani jednej strofki.

Jeszcze przed zakończeniem obwieszczono o mającym się odbyć zebraniu przedwyborczym w świetlicy obok kościoła.

Ku memu zdziwieniu okazało się, że owa świetlica została urządzona w byłej kostnicy, koło której bałem się w dzieciń-

stwie chodzić po zmroku. Zresztą miała sporą salę z kilkudziesięcioma krzesłami i kilkoma ławami. Było pełno, wielu ludzi stało. Skład publiczności rozmaity, raczej dojrzali i starsi, choć było i nieco młodzieży. Był również ks. Jaskulski.

Rozpocząłem od stwierdzenia, że jestem tu dziś najstarszym z tych, którzy zostali ochrzczeni w tej świątyni, bo mnie się to wydarzyło 85 lat temu w 1904 roku. Z kolei mówiłem o historii Jedlni i roli, jaką odgrywała w historii chłopstwa polskiego, które miało jakby wolną wyspę, rządząc się prawem obelnym. Podobną wyspą na terenie Rzeczypospolitej Szlacheckiej stanowiła Kurpiowszczyzna, rządząca się prawem bartnym. Mówiłem, że jedynym w pełni udanym napadem na Moskali w nocy 2 stycznia — dniu rozpoczęcia Powstania Styczniowego — było uderzenie powstańców w Jedlni, likwidujące kompanię saperów rosyjskich. Z kolei mówiłem o korzystnych przemianach jakie tu obserwuję i o rosnących możliwościach społeczeństwa w uprawianiu codziennego życia, przy wykorzystywaniu rosnącej liberalizacji i demokratyzacji. Wskazałem na pomnażające się możliwości rolnictwa polskiego przy zapewnieniu rolnikom (przez nich samych) sprawniejszej organizacji. Również o konieczności zaopatrzenia rolnictwa w wodę, co jest niezbędnie konieczne, ale wielce trudne w realizacji.

Wydawało mi się, że mój wstęp historyczny raczej wzbudził zainteresowanie wśród niewiast niż wśród mężczyzn. W pewnym momencie mych wynurzeń wszedł do sali jakiś rosły mężczyzna, przedstawiony przez towarzyszącego mu organizatora jako przedstawiciel związku rolników indywidualnych „S". Ja tam jeszcze odpowiadałem na pytania słuchaczy, a z kolei wystąpił pan solidarnościowiec. Otóż okazało się, że to zebranie przygotowano jako organizacyjne dla stworzenia gminnego ośrodka związku rolników indywidualnych.

Zapewne przybyły organizator związku rolników indywidualnych NSZZ Solidarność nie przypuszczał wraz z innymi organizatorami, że ja tam również będę występował. Być może, nieco speszony, w pierwszej chwili nie wypowiadał się zbyt gwałtownie przeciwko dotychczasowemu ciemiężeniu chłopów przez władzę, choć zdążył ją potępić i wspomnieć o swoich własnych cierpieniach przez internowanie. Kiedy skończył, ponownie zabrałem głos, radząc słuchaczom gorąco — co może kogoś zdziwiło — zapisywanie się do związku, zdążyłem również powiedzieć, że cenię sobie odwagę i poczynania tych chłopów ze Zbroszy, którzy taki związek już przed laty zorganizowali i zapewne mają już dzisiaj nie byle jakie doświadczenie.

Z kolei organizator spotkania rolników omówił jeszcze jakieś sprawy organizacyjne. Mnie zaproponował zgłoszenie się

do wojewódzkiego komitetu obywatelskiego w Radomiu (pod wskazanym adresem) dla omówienia interesujących mnie spraw. Nie wytrzymali jednak miejscowi organizatorzy, by nie zakłócić atmosfery i poczęli mnie wypytywać, kogo reprezentuję, czy jestem z komitetem partii i reprezentantem wyborców, czy niezależnym, czy partyjnym — i to wszystko w niezbyt przyjaznej dla mnie formie. Ja odpowiedziałem, że nade wszystko reprezentuję siebie — jestem z Jedlni i pragnę dla niej coś użytecznego zrobić, tym bardziej, że mam takie możliwości, znając świetnie kraj i ludzi — a o moim komunizmie to już pewnie słyszeli. Kiedy poniechali mnie i rozpoczęli rozważać sprawy organizacji samego związku, opuściłem salę, dziękując proboszczowi i zebranym za spotkanie.

Wraz ze mną wyszło jeszcze kilku chłopów, którzy aż do mego odjazdu przyjemnie ze mną rozmawiali.

Pojechałem jeszcze do Rojka, który po otrzymaniu ode mnie blankietów na zebranie podpisów, wysłał córki, czy młode kuzynki, by je zbierały w Jedlni. Mój, jak mi się zdawało, wspaniały pomysł rozpoczęcia akcji wyborczej od rodzinnej wsi, w kościele w którym byłem chrzczony, nie wyglądał mi na szczególny sukces, ale nie wydawał mi się ani głupi ani mało skuteczny — tym bardziej, że zebrano przez Rojka kilkadziesiąt podpisów.

Ponieważ spieszyłem się do Radomia, nie rozmawiałem już z proboszczem i nie wiedziałem, co on sądzi o moim wystąpieniu i ewentualnej dalszej działalności na terenie mej rodzonej parafii.

Bodajże tego dnia jeszcze pojechałem do Gzowic, do których według opowiadań mego ojca przesiedlił się brat matki z rodzinnej wsi, jaką był Gózd. Mój ojciec rozmawiał z nim jeszcze w czasie okupacji i odwiedził go mój syn Wojciech. Rodowe nazwisko mojej matki Cybula. W Gzowicach rozpytywałem o Cybulów. Okazało się, że jest ich dwóch braci. Pojechałem najpierw do starszego. Z obejścia i zachowania wyglądało, że jest to zamożny gospodarz. Podwórze, zastawione maszynami rolniczymi i ciężarowymi samochodami, wyglądało wyraźnie na mały tartak. Gospodarza zastałem przy wspaniałym kawale bodaj wątroby. Kiedy zapytałem, jak mu na imię, odpowiedział mówiąc do mnie od razu przez ty. Umówiłem się, że będę u niego w ciągu tygodnia i porozmawiamy o tym, co się stało z rodziną i dalszymi krewnymi mojej matki. Ojciec tego Cybuli właśnie był rodzonym bratem matki. Jej ojciec a mój dziadek miał 4 żony i 16 dzieci, w tym z jednej matki była czwórka: moja matka, brat i dwie siostry. Jako dziecko znałem je obie, jak również wuja z Gzowic.

Zawsze miałem ochotę odwiedzić tych Cybulów, ale jakoś się do tej pory nie składało — i pewnie bym dalej odkładał to

spotkanie, gdyby nie pomysł odszukania ich w związku z wyborami i przekonania się o roli związków rodzinnych — co jest dla mnie od wielu lat interesujące. Osobiście do tej pory nie przepadałem za krewnymi, przypominając sobie, jak mnie traktowano jako 12- czy 13-letniego chłopca, kiedy matka posyłała mnie w bardzo ciężkiej sytuacji materialnej w 1916 czy 1917 roku, choć po garnek kiszonej kapusty do Gozdu, odległego o 17 km od Radomia. Do dziś jakże dokładnie pamiętam swój powrót z Gozdu do Radomia dnia 2 lutego 1917 roku przy kilkunastostopniowym mrozie i wietrze, z metalowym czajnikiem kwaszonej kapusty, który dźwigałem nie mając porządnych rękawic. Zazdrościłem idącym po sumie niewiastom okutanym w wełniane burki, fartuchy i wełniane szaliki, niosącym poświęcone gromnice w rękach zaopatrzonych w ciepłe wełniane rękawice. Ale z tego spotkania byłem szczerze rad, choćby z serdecznej otwartości mego nareszcie poznanego brata ciotecznego.

Pragnę wspomnieć, że od dnia obwieszczenia mego kandydowania na zebraniu w Empiku miałem ofiarowaną pomoc przez Urząd Spraw Wewnętrznych w Radomiu. Zapewne również z inspiracji samego szefa resortu. Urzędnicy zaangażowani przez ministra Kwaśniewskiego, mili i zapewne solidni urzędnicy URMu czy Komitetu do Spraw Młodzieży i Turystyki, nie zapewnili mi ani noclegu, ani posiłków, ani niezbędnego transportu w najbliższe okolice Radomia. Ja osobiście mogłem tam przebywać i kilkanaście godzin, ale nie był na to przygotowany kierowca, przydzielony mi w pierwszych dniach mojej akcji. Z reguły wracał ze mną do Warszawy każdego dnia. Kiedy ci moi pomocnicy ustalili miejsce stałych spotkań ze mną w Radomiu, to mimo kilkakrotnych prób z mej strony, by się od nich czegoś dowiedzieć, czy im coś przekazać, nie udało mi się, bo nie zetknąłem się z nimi przez kilka dni ani razu. Bądź już wyszli, bądź jeszcze ich nie było i zawsze chodzili w parze, co utrudniało im organizowanie jakichkolwiek sensownych, choćby kilkugodzinnych dyżurów. Robili z kimś kalendarz moich spotkań na wiele tygodni, zupełnie bez porozumienia ze mną i zgoła bez sensu (o czym później).

Natomiast jakiś pokój, tuż nad stołówką milicji, zapewniła mi SB — co było oczywiście błędem organizatorów. Bo ktokolwiek by mnie spotkał w Urzędzie bądź w ich klubie lub samochodzie prowadzonym przez byłego dzielnicowego w Radomiu, powszechnie znanego milicjanta, to by rozpowiadał. Na nieszczęście wojskowy hotel garnizonowy był w remoncie i wszystkie moje żale i pohukiwania nie przyśpieszały przygotowania mi innego odpowiedniego locum do pracy i wypoczynku. Po prostu nigdzie z nikim nie mogłem się spotkać poza Urzędem Spraw

Wewnętrznych czy ewentualnie Wojskowym Sztabem Wojewódzkim. Natomiast nie miałem prawie żadnych kontaktów z Komitetem Wojewódzkim Partii, parającym się organizacją akcji wyborczej.

Któregoś dnia dość wcześnie rano zadzwoniono do mnie do Warszawy, informując o zebraniu Komitetu Miejskiego partii w gmachu Komitetu Wojewódzkiego. Zadzwonił sekretarz tego komitetu. Natychmiast wyjechałem i zdążyłem na plenum, na którym przedstawiono kandydatów do Sejmu i Senatu kandydujących z partii. Ponieważ tego dnia miałem mieć przygotowane spotkanie w Jedlni o godz. 11-tej, więc prosiłem, abym po zagajeniu mógł się przedstawić w pierwszej kolejności. Ale jakoś to nie wyszło, bo udzielono głosu innemu towarzyszowi. Okazało się, że jest to kandydat na senatora pragnący zapoznać zebranych ze swoim programem, składającym się z kilku punktów. Już w drugim oświadczył, że jest przeciwnikiem wykorzystania energii atomowej w elektrowniach. Słysząc to, nagle zapytałem siedzącego obok mnie towarzysza, „co to za baran". Okazało się, że był to rektor miejscowej szkoły inżynierskiej. A to ci heca! Sąsiad przyjaźnie się uśmiechnął. Okazało się, że jest jednym z niewielu obecnych tu ludzi, który mnie zna i co ciekawe jest członkiem Komitetu Centralnego partii.

Kiedy mnie wywołano opowiedziałem, że radomska organizacja partyjna była nie byle jaką w latach 20-tych, czwartą z kolei po warszawskiej, zagłębiowskiej (Sosnowiec-Będzin), łódzkiej i byli jej członkami znani towarzysze jak Aleksander Zawadzki, Edward Ochab. Wspomniałem, że należałem do organizacji młodzieżowej, w której w 1921 roku czytaliśmy „Państwo i rewolucja" Lenina, kupione przeze mnie na Świętokrzyskiej w Warszawie, wydrukowane na bardzo kiepskim papierze. Mówiłem o aresztowaniach, procesach kolegów z tej komórki i poświęciłem nieco uwagi Władysławowi Kaczmarskiemu, który miał 6-letni wyrok, nabawił się w więzieniu chęcińskim gruźlicy i wreszcie zmarł w sanatorium w Niemczech, gdzie został skierowany przez organizację jako nielegalny. (Przed tym wyjazdem schronił się u mnie w warszawskich koszarach, gdzie mieszkałem).

Pozwoliłem sobie również na polemikę z moim przedmówcą, że wykorzystanie przez nas energii atomowej jest nieodzowną koniecznością. Jak najrychlej powinniśmy naśladować Francję, wykorzystującą już prawie 20 siłowni jądrowych, zapewniających jej 3/4 energii elektrycznej wyjątkowo taniej. Nie wiem, jak to zostało przyjęte, bo Jego Magnificencja rektor Misiak okazał się czołowym kandydatem partii w Radomiu — a tu taki napad.

Po tym wystąpieniu wyjechałem do Jedlni, gdzie spotkała mnie wielka niespodzianka. Po prostu w izbie, w której odbywało się spotkanie, było jedynie kilku starych chłopów, niewiele bab i gromadka dziatwy z 7-ej czy 8-ej klasy powszechnej, przyprowadzonej z sal lekcyjnych przez sympatyczną dyrektor. Był również naczelnik gminy, który mnie przedstawił i coś tam opowiadał w bardzo nieporadnej formie o mojej działalności i osiągnięciach. Jak to się mówi, zbaraniałem. To przecież było zebranie organizowane przez władze gminne z inspiracji naczelnika, sekretarza partii i dyrektora szkoły. Było nad czym myśleć. Starszych słuchaczy nawet nie interesowały moje opowieści o wielkości i znaczeniu Jedlni historycznej, zresztą niewiele o niej wiedzieli. To nie było takie straszne jak niepojęty dla mnie brak zainteresowania. Zmarkotniałem. Poszedłem do księdza, bo plebania była o 200 metrów. Nie było go, gdzieś pojechał. Pomyślałem sobie, może umyślnie, abym go nie zastał. Jeszcze tego samego dnia byłem pod wieczór w Jedlni u Rojka i przypomniałem sobie wykaz z podpisami na liście z moim nazwiskiem, którą mi pokazał zaufany księdza w dniu, w którym byłem na nabożeństwie. Postanowiłem o nią upomnieć się. Posłana po nią dziewuszka wróciła z oświadczeniem, że nie ma listy. Posłałem ją po raz drugi z kierowcą, któremu pan L., oczywisty dla mnie szalbierz, oświadczył, że tego dnia, kiedy zbierał podpisy, zostawił ją w świetlicy czy dał ją komuś do przekazania i od tej pory już jej nie ma. Nie wypadało mi po tym oświadczeniu osobiście z nim rozmawiać na ten temat. Miałem przedsmak swych wyborczych zabiegów, które się przed kilkoma dniami w Jedlni tak wspaniale zapowiadały.

Na razie złożyłem wizytę wojewodzie płk. Wojciechowskiemu, u którego już byli moi przedstawiciele. Przyznał, że o mej kandydaturze dowiedział się dopiero od nich — nikt mu o tym nawet nie zadzwonił. Nie okazał żadnego żywszego zainteresowania moim kandydowaniem, a ja go też o nic nie prosiłem, choć według mego przekonania, choćby z tej racji, że był oficerem, powinien mi coś doradzić lub odradzić, bo był w tym mieście już kilka ładnych lat wojewodą i członkiem Komitetu Wojewódzkiego. Oczywiście jako przedstawiciel władzy nie powinien angażować się osobiście i bezpośrednio w prowadzenie akcji wyborczej. Ja sam zresztą niewiele o tym wiedziałem, co mu wolno, a co jest lub może być naruszeniem ordynacji wyborczej, której dogłębnie nie poznałem. Znalazłem się w zabawnej sytuacji. Praktycznie nie miałem żadnej pomocy ze strony komitetu, choć miało mi pomagać dwu urzędników przydzielonych przez Kwaśniewskiego w ramach komitetu powołanego przez centralę z inspiracji KC. Okazali się nieporadni i niewiedzący dokładnie z kim rozmawiać i co właściwie robić.

W dniach przed pierwszym majem nie było jeszcze żadnego planu akcji wyborczej, którą przygotowywano z inspiracji Komitetu Wojewódzkiego partii w Radomiu.

Pierwsze spotkania były moimi indywidualnymi, rzec można prywatnymi inicjatywami, choć niby powstał już komitet obywatelski na spotkaniu z czytelnikami w Empiku. Taka też była moja rozmowa w Pionkach, tuż po wizycie u wojewody.

Wspomniałem, że byłem u naczelnika w tym mieście prosząc o przygotowanie zebrania, co mi obiecał i słowa dotrzymał. Jeszcze tego dnia gdy przyjechałem do Pionek prosiłem go, byśmy wspólnie pojechali przed zebraniem do dyrektora „Prometu". Bardzo mi zależało na poznaniu go, w nadziei, że przy dobrej woli wiele może mi pomóc. Przyjął nas w obecności sekretarza partyjnego zakładu. Obiecał kwaterę, gdybym zechciał się zatrzymać w Pionkach, i nie mówił mi o przeszkodach w prowadzeniu rozmów z załogą. Rad, że miałem z nim rozmowę, udałem się wspólnie z naczelnikiem na przygotowane zebranie. Znowu przeżyłem niespodziankę. W klubie, czy też w dużej sali konferencyjnej dość schludnego hotelu ujrzałem kilkanaście osób, w tym większość niewiast i młodych dziewcząt — oraz obok naczelnika jakiegoś dojrzałego mężczyznę. Publiczność nie stanowiła więcej niż 15 osób. Nie zachęcało mnie to do szczególnie serdecznych wynurzeń. Ciekawe, że wśród tej grupki niewiast znalazły się dwie moje czytelniczki, które wypytywały mnie o szczegóły poruszone w mej ostatniej książce. Z formy i z tonu pytań mogłem wnosić, że są zadowolone, iż czytały moje książki i wielce rade z usłyszanych odpowiedzi na stawiane mi pytania. Byłem z nich i z siebie zadowolony, gdy nagle otrzymałem pytanie kąśliwe w formie i dość złośliwe w treści — co ja wiem o pracy parlamentarnej i czy mogę być użyteczny w senacie, ponadto czy jestem przedstawicielem koalicji rządowej, czy też komitetu obywatelskiego — dodając, że zna mnie i wie o moich zasługach, ale uważa, że takie pytanie powinno paść. Swą opowieść o moim zetknięciu się z Sejmem rozpocząłem od mego udziału w posiedzeniach (na galerii) Sejmu od 1922 roku i później. Wspomniałem o znakomitym mówcy sejmowym arcybiskupie Teodorowiczu, Ormianinie, znakomitym patriocie i wspaniałym oratorze. Mówiłem również o ks. Kazimierzu Lutosławskim, o lwowiaku Diamandzie, wybitnym znawcy zagadnień finansowych, o Hermanie Liebermanie. Z kolei, że byłem w swym życiu na posiedzeniu w Izbie Deputowanych w Paryżu w 1972 r., w Izbie Gmin w Londynie (w latach 1946-47), w Izbie Reprezentantów i Senacie Stanów Zjednoczonych w 1985 r. jak i przez dwie kadencje byłem posłem w Sejmie Rzplitej w latach 1957-65. Zwiedziłem również kilka parlamentów w Europie,

Ameryce Płd., ale nie przysłuchując się obradom. Moje opowieści najwidoczniej zainteresowały słuchaczki. Natomiast obywatel, który zadał mi to pytanie, w trakcie mego opowiadania przeprosił, że mu się spieszy i musi już nas opuścić. Tak czy owak kiepsko widziałem swą przyszłość kandydata. Naczelnik nie odezwał się ani jednym słowem. Rozstaliśmy się. Ja w przekonaniu, że nie warto zwracać się do komitetu prowadzącego całość akcji wyborczej koalicji w województwie.

Do tej pory, poza I sekretarzem, wojewodą i dwoma naczelnikami gmin (miejskiej i wiejskiej w Pionkach) z nikim nie rozmawiałem. Zwolski, dyrektor biblioteki, nie przypominał, przy swych wszystkich zaletach, talentów św. Pawła.

Ponieważ miejska organizacja partyjna przypomniała mnie sobie, udałem się do Komitetu Wojewódzkiego, gdzie dowiedziałem się, że z jego ramienia ma mi pomagać tow. sekretarz propagandy Włodarczyk. Ale go nie było. Ponoć wyznaczył on kogoś do pomocy mnie, tow. Wolskiego, ale też go nie było. Zapytałem o sekretarza rolnego, ale go również nie było. Zresztą nikogo nie zastałem w tym wydziale. Na moje pytanie, gdzie można ich znaleźć i jak ich szukać, otrzymywałem z reguły odpowiedź, że są w terenie.

Kolejnego dnia rozmawiałem jednak wreszcie z kierownikiem akcji wyborczej organizowanej przez komitet wyborczy, powołany przez Komitet Wojewódzki partii. Był nim aktualny sekretarz propagandy, najmłodszy (i to już od kilku lat) spośród wszystkich wojewódzkich sekretarzy. Rzeczywiście młody, wymowny, zadbany (z sygnetem czy pierścieniem) pełen optymizmu i dobrych nadziei.

Nie wiem dlaczego, od dnia mego pojawienia się w komitecie nie zabiegał o spotkanie ze mną, oczywiście w tym sensie, by ułatwić mi cokolwiek, albo go stale nie było i nikt nie wiedział gdzie go szukać, poza jednym, że dość regularnie karmił się w stołówce.

Już moje dotychczasowe doświadczenie z tych kilku dni podpowiadało mi, że jestem traktowany jak przybłęda, narzucony z góry, którego obecność niewoli miejscowych prominentów partyjnych do dokonywania poprawek, przegrupowań w przemyślanych już przedsięwzięciach i ustaleniach czy programach.

Po zapoznaniu się z projektem planu wszelkich spotkań publicznych w całym województwie przekonałem się, że nie jest on dla mnie korzystny — a wręcz zły. Liczne spotkania w jakichś małych wioskach, w okresie pilnych prac polowych, bądź z uczniami szkół średnich i powszechnych — wydawały mi się nawet dziwactwem. Dlatego już przy pierwszej mej rozmowie z

Włodarczykiem poprosiłem o spotkanie ze mną pracowników dużych zakładów przemysłowych, a więc w samym Radomiu w „Walterze", „Radoskórze", filii „Iglopolu", Zakładach Tytoniowych, ponadto w „Promecie" w Pionkach, elektrowni w Kozienicach, „Hortexie" w Przysusze, w Drewnicy, w Gerlachu i jeszcze w zakładach w Lipsku („Hortex" i zakłady remontowe). Ku memu zdziwieniu sekretarz propagandy powiedział, że nie jest to możliwe, a kiedy na niego popatrzyłem złym okiem, dodał: przynajmniej na razie.

Kiedy z kolei prosiłem o organizację spotkania ze studentami miejscowej Wyższej Szkoły Inżynieryjnej, to bez wahania oświadczył, że to zgoła niemożliwe. Na moje pytanie dlaczego, usłyszałem: „bo nie przyjdą". To proszę, abym mógł choć porozmawiać ze studentami ze studium wojskowego na inne tematy. Nic nie odpowiedział. Na zakończenie prosiłem, by mi zapewnił zebranie z nauczycielami w Radomiu — i znów usłyszałem, że będzie trudno, bo akurat matury. Oczywiście sam fakt, że tak późno z nim rozmawiałem, jak i sam przebieg tej rozmowy upewnił mnie w przekonaniu, że egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego ustaliła już sobie jakiś plan i wypracowała program. A to wszystko, z czym ja przychodzę i pragnę by było zrealizowane, burzy ich plany.

Jeszcze tego samego dnia dowiedziałem się, że w „Walterze" kandyduje na senatora jego dyrektor, podobnie jak w „Radoskórze", gdzie dyrektor również pragnie zostać senatorem. Nie sposób więc mnie tam posyłać na rozmowy, bo może mógłbym im coś popsuć. Najciekawiej było z tymi studentami, których rektor przewidziany jest jako czołowy kandydat na senatora. Mogłem się o tym przekonać, gdy znalazłem się w uczelni wytapetowanej licznymi afiszami z portretami Jego Magnificencji w szatach „rytualnych", todze i birecie z rektorskim łańcuchem.

Nareszcie przejrzałem i pojąłem zachowanie się moich rozmówców sekretarzy i innych. Właściwie jedynie bardziej serdecznie zajął się mną „Urząd". Nieszczęście, że jego szef szykował się do wyjazdu na kurację. Wszystko to łącznie prowadziło mnie do przekonania, że należy z tej zabawy jednak zrezygnować. Codziennie jeździłem do Radomia, ponieważ nadal nie miałem hotelu, który wciąż się remontował. Nie miałem również drugiego samochodu, który mógłby być wykorzystywany do łączności z ludźmi przebywającymi w odległych miejscach województwa — choć o niego prosiłem. Najzabawniejsze, że bardzo mało spałem, co mi się nie wydarzyło od wielu lat. Budziłem się codziennie o świcie, choć zasypiałem nieraz po północy.

Zadzwoniłem do pana Czesława i poprosiłem o rozmowę. W pół godziny później byłem już u niego i począłem utyskiwać,

że nie widzę możliwości dokonania czegokolwiek, co by doprowadziło do pożądanego rezultatu. Dodałem, że gdyby można było uzyskać jakieś poparcie plebanów, to być może byłaby jakaś szansa. Jeszcze raz mogłem się naocznie przekonać, jak bystrym, rozważnym i zadziwiająco szybko decydującym się człowiekiem jest mój rozmówca. Po chwili zastanowienia zadzwonił do Orszulika, prosząc dla mnie o spotkanie z biskupem sandomiersko-radomskim Edwardem Materskim. Żałował, że nie ma w Warszawie ks. arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego, bo podobno zachorował i jest jeszcze w Rzymie. Ponadto dodał, abym jechał gdzieś na jakieś spotkanie z wyborcami, a on już mnie znajdzie, jeśli uzyska odpowiedź od rzecznika episkopatu.

Pojechałem do Radomia, by nareszcie poznać się z planem spotkań z wyborcami. Nigdzie nie zaplanowano żadnego większego mityngu. Organizatorami byli wszędzie sekretarze gminni jako członkowie Komitetów Obywatelskich. Środki konieczne zapewniał komitet obywatelski województwa. O czymś w rodzaju wiecu nie było mowy. Natomiast miały być organizowane prezentacje kandydatów na posłów i senatorów w miejscach publicznych, jakimi są stadiony sportowe w wielu dobrze zorganizowanych gminach. W powietrzu wisiało pytanie, kto przyjdzie na taki stadion i do kogo będzie mógł przemówić, przedstawiany przez organizatorów.

Spotkania rozpocząłem od dwóch szkół średnich technicznych. W jednej, gdzie większość stanowiły dziewczęta, była bardzo miła atmosfera, wiele wzajemnej serdeczności, ale mało pytań. Dziś już nie pamiętam żadnego, bo też nie było takiego, które by mnie wprowadziło w zakłopotanie i stąd lepiej zakarbowałoby się w pamięci. Szkoła ta była pod patronatem „Radoskóru". Natomiast w innym liceum technicznym, gdzie byli sami chłopcy, miałem pełną salę dość uważnie przysłuchujących się moim, raczej historycznym, wywodom o Radomiu i jego przemyśle. Miałem wiele pytań przemyślanych, dobrze i jasno sformułowanych. Np. o mój program, jaki pragnę zrealizować w czasie swej senatorskiej działalności. W odpowiedzi na to mówiłem o kłopotach, jakie będziemy przeżywać z powodu braku wody, a zatem o konieczności realizacji czegoś takiego jak plan „Wisły", który miał zapewnić stworzenie na Wiśle 12 zespołów, z czego jest jedynie jeden pod Włocławkiem.

Z kolei mówiłem o rosnących możliwościach polskiego rolnictwa, które osiąga na północy województwa radomskiego znaczne sukcesy, zarówno w sadownictwie jak i warzywnictwie. Mówiłem o konieczności tworzenia innych źródeł energii, byśmy nie poprzestali na węglu, czy jeszcze gorzej na węglu brunatnym, a zrobili wszystko jak najlepiej i jak najszybciej, by wyko-

rzystywać energię w siłowniach nuklearnych. Dawałem za przykład Francję i inne kraje europejskie.

Na naszym kontynencie siłowni nuklearnych na dzień dzisiejszy nie ma jedynie w Austrii, Rumunii, Bułgarii i u nas. W pewnej chwili dostałem pytanie — jak to się mówi — z ekologii. Dlaczego dopuściliśmy do tak daleko idącego zanieczyszczenia wód i powietrza i co należy zrobić by poprawić ten stan rzeczy. Zacząłem odpowiadać dość gorąco, wykorzystując swoje spore wiadomości (podparte ostatnio literaturą wziętą z Instytutu Atomistyki mieszczącego się przy ul. Kruczej). Wracając do nieuchronnej konieczności rychłego budownictwa siłowni nuklearnych, wydawało mi się, że pytający nie był przekonany mymi argumentami.

Na zakończenie mówiłem o szansach słuchającej mnie młodzieży, która dojrzała w okresie wielkich przemian w kraju, jest wolna od lęku, który tkwi w duszach wielu ludzi od niej starszych, przeżywających w ostatnim ćwierćwieczu następstwa przeogromnego terroru wywołującego potężny, paraliżujący wręcz stan. Rozstając się z tą, jak mi się wydawało, niewątpliwie myślącą młodzieżą, nie byłem z siebie zadowolony. Wyjeżdżając ze szkoły wróciłem jeszcze do dyrektora, by mu wręczyć dla chłopca „ekologa" moją książkę, gdzie piszę, jak protestowałem przeciwko budowie Nowej Huty pod Krakowem i rozbudowie przemysłu w Polsce. Przed wręczeniem pozakreślałem odpowiednie ustępy, by czytelnik nie miał kłopotów z ich odszukaniem. Ponoć następnego dnia na porannej zbiórce dyrektor wręczył chłopcu pozostawioną dla niego książkę.

Następnego dnia postanowiłem upomnieć się w Warszawie o dodatkowy samochód i przyśpieszenie zapewnienia mi jakiegoś locum, w którym mógłbym przyjąć kogoś, kto zechciałby ze mną porozmawiać na interesujące mnie tematy.

Zadzwoniłem do gen. Antoniego Jasińskiego, wiceministra MON, o przydział wspomnianego samochodu, bo stale jeździłem samochodem MSW, co być może dla mnie lub dla kogoś z kim miałbym się kontaktować okazałoby się krępujące (przy bezmyślnej dociekliwości i złośliwości otoczenia). Powiedział, że będzie trudno, ale rozważy. O hotelu już z nim nie rozmawiałem. Pieniądze jakie wydawałem na posiłki moje i kierowcy były z mojej kieszeni. Nikt ze mną na ten temat nie rozmawiał. Kiedy udałem się do sekretariatu ministra Kwaśniewskiego, powiedziano mi, że przygotowują się dla mnie afisze z moimi zdjęciami. Zostanie to w odpowiednim czasie załatwione przez mych przedstawicieli, którzy nareszcie mają dostać kwatery i nie będą musieli codziennie wracać do Warszawy.

Z kolei wybrałem się do *Polityki*, bo zadzwoniono do

mnie, że otrzymałem nagrodę tego pisma za ostatnią książkę. Przy okazji rozmawiałem z Danielem Passentem, który zaproponował mi udział w jego programie, jaki prowadzi w telewizji pod nazwą „Goście Passenta". Prosił tylko, abym sobie znalazł i dobrał partnera.

Wieczorem doszedłem do wniosku, że przez kilka dni obracałem się w obszarze kilku gmin na kilkadziesiąt (62) znajdujących się w województwie.

Następnego dnia, była to sobota, rozmyślnie pojechałem przez Kalwarię i Magnuszew, by choć wstąpić do gminnego urzędu w Magnuszewie. Na parterze siedziby gminnej nie było nikogo.. Udałem się na piętro i kolejno odczytywałem wizytówki różnych miejscowych prominentów (których nie było). Na szczęście w jednej izbie zastałem sympatyczną niewiastę. Okazała się być sekretarką nieobecnego Naczelnika. Powiedziałem swe nazwisko (nie przywykłem nigdy mówić swego stopnia jak jestem po cywilnemu) i zapytałem, czy nie ma sekretarza partii. Okazało się, że jest. Za chwilę do sekretariatu przyszedł miejscowy prezes GS, który załatwiał jakieś kłopoty z chlebem w Magnuszewie.

W czasie rozmowy z nim dowiedziałem się, że czytał w jakimś tygodniku informacje o moim kandydowaniu na senatora, jako niezależny. Wielce mnie to zaciekawiło, bo mówiąc o tygodnikach, powiedział *Powszechny*. Egzemplarz ten przekazał proboszczowi w Grabowie nad Pilicą, gdzie sam mieszka i sąsiaduje z plebanią. Postanowiłem z nim jechać do Grabowa, by przeczytać tę notatkę o której mówił. Proboszcza nie zastaliśmy, był w Głowaczowie, ale prezes Wolski natychmiast tam zadzwonił i powiedział księdzu, że jestem u niego na plebanii. Czekając na niego rozmawiałem z prezesem o wszczętej akcji wyborczej, o zainteresowaniu nią księdza. Wspominał przy tym, że nie mógł dostać mej książki i jeszcze jej nie czytał. Po kilkunastu minutach znalazł się ksiądz. Robił wrażenie uradowanego że mnie spotkał. Oglądał mnie coś ze dwa razy w telewizji na filmie mnie poświęconym, chwalił mnie i żalił się, że nie może dostać książki, którą ostatnio kilkakrotnie nagrodzono. Postanowiłem zatem obu wręczyć ową książkę, której dwa egzemplarze miałem właśnie w samochodzie.

Przy kawie, którą przygotowała już uprzednio gospodyni, dowiedziałem się od rozmownego gospodarza, że jutro w Grabowie jest wielkie spotkanie po sumie z wyborcami, na które przyjedzie kandydat na senatora Jan Józef Lipski. Dlatego proboszcz bardzo prosi, abym ja również znalazł się tam jutro. Podziękowałem za zaproszenie informując, że już się na jutro umówiłem gdzie indziej.

Prezesowi zostawiłem bodaj blankiet na zbieranie podpisów. W samochodzie kierowca powiedział mi, że gospodyni była bardzo rada z przyjazdu generała, bo proboszcz jak mnie zobaczył, to się podobno bardzo ucieszył. Następnego dnia zamierzał zakładać związek solidarności rolników.

Pojechałem do Radomia, by się przekonać, że w gmachu Komitetu Wojewódzkiego nikogo nie ma. Brak nawet porządnie dyżurujących. Byłem wściekły. W takiej sytuacji najspokojniej wykorzystuje się dni wolne? Tymczasem komitety obywatelskie spod znaku „S" wykorzystują czas na agitację właśnie w dni wolne i niedzielne. Już nie pomnę dokładnie daty, ale bodaj jadąc po raz pierwszy do Lipska postanowiłem by ks. Podgórskiemu ofiarować nowo wznowioną moją książkę „Z powrotem na służbie". Okazało się, że w Garbatce jest odpust, masa samochodów, liczne kramy i pełny kościół. Wstąpiłem i wysłuchałem kazania, poświęconego głównie potępieniu okrucieństw dokonywanych przez władze. Najwięcej uwagi kaznodzieja poświęcił morderstwu ks. Popiełuszki i łagodności sądu wobec sprawców mordu. Właśnie zwolniono Chmielewskiego po odsiedzeniu minimalnej kary — co zostało bardzo ostro potępione przez kaznodzieję. W zakrystii dowiedziałem się, że ks. kanonik spowiada, ale obiecano mi, że natychmiast zostanie poinformowany o moim przybyciu. Za chwilę znalazł się ksiądz i poprosił mnie na plebanię, sadowiąc przy wspaniale zastawionym stole. Byłem już po obfitym posiłku. Poprosiłem jedynie o kawę ze śmietanką, którą natychmiast postawiono przede mną.

Po kilku minutach, już po moim wręczeniu książki, przybyło do izby biesiadnej trzech nowych kapłanów, gości odpustowych. Jeden z nich skądś mnie znał, bo rozpoczęliśmy rozmowę o święcie 28 pułku artyl. polowej, na które byłem w ubiegłym roku zaproszony, ale nie uczestniczyłem, z czego były ks. kapelan robił mi wyrzuty, zapraszając na święto pułkowe w tym roku. Będzie ono obchodzone 17 września w Brwinowie, wraz z moim 36 ppLA. Powiedziałem, że jak tylko będę mógł, to się stawię. Poinformowałem również księdza, że w grudniu 1987 r. odwiedziłem w Buenos Aires generała Zawiszę, d-cę 28 paL z 1934 roku. Byłem wtedy w Zajezierzu na stażu przed Wyższą Szkołą Wojenną. Inspiratorem wszystkich uroczystości i spotkań koleżeńskich wiarusów tego pułku jest zawsze były jego żołnierz, pan Przybyszewski, mieszkaniec Zajezierza. Ostatnio technicznym organizatorem spotkań weteranów stał się jego syn, mieszkający w Kazimierzy Wielkiej. To od niego dostałem w ubiegłym roku zaproszenie na święto pułkowe w Zajezierzu.

Księża i goście odpustowi zabrali się do spożywania darów bożych z zapałem. Ja poprzestałem na swej kawie, pozostawiając

gospodarzowi blankiet na podpisy wyborców, napominając, że byłbym wielce rad, gdybym tu w Garbatce mógł mieć jakieś spotkanie z wyborcami. Ta uwaga pozostała bez odpowiedzi ze strony gospodarza. Na zakończenie powiedziałem jeszcze, że kapłan wygłaszający kazanie nie nadmiernie ceni wskazania Zbawiciela dotyczące miłości bliźniego i miłosierdzia (miałem na myśli potępienie zwolnienia Chmielewskiego).

Wspomniałem, że w Garbatce zabawiłem chwilę jadąc do Lipska, gdzie byłem około południa. Spotkanie z młodzieżą z klasy maturalnej, niewiele ponad 30-40 osób. Organizatorem gminna organizacja partyjna, atmosfera dość przyjemna. Jedynie kilka osób starszych, zapewne urzędników. W pewnej chwili wywołano mnie z zebrania. Otóż przyjechał umyślny z Urzędu z wiadomością, że wiadome mi spotkanie jest umówione na godz. 11-tą w czwartek. Podziękowałem za informacje (chodziło o rozmowę z biskupem). Byłem z tego zadowolony i wiązałem z tym pewne optymistyczne nadzieje.

Pojechałem jeszcze tego dnia do Jedlni, by poplotkować z Rojkiem. Jego żona od niepamiętnych czasów chodzi prawie co dnia na plebanię. Do obecnego proboszcza dopiero od 11-tu lat, od dnia kiedy został nim w Jedlni. Ona wie wszystko lub prawie wszystko co się dzieje na plebanii i w parafii. Według jej obserwacji ksiądz czyta książki, które mu dałem i przeczytane kładzie na telewizorze. Mówiła do męża, że ksiądz nie mówi o mnie nic dobrego ani szczególnie złego, tyle jedynie, że jestem komunistą i dlatego raczej mnie unika. Rojek sądził, że nawet gdybym z nim serdecznie porozmawiał, to nie wie, czy mógłby mi pomóc. Zależy od tego, jakie otrzymuje zalecenia i o co najbardziej dopominają się wpływowi parafianie.

Solidarność nieoczekiwanie z dnia na dzień pomnaża swoje siły przez pozyskiwanie zwolenników. Tak zwani lewicowcy, czy postępowcy w starym rozumieniu, przeciwnicy plebanii są w wyraźnej mniejszości i ogromnie podupadli na duchu. Ponieważ Rojek obiecał mi kiedyś, że pojedziemy do dawnej powiatowej organizacji ludowców w Kozienicach, w której według niego odgrywał ważną rolę, to namówiłem go, abyśmy tego dnia pojechali. Znalazł tylko wiceprezesa, kierującego jakąś wielką spółdzielnią, który, jak widziałem, nie palił się do kontaktów z nami. Wyglądało, że nie okazuje nam nadmiernej niechęci z natury, ale raczej świadomie wolałby uniknąć jakiejś z nami zmowy, by nie sprawiać sobie politycznego kłopotu w swoim środowisku.

Pojechaliśmy zatem do Świerze Górnych, które są siedzibą dyrekcji wielkiej kozienickiej elektrowni, gdzie jako technik pracuje sąsiad Rojka z Poświętnego, pan Brodowski, w zespole

budowlanych siłowni. Dyrektor tego zespołu przyjął mnie uprzejmie i zaproponował rozmowę w klubie. Okazało się, że moi rozmówcy są obieżyświatami. Budową elektrowni zajmują się od wielu lat i stawiali je już na trzech kontynentach. Zdziwiła mnie oryginalność ich poglądów. Przekonałem się, że są to ludzie światli i chciałem dowiedzieć się, co sądzą o konieczności zrezygnowania z energii dostarczanej w Polsce głównie, a raczej jedynie z węgla kamiennego i brunatnego. Po jakiejś godzinnej pogawędce dowiedziałem się od nich wielu ciekawych rzeczy, świadczących również, że w sprawie poszukiwania i uruchomienia innych źródeł energii, a nade wszystko budowy siłowni nuklearnych, jesteśmy zgodni.

Byłem szczerze rad z tego zebrania, ale nie miało ono wielkiego związku z moją akcją wyborczą. Byłem na terenie elektrowni, którą przez wiele lat dyrygował aktualny kandydat na senatora, obecny szef zespołu elektrowni, w którym są również i Kozienice, pan Czartoszewski, mający biuro w Radomiu.

Dyrektorzy dawnych zakładów zatrudniających kilka tysięcy ludzi nie mieli żadnych kłopotów z zebraniem dostatecznej dla nich ilości podpisów. Oczywiście nie wszyscy pracownicy te podpisy składali, tłumacząc się często, że już kogoś innego, z różnych powodów, swoim podpisem obdarzyli. Ale nie było to zjawisko nagminne. Ja byłem w zgoła odmiennej sytuacji. Choć na terenie województwa znajdowały się również jednostki wojskowe, ale jak się okazało administracja wojskowa i dowództwo jednostek zachowały się arcyprzyzwoicie. Nie było żadnych nacisków, przynajmniej w Grójeckiem, przy zbieraniu podpisów, choćby na mnie — co starych „zupaków" nawet nieco dziwiło, gdy szeregowy zameldował, że wybrał już kogoś innego i podpisał inną listę. Dlaczego w swoim czasie pomyślałem, że jak się znajdę w Kozienicach, Pionkach czy Zwoleniu, to do stu diabłów komu oni mają dawać podpisy, jeżeli nie mnie? Byłem tak naiwny, iż przypuszczałem, że taka Jedlnia powinna się cieszyć, że będzie mogła na mnie głosować. Przecież nigdy jeszcze w powiecie kozienickim nie urodził się ktoś, kto byłby generałem i dowódcą armii, dyplomatą, wcale wziętym wspominkarzem, a nawet uznanym pisarzem — o czym świadczyć mogły recenzje i wypowiedzi w radio czy telewizji oraz liczne nagrody: księgarzy, Kultury Narodowej, a nawet popularnej *Polityki*. Ale tu chodziło o dziesiątki a nawet setki tysięcy ludzi, którzy prawie nic o mnie nie wiedzieli poza tym, że jestem emerytowanym generałem i komunistą, więc reprezentantem nieznośnej władzy. Zacząłem się zatem — jak już wspomniałem — rozglądać choćby za krewnymi. Jadąc z panem Czesławem Pskitem, między Radomiem a Jedlnią, odnaleźliśmy jego brata w Siczkach i siostrę w

Jedlni. Jeszcze przed laty wicedyrektor „Waltera", p. Zaharski wspominał mi kiedyś o jakimś wyjątkowo życzliwym mu Antonim Kuropiesce, człowieku wielce zaradnym i uczynnym. Otóż brat pana Pskita zaprowadził mnie do niego w Siczkach. Antoni był z żoną. Mają wyjątkowo zdolnego i dzielnego syna (którego nie poznałem) bardzo mi byli radzi i razem z Pskitem zabrali się do zbierania podpisów. Dowiedziałem się od nich jeszcze o innych Kuropieskach zamieszkałych w Siczkach i w Słupicy, którzy również zajęli się agitacją i zbieraniem tych podpisów. Ale nie mieli nadzwyczajnych sukcesów. Pewną rolę odgrywać zaczęła zawiść, że jak jakiś Kuropieska zostanie senatorem, to tym Kuropieskom tutejszym w głowach się poprzewraca.

Kiedy jednak kiedyś znalazłem się w hotelu w Pionkach, poprosiłem o książkę telefoniczną i rozpocząłem szukanie swego nazwiska. Znalazłem. Był to Tadeusz Kuropieska — ale choć wieczór, nikogo jeszcze nie było. Nie rezygnowałem. Zadzwoniłem około 22-giej, powiedziałem kim jestem i prosiłem o spotkanie. Zaproponowano mi, abym do nich natychmiast przyszedł, jeśli mogę. Nie mogłem. Umówiłem się zatem na 8^{15} w hotelu. Przyszli rodzice z dorastającym synem. Nieszczęście, że nie mogłem z nimi dłużej rozmawiać, ponieważ w Radomiu mnie właśnie szukano i przysłano samochód z umyślnym, który mnie miał doprowadzić na jakieś ważniejsze zebranie. Dałem im blankiet na podpisy (muszę ich odszukać i odwiedzić w Pionkach). Znalazłem również Kuropieskę w Słupicy. Zamożny gospodarz, ale ze złą — jak się domyślałem — przemianą materii, natomiast zdrowa i zaradna żona i matka, dwóch synów, z których jeden na gospodarstwie, a drugi w wojsku. Opowiadali mi, że wzięty do wojska miał tam jakiś kłopot, ale gdy zapytano go, czy nie jest moim krewnym, przytaknął, bo tak mu mówił przed laty jego ojciec. Natychmiast mu wówczas pomogli, z czego był nie tylko rad, ale i wielce zdumiony. Trafił na kogoś, kto mnie nawet przed nim chwalił.

Pojechałem również szukać Cybulów. Tego, z którym już rozmawiałem, nie spotkałem, pojechał do chorej siostry. Znalazłem natomiast drugiego, zdrowo wyglądającego, choć nieco nadmiernie spasionego, w porządnym domu i umeblowanym mieszkaniu, tylko podle wietrzonym.

Już po wejściu prosiłem o otwarcie okien. Przyjął mnie serdecznie, choć bardziej powściągliwie niż jego brat. Zostawiłem blankiet na podpisy i obiecałem ich odwiedzić w przyszłym tygodniu, pragnąc z którymś wybrać się do Gozdu (niedaleko Gzowic), gdzie pozostaje rdzeń rodziny Cybulów, przynajmniej tak mi to wyglądało z opowiadań matki sprzed 70-ciu laty.

Młody Cybula z Gzowic miał na podwórku również jakieś urządzenia tartaczne. Przyznał mi się także, że zarzyna świnie, a jego niewiasta przyrządza znakomite wędliny, których próby jakości dokonałem. Rzeczywiście salcesony i kiszki okazały się nad podziw wyśmienite. Wieczorem wróciłem do Warszawy, gdzie czekało na mnie zaproszenie na uroczystość wręczenia mi nagrody księgarzy i wydawców roku 1988, tym razem za książkę.

Wizyta

W oznaczonym dniu na 10 minut przed terminem znalazłem się w przedpokoju kilkuizbowego pomieszczenia, w którym było kilka osób, a w pokoju przyległym z otwartymi drzwiami również kilka osób załatwianych przez starszą już wiekiem zakonnicę. Poproszono mnie, abym poczekał, bo ksiądz biskup przyjmuje teraz delegacje kandydatów na posłów. Usiadłem w przedpokoju na ustąpionym mi przez uprzejmego księdza krześle i nieoczekiwanie dla siebie wdałem się w rozmowę z dwoma obok mnie siedzącymi kapłanami, przy których stał jeszcze młodszy, dorodny brunet. W czasie tej gawędy miałem okazję powiedzieć, że proboszczowie małych parafii we Francji, których tam spotkałem, bardzo narzekają na kłopoty materialne plebanów. Ofiarność wśród wiernych ostatnio bardzo maleje, świątynie coraz bardziej puste, chrzciny czy śluby nie są ozdobne jak u nas. Nie widziałem również tak organizowanych uroczystości z okazji pierwszej komunii w porównaniu do dawnych lat u nas w kraju. Słuchali co mówiłem, ale nie polemizowali ze mną.

Kiedy kandydaci na posłów opuścili biskupa, wydało mi się, że któryś z nich jest moim znajomym, więc przywitałem się z nim. Wychodząc od ordynariusza diecezji sandomiersko-radomskiej, byli radośnie pogodni. Zapewne radzi z wizyty.

Ks. biskup Edward Materski przyjął mnie w wielce zagraconym pokoju, pełnym książek i przeróżnych papierów oraz czasopism na biurku i stole. Podziękowałem za przyjęcie mnie i powiedziałem, że w ostatnich dniach dowiedziałem się, że ks. biskup jest wilnianinem i niedawno organizował pielgrzymki wiernych z diecezji Wilna i okolic. Dlatego pozwoliłem sobie przywieźć ze sobą ciekawą wspomnieniową książkę ks. Waleriana Meysztowicza, do niedawna radcy ambasady polskiej przy Watykanie, potomka jednej z najstarszych rodzin arystokratycznych Litwy. Wydawało mi się, że mój rozmówca, choć wie

kim był ks. Walerian, nie zna dokładnie jego biografii. Wspomniałem zatem, że był wychowankiem Korpusu Paziów w Petersburgu, a potem absolwentem słynnego Liceum przygotowującego wielu przedstawicieli arystokracji do pracy w najważniejszych ogniwach administracji carskiej. Dlatego bardzo dbano o najwyższy poziom wykładanych w nim nauk prawniczych. Meysztowicz bezpośrednio po ukończeniu liceum udał się do Wiednia, by pogłębić zdobytą wiedzę prawniczą. W czasie wojny jako rosyjski oficer rezerwy walczył z Niemcami, a po rewolucji był w 1918 r. jednym z organizatorów 13 pułku ułanów w Wilnie i przebył w nim kampanię 1920, ostatnio jako rotmistrz. Po wojnie i po odpowiednim przygotowaniu otrzymał święcenia kapłańskie i został sekretarzem arcybiskupa Jałbrzykowskiego, ordynariusza diecezji wileńskiej. Z kolei był wykładowcą prawa kanonicznego na uniwersytecie Stefana Batorego. (Jako sekretarz arcybiskupa był w Nieświeżu, gdzie rozmawiał z Piłsudskim). Później ks. Walerian został mianowany radcą ambasady i pomagał wieloletniemu ambasadorowi przy Watykanie, Władysławowi Skrzyńskiemu. Po wybuchu wojny bodaj już 1 września 1939 r. wyjechał z Rzymu do Wilna, by zostać kapelanem swego 13 pułku ułanów. Później zabrał ze sobą ojca i z Litwy wrócił do Rzymu. Wręczyłem ks. biskupowi książkę „Polacy na Ukrainie", której autor dowodzi, jak wspaniale administracja carska jeszcze w 1-szej połowie XIX wieku wykorzystała głupotę Polaków na Kijowszczyźnie i Wołyniu, doprowadzając do wyniszczenia około 400 tys. szlachty zagrodowej.

Ponadto ofiarowałem swą ostatnią książkę z dedykacją. Miałem również ze sobą przywiezione z Warszawy „ksero" książki ks. Józefa Gackiego, wydanej w Radomiu w roku 1874. Powiedziałem także, jak bardzo jestem przywiązany do swoich miejsc rodzinnych i że pragnę ostatnie swe lata spędzić na jakiejś polanie w Puszczy Kozienickiej, zabierając ze sobą spory księgozbiór, z którego w przyszłości można zrobić sensowną bibliotekę do publicznego wykorzystywania. (Samych pamiętników jest około 2000 woluminów).

W pewnej chwili gospodarz oświadczył, że wie, iż jestem tu urodzony, chodziłem tutaj do szkół i mam stryja, który był tu proboszczem. Sprostowałem, że to nie był stryj, tylko prawie mój rówieśnik i imiennik.

Z kolei zacząłem rozmawiać o swoich kontaktach z księdzem Zenonem Modzelewskim, superiorem Pallotynów w Paryżu i znakomitym wydawcą, ostatnio miesięcznika *Znaki czasu*, który do niedawna otrzymywałem. Przy rozstaniu ks. biskup ofiarował mi rzymski egzemplarz *Znaków czasu* z ubiegłego roku.

Wspomniałem jeszcze o księdzu Józefie Rokosznym, który był moim wychowawcą jako dyrektor szkoły średniej, dodając, że dużo mu zawdzięczam. Przy pożegnaniu życzył mi zdrowia.

Rozmowa trwała ponad godzinę, co wielce dziwiło urzędnika Wyznań, który mnie tam przywiózł i na mnie czekał. Nie byłem z niej zadowolony. Gospodarz okazał się wielce powściągliwy, choć słuchał, jak mi się wydawało, bardzo uważnie. Sporo czasu w tej rozmowie poświęciłem Jedlni, podkreślając zainteresowanie Jagiełły tą puszczą, jego częste wielodniowe wizyty, w czasie których przyjmował w Jedlni zagranicznych gości. Mówiłem również o synach Jagiełły, którzy też bywali w Jedlni i Radomiu. Podkreśliłem, że to nie przypadek, że św. Kazimierz jest patronem Radomia.

Biskup Materski przyjechał z Wilna w czasie okupacji niemieckiej, skończył seminarium duchowne, wiele lat pracował bodaj w kurii diecezjalnej w Sandomierzu. W dniu, w którym z nim rozmawiałem, wiadomym mi było, że nie sprzyjał kandydowaniu Jana Józefa Lipskiego. Ponoć z jego inspiracji o mandat senatorski ubiegać się będą panowie Pająk i Bąk, ponieważ uważa, że nie należy pomagać czy sprzyjać człowiekowi niewierzącemu i socjaliście, jakim jest Lipski, wskrzeszający ostatnio Polską Partię Socjalistyczną. Ciekawi mnie, co z tego wyjdzie.

Solidarność postąpiła rozsądnie, tworząc komitety obywatelskie pod osobistym patronatem Wałęsy. W pierwszej chwili nie pojmowałem, co to ma znaczyć, że jakiś kandydat na posła jest na afiszu wraz z panem Lechem. Zapytałem, czy to może krewny lub współpracownik Wałęsy, ale w parę dni później dowiedziałem się, że takie afisze są urzędowe i nie tylko w Radomiu, gdzie widziałem zresztą tylko jednego kandydata na senatora z Wałęsą.

Znakomitym pomysłem było ustalenie, że w każdym województwie jest proponowanych przez komitet obywatelski (Wałęsy) tylko dwóch kandydatów na senatorów, z równoczesnym opublikowaniem wszystkich nazwisk. To rozwiązanie ułatwiło i wielce usprawniło wiele interesujących zabiegów, z którymi zgoła nie mogła sobie dać rady tak zwana koalicja rządowa.

Już na plenarnym posiedzeniu Komitetu Partyjnego w Radomiu dowiedziałem się, że łącznie z dwoma kandydatami spod znaku Wałęsy zgłoszonych jest kilkunastu kandydatów na senatorów, w tym wielu partyjnych. Już ten fakt wybitnie osłabił siły koalicji rządowej w wolnych rzeczywiście wyborach do senatu. Rozumiałem nawet zgłoszenia ambitnych, liczących na swą pozycję społeczną, popularność, zasługi, ale nie mogłem pojąć dziesiątka kandydatów akceptowanych przez Komitet Wojewódzki partii. Byłem przekonany, że są to jakieś pierwsze

próby, nieznane jeszcze choćby egzekutywie Komitetu Wojew., a jedynie rozpowszechnione, choć są zgłoszone przez lokalne organizacje stopnia gminnego. Okazało się jednak, że na wszystkich, którzy postanowili kandydować, zbiera się podpisy, by uskładać owe podstawowe trzy tysiące nazwisk z numerami dowodów tożsamości.

Poza wspomnianymi już próbami, o ile mi wiadomo, nikt w sposób zorganizowany tych podpisów dla mnie przed 1-ym maja nie zbierał. Postanowiłem upomnieć się o pomoc. Byłem przekonany, że o moim kandydowaniu oficjalnie został powiadomiony Wojewódzki Sztab Wojskowy, tym bardziej, że już rozmawiałem z szefem tego sztabu płk. Januszewskim i jego zastępcą do spraw politycznych płk. Andrychowskim — choćby w sprawie kwatery w remontowanym hotelu. Okazali mi wiele uprzejmości, ale jak się dowiedziałem, było to jedynie z ich życzliwości, choć nigdy nie byli nawet moimi podwładnymi i nie otrzymali żadnego wyraźnego polecenia ani z Okręgu, ani z Głównego Zarządu Politycznego WP.

Akcję z podpisami postanowiłem wdrożyć jeszcze przed 1 maja. Okazało się, że samo święto poprzedzone jest wolnym dniem i nie można nikogo schwytać telefonicznie ani w Warszawie ani w Radomiu, do którego jeździłem i 30 kwietnia i 1 maja. Komitet miał jedynie jakiegoś dyżurnego, który niewiele wiedział.

Przekonany, że prominenci nieuchronnie będą brali udział w manifestacji pierwszomajowej, postanowiłem dzwonić. Udało mi się otrzymać połączenie z wojewodą Wojciechowskim, któremu oświadczyłem, że pragnę z nim porozmawiać, na co odpowiedział, że właśnie rozmawiam. Ten nadzwyczajny refleks nie zdziwił mnie nadmiernie. Poprosiłem, aby mi poradził i pomógł w zebraniu podpisów — na co usłyszałem: „ja nie będę zbierał podpisów". Powiedziałem, że to oczywiste, ale macie liczny personel i inne możliwości. Z kolei usłyszałem, że „oni wykorzystują wolne dni na odpoczynek" Nie miałem już o czym z tym człowiekiem rozmawiać i więcej z nim aż po dzień dzisiejszy nie mówiłem. Pojechałem natychmiast do Warszawy i począłem — już po manifestacji — szukać gen. Floriana Siwickiego. Chodziło mi o zapewnienie oficjalnej opieki przez Sztab Wojewódzki i o samochód, który mógłby być wykorzystywany w Radomiu, ponadto o ewentualną pomoc zakładów graficznych czy poligraficznych. Ale go nie było. W domu powiedziano mi, że wyjechał. Dokąd? Może na ryby? Dzwoniłem do wiceministra do spraw ogólnych Antoniego Jasińskiego. Jego też nie było w domu. Jest przypuszczenie, że wyjechał do Helenowa. Tam również nie ma. Szukamy na działce. Na próżno. Postanowiłem

zadzwonić do szefa Głównego Zarządu Politycznego, gen. Szaciły. Jest w biurze. Powiedziałem mu o wszystkich moich kłopotach i o zadziwiającej gnuśności, nieporadności, wręcz organizacyjnym niechlujstwie. Ktoś przecież musi chodzić i zbierać podpisy. Ja osobiście mógłbym je zbierać w Łazienkach (i przypuszczam, że co najmniej co drugi znajomy przechodzień nie żałowałby podpisu, który by mógł dla mnie dawać dla hecy).

Ostatnio dowiedziałem się od szefa Sztabu Wojewódzkiego, że nie mają żadnych poleceń w związku ze mną, poza normalnymi zarządzeniami z okręgu, regulującymi wybory w obszarach zamkniętych.

Mimo mych próśb przedstawionych płk. Janiszewskiemu nie ma samochodu do wykorzystywania go w Radomiu i na obszarze województwa. Do tej pory nie mam żadnej godziwej kwatery, do której mógłbym poprosić wyborcę, by z nim porozmawiać czy poradzić się, jeśli by to był mój znajomy lub życzliwy krewny, czy kolega ze szkoły lub z wojska. Miałem jedynie nocleg nad stołówką milicyjną, ale do spotkań ze znajomymi nie mogłem go wykorzystywać z wielu względów. Przypomniałem również o ewentualnej pomocy zakładów drukarskich podległych Głównemu Zarządowi Politycznemu. Spokojnie wysłuchał i oświadczył, że będzie wszystko załatwione zgodnie z moimi postulatami. Podziękowałem, ciekaw co wyjdzie z tej obietnicy, bądź co bądź wielce miarodajnego generała. Nawet nie pytałem, jak się według niego zapowiada akcja wyborcza prowadzona przezeń w Suwałkach.

Z rozmów z z-cą do spraw politycznych dowódcy okręgu warszawskiego gen. Wojtasikiem wiedziałem, że jest bardzo zajęty zabiegami dokonywanymi na intencję mego rozmówcy. Nagle uświadomiłem sobie, że pomysł wytypowania czterech wojskowych, dwu w służbie czynnej i dwu emerytów, wydawał się w pierwszej chwili pewnie doskonałym pomysłem.

1. Generał broni Szaciło, od wielu lat kierownik pracy politycznej w Siłach Zbrojnych, urodził się na Suwalszczyźnie i był od wielu lat dość popularny w tym środowisku. A przy tym człowiek rzadkiej uprzejmości, bezpośredni, ujmujący w rozmowie, rzetelnie wykształcony, uczynny i utrzymujący kontakty z Suwałkami i Augustowem. Na pewno zresztą w czasie samej akcji wyborczej nie zaniedbywano pewnych usług na rzecz ludności, dla przypomnienia jak wiele może wojsko zrobić i pomóc, jeżeli senatorem zostanie jeden z czołowych kierowników MON. Trudno byłoby znaleźć drugiego tak dobrego i nadającego się kandydata, oficera w służbie czynnej. Ale okazało się, że znaleziono.

2. Jest nim generał lotnictwa, kosmonauta, komendant Wyższej Szkoły Lotniczej w Dęblinie, Hermaszewski. Znany

powszechnie w kraju i poza nim, szczególnie w krajach bloku socjalistycznego. Świetny oficer i szanowany człowiek o rozległych stosunkach i szerokich znajomościach, „rektor" wspomnianej i popularnej w całej Polsce szkoły, bardzo znanej i lubianej szczególnie na Lubelszczyznie. Byłem bardzo ciekawy, jak przebiega jego akcja wyborcza.

3. Z emerytów wybrano Paszkowskiego i mnie. Paszkowski, generał pilot, dowódca kampanii w 1939 r., ranny, kawaler Orderu Virtuti Militari, przekwalifikowany na lotnika, został dowódcą Głównego Stanowiska Dowodzenia Lotnictwem. Potem d-ca korpusu Obrony Przeciwlotniczej, następnie d-ca Obrony Powietrznej kraju, ambasador w Angoli, po stanie wojennym wojewoda Śląska. Następnie poseł na sejm IX kadencji i przewodniczący Rady Ochrony Pamięci i Męczeństwa.

W związku z akcją wszczętą w sprawie Katynia, jeszcze w Radzie Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa miał „pełne ręce roboty", szybko stał się bardzo popularny. Nazwisko nie dość, że pojawiało się w prasie z racji każdej uroczystości pomnikowej w kraju, ale i za granicą, gdzie często zapraszano generała. W krótkim czasie zdołał odwiedzić Włochy, Francję, Belgię, Holandię, Grecję, kilkakrotnie Związek Sowiecki, a nawet Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. Wydawało się więc organizatorom wyborów, że to doskonały kandydat.

Podobnie dobierano popularnych, dzięki telewizji, kandydatów na senatorów, ludzi pracujących w Komitecie Radia i Telewizji. A więc: Bilik, Woźniak — a z przeciwnej strony barykady znanych aktorów jak: Holoubek, Szczepkowski, Łapicki.

4. Wreszcie napomnienia zgoła przypadkowe Kwaśniewskiego kogoś jeszcze zainteresowały i stąd propozycja mego kandydowania, ofiarowana człowiekowi siedzącemu prawie 6 lat w więzieniu z najwyższym wyrokiem sądowym (jedyny generał w czasach głębokiego pokoju, skazany na karę śmierci, dość popularny z racji prawie półwiecznej służby wojskowej, pełnionej głównie w Warszawie). Znany i uznany kronikarz wydarzeń, w których brał udział, spopularyzowany przez kilka książek wydanych w ostatnich 18-tu latach, rzeczywiście czytanych i poszukiwanych nawet za granicą. Pokazywany w telewizji i nagrywany w radio, podróżujący często po świecie. Po 1968 r. nagle zwolniony z wojska i posłany na emeryturę. Po kilku latach wyrzucony z Rady Naczelnej ZBoWiDu bez jakiegokolwiek uprzedzenia i wyjaśnienia, ale przypominany publiczności dość często od lata 1988 roku.

Ostatnia moja książka „Nieprzewidziane przygody" jest rzeczywiście tak zwanym best-sellerem, gorąco poszukiwanym i

wydawało się, że ktoś kto ją przeczyta nie będzie miał wątpliwości, na kogo ma głosować. Na nieszczęście nie było jej jednak już od tygodnia w sprzedaży i co najciekawsze, prawie wcale nie znalazła się w księgarniach Radomia czy Pionek.

Przekonanie, że koalicja rządowa nie będzie miała większych szans w wolnoamerykańskich wyborach do Senatu stawało się powszeche i coraz bardziej oczywiste, gdy przyszły wiadomości, że poza 100 kandydatami Solidarności, jest około 500 po drugiej stronie, co z góry przesądzało o uzyskaniu choćby kilkunastu mandatów w I turze wyborów. Ale „nieoceniona" CBOS widziała dla wielu szanse. Nikomu do głowy nie przychodziło, że mogą np. przegrać wybory min. Wilczek, Kwaśniewski (który miał znakomicie zorganizowaną całą akcję wyborczą i bardzo się do niej przykładał). Przecież Wilczek w ostatnich tygodniach przed wyborami był niewątpliwie najpopularniejszym człowiekiem PRL-u. Wiele również zyskiwał min. Jastrzębski i Longin Pastusiak (z racji swych publikacji o Stanach Zjedn. i ich prezydentach), czy płk profesor Kwiatkowski dzięki swym powszechnie interesującym ocenom przeróżnych sensacyjnych ankiet.

Początkowo liczono co najmniej na 30 mandatów. (Wówczas ktoś świetnie zorientowany w treści rozmów prowadzonych na temat, ile miejsc ma otrzymać w Senacie „S", a ile koalicja rządowa, powiedział, że przy zachowaniu tzw. proporcjonalności „S" ofiarowała 30 miejsc tej koalicji, na co strona rządowa żadną miarą nie wyrażała zgody.) Później obliczono, że pewnych jest jedynie 14 mandatów, na które już można, według wstępnych przymiarek, liczyć na pewno.

Jeszcze przed rozmową z biskupem Materskim gen. Kiszczak radził mi wykorzystać gen. Edwina Rozłubirskiego do organizowania i przygotowania spotkań w terenie w większych miejscowościach poza Radomiem. Widać uważał go za dobrego organizatora i świetnego wykonawcę zadań, które się mu powierza. (Znałem go doskonale, bo był sześć lat moim podwładnym, cztery lata dowódcą pułku na Wesołej i dwa lata jako dowódca dyw. powietrzno-desantowej w Krakowie, którą zresztą dowodził coś z pięć lat.) W miarę jak poznawałem pana Edwina coraz bardziej przekonywałem się, że w rzeczywistości brak mu tych cech, które w opiniach mu wystawianych podkreślałem, co w sumie składało się na charakterystykę służbową wybitnego oficera. Później po latach wydał mi się „picerem". Dlatego w pierwszej chwili zrezygnowałem z propozycji, by mi pomagał. Spróbowałem skorzystać z niego dopiero po 1 maja.

Najpilniejsza była sprawa przydzielenia mi samochodu do Radomia (do jazdy z Warszawy miałem wóz z MSW). Dlatego

2 maja zacząłem dzwonić do gen. Jasińskiego. Powiedziano mi, że jest u ministra. Prosiłem o połączenie z ministrem, ale był zajęty telefon. Kiedy mnie połączono, minister już wyjechał na konferencję czy odprawę, która się odbywała w nowym centrum konferencyjnym przy ul. Żwirki. Jasiński również opuścił szefa i udał się do swego biura. Kiedy mnie połączono z biurem, Jasiński zdążył już wyjechać w ślad za ministrem. Dzwonię zatem do centrum i proszę dyżurnego, by przy wejściu do gmachu Jasińskiego zameldował mu, że go poszukuję i proszę o rozmowę. Jeszcze nie przyjechał. Kiedy dzwonię po raz wtóry, dyżurny informuje mnie, że przeszedł szybko obok niego i już jest na sali konferencyjnej, do której już teraz nie może wejść.

Dzwonię więc do szefa gabinetu ministra gen. Woźnackiego i mówię mu o swoich zabiegach dotyczących otrzymania samochodu, prosząc go o jak najrychlejsze załatwienie sprawy.

W pierwszej chwili generał Woźnacki, który nigdy do tej pory nie odmówił żadnej mojej prośbie, oświadczył, że nie może tego załatwić i musi zameldować ministrowi. Co począć?

Przed tygodniem odszukałem nareszcie telefon Juliana Bardacha, profesora UW i członka rzeczywistego PAN, świetnego historyka i doskonałego autora z historii prawa, a mego przyjaciela i kiedyś podwładnego, gdy byłem I zastępcą Szefa Sztabu Generalnego (1948 r.), a on kierownikiem wydziału wojskowego w Centralnym Urzędzie Planowania u prof. Bobrowskiego. Powiedziałem mu, że kandyduję i proszę, by porozmawiał na temat moich szans ze swym przyjacielem jeszcze z czasów wileńskich a później uniwersyteckich w powojennej Warszawie, prof. Gieysztorem. Przyrzekł, że będzie z nim rozmawiał. Gieysztor przekazał mi przez niego pozdrowienia z równoczesną informacją, że w tej chwili nie zajmuje się wcale polityką, nie ma nawet kontaktów i prawie z nikim nie rozmawia i nie może w tej sprawie nic sensownego powiedzieć ani tym bardziej rzeczywiście pomóc.

Kiedy postanowiłem już skorzystać z propozycji gen. Kiszczaka, sądziłem, że on mi odda całkowicie Rozłubirskiego do mej dyspozycji (tak zdaje się również rozumiał to min. Kiszczak). Uruchomiłem zatem pana Edwina i wybraliśmy się do Radomia, by go przedstawić społecznemu komitetowi, z którego informacji powinienem korzystać. Ponadto poprosiłem go jeszcze wcześniej o telefony do prezesa „Iglopolu" min. Brzostowskiego i naczelnego komendanta Straży Pożarnej. Pierwszy miał mi ewentualnie pomóc w organizowaniu spotkań w zakładach należących do „Iglopolu" a znajdujących się na terenie województwa radomskiego. Drugi z kolei miał zapewnić mi pomoc społeczną w miarę możliwości, powiadamiając o potrzebie

tej pomocy odpowiednie oddziały straży ogniowej w Radomskiem. Później jeszcze poprosiłem Rozłubirskiego o telefony do dyrekcji „Hortexu", która ma zakłady z dość liczną załogą w Przysusze i Lipsku. Telefony p. Edwin załatwił, ale nie rozmawiał osobiście nawet z Brzostowskim i trudno mu było uchwycić telefonicznie pana Surmę, dyrektora naczelnego „Hortexu".

Sam Rozłubirski nie sądził, by miał być organizatorem spotkań. Poprzestał na telefonach. Na domiar złego nigdy go nie mogłem złapać (przekonał się o tym również minister). Zrezygnowałem z tej pomocy, nic mu nie mówiąc. Nie wspomniałem również o tym p. Czesławowi.

Sprawnie zareagował na me prośby „Iglopol". (Pragnąc podziękować Brzostowskiemu, zadzwoniłem do Dębicy, ponieważ otrzymałem z ministerstwa rolnictwa informację, że w Warszawie minister będzie dopiero 4 czerwca, bo jest zajęty swą akcją wyborczą na senatora). Przekazano nazwiska i adresy, do kogo mam się zwrócić.

Gdy zadzwoniłem na podany mi numer telefonu w Radomiu, w niewiele minut zjawił się w Komitecie Woj. dyrektor, z którym od ręki umówiliśmy spotkanie w zakładzie mu podległym. Po zebraniu w gmachu dyrekcji, na którym było kilkadziesiąt osób, w tym większość niewiast, pojechaliśmy z dyrektorem do Policznej niedaleko Zwolenia, dokąd mieli przyjechać również pracownicy „Iglopolu" z Jedlińska (ale nie przyjechali).

Spotkanie arcyciekawe z robotnikami gospodarstwa rolnego, będącego własnością „Iglopolu". Mało pytań, gorąca polemika w miarę trwania zebrania, wzrost zainteresowania wśród słuchaczy, ale to wszystko w granicach 20 czy 25 osób na głębokiej wsi, obok pięknego pałacu hr. Przezdzieckich, wykorzystywanego na dom dla niedołężnej i niedorozwiniętej młodzieży.

Podziękowałem dyrektorowi, choć dziwiło mnie, że po kilkudziesięciu kilometrach jazdy z Radomia i 1,5-godzinnym zebraniu nikt nie zaproponował mi choć szklanki mleka (o czym oni myślą?). Dyrektor na zakończenie obiecał mi, że zadzwoni do „Hortexu", którym kiedyś zarządzał właśnie w Przysusze.

W Komitecie przejrzałem dokładnie plan spotkań organizowanych przez komitet społeczny inspirowany przez Komitet Wojewódzki partii. Centralną osobą kierującą tu akcją był sekretarz propagandy Włodarczyk, który moich sugestii o zebraniach w większych zakładach, jak widziałem z przedstawionego mi spisu, nie uwzględnił. Nie zaproponował mi również pomocy w organizowaniu zebrań proponowanych przeze mnie poza tym jego planem przy zamierzonym wykorzystaniu „Iglopolu", „Hortexu" czy choćby Straży Ogniowej, spotkania ze studentami Szkoły Inżynierskiej, czy z pedagogami w Radomiu. Już nie

pamiętam dokładnie daty owej niedzieli, kiedy wybrałem się do gmachu województwa. W czasie rozmowy zgadało się o Skaryszewie, znakomitym miasteczku znanym od wieków z kontraktów końskich, do którego w 1916 roku chodziłem by kupić choć funt słoniny, co mi się zresztą często udawało (odległy od Radomia jedynie o 12 km). Sława Skaryszewa z owych wielkich targów końskich była powszechna w Europie środkowej. Nic dziwnego, że gdy zbudowano na Wiśle most imienia Mikołaja II przy ul. Zielenieckiej, biegnącej wzdłuż targów końskich będących na Pradze i na ich miejscu pomyślano o urządzeniu parku, to nazwano go Skaryszewskim.

Mój rozmówca okazał się rodzonym skaryszowianinem, co mnie ucieszyło i nic dziwnego, że poprosiłem go, by mi ułatwił i pomógł w organizowaniu spotkania w jego rodzinnym mieście. Otóż owo spotkanie znalazło się również w planie tow. Włodarczyka. Miało się zacząć w świetlicy Domu Kultury o godz. 14-tej. Jechałem na nie z panem Waldemarem. Spóźniliśmy się kilka minut. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy poza trzema osobami spotkanymi na parterze tego klubu, sala widowiskowa, w której miało się odbyć zebranie z wyborcami, okazała się zupełnie pusta. Zbaraniałem. Wróciłem na parter i rozpocząłem poszukiwania kogokolwiek z organizatorów. Zapytałem milicjanta, czy nie widział naczelnika lub sekretarza partii. Powiedział, że niedawno kręcił się naczelnik gminy. Pewnie jeszcze przyjdzie. Przyszedł. Pytałem go, co to znaczy, że nikogo nie ma. I w tej chwili mignął mi pan, którego poznałem na moim pierwszym zebraniu w Jedlinie przy kościele, który przyjechał tam organizować gminny Związek Rolników Indywidualnych NSZZ RI. On zapewne też miał jakieś zebranie, bądź przyjechał do Skaryszewa, by spowodować abym ja go nie miał w tym mieście. Moje zebranie było zapowiedziane plakatami, które sam widziałem i czytałem. W swoim długim życiu doznałem tak wielu nawet okrutnych niespodzianek, że zdarzenie skaryszewskie mnie nie poruszyło — co zapewne mogło zdziwić towarzyszącego mi pana Waldemara.

Pojechaliśmy na kolejne spotkanie do Iwieńca, gdzie chciałem porozmawiać z kandydatem na posła, gen. Wiśliczem, iwieńczykiem, człowiekiem z ciekawym życiorysem. Przed wojną podoficer zawodowy w stopniu plutonowego. W czasie okupacji partyzant Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, działający w lasach iłżeckich. Po wojnie wojewoda kielecki i ponownie w wojsku jako pułkownik mianowany *atache* wojskowym w Budapeszcie. Z kolei oficer polityczny i emeryt. Ruchliwy, pomysłowy, uczynny działacz społeczny i polityczny w Iłżeckiem, gdzie niewątpliwie dokonał wielu rzeczy pożytecznych. W 1988 roku, już

jako oficer w stanie spoczynku, mianowany generałem brygady. Ostatnio we wszystkich wystąpieniach publicznych zawsze w mundurze generalskim. Po rozpisaniu wyborów zgłosił swoją kandydaturę na posła w rejonie, w którym się wychował i dorastał i działał od dziesięcioleci jako członek partii. Mieszka w Warszawie, ale bardzo często bywa w Iłży, bodajże jest przewodniczącym Rady Miejskiej tego historycznego miasta. W czasie obiadu, na który mnie zaprosił do Iłży, żalił się na stosunki jakie się ostatnio ukształtowały w Iłżeckiem. Ma kłopoty nawet ze zbieraniem podpisów, bodaj w rodzinnej wsi i to tylko dlatego, że nie wypiera się, iż jest komunistą i dalej członkiem partii. Czarno widzi swoje obecne możliwości na osiągnięcie sukcesu zakończonego uzyskaniem mandatu. Gdy przyjeżdża z Warszawy, nocuje w remizie strażackiej w Iwieńcu, która kiedyś została wybudowana wcale okazale, między innymi dzięki jego staraniom i niepowszedniej zaradności. Jest tam również piękny dom kultury z dobrze zaopatrzoną biblioteką.

Po obiedzie wróciliśmy do Iwieńca do świetlicy tego domu, na zebranie, jak mi powiedziano, kółka historycznego, którego członkami są również dzieci z 7-ej i 8-ej klasy (jeśli nie są to jedyni członkowie).

Jak zwykle niczemu się nie dziwiłem, choć nie było tak z panem Waldemarem — tyle, że nie robił żadnych kąśliwych uwag. Już nie pamiętam, o co pytano, ale było bardzo miło, pogodnie, nawet czasem wesoło. Pamiętam najbardziej dziewczynki wcale ładne, schludne i zadbane. Nie miało to oczywiście nic wspólnego z moimi zabiegami o wyborców. Być może pozyskałem sympatię tej dziatwy, której jednak z uwagi na swój podeszły wiek nie będę mógł wykorzystać w wyborach po czterech latach. Dostałem piękne kwiaty, które przekazałem dla sympatycznej organizatorki tego zebrania. Był ze mną gen. Wiślicz, ale się tam nie wypowiadał.

Następnie pojechaliśmy do Iłży, również do Domu Kultury, gdzie w sporej sali świetlicowej było nieco ludzi i myślę, że jeszcze więcej miejsc pustych. Ale dobra publiczność. Niektórzy zadawali pytania, byli świetnie przygotowani i wiedzieli, o co im chodzi. Przeszkadzała im jakaś wykształcona i oczytana niewiasta, która doskonale znała treść moich książek od „Wspomnień dowódcy kompanii" po „Nieprzewidziane przygody". Zadawała mi również pytania w związku z moim pisarstwem (jestem raczej jedynie kronikarzem, który w swych kronikach o wiele za dużo mówi o sobie). Między innymi zadała mi pytanie (wzięło się ono stąd, że często w swych wypowiedziach przypominam wagę i znaczenie dobrych wzorów i zaleceń doskonalenia się na świetnych przykładach ludzi dzielnych i szlachetnych) kto w

moim życiu był dla mnie przykładem i wzorem z ludzi, których znałem osobiście i współżyłem z nimi. Odpowiedziałem bez namysłu — ksiądz Józef Rokoszny, członek Polskiej Akademii Umiejętności, historyk sztuki, konserwator Ziemi Radomskiej, wspaniały wychowawca i świetny pedagog, wielki podróżnik i niepowszedni znawca duszy ludzkiej, a przy tym zadziwiająco skromny i rzec można raczej ubogi.

Pytania stawiane mi wyglądały na to, że były formułowane jakby komuś zależało na tym, by mnie ośmieszyć i przekonywały mnie, że ludzie, którzy je zadają, dosłownie nic o mnie nie wiedzą poza tym, ile mam lat. Nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, że jestem zdecydowanym wrogiem wszelkiego terroru, że wielekroć mówiłem ministrom MSW, od Wichy do Kiszczaka, że nie należy nigdy bić żadnych aresztowanych i więźniów. Już 1 września 1939 roku mało nie oddałem w ręce prokuratora polskiego sierżanta, który usiłował uderzyć jeńca Niemca, zestrzelonego lotnika (na szczęście sierżant powstrzymał się w porę).

W moich rozmowach z miarodajnymi ludźmi akcentowałem zawsze tępienie choćby cienia bezmyślnego zamordyzmu. Tymi rozmowami być może bardziej przyczyniłem się do przemian w umysłach i postawach mych rozmówców niż demonstracje i wyzwiska, którymi byli obrzucani, kiedy w mych spotkaniach z czytelnikami książki omawiającej warunki mego śledztwa prowadzonego przez Informację Wojskową w latach 1950-1952 — mówiłem o swych rozmowach z mymi prześladowcami przy filiżance kawy, a nawet kieliszku wina. Słuchacze oburzali się, jak mogę pozwalać sobie na picie kawy z płk. Fejginem. Ja z kolei mówiłem im, że są niebezpiecznymi ludźmi, skłonnymi do surowych rewanżów, a może nawet do wieszania czy krzyżowania z zemsty. Potępiałem to i będę potępiał zawsze. Dlatego jeśli człowiek zadający pytanie pragnie usłyszeć ode mnie nawoływanie do odwetu za doznane rzekomo wyrzeczenia, biedy, areszty, internowania, ograniczenia wyjazdów za granicę, idiotyzmy cenzury, to jednak ja, który tego wszystkiego doświadczyłem w stopniu raczej najwyższym w kraju, nade wszystko w pytającym widzę takiego człeka, który jest gotów robić to samo z tymi, którzy są odmiennego zdania lub bardziej wyrozumiali. Takie pytania, prowokujące do potępienia wszystkiego, co się wydarzyło i czego się dokonało w ciągu ostatnich 40-tu lat, przypominają mi zachowanie się niemądrych Polaków, którzy przybyli do Francji i potępiali okres sanacyjnej Polski, tępili wszystkich, którzy uchodzili za sanatorów, uważając ich za podłych sprzedawczyków i także za tchórzy. Co więcej, sami wymyślili obozy odosobnienia, gdzie trzymali wielu wyjątkowych

nych z odwagi i dzielności, znakomitych piłsudczyków. Nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, co myśleli o ich potwarzach na rodaków i rząd polski przedwojenni Francuzi. Jeśli się z takim pytającym zgadzałem co do faktów, sądził, że czynię to z tchórzostwa, by sobie tym zjednać słuchaczy i przyszłych wyborców. Tak jak wielu w wystąpieniach publicznych unikało przyznania się, że są dalej członkami partii. (Najlepiej, że jeden z kandydatów na senatora w Warszawie w swym życiorysie podkreślił, że był członkiem partii, ale po 1956 roku, by nie mieć nic wspólnego z okresem największego terroru w Polsce). Wygłaszanie tych potępień nie dość, że jest głupie, ale i obrzydliwe.

Odpowiedzi moje na zadawane pytania rozczarowały myślących pytających, bo na uwagi o PGR odpowiadałem o konieczności tworzenia większych gospodarstw rodzinnych, jakie widziałem w Niemczech w Nadrenii, czy w Szwecji lub Danii. Mówiłem przy tym o konieczności zaopatrzenia rolników w doskonalsze narzędzia, odpowiadające potrzebom gospodarstw tego typu. Wyśmiewałem nadmierną centralizację spółdzielczości, radziłem likwidację wielu stopni pośrednich, nie dawałem nawet okazji do polemiki. Ktoś zaczął utyskiwać na udręki dla rolników z racji służby wojskowej synów i mówił, że coś należy zrobić, aby starzejący się rolnicy nie musieli dawać swych synów po kolei do wojska. Zgodziłem się z mym rozmówcą: też jestem zwolennikiem rychłej organizacji armii zawodowej i zalecam zrezygnowanie z obowiązku powszechnej służby wojskowej. Ta moja wypowiedź najbardziej zainteresowała mojego kierowcę, starszego strzelca, który był na tym moim występie w świetlicy.

Występował również gen. Wiślicz. Zadawano mu mnóstwo kąśliwych pytań dotyczących głównie spraw lokalnych. Oczywiście pytano go o partyjność. Odpowiedział sensownie i bardzo godnie — co mi się spodobało.

Generał, choć nie zrezygnował z dalszej akcji, ale — jak czułem — nie wierzył w jej powodzenie. W dalszym ciągu nie przychodziło zbyt wielu ludzi poza organizatorami.

Po wizycie mej w Skaryszewie i Iłży przestałem wierzyć w osiągnięcie mandatu. Miałem jednak wyjątkową okazję dokładnego przyjrzenia się arcyciekawym zdarzeniom, nie tylko jako obojętny widz, ale jako czynny statysta i żywy uczestnik na tej scenie z możliwościami dokładniejszego przyjrzenia się prawdziwym aktorom.

W dniu Zielonych Świąt ludowcy organizują tradycyjnie spędy-festiwale. Postanowiłem pojechać na tę uroczystość do Kozienic, by obejrzeć jak to wygląda i czy pomoże mi w wyborach.

Osobiście wybrałem się po 1 maja do jednostki wojskowej stacjonującej w Grójeckiem, dowiedzieć się o nastrojach przy

rozmowach z kadrą i członkami rodzin. Agitacja wyborcza w tak zwanych obwodach zamkniętych wymaga zachowania szczególnych warunków. W czasie tej rozmowy przy kawie dowiedziałem się, że jestem proszony przez tow. Kostrzewę, dyrektora miejscowej mleczarni w Grójcu, bym wpadł do nich, bo właśnie mają przedwyborcze zebranie łącznie z przewodniczącymi jeszcze mniejszych mleczarni. Pojechałem z redaktorem *Rzeczypospolitej* Janem Ordyńskim. Zebranie liczne, nastrój gorący, przemówienia krytyczne, ale wiele propozycji interesujących. Doskonałym oratorem, mającym przy tym wyraźne cechy przywódcze, okazał się Kostrzewa. Ja również przemawiałem serdecznie i ciepło w przekonaniu, że będzie nam już niedługo lepiej i sensowniej. Musimy przestać narzekać i nie mówić ciągle o złośliwościach władzy i uprawianych przez nią rzekomo okrucieństwach i bezsensownych zabiegach gospodarczych. Byłem po raz pierwszy zadowolony z zebrania i rad, że poznałem interesującego towarzysza, jakim mi się wydawał jeszcze dość młody Kostrzewa.

Pojechałem również do miejscowego prezesa wielkiej spółdzielni rolniczej z prośbą by zrobiono mi notatkę, jak mógłbym pomóc w organizacji sprawnego transportu np. truskawek, choćby do Bundesrepublik w porozumieniu z „Lotem", i z kolei uzgodnić współpracę transportu lotniczego organizowanego wspólnie z dtwem naszego lotnictwa wojskowego, jeśli nastręczy się taka okazja i będą możliwości do jej wykorzystania. Myślałem również o rozważeniu wspólnego przedsiębiorstwa między spółdzielnią, czy spółdzielniami grójeckimi a „Lotem".

Któregoś dnia już po 1 maja, po powrocie do Warszawy z Radomia, dowiedziałem się w domu, że dzwonił adiutant Jaruzelskiego. Ponieważ mnie nie zastał, zapowiedział, że będzie dzwonił ponownie, by mnie połączyć ze zwierzchnikiem. Zrobił to. Postanowiłem zadzwonić. Połączono mnie. Pan Wojciech podziękował mi, że zgodziłem się na kandydowanie, wyraził nadzieję, że pójdzie mi dobrze, tak mu przynajmniej już meldowano itp. Wspomniałem mu w żartobliwy sposób o kłopotach z samochodem i z zakwaterowaniem w Radomiu. Była to pierwsza rozmowa telefoniczna między nami od kilkunastu lat. Już następnego dnia szef gabinetu ministra w rozmowie ze mną żalił się na moje skargi do zwierzchnika, dodając, że jeśli kiedykolwiek zadzwonię do pułku o samochód, to zawsze mi zapewnią. Powiedziałem generałowi, że uprawiam ten proceder od dawna, ale tym razem chodzi o posłanie samochodu na kilkanaście dni, a nawet aż do 5 czerwca do Radomia.

Już następnego dnia zadzwoniono do mnie z Radomia, że do tutejszego sztabu wojewódzkiego przybył samochód z kie-

rowcą i czeka na moje dyspozycje. Zapewniono mu kwaterę i zaopatrzenie w paliwo. Mam również ja kwaterę, ale w koszarach, choć w bloku, w którym mieszkają rodziny zawodowych żołnierzy. Proszą mnie również o jakieś dodatkowe dane, niezbędnie konieczne do jakiegoś afisza poświęconego kandydatom na posłów i senatorów z wojska. Jednak przekonałem się, że zwierzchnik coś znaczy, co mnie ucieszyło. (Samochód przyszedł na polecenie z-cy Szefa Sztabu Generalnego. Okazało się, że niewiele mógł załatwić Główny Zarząd Polityczny i dziwnie ospały w tych dniach sam MON.)

Otrzymałem wzmocnienie z MSW w osobie majora Maciejewskiego, światłego i doświadczonego dziennikarza, który miał mi towarzyszyć w mych wyprawach do wyborców. Ponadto stale byli do mej dyspozycji pan Waldemar i pan Jabłoński, którzy niby stale utrzymywali łączność z tow. Włodarczykiem i zostali zakwaterowani w Pionkach. Miał mi również pomagać w wyjazdach red. Jan Ordyński. Otóż w kilka dni po 1 maja wybrałem się w doskonałej oprawie z tymi panami na zamek w Szydłowcu, gdzie miało mieć miejsce podobno doskonale przygotowane zebranie, włącznie z możliwością kupna moich poszukiwanych książek. Rzeczywiście spotkanie zostało przygotowane, ale nie dość, że nie było tłumów — nie było również pożądanej publiczności, poza młodzieżą kontaktującą się z sympatyczną panią dyrektor biblioteki i kilku ciekawymi jednak osobami.

Wiele pytań mało związanych z wyborami, a prawie zawsze z fragmentami moich opowieści wyczytanych w książce. Natomiast nastrój był wspaniały, wiele wzajemnej życzliwości i obustronne zainteresowanie. Kiedy przyszło do podpisywania dedykacji, ktoś przedłożył plik wycinków z *Życia Literackiego*, w którym przed ośmiu laty publikowano w odcinkach część mych „Nieprzewidzianych przygód".

Warto wspomnieć, że gdy w czasie zebrania wspomniałem o opanowaniu garnizonu rosyjskiego Szydłowca przez powstańców 1863 roku, to kilka osób, ku zdziwieniu innych szydłowiaków, znało wielce interesujące szczegóły z wydarzeń nocnego napadu. Rano jednak ostali się panami sytuacji w mieście Rosjanie.

Po rozmowach z publicznością pani dyrektor biblioteki poprosiła nas na kawę i w czasie różnych opowieści dowiedziałem się o pani Tarnawskiej, kiedyś przewodniczącej Rady Narodowej w Kozienicach, a z kolei w Przysusze, w której przebywa, ale jest bardzo ciężko chora na okrutny nowotwór i właściwie nie ma dla niej już żadnego wyjścia. Poprosiłem o połączenie telefoniczne. Uzyskałem je i obiecałem jej, że przyjadę do niej do Przysuchy. Powiedziałem, że jestem kandydatem i ma

wszystko przemyśleć, w czym mi może pomóc. Słuchający tej rozmowy telefonicznej przypominali mi wówczas, że ona jest bardzo chora i rzadko chodzi na spacery. Powiedziałem, że znam ją bardzo dobrze, że nie wytrzyma, by nie przyłożyć ręki do tego, co pragnę zrobić w Przysusze, w której ona, jak państwo mówili, ma wielki respekt, uznanie i szacunek za rzeczywiste zasługi oddane temu miastu hrabiów Dembowskich, z których ostatni dziedzic przed wojną ożenił się z Lodą Halama.

O postawie kierownictwa komitetu społecznego (tak go nazywam) inspirowanego i kierowanego przez Komitet Wojewódzki partii w stosunku do mnie świadczy fakt, że nie poinformowano mnie o odbywającym się już drugi dzień plenum Komitetu Wojewódzkiego w Radomiu. Dopiero drugiego dnia jego trwania złapano mnie pod gmachem komitetu, bodaj przez sekretarza rolnego komitetu, bym natychmiast z nim pojechał do komitetu, bo jestem poszukiwany przez I sekretarza już od kilku godzin (a właśnie wybierałem się do Kozienic i Magnuszewa i by mnie nie znaleźli, z czym mieliby później kłopoty nie byle jakie).

W sali konferencyjnej Szkoły Inżynierskiej, w której już byłem na plenum Komitetu Miejskiego, było tłumnie. Przy prezydialnym stole siedział „I-szy", tow. Prus, wojewoda płk Wojciechowski oraz II sekretarz i kilku jeszcze innych. Ledwie znaleźli dla mnie miejsce siedzące niedaleko od trybuny (sceny) z prezydium. Okazało się, że obrady są poświęcone wyborom, w szczególności senatorów, do których partyjnych kandydatów jest 10-ciu. Uprzednio nie przyszło nikomu do głowy, by postąpić tak, jak zrobiła „Solidarność" już przed dwoma tygodniami. Nikomu nie wzbroniono zbierać podpisów spośród członków partii. I jakoś nazbierano. Ale co z tym niechlujnie wyglądającym, bezmyślnym zaniedbaniem teraz uczynić? Przecież to śmiesznie wygląda, że partia proponuje 10 kandydatów na 2 mandaty. Zorientowano się, że to wygląda okropnie. Stąd to plenum. Już drugiego dnia doprowadzono do sytuacji, że spośród 10 partyjniaków 2 namówiono do rezygnacji. Ale pozostało jeszcze 8, w tym i ja — a tu mnie nie ma. Nie ma nikogo, kto by się przyznał, że nie byłem o tym powiadomiony. Nie wypada mnie zaocznie skreślić, tym bardziej, że I i II sekretarz doskonale wiedzieli, że jestem zaproponowany przez Biuro Polityczne partii. Otóż po dyskusjach wyłonił się pomysł, by każdego kandydata z tej ósemki balotować po kolei. Ilu za, ilu przeciw. Ale nikt nie umiał zaproponować sposobu praktycznego wykonania balotażu. Zarządzono przerwę. W czasie tej przerwy podszedł do mnie pan Waldemar z deklaracją, czy wyrażam zgodę na kandydowanie. Oświadczyłem, że nie podpiszę, bo już nie chcę

kandydować — i mam właśnie okazję to oświadczyć. Nic nie powiedział. Szef sztabu płk Janiszewski poinformował mnie, że już jest ustalone, że komitet proponuje 3 kandydatów z ramienia partii. Nie wybrani w pozostałej piątce będą mogli być umieszczeni z ramienia partii na kandydatów do ubiegania się o mandaty poselskie.

Po przerwie poprosiłem o głos i znalazłem się na trybunie. Oświadczyłem, że nic nie pojmuję z tego co się tu dzieje - kto wymyślił teraz owe „konwencje", które ma wykorzystać plenum komitetu. Nic o tym nie wiem. Nie pojmuję, jak mogę podlegać balotażowi, skoro tu lwia większość członków komitetu mnie nie zna. Jeszcze przedwczoraj rozmawiałem z I sekretarzem i nic mi o takich machinacjach nie mówił. Już miałem zejść z trybuny, gdy I sekretarz przewodniczący zebraniu, tow. Prus, zapytał mnie, który z pierwszych sekretarzy. Odpowiedziałem nader głośno — Jaruzelski — i zszedłem z trybuny.

Z kolei oznajmiono nam, że w głosowaniu udział biorą członkowie Komitetu Wojewódzkiego i kandydaci. Zaproponowano następującą procedurę. Wszyscy ośmioro będą na kartce według alfabetu. Na kolejno odczytywane nazwisko plenum ma głosować przez podniesienie ręki. Ktoś się zaśmiał, inny szydził, że to nie ma nic wspólnego z tajnym głosowaniem i może trwać nadmiernie długo. W tym momencie ktoś poprosił o głos, proponując by mnie zwolniono z balotażu z uwagi na bardzo długi staż partyjny i zasługi. Tow. Prus zaproponował, by jednak zrezygnował z tego wniosku z uwagi na szmery, jakie się zaczęły po jego wystąpieniu. Proponujący odmówił. Zatem Prus zarządził głosowanie za wnioskiem, by mnie zwolnić z balotażu. Było łącznie z wnioskodawcą jedynie 5 osób. Ja rozbawiony przyglądałem się jakiejś niewieście, która bacznie cały ten czas mnie obserwowała. Wreszcie rozdano kartki. Każdemu jedynie po 3. Każda miała zawierać jedno nazwisko godnego kandydata. Po zebraniu i obliczeniu zaczęto ogłaszać wyniki. Pamiętam tylko 5 pierwszych. 1-szy miał 9 głosów, II - 66, III - 17. W tym momencie pomyślałem sobie, że ja na pewno będę miał swą piątkę uprzednio głosującą na mnie, a tu usłyszałem Kuropieska 115. Kolejny miał 7, potem jeszcze ktoś kilkanaście i 5. Nieoczekiwanie dla mnie uzyskałem największą liczbę kresek, bo 115 na 195 głosujących (moje kartki oddałem nie zapisane, nikogo dosłownie nie znałem z kandydatów).

Zatem oficjalnymi kandydatami partii zostało nas 3: Kuropieska, Misiak (rektor), Czucharzewski (dyrektor rejonu energetycznego i aktualny budowniczy olbrzymiej elektrowni w Radomiu).

Znowu podszedł do mnie pan Waldemar, bym podpisał

deklarację na zgodę kandydowania. Tym razem nie wypadało mi nie podpisać, tak mi się przynajmniej wówczas wydawało. Nie wiem, gdzie jeszcze korzystano z tego zabiegu.

Najciekawsze, że jeszcze na samym zebraniu niektórzy z kandydatów na senatorów zgodzili się na kandydowanie na posłów, jak to im zaproponowano. Inni, np. dyrektor „Radoskóru", zrezygnowali, ale kilku, mimo że nie otrzymali rekomendacji partyjnej, ani myślało o rezygnacji. Łącznie było nas 16 kandydatów na 2 mandaty. Ciekawe, że jedynym województwem gdzie solidarnościowcy wystawili 4 kandydatury, było Radomskie. Przyczyną był zabieg ks. biskupa Materskiego, by zamiast Jana Józefa Lipskiego wystawić pana Pająka, rolnika z Grójeckiego, również solidarnościowca. Do pary z nim był pan Bąk związany z Grójcem.

Ponieważ o inspiracji ks. biskupa powszechnie mówiono, to do wyjaśnienia całej kwestii przyczynił się Wałęsa, publikując swą depeszę do komitetu obywatelskiego w Radomiu, że jego kandydatami są panowie Bembiński i Jan Józef Lipski (kilkanaście dni później ktoś napisał list, wytykający z imienia i nazwiska księdza biskupa ordynariusza sandomiersko-radomskiego za niewłaściwe jego postępowanie w całej tej akcji wyborczej.

Początkowo kandydatów na senatora, którzy mieli dostateczną liczbę podpisów, było wśród partyjnych przed balotażem 10, a zrezygnowało 2, w tym sekretarz partyjny z elektrowni Kozienice. Z kolei odeszli dyrektorzy „Waltera" i „Radoskóra" i jeszcze ktoś, tak że było nas ponad dwudziestu. Natomiast na oficjalnej liście znalazło się tylko 16 (*tak w tekście — Red.*).

Po tym plenum zmienił się nieco na lepsze stosunek kierownictwa „naszego" komitetu społecznego, choć żaden z postulatów wysuwanych przeze mnie nie został praktycznie uwzględniony. Natomiast okazywano mi więcej troski w rozprowadzaniu nadchodzących z Warszawy afiszów, listów napisanych nawet nie wiem przez kogo z moich pracowników, którym nie przyszło do głowy sprezentować mi brulionu czy projektu tych wypracowań. Po wydrukowaniu ich przeraziły mnie swymi banalnymi sformułowaniami, na które nigdy sobie nie pozwalam. Np. troska o załatwienie kwestii mieszkaniowej, która ma szybko doprowadzić do zapewnienia każdemu małżeństwu dwupokojowego mieszkania. Otóż od lat tłumaczę, że jest to niemożliwe, nade wszystko z powodu naszego przyrostu naturalnego. Od 1946 roku powiększyliśmy naszą ludność o 15 milionów, gdy w krajach bliskich nam — Węgrów jest z każdym rokiem mniej, podobnie jak i Niemców. Nie rodzą się Czesi, choć lepiej ze Słowakami — ale Słowacja w czasie drugiej wojny nie była bombardowana. Miasteczka słowackie i wsie nie były zrujnowane.

Nie rodzą się nadmiernie również Szwedzi, sąsiedzi zza Bałtyku. Od wielu lat należało propagować mieszkania rodzinne z dziadkami i ojcami. Nikt o tym nie myślał poza wsią, która z kolei buduje się na wyrost. Setki i tysiące wspaniałych domów stoi na wsi pustych, młodzież ucieka do miast, gdzie wrzeszczy o dach nad głową.

Owe listy zostały napisane i rozesłane na wzór zabiegu dokonanego przez wielki sztab wyborczy Aleksandra Kwaśniewskiego w Koszalinie. Namówiono mnie, abym te listy podpisywał. Miały one być rozesłane pocztą. W każdym razie nie byłem w stanie dokładnie tej akcji skontrolować, ale gdy pytałem w Jedlni, czy dotarły do nich podpisane przeze mnie listy, to nie miałem odpowiedzi na tak.

Sekretarz Włodarczyk natomiast bardzo począł się upominać o dostarczenie mu kilkunastu kaset z nagraniami mego programu wyborczego. Przyrzekłem, że to będzie zrobione i zleciłem, by dopilnował tej sprawy mjr Maciejewski. Moi pomocnicy byli zawsze przekonani, że są bardziej doświadczeni ode mnie i dobrze wiedzą, co robią. Mnie najczęściej wydawało się to zgoła zbędne, nie odpowiadające zaistniałej sytuacji, do której nie przywykli i nigdy czegoś podobnego nie robili, ale wiedzieli, jak to się robi w Ameryce, bo o tym czytali bądź widzieli w kinie. Oczywiście sam pomysł rozesłania kilku czy kilkunastu tysięcy listów (tylko nie z tą banalną treścią), powtarzających się wówczas we wszystkich programach przemówień radiowych i telewizyjnych oraz najbardziej uroczystych wystąpień mógł być pożyteczny, ale taki list powinien zawierać wiele interesujących stwierdzeń czy zaleceń dotyczących lokalnych warunków — i treść listu powinna być inna dla każdego kąta województwa. Na pewno inna dla zamożnej dziś Grójecczyzny, a inna dla Iłżecczyzny. Należy też zadbać o to, by te tysiące listów naprawdę zostało wysłanych do adresatów, choćby wg książek telefonicznych. Tak że nie obiecywałem sobie wiele po „wysłaniu" tej korespondencji.

Następnie afisze. Prawie każdy zapewniał, że kandydat jest człowiekiem niezwykłym, szczególnie pod względem charakteru: „zawsze wierny", „nigdy nie zawiedzie", „gorący patriota", „szczególnej odwagi cywilnej", „ofiarny" i „gotów do poświęceń".

Takie stwierdzenia zostały wykorzystane w moich rozplakatowanych afiszach — co nie bardzo mnie bawiło. Prosiłem zatem, by przy jakiejś okazji powiedziano, że sprzeciwiałem się budowie Nowej Huty przy Krakowie, że mówiłem publicznie, by nie budowano nic z przemysłu w niecce węglowej i na jej obrzeżu. Że zamiast Nowej Huty pod Krakowem proponowa-

łem Radymno nad Sanem. Że w swoim czasie byłem organizatorem (i twórcą) dywizji spadochronowej, dowódcą Armii (okręgu) i komendantem Akademii Sztabu Generalnego. Ponadto namówiłem, by wspomnieli, że jestem kawalerem obu orderów wojennych, Virtuti Militari i Krzyża Grunwaldu.

Na jakimś spotkaniu w małej wiosce jakiś starszy chłop nieoczekiwanie zapytał mnie, czy jestem jednym z tych generałów, których zrobili w tym roku. Roześmiałem się i powiedziałem, że generałem zostałem przed 40-tu laty. Inni też się śmiali. Dlatego postanowiłem znaleźć w archiwum wojskowym mieszczącym się w Rembertowie jakieś odpisy moich opinii jeszcze przedwojennych i napisanych przez znanych generałów dowódców: Mieczysława Borutę-Spiechowicza, Tadeusza Kutrzebę i jakieś bardziej interesujące fragmenty umieścić na afiszach mnie przedstawiających — co zostało zrobione. (Szkoda, że ich nie mam).

Prosiłem również, by umieszczono w jakiejś ulotce mówiącej o mnie fragmenty wypowiedzi prokuratora Stanisława Zarakowskiego i moich uwag przed sądem w ostatnim słowie oskarżonego: „proszę o uniewinnienie". Było tego wszystkiego wiele i zgrabnie na ogół sformułowane.

W kilka dni po mojej rozmowie telefonicznej z Tarnawską pojechałem do Przysuchy. Ledwo ją znalazłem. Powiedziałem, o co mi chodzi i dałem jej swą książkę. Powiedziała, że zrobi wszystko, aby spotkanie z wyborcami się odbyło. Zadzwoniła do sekretarza partyjnego, dla którego zostawiłem u niej książkę. Obiecałem, że za kilka dni również wpadnę.

Od niej pojechałem do Nowego Miasta n/Pilicą, gdzie ostatni raz byłem w 1932 r. Wygląda schludnie i ma nowe, wcale przyzwoite koszary. Z-ca stacjonującej tam jednostki lotniczej omówił dokładnie termin spotkania z kadrą i rodzinami. Pułkownik d-ca okazał się moim sympatycznym znajomym z ostatnich mych wczasów kuracyjnych spędzonych na Gubałówce, ściślej z kąpieli wraz z nim na basenie lotników na słynnym Groniku.

Oficerowie, z którymi rozmawiałem w Nowym Mieście, wywarli na mnie bardzo dobre i przyjemne wrażenie.

Następnego dnia udałem się do *Polityki* i w rozmowie z Passentem ustaliliśmy, że drugim gościem obok mnie u Passenta powinien być jakiś kandydat „Solidarności". W moim przypadku w grę wchodziły dwa nazwiska: pan Jan Józef Lipski i pan Bembiński — kandydaci Wałęsy na senatorów. Mnie było wszystko jedno, który z nich zostanie zaproszony. W tej sprawie Passent porozumiał się jeszcze z Marianem Turskim, który mi później opowiadał, że jest w przyjaźni z Lipskim i raczej

proponował Bembińskiego. Razem z Passentem zgodziliśmy się na to. Ja nawet wolałem, bo był to oficer rezerwy 72 p.p., który był w dywizji warszawskiej (28) „sąsiadem" mego 36 p.p. L.A, w którym przebywałem 10 lat aż do zakończenia W.S.Woj. W 72 p.p. miałem wielu kolegów i przyjaciół nawet z ławy szkolnej, jeszcze z powszechniaka. Z kolei w czasie okupacji Bembiński był oficerem AK i zachował się dzielnie. Tuż po wojnie rozbił więzienie w Kielcach, następnie w Radomiu — co przyniosło mu wielką sławę i popularność. Skazany na karę śmierci i ułaskawiony. Działacz organizacji kombatanckich. Ostatnio właściciel fermy drobiarskiej.

Znakomitą ilustracją, jak nie dbano o to, abym uczestniczył w jakichś większych zgromadzeniach organizowanych przez ZSL, SD, Pax itp. był wypadek, jaki mi się wydarzył w Zielone Święta (wspomniałem już, że pragnąłem wziąć udział w jakichś uroczystościach święta ludowców, obojętne gdzie, w Zielone Święta).

Byłem tego dnia w Radomiu i pragnąłem rozmawiać z panią Domańską, dyrektorką „Domu Książki" w Radomiu. Okazało się, że nie ma jej w domu, bo pojechała do Kozienic, gdzie jest jakiś wielki festyn, ze sprzedażą książek włącznie. Nie zastanawiając się pojechałem. Dowiedziałem się w Kozienicach, gdzie ta uroczystość ma miejsce. Piękny stadion w lesie. Odszukałem panią Domańską przy wystawianych przez jej pracowników książkach, z których już bardzo wiele sprzedano. Wyrażała wielki żal, że nie ma wśród nich moich. Powiedziałem, że mimo święta poszukiwałem jej, by jej powiedzieć, że za parę dni dostanę jeszcze kilkadziesiąt egzemplarzy mojej książki „Nieprzewidziane przygody", a ona powinna od jutra bombardować Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej w Krakowie, by jej przysłano kilkadziesiąt egzemplarzy „Z powrotem w służbie". Jeśli się wcześnie nie upomni, to nie będzie książki. Od niej dowiedziałem się, że na tym festynie będą sztandary, przemówienia, odznaczenia z udziałem wielu wojewódzkich dygnitarzy. Jeszcze nie skończyła swej opowieści, jak kilka kroków przede mną przeszedł I sekretarz Prus, wojewoda Wojciechowski i jeszcze jakieś znajome z ostatnich dni twarze. Choć coś do nich krzyknąłem, nie rozpoznali mnie. Poszedłem za nimi do amfiteatru i usiadłem sobie w pierwszym rzędzie między nieznajomymi.

Wprowadzenie na scenę pocztów sztandarowych, ich ustawienie, następnie umieszczenie przeróżnych dekoracji, w czym brało udział wielu ludzi starszych i zniedołężniałych, było dla mnie osobiście interesujące, choć wyglądało bardzo nieporadnie. Ale zaciekawiało mnie to zaciekłe naśladowanie takich parad pokazywanych w telewizji, nawet przez małe miasteczko. Nie

obyło się bez przemówień. Bardzo zgrabnie i pewnie wystąpił kandydat ZSL na senatora, pan Sońka, znany i popularny wśród ludowców partyzant. Przemawiał również siedzący obok mnie kandydat na senatora z PZPR, którego w pierwszej chwili nie poznałem, choć widziałem go już w Komitecie Wojewódzkim; bardzo znany w Kozienicach, bo był tu dyrektorem elektrowni. On mnie chyba rozpoznał wcześniej, ale nic nie mówił. Gdy po swym wystąpieniu wrócił na swoje miejsce obok mnie, zapytałem go, czy zna pana Kossowskiego z górnictwa. Powiedział, że zna. Z kolei ja oświadczyłem, że pan dyrektor Kossowski bardzo pana chwali i wielce ceni. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

Najlepiej z kandydatów wypadł na scenie jakiś urzędnik handlu zagranicznego, urodzony w tych stronach, pewny siebie i dość dobry, nawet wytrawny mówca. Dziwiłem się, że nikomu do głowy nie przyszło, by mi zaproponować uczestnictwo; choć nie było tłumów, stało kilkuset gapiów z dziećmi i wspaniała okazja, abym się wypróbował na otwartym powietrzu jako agitator, czy nawet apostoł.

Wcale dobre przemówienie wygłosił Sońka, którego kiedyś poznałem jeszcze kilka tygodni temu, również kandydat na senatora.

Przekonałem się, że jeśli był ludowiec i komunista, mogłem być i ja. Po przemówieniu mojego sąsiada wyjechałem, tak że nie wiem kto jeszcze występował. A było to najładniejsze spotkanie organizowane w województwie radomskim po stronie koalicji rządowej.

Wracając do Warszawy wstąpiłem umyślnie do Studzianek (ostatnio nazwane „Pancerne"), by porozmawiać z miejscowym proboszczem Kościoła narodowego, ks. Dąbrowskim. Jeszcze przed kilkoma tygodniami wpadłem do Studzianek, by stwierdzić jak wygląda szkoła (tysiąclecia) wybudowana przez Warszawski Okręg Wojskowy, w dniach kiedy byłem jego dowódcą. Był to rok 1957 lub 58, kiedy mój z-ca do spraw politycznych, rzadkiej szlachetności człowiek, zameldował mi, że z opodatkowania dobrowolnego kadry uskładaliśmy już tyle pieniędzy, że możemy natychmiast przystąpić do budowy porządnej szkoły. Świetnie — odpowiedziałem — przygotujcie co należy, a nade wszystko zastanówcie się z kilkoma ludźmi, gdzie ją postawić. Po kilku tygodniach przyszedł w tej sprawie ponownie gen. Henryk Jankowski, oświadczając, że wszystko jest zrobione w tej sprawie, nie ma tylko zgody co do miejsca budowy. Po długich rozważaniach wybrano trzy miejscowości: Biłgoraj dla uczczenia wielu walk partyzanckich tam przeprowadzanych, łącznie z uwolnieniem więźniów z tamtejszego kryminału, następnie Anin dla uczczenia działań przeprowadzonych w 1944 roku

i Studzianki, gdzie była bitwa pancerna również w 1944 roku. Prosił, abym zdecydował, gdzie stanie szkoła. Przeglądnąłem mapę, by wiedzieć, gdzie te Studzianki; Biłgoraj i Anin znałem dość dobrze, bo byłem w jednym i drugim.

Następnego dnia, gdy przyszedł po decyzję, powiedziałem krótko: Studzianki. Nawet nie zapytał, dlaczego. Otóż po obejrzeniu mapy dokładniej już w domu przekonałem się, że proponowane Studzianki znajdują się w powiecie kozienickim i są na obrzeżu puszczy Kozienickiej. Nie ma tam nawet szosy. Biedna wieś. Postanowiłem coś dla nich zrobić. Kiedy składałem kamień węgielny w obecności kilkunastu dziennikarzy i ekipy telewizyjnej, której przysłanie zapewniła okręgowi moja znajoma, pani Irena Dziedzic, to po tej uroczystości poprosiłem wszystkich przyjezdnych gości z Warszawy, Kielc, Radomia i Kozienic na bigos z gorzałą. Walnie przyczynił się do organizacji tego „bankietu" proboszcz polskiego Kościoła katolickiego, znakomity i zaradny organizator, który wiele pożytku przysporzył swej małej parafii przez swą niepowszednią pomysłowość, energię i pracowitość.

Wykorzystując obecność przedstawicieli prasy, zwróciłem się ze szczególną prośbą i groźbą do dziennikarzy lokalnych i warszawskich, by co miesiąc każdy z nich napisał coś o Studziankach i o tym co się tu dzieje i zawsze utyskiwał, że do tej wsi nie ma porządnej bitej drogi, która powinna zostać zbudowana jak najrychlej. Jeżeli tego nie będą robić, to ci, którzy mają jakiś związek ze służbą wojskową, będą w najbardziej nieodpowiednich dla nich okresach powoływani do odbycia ćwiczeń wojskowych.

Najstarszym wśród nich był ppłk Przymanowski, którego bohaterowie bili się w Studziankach w książce, którą wiele lat później napisał o pancernych i psie.

Rzeczywiście Studzianki ostatnio są w dwie strony zaopatrzone w dobre drogi. Budynek szkolny wygląda schludnie, wieś również. Jest również nowa skromna plebania. Kiedy znalazłem się w Studziankach, podziękowałem księdzu za zebrane podpisy, których listę zdjąłem z drzwi plebanii, bo zostały przez księdza wywieszone na wszelki wypadek, abym je mógł zabrać, gdyby go nie było. Przewidywania okazały się słuszne, bo jadąc przed 10-ma dniami zabrałem podpisy, choć nie zastałem gospodarza i nikogo innego na plebanii.

Ksiądz obiecał mi również podobną pomoc u swego kolegi księdza w Radomiu, ale jakoś z mojej winy do jej wykorzystania nie doszło. Proboszcz się tylko martwił, że komisja wyborcza jest oddalona o wiele kilometrów, mieści się aż w Głowaczowie, i jeśli nie będzie zorganizowanego porządnego transportu, to

wyborcy mogą nie wywiązać się ze swoich obowiązków obywatelskich.

Rozmowy z księdzem Dąbrowskim zawsze były ciekawe i pogodne, choć mówiliśmy o kłopotach, jakie przeżywają jego parafianie. Wspominaliśmy księdza proboszcza z okresu, gdy budowaliśmy szkołę. Od kilku lat pracuje w Zurychu, dokąd w odwiedziny jeździ ks. Dąbrowski. Ilekroć jestem u niego, zawsze pijemy kawę ze śmietanką w proszku doskonałej holenderskiej marki.

Warto wspomnieć, że w Studziankach odbywały się wielkie uroczystości i manifestacje, ale nikomu nigdy później nie przyszło do głowy, żeby mnie zaprosić (jakże to prawdziwie polskie. Nie proszono również budowniczego szkoły, inż. płk. Pataszewskiego).

Jadąc do Warszawy rozważałem, że nawet ten spęd-kiermasz-festyn czy festiwal organizowany przez ZSL miał dobrą oprawę i wielu ludziom sprawił sporo przyjemności i przyniósł wiele pożytku stronnictwu, nawet w jego akcji wyborczej — czego się nie robi przez lokalne organizacje partyjne. A jeżeli się nawet robi, to jakoś tak dziwnie się składa, że nie ma prawie wcale publiczności.

Rozmawiałem w Warszawie z Kiszczakiem. Gdy mu powiedziałem, że o mej wizycie u biskupa nie wspomniano w prasie lokalnej, bo nie zalecał tego ordynariusz, to mój rozmówca poinformował mnie, że są jakieś echa tego spotkania, bo mu powiedziano, że Materski miał powiedzieć, że gdybym nie był komunistą i niewierzącym, to zostałbym świętym. Nie pytałem o źródła tej opinii — ale może jeszcze kiedyś do tego wrócę. Przypomniałem tylko panu Czesławowi, że warto na ten temat byłoby pogawędzić z ks. Bronisławem Dąbrowskim. Minister Kiszczak był na święcie strażaków w Lublinie. Zalecał mi utrzymanie ścisłego kontaktu z oddziałami straży ochotniczej w większych osadach i rzekł, że opowie im coś o mnie, tym bardziej gdy mu powiedziałem, że absolwenci seminarium nauczycielskiego w pierwszej połowie lat dwudziestych musieli kończyć rzetelny kurs pożarniczy. Przynajmniej tak było w mojej szkole.

W każdą sobotę i niedzielę po 10 maja miałem wolne, bo choć przyjeżdżałem do Radomia, poza dyżurnym w komitecie partii, gdzie mieściło się kierownictwo komitetu społecznego, nie było nikogo. Pojechałem zatem do Przysuchy odwiedzić Tarnawską, ale nie mogłem się do niej dostać, choć dobijałem się do drzwi. Początkowo myślałem, że jest na spacerze. Postanowiłem zaczekać — ale gdzie? Pojechałem pod milicję i poprosiłem dyżurnego, by mi podał telefon dyrektora „Hortexu", dużego

zakładu w tym mieście; jego nazwisko uzyskałem przed kilkoma dniami. Zadzwoniłem, ale go nie zastałem. Miał być dopiero za kilka dni. Do dyżurnego przybył z ciekawości jeszcze jakiś cywilny funkcjonariusz i drugi milicjant w mundurze. Poprosiłem, by mi dali nazwiska z-ców dyrektora. Powiedzieli. Zadzwoniłem, powiedziałem kim jestem i że pragnę porozmawiać z kimś z dyrekcji. Mój rozmówca oświadczył, że zaraz przyjedzie do mnie na posterunek. Okazał się miłym, sensownym inżynierem. Obiecał, że zrobi wszystko co będzie mógł, by doprowadzić do spotkania może nie z całą załogą, ale z delegatami działów i z dyrekcją. Namówił mnie również, abym porozmawiał z kimś kto pracuje w Drewnicy, gdzie są spore zakłady wielkiej i znanej nie tylko w Polsce firmy Gerlach. Co więcej, mogłem z tym panem natychmiast rozmówić się telefonicznie — co ku swemu wielkiemu zadowoleniu uczyniłem. Mówię o tym dlatego, aby zobrazować jak wyglądała niby organizowana przez komitety partyjne akcja wyborcza.

Z Tarnawską, która miała omówić moje spotkanie z sekretarzem gminnym, nie rozmawiałem, bo znowu jej nie było. (Okazało się, że spała na swoim pięterku i moich pukań i pohukiwań nie słyszała).

Kiedyś jadąc z powrotem przez Kozienice ujrzałem obwieszczenie naklejone na tablicy ogłoszeń, czy też na murze, z nazwiskiem kandydatów na posłów i senatora. Przeczytałem 16 nazwisk ubiegających się o mandat senatorski. Moje (wg alfabetu) zajmowało 9-te miejsce. Roześmiałem się, co nieco zdziwiło mego kierowcę, który ze mną jeździł w tym tygodniu. Sytuację znałem na tyle, że szanse zdobycia mandatu przez partyjniaka w I turze — wykluczałem. Ciekawiło mnie tylko, czy przejdzie w I turze Lipski, który nie był znany do tej pory. Nie pojmowałem sensu, że po balotażu w Radomiu zostawiono jeszcze 3 partyjnych kandydatów, choć było wyraźnie wiadomo, że szanse mają jedynie kandydaci Wałęsy. Wystarczyło, by ten trzeci ośmielił jeszcze innych do pozostania na statusie kandydatów — choć wiadomo, że mieli bardzo nikłe szanse. Obecnie cały wysiłek organizacyjny, agitacyjny i troskliwa opieka komitetu partyjnego — jeśli chodzi o senatorów — miały się skupić na tej trójce kandydatów. Było to rozstrzelanie wysiłków, ale tylko teoretycznie, bo praktycznie, poza afiszami i ulotkami biograficznymi, niewiele ze strony komitetu i wydziału propagandowego robiono. Ze mną w ogóle nie mieli kłopotu. Listy, ulotki biograficzne, plakaty i afisze przywieziono dla mnie z Warszawy z zakładów poligraficznych. Dopiero pod koniec Wydział Propagandy Komitetu Wojewódzkiego zintensyfikował wysiłki na rzecz pana Misiaka i pana Cz. Wyraziło się to w

zamówieniu dla obu wielkich portretów, które rysowano w gmachu komitetu partii. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego czegoś podobnego nie robią dla mnie, nierównie mniej znanego szerokiej publiczności Radomia od Jego Magnificencji oraz znanego i popularnego inż. Cz. Bawiło mnie to, bo nie pojmowałem, czym się mógł kierować sekretarz propagandy, poniechając troski o mnie (oczywiście ja bym się i tak na to nie zgodził, tak jak nie chodziłem na tak zwane festyny i kiermasze organizowane przez organizacje — komitety społeczne — inspirowane przez komitety partyjne, po doświadczeniach ze Skaryszewem, Iłżą, Policzną, Pionkami czy nawet Radomiem).

Któregoś dnia będąc w Komitecie Woj. partii około 15-tej dowiedziałem się, że o godz. 17-tej jest przedwyborcze spotkanie rolników w Jelińsku. Obok mnie siedział sekretarz rolny komitetu. Zaproponowałem, byśmy się wybrali na owo spotkanie. O godz. 19^{15} miałem być w Radomiu, a więc od 17-tej do jakiejś 18^{15} mogłem być na owym zebraniu, bo do Warszawy było z Jelińska tylko 90 km i bardzo dobry kierowca z arcysprawnym samochodem. Sekretarz się z grzeczności zgodził i powiedział jeszcze: „to ja pojadę nieco wcześniej" (widać, że w tym momencie postanowił zadbać o zebranie).

Przyjechałem przed terminem do porządnego budynku szkolnego, gdzie miało się ono odbyć. Było kilka osób. Czekaliśmy chwilę, ale po 17-tej organizator, jakiś prezes rolników, prosił nas do sali ze stolikami (pewnie jadalnia klubowa). Policzyłem, ilu nas jest. Beze mnie 11 osób, w tym 6 niewiast. Jeszcześmy jednak na kogoś czekali, więc postanowiłem opowiedzieć, że kiedyś przed laty miałem w ręku bardzo dobre zdjęcie, na którym przy zastawionym stole siedziała przystojna, dojrzała kobieta w pięknym sporym kapeluszu, a po jej obu stronach po trzy niewiasty. Za nimi stało osiem identycznie ubranych (poza panią w kapeluszu) pań, równiutko uczesanych z przedziałkiem we włosach, w jakichś ozdobnych, jednakowo wyglądających sukienkach z haftowanymi serdaczkami. Patrząc na tę fotografię pomyślałem sobie, że przedstawia zespół gospodyń wiejskich. Zapytałem wręczającego mi to zdjęcie młodego kolegę pułkownika, co ono przedstawia. Usłyszałem: babkę Jaruzelskiego z niewiastami, które szkoliła.

Wziąłem je i po kilkunastu dniach dałem generałowi, pytając, czy wie kto to jest (chodziło o niewiastę w pięknym kapeluszu). Przyglądał się bardzo uważnie, ale nie wiedział w pierwszej chwili, więc mu pomogłem, mówiąc: to twoja babka. „No tak, ale ja urodziłem się w 1922 roku i pamiętam babunię jako staruszkę, a to pewnie jest z przełomu wieków, więc 30 lat nim ją poznałem. Proszę cię, daj mi ją, to pokażę siostrze, która się

tym bardzo zajmuje i ucieszy, bo zdjęcie jest zadziwiająco dobrze zachowane".

Opowiadając to dziwiłem się, że panie siedzące obok mnie nie okazywały zainteresowania, choć ja byłem przekonany, że to są również niewiasty z jakichś kół czy koła miejscowych gospodyń wiejskich. Kiedym skończył opowiadać, prezes zagaił i udzielił głosu jednej z nich. Jakież było moje zdziwienie, gdy po kilku minutach wynurzeń wcale zgrabnie wypowiedzianych przez zdrową, miłą niewiastę, okazało się, że jest kandydatką na posła. Przedstawiła się, że jest po studiach ekonomicznych, że pracowała tam i tam, że ma takie osiągnięcia, takie zamiary łącznie z programem, który w kilkunastu zdaniach sformułowała. Wszystko co mówiła było sensowne, sprawnie wypowiedziane i do przyjęcia, podziękowała — a z kolei prezes udzielił głosu innej niewieście, wyjątkowo zadbanej, równie elokwentnej, może jeszcze z większym doświadczeniem, bo prezesuje jakiejś spółdzielni szczebla wojewódzkiego, powabnej i równie sympatycznej jak przedmówczyni. Była to druga kandydatka na posła (a jest nas wszystkiego teraz 12 osób — ktoś doszedł — z sekretarzem rolnym, dalej beze mnie). Nie rozumiem. A tu prezes prosi jakiegoś dojrzałego 40-latka o wypowiedź. Okazuje się, że to jest miejscowy weterynarz i również kandyduje na posła. Mówił zadziwiająco krótko, co wykorzystałem by powiedzieć coś — a nie uciekać (bo mogłem), by nie pomyśleli o mnie zbyt źle.

Przeprosiłem i powiedziałem, jak to ja będąc kiedyś posłem i członkiem Komisji Planu i Budżetu, przeżyłem zabawną historię zasługującą na opowiedzenie i przypomnienie. Otóż w 1959 roku komuś w Komitecie Centralnym partii (pewnie w wydziale ekonomicznym) przyszło do głowy, że z uwagi na wcale dobre zbiory rolników zarysowuje się rozziew między dochodami chłopów indywidualnych a pracownikami wielkiego przemysłu, w całości uspołecznionego. Nie wolno do tego dopuścić i stąd taka inspiracja z Komitetu Centralnego, by zespół partyjny złożony z członków partii wystąpił na sejmowej Komisji Planu i Budżetu z propozycją opodatkowania rolników indywidualnych. Nie podobał mi się ten pomysł, a dotarł do mnie wcześniej niż do innych. Udałem się zatem do Oskara Langego, przewodniczącego naszej Komisji Budżetowej i będącego równocześnie przewodniczącym Komitetu Ekonomicznego przy Radzie Ministrów, a mego dobrego znajomego z okresu I zjazdu ekonomistów i statystyków, jaki miał miejsce w Poznaniu w 1929 roku. Powiedziałem mu, że należy się temu niemądremu pomysłowi sprzeciwić, bo młodzież ze wsi ucieka a starsi, których siły słabną, nie mogą ich zastąpić narzędziami i maszynami, których u nas nie ma. Ku memu zdziwieniu mój kochany Oskar oświadczył, że on

sobie teraz na taką postawę nie może pozwolić i tego nie zgłosi.

W kilka dni później zebrał się nasz zespół partyjny. Przewodniczył Lange. Ja wyklepałem na początku swego wywodu sprzeciw, a po mnie Franciszek Blinowski, kierownik wydziału ekonomicznego KC, rzadkiej szlachetności i wielkiej uczynności człowiek, głuchy jak pień, zamknął oczy i wypowiedział ustaloną już wcześniej między zainteresowanymi propozycję doraźnego podatku.

Jeszcze kilka dni później Blinowski referował to dla całej komisji. Następstwem tego była ustawa o tym podatku, wynoszącym wówczas 600 mln złotych. Bardzo łatwo sprawdzić autentyczność mego opowiadania w *Monitorze* i ówczesnej prasie codziennej. Po tej wypowiedzi podziękowałem i pojechałem do Warszawy. Okazało się, że siedzący obok mnie rolnik również był kandydatem na posła. Ponieważ ja byłem na senatora, to na spotkaniu przedwyborczym organizowanym przez Komitet Woj., na którym mieli i mogli się przedstawić (w Jelińsku, sporym miasteczku przy wielkiej arterii komunikacyjnej) kandydaci na posłów i senatora, było aż 5 kandydatów, ale tylko 7 wyborców, w tym sekretarz d/s rolnictwa Komitetu Wojewódzkiego. Miałem o czym myśleć, jadąc do domu, tym bardziej że owo zebranie było obwieszczone w 62 gminach województwa.

Pełen nieprawdopodobnej naiwności wierzyłem, że przynajmniej między Radomiem a Kozienicami, choćby z powodu licznie tu żyjących jeszcze pod koniec XX wieku Kuropiesków, wyjątkowo starego rodu puszczańskiego, znajdzie się wielu ludzi, którzy będą na mnie głosowali. Przecież żyjemy tam już od XIV wieku, co jest łatwe do sprawdzenia. Nie liczyłem natomiast na Przysuchę, Lipsko, Wyśmierzyce, Magnuszew czy Drewnicę i Wierzbicę, gdzie mnie zgoła nie znali i co więcej przekonałem się, że w tym kącie Polski nie byłem zbytnio czytany. Dlatego zależało mi na organizowaniu spotkań szczególnie w tym rejonie. Wreszcie powiedziano mi, że organizacje partyjne Magnuszewa i Kozienic przygotowują, ale jednego i tego samego dnia, zebranie pierwsze o 10-tej, drugie o 13-tej. Pojechałem. Zebrania te były tak pomyślane, że mogli być na nich również wszyscy kandydaci z województwa. Dla każdego, gdyby przybyli, pozostawałoby po kilka minut (16 senatorów, kilkudziesięciu posłów — ci co prawda w 2 rejonach). Potem jakoś zmieniono tak, że odbyły się w różnych dniach.

W Kozienicach w siedzibie sekretariatu gminnego było kilkadziesiąt osób i kilku kandydatów. Spóźniłem się. Ponieważ sądzono, że mnie nie będzie, poproszono dyrektora biblioteki pana Zwolskiego, by powiedział coś o moim życiorysie. Właśnie kończył swe przemówienie, gdy znalazłem się w sali posiedzeń.

Chwalił mnie ponad miarę, z czego się uśmiałem, bo było to dla mnie raczej niekorzystne. Prosiłem go zawsze, by mówił tylko o faktach ze mną związanych, bez próby wartościowania moich postępków, sukcesów, czy przewin. Wystarczą same fakty bez komentarza. Zawsze można przypomnieć sobie powiedzenie filozofującego wielkiego Rosjanina Pawłowa, że należy ustępować przed Jego Eminencją Faktem.

Ponieważ wystąpienie pana Zwolskiego przerwało prezentację kolejnych kandydatów, wrócono do przedstawiania następnych. Ci, których słuchałem, zrobili na mnie wrażenie ludzi zdatnych, bystrych. Coś ze dwóch wydało mi się niepowszednimi graczami, starającymi się pozyskać wyborców przez wychwalanie ich mądrości, doświadczenia, talentów ludzi nieistniejącego już powiatu kozienickiego. Szczególnym pochlebcą okazał się prezes spółdzielni z Magnuszewa, który zresztą wielce ciekawie opowiadał o swych osiągnięciach i wspaniałych, pobudzających zamiarach na jutro.

Wreszcie przyszła kolej na mnie. Mówiłem ze 20 minut o ogromnych możliwościach naszego ogrodnictwa i warzywnictwa właśnie w północnych rejonach województwa radomskiego. Oczywiście wspomniałem o konieczności ratowania puszczy, która, jak się ktoś tam wyraził, idzie na dno.

Było to wcale dobre spotkanie, ale wyglądało na spotkanie urzędników, którym polecono zorganizowanie go, bo do tej pory nic się po linii PZPR w Kozienicach nie robiło. Nie było tu jednak „dyrektorów i luminarzy" ani ich rzeczników, którzy by potem opowiadali, o czym na tym spędzie kilkudziesięciu ludzi mówiło.

Niektórzy z kandydatów, jak wspominałem, mówili nawet bardzo ciekawie, ale do kogo mówili? Do innych kandydatów. Najciekawsze, że było bardzo mało pytań — a raczej wcale ich nie było. Wyglądało to na akademię ku czci, a nie na zebranie przedwyborcze.

Nieco inaczej było na zebraniu w Magnuszewie. Mniej osób oficjalnych, a więcej wyborców, również kilku kandydatów, w tym jakaś „posłanka", która zawsze jeździła na spotkania, na których ja również bywałem; jak się wyraziła, lubiła mnie słuchać, ponieważ za każdym razem mówiłem coś innego, o czym często jeszcze nie słyszała i nie czytała. Dlatego jak ją tylko widziałem, to zawsze wymyślałem coś, by nie powtarzać zdarzeń, o których już mówiłem gdzie indziej, abym jej nie rozczarował.

W Magnuszewie mówiłem sporo. Była nawet trybuna. Między innymi mówiłem o niezbędności dobrych powiązań między spółdzielniami ogrodniczymi i warzywnymi a „Lotem" a nawet

lotnictwem wojskowym, by zapewnić jak najlepsze warunki transportu np. truskawek czy malin, choćby do Bundesrepublik. Mówiłem o swoich wrażeniach wyniesionych z kibuców i małych spółdzielni ogrodniczych w rejonie Nazaretu. Przypomniałem, że dzisiejsi wspaniali rolnicy Izraela tu się uczyli rolnictwa w gospodarstwach, szkolących przyszłych rolników właśnie w Grójeckiem, w latach 30-tych. Mówiłem, że ku swemu zdumieniu spotkałem w Izraelu stypendystów z Holandii, kraju uchodzącego za wzór rolnictwa na najwyższym poziomie. A teraz przyjeżdżają podglądać rolników w Palestynie, ponieważ uzyskują oni ostatnio znakomite rezultaty. Wycinają już tam gaje pomarańczowe, a zastępują je avocadami i coraz bardziej rozwijają eksport kwiatów, nawet do Holandii. Powinniśmy to naśladować. Szczególnie zwracałem uwagę na warunki naszej hodowli, mleczarstwa i drobiarstwa. Wydaje się nie do wiary, że w Izraelu przyciętny udój krowy wynosi 9 tys. litrów, podczas gdy u nas 3 tys., a choćby w Holandii ponad 6 tys. rocznie. Jakież przeogromne różnice. Mówiłem, że osiągnięcia rolników tego regionu są pobudzające. Są wielką zachętą do naśladowania dla sąsiednich rejonów i wzmagają chęć dalszego doskonalenia się w tym pięknym zawodzie człowieka mającego kontakt z ziemią i jej płodami. Ktoś powiedział, że mówiłem za głośno, co niektórych raziło.

Po wystąpieniu w Magnuszewie przyszła do mnie sekretarka bodaj naczelnika gminy i powiedziała, że poszukuje mnie prezes spółdzielni „Społem", inżynier L., który pracuje w miejscowym zakładzie. Było niedaleko. Pojechałem do niego i okazało się, że jest krewnym pani Borowieckiej, żony mego kolegi jeszcze ze szkoły średniej i później ze Szkoły Podchorążych i Szkoły Oficerskiej. Otóż ona mieszka w Skrzynnie i chciałaby bardzo spotkać się ze mną. Mąż jej Romuald po ukończeniu Szkoły Oficerskiej otrzymał przydział do 72 p.p. w Radomiu. Później przeniesiono go do 85 p. strzelców wileńskich. Znalazł się na krótko w radzieckim obozie jenieckim, skąd ona go wykradła, jeszcze na Wołyniu, i wrócili do Radomia. Był w AK majorem i w nieznanych okolicznościach zginął już po wkroczeniu armii radzieckiej.

Pan inżynier L. prosił mnie, abym ją z nim odwiedził, albo przywiezie ją do swego mieszkania w Ryczywole niedaleko Magnuszewa. Ona chce znaleźć ślady ostatnich dni swego męża i pan L. jej w tym pomaga. Jest przekonana, że ja mógłbym jej ułatwić i pomóc w odszukaniu tych śladów. Pan L. jest solidarnościowcem wielce aktywnym, bywa na wszystkich uroczystych zgromadzeniach organizowanych przez komitet obywatelski Wałęsy. Rozmawiał z Lipskim, Pająkiem i Bembińskim, którego

bardzo dokładnie wypytał o Borowieckiego, ponieważ pan B. był oficerem rezerwy tego pułku i z tej racji znał całą jego kadrę. Ale Borowiecki już przed wojną był w Nowo-Wilejce i nic o nim nie wiedział, ani nie mógł się dowiedzieć. Pan L. był najlepszej myśli o rezultatach wyborów w Magnuszewie i Kozieniecczyźnie dla „Solidarności". Żartem namawiałem go, by głosował choć na mnie. Śmiejąc się powiedział, że jest zaskoczony, ale jeszcze tę kwestię rozważy. Obiecałem mu książkę i że go przy okazji odwiedzę. On sam był jakimś wielce aktywnym organizatorem i rad był, że wszystko u niego idzie bardzo sprawnie. Czułem, że miał ochotę robić porównania zebrań, na których był np. w Kozienicach, Białobrzegach z tymi, które organizuje PZPR np. w Kozienicach czy Magnuszewie. W Białobrzegach zdaje się w ogóle niczego nie zorganizowała, choć stanowią one stolicę jednego z okręgów wyborczych w województwie radomskim. Ja tam byłem tylko u strażaków w tygodniu strażackich uroczystości. A dla przeciwników były tam zorganizowane, przez miejscowe koła obywatelskie, liczne i udane zebrania —co potwierdził właśnie pan L. Postanowiłem poskarżyć się na Komitet Wojewódzki w Radomiu.

Ponieważ akcja wyborcza przybrała na tempie w pełnych obrotach, nie sposób było schwycić Kwaśniewskiego, by dopilnował pracy komitetu społecznego w Radomiu. Nie chciałem już zawracać głowy Kiszczakowi, który okazywał maksimum dobrej woli. Zadzwoniłem do sekretarza Czarzastego, ale nigdy go nie mogłem osiągnąć telefonicznie. Próbowałem również dzwonić do ministra Józefa Oleksego, gdzie natychmiast zareagowano, że jak go znajdą lub jak przyjdzie, to zadzwonią do mnie. Zwróciłem się również do płk. Janusza Kowalskiego, wojewody w Siedlcach, by nakłonił do pomocy swego kandydata na senatora, Wilczka (który wg mego przekonania, jak się później okazało wielce naiwnego, miał sto procent szans. Uważałem, że mógłby mi pomóc jakimś wystąpieniem, czy gestem w Radomiu).

Spotkałem również Ireneusza Sekułę. Zaproponowałem kwadrans wspólnego wystąpienia w Radomiu, czy u „Waltera". Przyrzekł, że może uda się zrobić, gdyby tam gdzieś był blisko.

W rezultacie tych zabiegów otrzymałem telefon, że jestem proszony do towarzysza Czarzastego. Pojechałem do KC i rozmawiałem z sekretarzem. Poczęstował mnie nie tylko kawą, ale i kieliszkiem koniaku. Przypomniałem na wstępie gospodarzowi, że kiedy przed dwoma laty byłem u niego z wizytą w Słupsku, to po interesującej rozmowie przyjął mnie i towarzyszącego mi płk. Dąbrowskiego znakomitą golonką i piwem, ale bez gorzały. A tu teraz serwuje koniak. Usłyszałem, że zanim przyszedł na I sekretarza do Słupska to słyszał, że zespół jaki tam zastanie

nadmiernie pije. Zdecydował zatem, by przestać pić dla przykładu.

Po kilku czy kilkunastu minutach rozmowy okazało się, że tow. sekretarz jest najlepszej myśli i sądzi — z tego co już zrobił i zamierza — że wiele uda się zdziałać pożytecznego i korzystnego dla naszej (rządowej) koalicji. Jest przekonany, że Świtoń wygra w zapasach wyborczych z Adamem Michnikiem.

Przypomniałem sobie z telewizji urągania Świtonia na górników z kopalni „Andaluzja", decydujących się na przerwanie strajku w ubiegłym roku — „będziecie się wstydzić. To jest hańba". Ale go nie posłuchali, choć jako pierwszy bojownik o wolne związki zawodowe był nie tylko powszechnie znany, ale i wielce szanowany, a przy tym praktykujący katolik.

Pojmowałem, że Czarzasty mówi o tym, bo zestawienie tych przeciwników musiało być jego pomysłem. Z kolei opowiedział mi, że nie wierzy, by mecenas Siła-Nowicki mógł przegrać z Jackiem Kuroniem. W każdym razie nie dość, że był pogodny, ale i pełen optymizmu i dobrej nadziei. Na moje utyskiwania o Radomiu oświadczył, że wybierze się do Radomia z Wilczkiem lub Sekułą i ożywi sensownie istniejącą tam sytuację. Zadzwonił również do Brzostowskiego, który, jak się okazało, urzęduje w Warszawie, ale nie załatwia spraw związanych z Ministerstwem Rolnictwa. Dodzwoniłem się również do Oleksego i byłem u niego, prosząc o jakąś rozmowę ze związkowcami w Radomiu, nie tylko spod znaku OPZZ, ale i „Solidarności". Przyrzekł, że przyjedzie.

Kierownik akcji spod naszego znaku, sekretarz propagandy z Radomia, dalej upominał się o kasety do przegrania w zakładach. Oświadczył mi, że listy imienne do moich wyborców zostały już rozesłane. Przyszedł również z Warszawy afisz dla mnie. Co więcej, wyjeżdżając do Radomia widziałem już powiewający na wietrze, naddarty taki afisz, a inny zgoła zdarty — co mnie niemile uderzyło. Co ja tu komu byłem winien? Okazało się, że robiono tu sobie na złość. Na ogół przestano je nalepiać i zostawiano za szybami witryn sklepowych. Nienaruszone wisiały jedynie na tablicach ogłoszeń np. w „Walterze". Wisiałem obok Lipskiego i Mizeraka.

Wspomniałem już, że chciałem uzyskać odpisy moich opinii wystawionych przez znanych generałów, jak Mieczysław Boruta-Spiechowicz i Tadeusz Kutrzeba (Boruta został zaproszony przez Wałęsę na kongres „Solidarności", odbywający się w Oliwie w 1981 roku, gdzie przybył i wygłosił przemówienie rozpowszechniane wielokrotnie przez radio Wolna Europa).

Już w dniu wystąpienia pana Mieczysława, około północy odezwał się telefon, na który w pierwszej chwili nie zareagowa-

łem. Już nawet nie pamiętam, co mi przeszkadzało, ale dzwonił dalej natarczywie. Podbiegłem. Okazało się, że przy słuchawce jest mój stary kolega z podchorążówki, młodszy ode mnie o rok; byłem jego instruktorem w 1924 r., później spotkaliśmy się w Przemyślu, w którym ja byłem pierwszym oficerem sztabu dywizji, a on dowódcą kompanii w 5 pułku strzelców podhalańskich. Władysław Mazoń, dobry oficer, ambitny, szlachetny, wielkiej odwagi cywilnej i wzorowy kolega. W czasie wojny byliśmy razem w obozie jeńców. Mówił do mnie przez telefon: „Słuchaj Józek, czy ty wiesz, że Boruta cię dziś cytował w swym przemówieniu, które wygłosił na kongresie 'Solidarności'? Otóż powiedział: 'strach jest złym doradcą'. Pamiętasz, jak to było z tym strachem, o czym mówili wszyscy starsi oficerowie 22 dyw. piechoty górskiej — gdy powiedziałeś to d-cy piechoty dywizyjnej, płk. Zygmuntowi Trzasce-Durskiemu, w czasie prowadzonego przezeń ćwiczenia?" Powiedziałem „pamiętam".

Muszę teraz opowiedzieć, co to było. Otóż będąc oficerem operacyjnym dywizji, byłem obowiązany do przygotowania każdego ćwiczenia prowadzonego z d-cami pułków, batalionów i dywizjonów przez d-cę dywizji lub d-cę piechoty dywizyjnej (którzy zostawali dowódcami dywizji w wypadku mobilizacji i wtedy ich liczba się podwajała). Poza założeniem i ocenami oraz projektami ewentualnej decyzji, pisałem wszystkie pytania, stawiane w czasie samej gry przez kierownika ćwiczeń, i przypuszczalne odpowiedzi. Tak było i tym razem. Tekstu tego ćwiczenia było kilkadziesiąt zadrukowanych arkuszy. Wszystko szło jak z płatka. Był już drugi dzień ćwiczenia. Przyglądał się temu gen. Narbutt-Łuczyński, ówczesny d-ca okręgu krakowskiego (rok 1937), nie czyniąc żadnych uwag. A tu nagle już pod koniec ćwiczenia nie spodobało mu się coś z naszym wypadem, któryśmy przeprowadzili przed odejściem własnej dywizji. Po wysłuchaniu racji pana generała Durski zarządził przerwę i mówi do mnie: „Z sensu jego wypowiedzi wynika, że on chce coś wręcz na odwrót niż my proponujemy". Co tu robić? Odpowiedziałem „nic". Przecież nie sposób się z nim zgodzić, bo to byłoby niemądrze i niełądnie, by pan pułkownik wyglądał na niekompetentnego w oczach uczestników ćwiczenia, a byli nimi znani i doświadczeni oficerowie, choćby płk Klimecki (za dwa lata szef sztabu gen. Sikorskiego, znakomity. oficer, dzielny i szlachetny) płk Klonowicz, ppłk Banach, znakomity oficer II oddziału, mjr Kirchmayer, później popularny tęgi oficer. „Proponuję, by pan pułkownik doprowadził ćwiczenia do końca wg tego scenariusza, jaki mamy, bo strach jest złym doradcą". I tak się stało. Ćwiczenie zakończyło się sensownie. Ćwiczącym bardzo się podobało omówienie kierownika. Inspektor coś tam

powiedział, nawet pozytywnego, i nie wracał do swych poprzednich uwag sprzed kilku godzin. Ale płk. dypl. Zygmunta Lemskiego zabrano z dywizji i posłano na nic nieznaczące stanowisko pomocnika z-cy d-cy okręgu do Brześcia n/Bugiem. Okazało się, że Łuczyński niczego nie darował.

Wieść o tym, jak to ja doradziłem płk. Durskiemu wyciekła z kręgu wtajemniczonych i zbyt wielu oficerów ją znało. Wiedział o tym również Władek Mazoń, którego poznałem w 1924 r. i serdecznie się z nim przyjaźniłem. Nasze poglądy nie były jednakie, ale to nam nie przeszkadzało. Jak wysłuchał Wolnej Europy, postanowił do mnie natychmiast zadzwonić.

Oleksy przyjechał w jakąś niedzielę i spotkaliśmy się u „Waltera" ze związkowcami. Było to najlepsze zebranie, na którym byłem, wielce udane i dość liczne. Rozpoczął Oleksy bardzo udaną i zręczną wypowiedzią, serdeczną i budzącą zaufanie do prelegenta. Bardzo mi się podobała (nieszczęście, że nie miał wiele czasu i natychmiast musiał wyjechać do Warszawy — tak, że nie mogliśmy przedyskutować kwestii, które nas w Radomiu — sekretarzy i dyrekcję „Waltera" — niepokoiły).

Z kolei ja rozpocząłem od kilkunastu zdań, by następnie poprosić o pytania, których było kilka. Niektóre kapitalne, postawione przez rumianego staruszka. „Powiedział pan, że ma 85 lat, to jakże się panu chce i jak się pan odważa na to, by kandydować w tym podeszłym wieku? Przecież nie wiadomo, czy pan może zawsze przeprowadzić logiczne rozumowanie. Staremu się często coś poplącze. Ponadto łatwo zachorować. — Odpowiedziałem, że rzeczywiście mam tyle lat, ale o dziwo widzę, słyszę, nie narzekam na żołądek, piję i nie choruję — w odróżnieniu od mojej żony, młodszej ode mnie o 25 lat. Kiedy ją poznałem, była zdrowa, a teraz za mnie (a może przeze mnie) chodzi do lekarzy na badania, operacje, jeździ na kuracje. Mnie nic nie dolega, nawet nie skarżę się na brak, a tym bardziej na zanik pamięci. Rozbawiłem publiczność i wyglądało przy tym, jakbym ją przekonał o swym zdrowiu i sprawności fizycznej i umysłowej.

Wróciłem do poważniejszego tematu, że jesteśmy krajem, który winien się zająć jak najrychlej kształceniem elity, której brak jest przerażającym zjawiskiem. Powołałem się przy tym w szczególności na Francję, gdzie w życiu politycznym biorą udział głównie prymusi, absolwenci wielkich uczelni. Zilustrowałem to przykładem, podając nazwiska wybitnych działaczy politycznych tego kraju w ostatnim ćwierćwieczu. Pompidou — prezydent — był prymusem Ecole Normale. Valéry Giscard — prymus ENA. Nawet nasz „kuzyn", minister Michel Poniatowski, był prymusem tejże znakomitej szkoły. Obserwowany przeze mnie z prasy

od kilkunastu lat Rocard, dziś premier Francji, jest również prymusem. Poprzednik jego, wybitny lewicowiec Fabius, był również wyjątkowo utalentowanym studentem i po 30-stce premierem Francji. Chodziło mi o przypomnienie, że już w czasie studiów uniwersyteckich taki przyszły polityk wyróżnia się zdolnościami, bystrością, taktem, pamięcią, talentami oratorskimi, umiejętnością pozyskiwania sobie ludzi, pracowitością i rzetelną wiedzą. Niektórzy z nich po drodze do kariery kończą Ecole Politechnique (matematyka). Dostanie się do wielkiej, znanej uczelni jak ENA, przygotowującej wysokich urzędników administracji cywilnej, jest bardzo trudne. Przebicie się do niej jest wynikiem doskonałego, troskliwego doboru. My natomiast nie mamy takich uczelni, być może poza KUL-em. Musimy się nad tym zastanowić i zadbać o kształtowanie elity, a nie musieć ciągle wybierać wśród ludzi zgoła nieznanych, wyłaniających się nagle z tłumu przeżywającego wybuchy, katastrofy i Bóg wie co jeszcze. Podobnie jak w Anglii. Po wielkim zwycięstwie labourzystów w 1945 r., które stanowiło nieoczekiwane trzęsienie ziemi, pochłaniające Churchilla i jego ministerstwa — władzę przejęli zwycięzcy. Ale premierem został Attlee, wychowanek Oxfordu, kanclerzem skarbu Dalton, wychowanek Cambridge. Ja miałem do czynienia z Hankeyem, synem lorda Hankeya. Jedynym robotnikiem — dokerem — w tym rządzie był wyjątkowo utalentowany Ernest Bevin, minister spraw zagranicznych, u którego urzędnikiem do spraw Europy Środkowej był właśnie Hankey, sekretarz ambasady brytyjskiej w Polsce przed wojną i radca tejże ambasady w Polsce po wojnie, a później dyrektor departamentu w Foreign Office. A my...

Mówiłem z kolei o konieczności rychłego powrotu do realizowania wielkiego programu „Wisła" z uwagi na katastrofalne warunki w gospodarowaniu wodą — szczególnie w rolnictwie. Nie mogłem nie wspomnieć o fantastycznych osiągnięciach Francji w zapewnieniu sobie taniej energii elektrycznej, której źródłem jest prawie 20 siłowni nuklearnych. Ilekroć jestem we Francji, zawsze mijam 3 takie siłownie, a w 1987 jechałem również obok czwartej.

Panika po Czarnobylu była zrozumiała, ale niepojęte są obecnie obawy o to, że siłownie takie muszą być sknocone i administrowane przez durniów i niechlujów. Musimy zrobić wszystko dobrze, by ustrzec się od groźnych następstw wykorzystywania energii z węgla kamiennego i brunatnego. Dymy Bełchatowa są zjawiskiem przerażającym — a puszczy Kozienickiej już grozi zagłada.

Pozwoliłem sobie również na wyrażenie nadziei, że dobre osiągnięcia ogrodników i warzywników, obserwowane z podziwem

i zazdrością przez innych, zostaną upowszechnione i będziemy eksportować za niewiele lat kwiaty, co przyniesie nam wiele korzyści materialnych, zadowolenie i respekt wśród innych społeczeństw europejskich.

Na zebraniu był również zespół z telewizji. Jakieś fragmenty wystąpień Oleksego i mego nadano w dzienniku telewizyjnym, bo ktoś do mnie dzwonił, by mi powiedzieć co widział i słyszał.

Po zakończeniu zebrania Oleksy odjechał, a nas kilku naciągnęło dyrektora „Waltera" na kawę, przy której mówiło się o katastrofalnym stanie tej fabryki, bo nie ma niezbędnie koniecznych dostaw surowców, np. aluminium. (Solidarnościowców nie było na spotkaniu z Oleksym).

W opinii życzliwych moje wystąpienie miało poprawić moją sytuację kandydacką, w co zgoła nie wierzyłem, bo w grę wchodziły dziesiątki tysięcy wyborców, którzy w ogóle o mnie nie słyszeli i tym bardziej nie widzieli, poza afiszami, które jak znalazły się na ścianach domostw, to były zrywane — podobnie jak innych. (Opowiadano mi, że jak kiedyś rano powyklejano afisze, to czatujący zespół, który przyjechał samochodami z W-wy, natychmiast je zniszczył i zniknął).

W Warszawie afisze naklejano wysoko na murach, a i z nich bardzo wiele wisiało nie naruszonych. Pamiętam, jak w 1974 r. w Paryżu był taki spory afisz pana Valéry Giscard z żoną i córką. Pan Walery widniał w demokratycznym stroju w pulowerze. Kiedy z 10-ciu kandydatów na prezydenta Francji zostało po I turze jedynie dwóch — on i Mitterrand — to jacyś zmyślni przeciwnicy a zwolennicy pana Mitterranda, wykorzystując pewnie jakieś drabiny strażackie, do ust córki pana Walerego dokleili pasek papieru z napisem „my z mamusią będziemy głosować na pana Mitterranda". Nasi organizatorzy nie przewidzieli i bezmyślnie pozwalali naklejać i pozostawiać afisze na wysokości, z której mogło je zdzierać bezmyślne dziecko dla zabawy. Już sam pomysł organizacji wyborów w okresie wyjątkowo wielkich prac rolnych nie był sensownie pomyślany przez szefów koalicji rządowej, bo nie dysponowali świątyniami, zdyscyplinowanymi plebanami i pełnymi zapału wikarymi.

Przekonanie góry rządowej i partyjnej, że jesteśmy nierównie lepiej przygotowani do akcji wyborczej od „Solidarności", okazało się zadziwiająco naiwne, oparte na nieznajomości stopnia wygodnictwa instancji partyjnych w terenie. Dla mnie obserwowane nieróbstwo i nadmierne zadufanie urzędników z aparatu było przerażającym odkryciem. Przecież widziałem już tę pracę i przyglądałem się jej uważnie przed 42 laty w komitecie PPR w Olsztynie. Nie mogę sobie i dziś wytłumaczyć, jak to się stało,

przecież w ostatnich latach stopień wykształcenia pracowników komitetów wojewódzkich był nieporównanie wyższy, a poza tym każda nominacja była poprzedzona jakimś stażem, którego w 1947 roku nie mieli młodzi towarzysze, jak np. Stanisław Tomaszewski, późniejszy I sekretarz w Olsztynie. I prawie nikt nie miał wówczas studiów wyższych, ale praca ich, jak to obserwowałem, wydawała mi się wielce sensowna. Dziwne, bo głupstwa zrodzone później w postępowaniu z Mazurami były w owych latach, gdy byłem tam dowódcą dywizji, nie do pomyślenia. Pamiętam, jak zareagowała konferencja partyjna w Olsztynie na występ Mazura, członka PPR, który śmiało powiedział, że jest już we wsi 8-miu członków PPR, ale tylko jedna krowa.

Osobiście zawsze wykłócałem się z wieloma urzędami centralnymi w Warszawie, gdy ktoś z lokalnej administracji skrzywdził Mazura lub go niechlujnie lub zdawkowo załatwił. Wspomniałem, że radzono mi wykorzystać w mej pracy agitatorskiej możliwości, jakich nastręczały w najbardziej odległych kątach województwa jednostki ochotniczej straży pożarnej. Bardzo mnie do tego zachęcał pan Czesław. Nie rozmawiałem z głównym strażakiem w Warszawie, ale poznałem się z dowódcą strażaków w Radomiu, który zaproponował mi w tygodniu, w którym wszystkie oddziały straży pożarnej organizowały zjazdy, konkursy, uroczyste akademie i zabawy — udział w nich w kilku miejscowościach.

Pierwsze takie spotkanie miało miejsce w Białobrzegach, gdzie odbywało się uroczyste posiedzenie d-ców jednostek straży z rejonu wokół Białobrzegów. Atmosfera miła. Przypomniałem im swego kolegę Henryka Krzesińskiego, z którym kiedyś kończyłem kurs strażacki w Radomiu, a w Białobrzegach znanego i cenionego nauczyciela, więźnia obozu oświęcimskiego, zamiłowanego sportowca, ojca mistrza Polski w skoku o tyczce (Krzesińskiego) i teścia rekordzistki świata w Melbourne w skoku w dal — który niedawno zmarł w Białobrzegach.

W czasie tego zebrania przybył z Radomia sekretarz propagandy z kwiatami z racji moich 85-tych urodzin, jak zwykle optymistycznie nastrojony co do wyników jego pracy wyborczej. Zebranie, choć miłe, było nadmiernie uroczyste, zbyt urzędowe i z niewielką liczbą sympatycznych uczestników. Już do tego przywykłem i nie pozbawiało mnie to wcale dobrego samopoczucia, nie przeżywałem też już obaw o ostateczny wynik, który był dla mnie w tych dniach (III dekada maja) oczywisty. Natomiast miałem wspaniałą okazję do robienia obserwacji i zawierania znajomości z ludźmi, których bym nigdzie nie spotkał w innych sytuacjach.

Kiedyś w Białobrzegach miałem prócz Krzesińskiego kilku-

nastu innych dobrych znajomych. Jeszcze pod koniec kwietnia miałem zamiar ich odszukać i porozmawiać z nimi, ale w maju już z tego zrezygnowałem, czego nie żałowałem, bo wydało mi się, że niepotrzebnie będę zawracał głowę sobie i innym, bez żadnego pożytku. Jeszcze kiedyś wybiorę się, by odszukać wnuków lub krewnych mego miłego kolegi szkolnego Krzemieńskiego, który był nauczycielem i znanym harcmistrzem. Bodaj w 1947 roku, podczas 1-go wyścigu kolarskiego pokoju, zatrzymał mnie z samochodem w samym mieście i nie puścił aż do przejazdu wszystkich uczestników wyścigu. Był to człowiek wielce akuratny i nade wszystko ceniący porządek.

Kilka kilometrów od Białobrzegów nauczycielem był Paweł Bednarek, garbusek, syn zamożnego chłopa, pomysłowy, wyjątkowo odważny i dzielny. Jeszcze będąc w obozie jeńców utrzymywałem z nim korespondencję. Uczestnik ruchu oporu, zamordowany w nieznanych mi okolicznościach jeszcze przed końcem wojny.

Nie rezygnowałem z wykorzystania uroczystości strażackich, by się im przyjrzeć, bo wydało mi się, że oddziały ochotniczej straży pożarnej odgrywają na wsi i w małych osiedlach wyjątkowo pożyteczną rolę organizatorską we współżyciu, w samorządności i w zabiegach cywilizacyjnych i wychowawczych. Dlatego wybrałem się na konkursy czy turnieje, jakie miały się odbyć w Zwoleniu i Skrzynnie.

W Zwoleniu w niedzielę był rzeczywiście duży spęd. W zawodach brało udział kilka oddziałów gminnych straży pożarnych. W czasie ćwiczeń i różnych prób gaszenia pożarów widziało się wiele zapału, ochoczości i najlepszej woli oraz znaczne różnice poziomu wyszkolenia między różnymi zespołami. Wśród wyróżniających się pożarników znalazł się spadochroniarz, który mnie poznał i pogodnie wspominał swoją mozolną służbę w Krakowie i jakieś anegdotyczne historie dotyczące mnie. Mówił, że w okolicy jest kilkudziesięciu byłych żołnierzy 6 dywizji spadochronowej, którzy dość chętnie utrzymują koleżeńskie stosunki między sobą.

Podobne, choć nawet bardziej odświętne i uroczyste zawody miały miejsce w Skrzynnie, do którego w tę samą niedzielę dotarłem. Po uroczystej zbiórce na dekoracje było kilka przemówień. Ja również coś mówiłem, a tuż po samej uroczystości wszczęłem rozmowę z otaczającymi mnie kilkoma uczestnikami uroczystości.

Zaczęło się od dość zaczepnie formułowanych pytań, na które pogodnie odpowiadałem. Pod koniec tej niefrasobliwej gawędy znalazło się 2 czy 3 już podchmielonych, którzy okrutnie pomstowali. Moje słowa, że wszystko od nich samych zale-

ży, by nade wszystko zadbali o stworzenie sensownych organizacji wśród rolników, dla których zaistniały doskonałe warunki w ostatnich miesiącach przemian, a nie tracili nadmiernie czasu na ustawiczne urągania na to, co przeżyli w ostatnich latach — nie reagowali, a tylko coraz bardziej wrzeszczeli. Usiłowała ich uspokoić pani naczelnik, ale bez rezultatu. Wydawało mi się, że jest bardzo zaniepokojona tą sceną.

Zachowałem się spokojnie, nie urągałem nikomu i dalej korzystałem z argumentów, że w sytuacji, jaka się wytworzyła w kraju, najwięcej od nich samych zależy. Pożegnałem się z dzielną panią naczelnik i pojechałem do Lipska, gdzie miał być wielki festyn na stadionie — ale na razie jeszcze nikogo nie było, choć miał być już otwarty za pół godziny. Wróciłem do Zwolenia, gdzie zorganizowano podobny festyn czy mityng na wcale ładnym stadionie.

Jednak owe miasta czegoś się dorobiły, co mnie bardzo radowało. Pamiętam Zwoleń z lat dwudziestych. Jakie wielkie i korzystne zmiany, choć większe może są w Lipsku, który wygląda wyjątkowo zadbanie i schludnie.

Znowu miałem świetną okazję do przekonania się, jak kiepsko organizowane są mityngi, na których mieli i mogli się spotkać kandydaci na posłów i senatorów z koalicji rządowej z szerszą publicznością. Kiedy znalazłem się na stadionie zwoleńskim, było nieco ludzi nawet na trybunie, zapewne bliscy znajomi kandydatów.

Tuż naprzeciw tej trybunki została zrobiona scena obdarzona pulpitem dla mówców i przygotowana zapewne do wystąpień jakichś zespołów pieśni i tańca. Na trybunie spotkałem pana Janowskiego, którego poznałem przed trzema tygodniami w Zwoleniu na spotkaniu z czytelnikami. Pan Janowski przybył na stadion, by się zaprezentować jako kandydat na senatora, reprezentujący wyborców (bezpartyjny i nie solidarnościowiec). Bardzo miły weterynarz, ceniony w swym środowisku. Oświadczył mi, że nie sądzi, by ktokolwiek z kandydatów w województwie wygrał już w I turze, bo jest nas 16-tu, więc będzie ogromne rozstrzelenie głosów. (Pomyślałem sobie, że nie należy go denerwować i nic nie mówiłem o moich przypuszczeniach co do ewentualnego sukcesu kandydatów Wałęsy).

Ponieważ nie miałem zamiaru występować na przygotowanej scenie, to spotkanego ponownie spadochroniarza zwoleńskiego prosiłem, że gdyby się broń Boże ktoś o mnie upominał, to niech mnie głośno wytłumaczy. Przesądzałem zresztą, że nikt mnie nie będzie szukał. Gdy inni rozmawiali, to przemawiał właśnie jakiś kandydat na posła, ale nie był pilnie słuchany i nie przeszkadzał głośno rozmawiającym, siedzącym niedaleko ode

mnie. Tak, że tak dobrze zaplanowana niedziela, nawet przy troskliwej pomocy władz strażackich województwa, nie zapewniła mi choćby cienia jakichś osiągnięć w mej akcji agitacyjnej, popularyzującej mnie wśród wyborców.

5.VI. 7.00 rano. Komunikat Wolnej Europy o wynikach wyborów. Sukces „Solidarności". Wiele szczegółów z niektórych województw uzyskanych poprzez Amsterdam. W W-wie 3 stanowiska senatorów uzyskane przez prof. prof. Findeisena i Trzeciakowskiego oraz panią Annę Radziwiłł. W lwiej większości województw senatorami zostali solidarnościowcy. Zadziwiająco dobrze zorganizowała opozycja łączność. Jej przedstawiciele w komisjach wyborczych, po podpisaniu protokołu, przekazywali już dokładne dane wielu zagranicznym korespondentom, tak że obraz całości wyników był prawie zupełny.

Dowiedziałem się również z W.E. o Radomiu, że Lipskiemu brakuje jakichś 2%.

Zadzwoniłem do wojskowego sztabu wojewódzkiego w Radomiu i dowiedziałem się, że w formacjach wojskowych mam trzecie miejsce.

I — ponad 600 głosów miał Lipski.

II — ponad 500 głosów Bembiński.

III — ja 300 głosów.

Inni kandydaci na senatorów po kilkadziesiąt. Ciekawe, że infiltracja „S" w oddziałach (lotniczych) była tak głęboka. Co prawda nie wolno mi było mieć jakichkolwiek wystąpień w obrębie koszar. W każdym razie byłem szczerze zdziwiony, że wśród wojaków uzyskałem stosunek 1 do 3,5. Ciekawe, jak to jest w większości oddziałów.

5.VI. 9.00 rano. Odwiedziłem w biurze gen. Paszkowskiego. Zastałem u niego „wielkiego" myśliwego, pana dyrektora Sikorskiego z min. rolnictwa, polującego nawet w Zimbabwe, oraz gen. Hermaszewskiego, brata kosmonauty. Kiedy zapytałem go, czy już wie, jak idzie bratu kandydatowi na senatora, usłyszałem, że źle. Generał kupił sobie okazyjnie samolot i lata nim po kraju na wycieczki i do znajomych, na co pozwalają mu jego dochody.

Po odejściu tych panów przybył były premier p. Zbigniew Messner. Pogodny, wyglądał dość dobrze. Wczoraj co prawda jeszcze nie wygrał. Kandydował na posła, ale w tej chwili był przekonany, że uzyska mandat poselski w II turze. Wykpiwał rozważania czołowych działaczy rządu, zarówno premiera Rakowskiego jak i Ireneusza Sekuły, twierdząc, że zamiast kontynuować zabiegi reformatorskie wszczęte przez ekipę poprzedniego

rządu, to się nadmiernie rozpolitykowali, powymyślali dziwactwa polityczne, choćby owe okrągłe stoły, zamiast skupić się wyłącznie na sprawach gospodarki narodowej i jej wszechstronnym doskonaleniu.

Właśnie od premiera Messnera dowiedziałem się o rewelacyjnych komunikatach wyborczych ze statków polskich z różnych akwenów i naszych placówek dyplomatycznych oraz biur handlowych.

Z mórz jest wiele meldunków donoszących, że na trzydziestukilkuosobową załogę jeden lub dwa głosy są pozostawione na liście krajowej z nazwiskami Rakowskiego lub Kiszczaka. Sensacyjnie wyglądają głosowania w naszych ambasadach czy radcostwach handlowych, gdzie odsetek zwolenników koalicji rządowej rzadko przekracza 20% głosujących.

Po kilku telefonach „rządowych" do znajomych moich i Paszkowskiego dowiedzieliśmy się o sensacjach związanych z nieuzyskaniem mandatów na senatorów przez arcypewniaków, za których, wg opinii CBOS, do tej pory uchodzili Wilczek, Kwaśniewski, Brzostowski. Jeszcze przed czterema dniami przewidywano, że w I-ym napędzie może się znaleźć 12-tu czy 13-tu, ale na pewno 4-ech czy 5-ciu. Po prostu nie chciało się wierzyć, żeby porażka mogła spotkać Wilczka, Kwaśniewskiego czy Brzostowskiego lub Jastrzębskiego.

Akcja wyborcza Aleksandra Kwaśniewskiego trwała kilka tygodni, doskonale prowadzona wg wszelkich reguł sztuki propagandowej. A więc listy do wyborców, zebrania nawet w niewielkich osiedlach oraz na stadionach w miasteczkach, występy zespołów w świetlicach czy boiskach z młodzieżą sportową, pomysłowe ulotki i afisze. Liczne spotkania osobiste Kwaśniewskiego w większości bardzo dobrze się udawały, dzięki wielu zaletom kandydata używającego dobrze słowa, bystrego, budzącego sympatię i dowcipnego. Wiadomość o nieuzyskaniu przezeń mandatu była dla nas nieoczekiwana.

Podobna historia dotarła do nas o Wilczku, co się nam wydało niewiarygodne.

Tegoż dnia dowiedziałem się, że wspaniale startujący minister Jastrzębski również przepadł w Łomży. Był to też przewidywany pewniak po całej serii świetnie zapowiedzianych i zorganizowanych przedsięwzięć.

6.VI. Rano spotkałem Paszkowskiego, znajomego z Dobiegniewa, organizatora świetnego warsztatu, pracującego wyłącznie na eksport do Szwecji. Kiedyś jako marynarz poznał w Angoli generała. Dziś dowiedziałem się, że kupił statek i jest armatorem współpracującym z Żeglugą Polską w Szczecinie. Człowiek wyjąt-

kowej przedsiębiorczości. Zaprosił mnie na spotkanie do Woldenbergu we wrześniu, na którym będzie kilku byłych jeńców woldenberżan.

Siedząc u Paszkowskiego dowiedziałem się, że nadzieje Messnera na II turę wyborów okazały się złudne. Z trzech ubiegających się o ten sam mandat premier miał najgorsze wyniki. Poprzedzający go kolejno zdobyli: I — 33%, II — 31%, a Messner jedynie 22% — co przesądziło o możliwości udziału w walce, w której pozostało dwóch pierwszych. Dla Messnera, jak się wyraził R. Paszkowski, jest to równoznaczne ze śmiercią polityczną.

Do zebrania się Sejmu na razie jeszcze pozostaje w Radzie Państwa jako jej członek od kilku miesięcy.

Ciekawe, że były minister rolnictwa i gospodarki żywnościowej Zięba po dziś dzień pozostaje bez pracy, choć upłynęło już znacznie więcej jak 6 miesięcy. Obiecano mu wyjazd za granicę na stanowisko ambasadora w Hadze, które umożliwiłoby mu doskonalenie się w zawodzie, jaki przez wiele lat uprawiał. Następnie proponowano mu przedstawicielstwo Polski w FAO, które bodaj mieści się w Rzymie. Ale ostatnio nawet się o tym z nim nie mówi.

Paszkowski pokpiwa sobie z Zięby, który tak troskliwie dbał o organizowanie świetnych polowań w Bieszczadach dla pana Czesława, Floriana i innych, w przekonaniu, że nigdy o nim nie zapomną, jakby nie wiedział, że rzadko spotyka się w życiu ludzi wdzięcznych tym, którzy nie mają szczęścia, a raczej pecha. Mnie też żal Zięby. Ostatnio bardzo rzetelnie i wiele pracował.

Po południu byłem u Komendera. Opowiadał mi, że wczoraj odbyła się wielka debata ścisłego kierownictwa, jak postąpić z listą krajową, którą stanowili czołowi ludzie partii i satelickich stronnictw i grup.

Ponieważ umowy okrągłego stołu nie mają żadnego związku z postanowieniami konstytucji, a nieobsadzenie trzydziestu kilku mandatów w Sejmie byłoby dziwactwem, postanowiono skorzystać z możliwości Rady Państwa i uciec się do jej dekretu. Komender zachowywał się wielce spokojnie. O sukcesie Reiffa, wybitnego paxowca, ostatnio solidarnościowca, mówił z przekąsem. Utyskiwał jedynie na brak przemyśleń prawniczej natury przy ostatecznym opracowaniu ordynacji wyborczej.

Po południu udałem się do Brzostowskiego, który mi opowiedział o swej przegranej w Tarnowie. Wszystko od tygodni zapowiadało się znakomicie. Był nawet jakby poproszony przez arcybiskupa ordynariusza diecezji tarnowskiej, Ablewicza. I nagle w piątek wydało się Brzostowskiemu, że coś się dzieje osobliwego.

I mimo że otrzymał kilkadziesiąt tysięcy głosów, nie wygrał, co go w pierwszej chwili wielce zdziwiło, bo ciągle słyszał o pobudzających programach.

Wieczorem dowiedziałem się od Marka Kossowskiego, jak prawnicy, zaprzęgnięci dziś do pracy nad pomysłami głowaczy z Rady Państwa, wspominali swoje rozmowy sprzed kilku miesięcy o ordynacji wyborczej, a w szczególności o liście krajowej. Kiedy postanowiono powtórzyć ostatni manewr z ową listą w tej samej formie jak poprzednio, i ktoś zauważył, że gdyby jej uczestnicy przegrali, to byłoby nieszczęście — został wyśmiany. Nawet nie zgodzono się na inne warunki, by decydowała zwykła większość głosów i została proporcjonalność. Głównym prześmiewcą takich pomysłów był Barcikowski, który twierdził, że nikt się nie ośmieli tego zrobić (co się rzeczywiście zdarzyło) i że ich uwagi świadczą o nieznajomości życia i ludzi, oraz o braku doświadczenia.

7.VI. Byłem dziś w Urzędzie Rady Ministrów. Atmosfera niepokoju, co się z nimi stanie po zebraniu Sejmu. Co prawda gorsza panika jest w kancelarii sejmowej i Radzie Państwa. Najwyżsi dygnitarze sejmowi wyraźnie się pakują i przygotowują do rychłej ewakuacji. Urzędnicy gabinetu premiera dokładnie sprawdzają, kto z członków listy krajowej ile dostał głosów. Wielu uzyskałoby wybór, gdyby stawali na listach wojewódzkich. Ciekawe, że zaczęto dokładnie badać skreślenia listy krajowej, by stwierdzić, czy czasami ktoś nie jest ułaskawiony przez gilotynę.

W każdym razie stwierdzono, że uchowali się Kozakiewicz i Stanisław Zieliński, Prezes Najwyższego Sądu Administracyjnego. Wiadomo już powszechnie, że w sprawie pozostałych 33 prominentów wypowie się, w formie dekretu, Rada Państwa. Zaciekawienie, a nawet zdumienie wzbudza ostrożność i jakby obawa „Solidarności" przed braniem odpowiedzialności za rządzenie krajem. Wałęsa i wybitniejsi pomocnicy mówią, że pragną pozostać na statusie opozycji i że nie zabiegają obecnie o władzę. Ambaras wynikający ze skreślenia listy krajowej sprawia wiele zmartwień. Publiczność wyborcza głosująca na „Solidarność" przesoliła, nie zwracając uwagi na zalecenia Wałęsy, który jeszcze w przeddzień wyborów mówił, że nie należy skreślać i sam zapowiedział, że on skreśli jedynie jednego. Od razu rozważano, czy miał na myśli Mieczysława Rakowskiego, czy Mieczysława Miodowicza. Natomiast kartki instrukcyjne, wręczane jeszcze w dniu wyborów zalecały skreślenie. Robiła to również telewizja, choćby w wystąpieniach Fedorowicza. Nic dziwnego, że przepadli nawet Rakowski czy Kiszczak (który pewnie nie był nadmiernie tępiony).

4.VI.89 r. Wpadłem do ministra Kwaśniewskiego, gdzie spotkałem kandydata na senatora Brzostowskiego. Pewnie wypił drinka z panem Aleksandrem, bo przed godziną, jak byłem u niego w Ministerstwie Rolnictwa, to czuć było od niego gorzałę. Pewnie utyskiwali na brak szczęścia. Kwaśniewski bardzo zapewne przeżywał swe niepowodzenie. Według powszechnej opinii nikt nie był lepiej przygotowany do wyborów, co więcej wszystkie dane osiągane przez CBOS potwierdzały to przekonanie w liczbach, które dopiero po wyborach okazały się czczymi wymysłami. Pochwaliłem z-cę rzecznika prasowego rządu Zdzisława Rykowskiego za komentarze wypowiedziane w telewizji, co go nawet zdziwiło, bo wielu ludzi jego wypowiedzi ganiło. Ja przeciwnie, osądziłem, że oceny jego były sensowne w sytuacji, w jakiej się znalazł. Osobiście pozwoliłem sobie na dłuższą wypowiedź dotyczącą roli odegranej przez Kościół, który ujawnił swe wyraźnie nieprzychylne stanowisko, ogromny wpływ na wyborców, doskonałą organizację, znacznie jeszcze udoskonaloną poprzez wspaniałe ćwiczenia przeprowadzane podczas wizyt papieskich w Polsce. Talenty organizacyjne Kościoła podziwiałem jeszcze w okresie władztwa kardynała Wyszyńskiego. Ostatnie okazały się zdumiewające.

12.VI.89 r. Ostatnie debaty kierownictwa partyjnego poświęcone ocenie I tury są bardzo krytyczne. Powstał problem, czy zwoływać plenarne posiedzenie KC przed zakończeniem wyborów i ukonstytuowaniem się zgromadzenia narodowego, czy raczej już po jego zebraniu.

Wczoraj w dzienniku telewizyjnym wiele miejsca zajął Jerzy Urban obwieszczając, że prezydentem będzie PZPR-owiec, a kandydatem jest Wojciech Jaruzelski. Dziś są prowadzone tak zwane konsultacje z członkami KC, które ostatnio poprzedzają plenarne zebrania KC. Najbliższe ma być poświęcone wyborowi pierwszego sekretarza. Wczoraj Mieczysław Rakowski oświadczył, że nie zamierza brać udziału w ewentualnych wyborach II rzutu (dla kandydatów z listy krajowej), uważając, że jeżeli nie został posłem uzyskując 7 czy 8 milionów głosów, to nie uchodzi mu zabiegać o sukces w kolejnym balotażu.

Ta wypowiedź może sygnalizować rezygnację z premierostwa i szykowanie się do objęcia stanowiska pierwszego, już po wyborze prezydenta.

13.VI.89 r. Rozmawiałem dziś z Messnerem i wspomniałem, że dzwonił do mnie z-ca naczelnego dyrektora z „Waltera" w Radomiu, że zakład ten przeżywa dramatyczną sytuację, bo nie dysponuje dostatecznymi ilościami aluminium, które przed kilku-

nastu laty było przedmiotem naszego eksportu. Dziś możemy je najłatwiej kupić w Rumunii, ale nieodzownie za dolary, którymi zakłady radomskie nie dysponują. Messner odparł, że jest to następstwo nadmiernej uwagi poświęconej rzekomo arcyważnym zagadnieniom politycznym, a nie koniecznym i nieodzownym sprawom gospodarczym. Powiedziałem z kolei, co najwybitniejsi ekonomiści mówią o rezultatach ekonomicznych Azji Płd.-Wschodniej, która w latach 40-tych (Japonia, Tajwan, Korea, Hongkong) zdobyła się na wielkie wyrzeczenia (szczególnie Japonia) by po ćwierćwieczu biedy wstąpić na drogę szczególnego dobrobytu i pomyślności. Ponadto urągałem, że nie możemy się wyrzec biadolenia i choćby części żebraczej mentalności, której jakieś wątki spotyka się jakżeż często w rozmowach z cudzoziemskimi partnerami. Skąd się bierze tak częsta skłonność do przyjmowania śmiesznych darów czy jałmużny, jak się ostatnio obserwuje u młodego pokolenia?

Józef KUROPIESKA

Katsuyoshi WATANABE

NOTATKA Z ROZMÓW Z PŁK. DYPL. ANTONIM SANOJCĄ („KORTUMEM"), SZEFEM I ODDZIAŁU KG AK

WSTĘP

W marcu 1944 r. dowódca Armii Krajowej, gen. Tadeusz Bór-Komorowski, postanowił wyłączyć Warszawę z planu „Burza", aby „uniknąć zniszczeń i zaoszczędzić cierpień ludności cywilnej". W połowie lipca jednak pojawiła się znowu koncepcja wprowadzenia do stolicy walki zbrojnej. Powstanie Warszawskie wybuchło w końcu 1 sierpnia 1944 r. Pod koniec lipca 1944 r. płk Sanojca jako szef I Oddziału (Personalnego) KG AK brał udział w niektórych odprawach sztabu Komendy Głównej. Płk Sanojca jest jednym z niewielu świadków, którzy znają kulisy tego wydarzenia.

Pułkownik w st. sp. Antoni Sanojca urodził się 4 czerwca 1899 r.

w Rzeszowie. Rozpoczął karierę wojskową w wieku szesnastu lat w 6 pułku piechoty Legionów. Był żołnierzem Komendy Naczelnej nr 3 Polskiej Organizacji Wojskowej w Kijowie. W kampanii wrześniowej uczestniczył m.in. w obronie Warszawy, jako dowódca Odcinka „Wola". Od lutego 1942 r. używał pseudonimu „Kortum", który pochodzi z nazwy geograficznej wzgórza we Lwowie. Po Powstaniu Warszawskim objął 7 sierpnia 1944 r. stanowisko zastępcy dowódcy grupy AK „Północ", a później zastępcy szefa sztabu KG AK. Po kapitulacji powstania był w niemieckiej niewoli. Po powrocie do kraju w styczniu 1945 r. został Delegatem Sił Zbrojnych w Kraju na Obszar Południowo-Zachodni. W latach 1949-1953 był więziony, ale w 1956 r. został zrehabilitowany. Został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari kl. 4 i 5, Krzyżem Niepodległości oraz dwukrotnie Krzyżem Walecznych.

Przedstawiam niżej całość naszych rozmów, odbytych w Warszawie 3 sierpnia i 1 września 1989 r., dodając minimum przypisów. W czasie rozmów momentami odnosiłem wrażenie, że przytoczony przez płk. Sanojcę obraz wydarzeń bywa nieścisły. Niemniej jednak jestem przekonany, iż jego relacja może służyć badaniom najnowszej historii Polski, ponieważ zawiera fakty dotychczas mało znane.

Pragnę wyrazić Panu Pułkownikowi Sanojcy gorące podziękowanie za udzielenie mi wywiadu i za zgodę na jego opublikowanie.

K.W.

CZĘŚĆ I. ROZMOWA 3.8.1989 r.

KATSUYOSHI WATANABE: — *Kiedy Pan Pułkownik po raz pierwszy słyszał o pomyśle wprowadzenia walki do Warszawy? Czy Pan Pułkownik wiedział o tym przed naradą „trzech generałów"? Według opracowania Janusza Kurtyki*[1]*, już w połowie czerwca 1944 r. gen. Okulicki*[2] *mówił Panu Pułkownikowi o pomyśle walki w stolicy i Pan Pułkownik zgodził się z nim.*

PŁK ANTONI SANOJCA: — Istotnie zetknąłem się z zagadnieniem powstania powszechnego, bo tak to trzeba nazwać, wkrótce po wylądowaniu generała Okulickiego w Warszawie. Przyjaźniliśmy się przed wojną, w Rembertowie na kursach, gdzie on był wykładowcą, i stąd łatwo mi było nawiązać z nim kontakt. Okulicki przyjechał wyraźnie nastawiony na walkę. Tu trzeba — na marginesie — przypomnieć, że Armia Krajowa i większość

1. Janusz Kurtyka, *Generał Leopold Okulicki „Niedźwiadek" (1898-1946)*, Warszawa, Biblioteka Historyczna, 1989, s. 35-36.
2. Płk Okulicki został zrzucony do Polski w nocy z 21/22 maja 1944 r. Po skoku został awansowany do stopnia generała brygady.

organizacji paramilitarnych były nastawione na walkę z Niemcami i lansowały tezę „wychowanie żołnierza w konspiracji — w walce". To warto podkreślić, bo to jest trochę przeoczane. Tak więc o walce myśleliśmy od samego początku, właściwie od planowania zamachu na Hitlera tutaj w Warszawie w czasie defilady.

K.W.: — *W połowie czerwca 1944 r. gen. Okulicki przedstawił potrzebę walki z Niemcami w stolicy?*

A.S.: — Nie, tak nie można stawiać sprawy. Do Warszawy była wystawiona pewna ilość oddziałów wojskowych, ale to, co mówimy o czerwcu, dotyczy tylko sfery planowania, wypracowywania koncepcji walki podziemnej przy takiej dysproporcji środków finansowych i uzbrojenia. Dodam jeszcze, że chodziło o walkę przy współpracy z aliantami. Od razu powiem w tym miejscu, że pomocy aliantów nie doczekaliśmy się.

K.W.: — *Jak toczyła się odprawa w Komendzie Głównej AK 22 lipca 1944 r.?*

A.S.: — Trudno mi w tej chwili powiedzieć, który wycinek prac przygotowawczych był akurat rozważany i ujęty w formie rozkazów lub wytycznych, ale to wszystko było w formie planowania, w sferze — powtarzam — wypracowywania sztabowej koncepcji. Myśleliśmy i o walce (w okręgu warszawskim) w mieście czy o miasto, i o odwołaniu akcji.

K.W.: — *Jak zareagowała Komenda Główna AK na powstanie PKWN?*

A.S.: — Odpowiem pod warunkiem, że zgodzimy się co do tego, że powstanie PKWN, a jeszcze wcześniej Związku Patriotów Polskich Wandy Wasilewskiej, to były decyzje polityczne. Z takiej perspektywy sprawa wygląda nieco inaczej. Inaczej ocenia się taką organizację polityczną, inaczej społeczno-polityczną, a jeszcze inaczej społeczną zajmującą się pomocą Polakom wywiezionym w głąb Związku Sowieckiego. A mówąc po lwowsku — to oczywiście szlag nas trafiał.

K.W.: — *Jaki wpływ wywarł na Komendę Główną AK zamach na Hitlera?*

A.S.: — Trzeba postawić pytanie — udał się czy się nie udał? Nie udał się, wobec tego jakie są konsekwencje? Wolałbym

pytanie, jakie konsekwencje poniosło środowisko Kwatery Głównej Hitlera? Bo to, że paru generałów położyło głowę, nie było dla nas ważne. Komenda Główna AK tak się ustosunkowała do nieudanego zamachu, jak kiedy nie udaje się jakaś szczególna walka na szczególnym wycinku. To, co pisze w swojej książce Ciechanowski na ten temat[3], nie jest oparte na faktach, dokumentacji. Pan Ciechanowski uważa, że zamach powinien był zaważyć na decyzjach członków sztabu KG AK.

K.W.: — *Ale to gen. Pełczyński stwierdził, że zamach wywarł zasadniczy wpływ na postawę KG AK*[4]?

A.S.: — To tak późno do nas dotarło, że nie wiem, czy można to przyjąć za przesłankę mającą wpływ na KG AK. Jaki może być wpływ?

K.W.: — *Jak Komenda Główna AK oceniała panikę wśród Niemców w Warszawie 22-27 lipca 1944 r.? Czy w KG AK uważano, że Trzecia Rzesza chyli się ku upadkowi?*

A.S.: — Tak, to jest jedna z tych przesłanek, które zaważyły na decyzji określenia momentu powstania. Chciałbym podkreślić: to, że trzeba się przygotować i bić, nie ulegało dyskusji. Chodziło o to, kiedy. Żeby nie za wcześnie i nie za późno. Panika — to była woda na nasz młyn. Każda panika jest czynnikiem destruktywnym, a nie konstruktywnym. Myśmy byli w takim napięciu ze względu na zbliżającą się do Wisły Armię Czerwoną, że każdy bałagan był na pewno przesłanką dodatnią. Gorzej, że tak krótko trwała ta panika, bo około 3-4 dni, i potem ponownie wkroczyło Gestapo i zrobiło porządek. To jedno, a drugie — panika nie objęła Wehrmachtu i oddziałów pomocniczych na zapleczu frontu wschodniego.

K.W.: — *Jak się toczyła odprawa Komendy Głównej AK 25 lipca 1944 r.?*

A.S.: — Czy to, co w tej chwili powiem, jest wynikiem odprawy z 25 lipca, czy któregoś innego dnia, nie pamiętam. Sprawa pomocy aliantów, przede wszystkim brytyjskich, przetaczała się na szeregu odpraw, od dłuższego czasu. Plan powstania

3 Jan M. Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie. Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego*, wyd. III, Warszawa 1987, s. 398.
4. *Tamże.*

powszechnego skorygowany był po wkroczeniu Armii Czerwonej w granice Polski, a na pewno uległ kolejnemu uściśleniu 25 lipca. Ale dokładnie nie pamiętam. Ciągle mówię o przygotowaniach, a nie o samej walce, a to było przedmiotem rozważań kilkakrotnych.

K.W.: — *Jak się toczyła odprawa Komendy Głównej AK 26 lipca 1944 r.? Według „Powstania Warszawskiego" płk. Borkiewicza*[5]*, Pan Pułkownik wraz z generałem Okulickim, płk. Rzepeckim i płk. Szostakiem wypowiedzieli się stanowczo za powstaniem 28 lub 29 lipca.*

A.S.: — Tak, ja to potwierdzam. Oceniłem, że te wiadomości, które dostaliśmy z przedpola walki, to znaczy z Pragi i okolic podwarszawskich, są wystarczającą przesłanką dopingującą do przyspieszenia wybuchu powstania — żeby nie było za późno. Żeby nie spóźnić się z rozpoczęciem walki.

K.W.: — *Według płk. Rzepeckiego, gdy płk Chruściel przedstawił swój wniosek zmiany godziny „W" na 17-tą „nikt go nie zakwestionował"*[6]*. Czy Komenda Główna AK w ogóle nie zwróciła uwagi na to, że w ten sposób naraża bardziej życie ludności cywilnej?*

A.S.: — W takich tragicznych sytuacjach jak ta, troska o ludność cywilną jest sprawą drugoplanową.

K.W.: — *Jak traktowano zarządzenie gubernatora Fischera stawienia się 100.000 warszawian do robót fortyfikacyjnych? Komenda Główna AK, moim zdaniem, powinna była wyciągnąć wniosek, że hitlerowcy mają zamiar utrzymać Warszawę za wszelką cenę. Proszę uprzejmie o zdanie Pana Pułkownika.*

A.S.: — Z jednej strony ustosunkowaliśmy się do tego lekceważąco, z drugiej natomiast posłużyło to znowu za argument: „spieszcie się, bo jak nam wybiorą 100.000 mężczyzn z Warszawy, to cała 5,5-letnia praca nad przygotowaniem powstania powszechnego spali na panewce". Jeśli chodzi o decyzję wybuchu powstania, odpowiem za siebie. Jeszcze dzisiaj, gdyby ktoś

5. Adam Borkiewicz, *Powstanie Warszawskie 1944. Zarys działań natury wojskowej*, wyd. II, Warszawa 1964, s. 12.

6. Jan Rzepecki, „W sprawie decyzji podjęcia walki w Warszawie". *Wojskowy Przegląd Historyczny* 1958, nr 2(7), s. 320.

postawił mnie w takiej sytuacji i kazał wybierać, też bym tak wybrał i tak samo powiedział: prędzej wywoływać, bliższa godzina „W".

K.W.: — *Jakie zdanie miała Komenda Główna AK o rozmowach Mikołajczyka ze Stalinem?*

A.S.: — Nie bardzo wierzyliśmy Mikołajczykowi. Całkiem nie wierzyliśmy Stalinowi. Mikołajczyk trzy dni czekał na rozmowę ze Stalinem, przyjęty został dopiero około 3 sierpnia. A tu już walka trwała od trzech dni, czyli nie rokowaliśmy wielkich sukcesów Mikołajczykowi, do którego Stalin odniósł się bardzo lekceważąco. Prywatnie dodam, że nie kochaliśmy się z Mikołajczykiem.

K.W.: — *Jak traktowano w Komendzie Głównej apele sowieckie?*

A.S.: — Apel do walki m.in. Żymierskiego? Jak to by powiedzieć? Myśleliśmy, że może wybuchnąć powstanie wywołane przez tamtą stronę — przez PKWN, Związek Patriotów Polskich. Wtedy istniało już wojsko Berlinga — I Dywizja.

K.W.: — *Czy Pan Pułkownik był obecny na odprawie rannej 31 lipca 1944 r.?*

A.S.: — To jest tzw. głosowanie; byłem.

K.W.: — *Według płk. Bokszczanina*[7]*, Pan Pułkownik nie brał udziału w głosowaniu na odprawie Komendy Głównej 31 lipca. Czy w ogóle było takie głosowanie, któremu gen. Bór-Komorowski zaprzeczał?*[8]

A.S.: — Bokszczanin bardzo nas nie kochał i był przeciwny KG AK. Zresztą to bardzo dzielny, bardzo odważny żołnierz Września 1939 r. Że Bór-Komorowski zaprzeczał, jakoby było głosowanie — rozumiem, bo w wojsku jest rzeczą nieprzystojną

7. Jan M. Ciechanowski, „Notatka z rozmowy z p. płk. dypl. J. Bokszczaninem („Sękiem"), od stycznia do lipca 1944 r. z-cą Szefa Sztabu KG AK do spraw operacyjnych, odbytej w Paryżu 14 i 15 listopada 1969 roku", *Zeszyty Historyczne* 1974, nr 27, s. 149.

8. Tenże, „Gdy ważyły się losy stolicy. Notatka z rozmowy z gen. Tadeuszem Borem-Komorowskim, odbytej w maju 1965 w Londynie w obecności prof. J.K. Zawodnego", *Wiadomości* 1971, nr 39 (1330), s. 2.

żeby głosować, a nie wydawać rozkazy. Natomiast na pewno pytał. A różnica między pytaniem a rozkazem, dojrzałą decyzją, jest przegrodzona czasem niteczką. Ale wszystko się zgadza, trzeba tylko znać zakulisowe sprawy.

K.W.: — *Z tego, co mówił gen. Bór-Komorowski w wywiadzie z Ciechanowskim*[9]*, Pan Pułkownik miał przyjść na popołudniową odprawę 31 lipca. Dlaczego Pan Pułkownik nie przyszedł?*

A.S.: — Istotnie, byłem na odprawie porannej, tej z głosowaniem. Natomiast dlaczego nie byłem po południu, nie pamiętam. Prawdopodobnie miałem przydzielone inne zadania, jakieś sprawy organizacyjne. Nie byłem już potrzebny do decyzji, bo decyzja zapadła rano.

K.W.: — *Gdyby Pan Pułkownik dowiedział się o meldunku płk Chruściela, jak by na to Pan Pułkownik zareagował?*

A.S.: — Meldunek Chruściela? To kolejna przesłanka, żeby nie było za późno. Meldunek mówił o czołgach w Starej Miłosnej. Potraktowałem ten meldunek poważnie, a nie miałem wpływu na to, żeby zmusić „Montera" do ponowienia wywiadu, do wysłania kilku patroli aż pod Otwock czy dalej. Nie miałem możliwości rozkazywania.

K.W.: — *Czy Pan Pułkownik myśli, że decyzja dowódcy AK była słuszna?*

A.S.: — Oczywiście!

K.W.: — *Płk Bokszczanin mówił dr. Ciechanowskiemu, że generał Okulicki powiedział na odprawie gen. Borowi-Komorowskiemu: „Jeśli Pan Generał nie podejmie decyzji, będzie pan drugim Skrzyneckim itd"*[10]*. Jakie były stosunki między tymi dwoma generałami? Czy gen. Okulicki był lojalny w stosunku do dowódcy AK?*

A.S.: — Tak, Okulicki był lojalny w stosunku do dowódcy. To, co mówił, mówił z głębokim przekonaniem. Bokszczanin natomiast był cały na nie, jeszcze w czasie okupacji. Ciągle wszystko mu się nie podobało.

---

9. *Tamże.*
10. Tenże, *Powstanie Warszawskie...*, s. 286, przyp. 176.

K.W.: — *Płk Bokszczanin był zdania, że Armia Czerwona może nie przekroczy Wisły w czasie walk AK z Niemcami*[11]. *Wydaje się, że nie tylko był ostrożny, ale także słusznie przewidywał. Co Pan Pułkownik o tym sądzi?*

A.S.: — Myślę, że jeśli ktoś jest cztery lata na nie, to nie może niczego konstruktywnego do sprawy wnieść. To jest po prostu niemożliwe. Poza tym zupełnie inaczej wygląda podejmowanie decyzji na gorąco, a zupełnie inaczej interpretacja faktów po upływie pewnego czasu.

K.W.: — *Gen. Bór-Komorowski nieraz podkreślał, że zdecydował się na rozpoczęcie w Warszawie akcji „Burza", a nie powstania. Natomiast wielu historyków pisze, że dowódca AK wprowadził powstanie do stolicy. Czy wyraźnie rozpoznawano różnicę terminów między „Burzą" i „powstaniem" aż do końca lipca 1944 r.?*

A.S.: — Bór-Komorowski prawidłowo odróżniał powstanie od akcji „Burza". Powstanie obejmowało co najmniej bazę powstańczą, to jest pięć okręgów: Warszawę, Radom, Kraków, Białystok, Łódź. Okręg Pomorski i Poznański miały czekać, aż zwycięskie oddziały AK z bazy powstańczej wejdą na teren działań okręgów zachodnich. Bardzo wyraźnie odróżniano więc akcję „Burza". Wiemy, jaka sytuacja się wytworzyła — we Lwowie było prawie powstanie, w Wilnie było prawie powstanie, ale ciągle prawie. Polesie nie miało sił, Nowogródek uwikłał się w walki.

K.W.: — *Komenda Główna AK dobrze wiedziała, że AK brakuje broni i amunicji. Według gen. Pełczyńskiego KG AK pocieszała się myślą, że „kiedy lud paryski szedł na Bastylię, nie liczył pałek, z którymi wyruszył"*[12]. *Poza tym autorzy tomu III opracowania „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej" piszą, że „pobierając decyzję dowództwo AK świadome było faktu, że pomoc lotnictwa z Zachodu jest niepewna i może nastąpić jedynie przy wielkim wysiłku lotników, dokonanym pod presją położenia bojowego w Warszawie"*[13]. *Wydaje się, że KG AK myślała zbyt optymistycznie. Co Pan Pułkownik myśli o tym?*

---

11. Katsuyoshi Watanabe, „Polityczne i wojskowe przyczyny Powstania Warszawskiego 1944 r. Studium o ideologii Komendy Głównej Armii Krajowej". (w jęz. japońskim) *The Journal of East European Studies* (Tokio), 1988, roczn. XI, s. 6.

12. Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie...*, s. 426.

13. *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*, t. III, *Armia Krajowa*, Londyn 1950, s. 661.

A.S.: — O tym, że broni brakowało, że nie było broni motorowej i artyleryjskiej, wiedziało każde dziecko. Niemniej wszystkie walki partyzanckie, choćby te wspomniane przeze mnie we Lwowie, na Polesiu czy w Wilnie, wszystkie toczyły się przy dysproporcji środków, ludzi, sprzętu, uzbrojenia i — zawsze w tym miejscu dodaję — przy braku pomocy aliantów, głównie wschodniego. Rosjanie robili sobie szopki, zrzucając np. beczkę smalcu bez spadochronów. Rozbijało się to o chodnik czy jezdnię i trzeba było łyżką zbierać z ulicy. To była pomoc alianta wschodniego.

K.W.: — *Gen. Bór-Komorowski pisał następująco we wspomnieniach: „Przygotowania niemieckie wskazywały, że Niemcy będą bronić Warszawy, że walki toczyć się będą na terenie stolicy o umocnione obiekty. W związku z tym miasto narażone będzie na poważne straty i zniszczenia. Jeśli jednocześnie z uderzeniem rosyjskim od zewnątrz podjęta zostanie walka wewnątrz miasta, umożliwi to przyspieszenie jej końca i uchroni stolicę od nadmiernych strat i zniszczeń"*[14]. *Czy Pan Pułkownik kiedyś słyszał o tej teorii na odprawach?*

A.S.: — To dla mnie rewelacja. Dowódca AK nie potrafił nic więcej napisać w swoich wspomnieniach od tego, co napisał? Bardzo smętnie to wygląda, ale trudno. Sprawę uruchomienia działań ofensywnych strony alianckiej, tzn. oddziałów Berlinga, Rokossowskiego i Żukowa, należy rozpatrywać jako zagadnienie sztabowe. Nie można na to patrzeć tak, że gdyby po naszej stronie było o kilka karabinów więcej, to by było wszystko w porządku. To są decyzje poruszające setkami tysięcy ludzi, tysiącami armat i tysiącami samolotów, i każda decyzja na tym szczeblu jest — moim zdaniem — decyzją polityczną, a nie wojskową. Dowódca batalionu, dowódca dywizji może poruszać się w ramach wycinka przeznaczonego dla niego, owszem. Ale w tym momencie, aby się ruszyć tutaj, wszystkie decyzje musiały być o charakterze wręcz politycznym. W ostatnim *Wojskowym Przeglądzie Historycznym*[15] płk Sawicki rozważa, co było decyzją wojskową i dlaczego to nie zostało uruchomione, a co było decyzją polityczną, co zostało uruchomione. Te armie Stalin zamiast na Siedlce skierował na Lublin, odchylając je w ten sposób od zasadniczego kierunku marszu.

---

14. Tadeusz Bór-Komorowski, *Armia Podziemna*, wyd. IV., Londyn 1979, s. 203.

15. Tadeusz Sawicki, „Czy Armia Czerwona mogła uratować Powstanie Warszawskie", *Wojskowy Przegląd Historyczny* 1989, nr 2(128), s. 289 i dalsze.

CZĘŚĆ II. ROZMOWA 1.9.1989 r.

K.W.: — *Komenda Główna AK mogła zawczasu zawiadomić Rosjan o pomyśle walki zbrojnej w Warszawie, ale w ogóle nie próbowała. Dlaczego? Wydaje się, że nie próbowała świadomie, aby wzmocnić efekt polityczny planu. Czy mogę prosić, żeby Pan Pułkownik objaśnił ten temat?*

A.S.: — Pomijając już to, o czym dowiedzieliśmy się i przekonaliśmy później, brakło chęci politycznych do nawiązania stosunków. Istniały one oddolnie. Próba oddolna to jest jedno, to jest *casus* Kaługin, to próby grupy akowskiej, w tej chwili nie pamiętam nazwisk, która przeprawiła się na wschodni brzeg. W międzyczasie „Monter" co najmniej raz zwrócił się bezpośrednio do Rokossowskiego, a jeden z kapitanów pierwszego zrzutu na własną rękę przedostał się na wschodni brzeg. W tym czasie szły depesze przez Londyn i cenzurę brytyjską. Anglicy zaczęli cenzurować wysyłane przez nas depesze chyba gdzieś w lutym 1944 roku. Dość wcześnie. Więc to, co szło przez „Montera" i Komorowskiego, było cenzurowane przez Anglików. Niemniej brak odpowiedzi na depesze do Moskwy wynikał nie stąd, że zatrzymywali je Anglicy, ale z dyrektywy Stalina czy kogoś innego, że nie należy nam pomagać. Tak to wygląda. Myśmy się starali nawiązać kontakt, choć ta prośba „Montera" o pomoc wydawała nam się nieco wstydliwa. Próba nawiązania współpracy Armii Krajowej z Armią Czerwoną nie powiodła się, ponieważ brak było porozumienia na drodze dyplomatycznej. Starania Mikołajczyka na Kremlu w celu nawiązania kontaktu ze Stalinem właściwie w praktyce nie dały poważniejszych wyników, a starania o nawiązanie stosunków na drodze dyplomatycznej nie napotkały na zrozumienie angielskiego ministra spraw zagranicznych Edena, który, jak wiadomo, był nieprzychylny Polsce i Armii Krajowej.

K.W.: — *Komenda Główna AK była przekonana, że Armia Czerwona przekroczy Wisłę. Bez żadnej pomocy od Rosjan AK nie mogłaby w końcu wygrać. A więc bitwa między Armią Czerwoną a hitlerowcami, dokładniej strategiczna ocena tej bitwy przez KG AK miała bardzo ważne znaczenie w momencie decyzji podjęcia walki. Z drugiej zaś strony, według płk. Rzepeckiego, „o*

dyslokacji sił rosyjskich KG wiele nie wiedziała"[16]. *Wydaje się, że brakowało KG AK realistycznego punktu widzenia.*

A.S.: — Moją odpowiedź powinno się ująć w dwa podtematy. Po pierwsze: my, zawodowi wojskowi, rozumowaliśmy, że mając przejście przez Wisłę na pewnym odcinku Armia Czerwona będzie atakować. Było nie do pomyślenia, że mając tak dogodne warunki, gdy strona przeciwna jest atakowana z dwu stron, z zachodu i ze wschodu — można stanąć. Było nie do pomyślenia, że Armia Czerwona może stanąć przed progiem i nie wykorzystać tego, aby tanim kosztem ludzkim zdobyć przyczółek na brzegu warszawskim. Druga sprawa to istotnie było małe zamieszanie na północ od Warszawy, ponieważ tam Niemcy rzucili broń pancerną, oddziały pancerne, i powstrzymali, przejściowo zresztą, nacierające wojska Armii Czerwonej. Ale znowu można było przypuszczać, i przypuszczało się, tak się oceniało sytuację, że jednak rozpędzone masy czołgów, przy ogromnym wsparciu artyleryjskim, przejdą Wisłę. To, że wojsko stanie właśnie tutaj z bronią u nogi, nie mieściło się w głowie. Być może, że nie dość głęboko poszedł wywiad bojowy Armii Krajowej w stronę Armii Czerwonej, może trzeba było próbować. Jak nie na Otwock, to na Falenicę, trochę dalej na Międzylesie. Wydaje mi się, że nie było głębokiego rozpoznania sytuacji.

K.W.: — *Czy odczuwano w kraju konflikty między Naczelnym Wodzem a Premierem? Jeśli tak, czy to miało jakiś wpływ na Komendę Główną AK?*

A.S.: — Istotnie, idealnych stosunków nie było. Istniała bardzo duża różnica między poglądami Mikołajczyka i Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego. Ich współpraca nie układała się najlepiej, bo za duże były rozbieżności poglądów i za dużo było politykierstwa po stronie Mikołajczyka, a za mało lojalności w stosunku do Mikołajczyka ze strony Sosnkowskiego. Natomiast czy i jaki wpływ miało to na koncepcje dyplomatyczno-strategiczne Naczelnego Wodza w stosunku do Stalina, to trudno powiedzieć, trudno odczuć, ocenić. Niewątpliwie brak było fundamentalnego ustawienia zagadnienia. Poza tym wiadomo, i jest to potwierdzone w zbiorze wspomnień Sosnkowskiego, że cofnął się on przed decyzją w momencie wybuchu

16. Jan M. Ciechanowski, „Notatka z rozmowy z płk. dypl. Janem Rzepeckim ('Prezesem', 'Sędzią', 'Rejentem'), szefem BIP-u Komendy Głównej Armii Krajowej, odbytej 2 kwietnia 1969 roku w Londynie w obecności ppłk. dypl. Zygmunta Jarskiego". *Zeszyty Historyczne* 1974, nr 27, s. 166.

powstania. Wyjechał do Włoch na inspekcję do Andersa i nie chciał wrócić. Dopiero 5 sierpnia dowiaduje się Sosnkowski o powstaniu, o tym, że Warszawa walczy. Dostaje polecenie od prezydenta II Rzeczypospolitej, żeby natychmiast wracał. Odpowiada, że nie może, bo ma umówione spotkania z marszałkami ze sztabu alianckiego. Tym spowodował, że Mikołajczyk przekazał powzięcie decyzji na ręce Stanisława Jankowskiego, Głównego Delegata Rządu, wówczas już w randze wicepremiera. Tak to wygląda. Myślę, że to miało kolosalny wpływ na sytuację. Z drugiej strony widać, że nie wszyscy palili się do podejmowania decyzji o wadze historycznej.

K.W.: — *Wszystko wskazuje na to, że KG oczekiwała przekroczenia Wisły przez Armię Czerwoną poprzez warszawskie mosty na początku walki. Ciekaw jestem, czy KG AK nie przewidywała, że hitlerowcy zburzą mosty, jeśli będzie trzeba. Z czysto strategicznego punktu widzenia, według mnie, KG AK powinna zdać sobie sprawę, że Rosjanie przekroczą Wisłę na północ lub południe od Warszawy po utrzymaniu przyczółków. Co Pan Pułkownik o tym sądzi?*

A.S.: — Dotykałem już tego tematu. W głowie się nie mieści, że rozpędzona Armia Czerwona, ileś tam dywizji i związków operacyjnych pancernych, mając już prawie we własnych rękach przyczółek warszawski, a oprócz tego dwa przyczółki na południu, stanie z bronią u nogi. W czasie okupacji PPR zarzucała nam, że stoimy z bronią u nogi; tu Armia Czerwona stanęła naprawdę. Przecież, mając dwa przyczółki, przerzucenie armii z punktu widzenia strategicznego nie było problemem. Natomiast ze zniszczeniem przepraw mostowych musi się liczyć każdy dowódca, ponieważ to jest ostatnia deska ratunku — wysadzić mosty. A akceptując wysadzenie mostów musi brać pod uwagę fakt, że mosty mogą być za chwilę potrzebne do przejścia własnych oddziałów.

K.W.: — *Jak Pan Pułkownik ocenia gen. Bora-Komorowskiego jako Komendanta Głównego AK?*

A.S.: — Nie mogę wystawiać laurek, ponieważ to jest mój przełożony.

K.W.: — *Jak Pan Pułkownik uważa, dlaczego Armia Czerwona nie przekroczyła Wisły w początkach sierpnia 1944 r.?*

A.S.: — Nie przekroczyła, bo miała zakaz przekraczania, a próby przekroczenia (Berling wysłał bataliony na Żoliborz i Czerniaków) nie dostały wsparcia artyleryjskiego, nie były prawdziwym desantem, bo już działał zakaz Stalina udzielania pomocy.

K.W.: — *Według listu gen. Chruściela do Pobóg-Malinowskiego*[17], *gen. Bór-Komorowski mówił płk. „Monterowi", że ufa mu bardziej niż sobie. Jakie były stosunki między tymi dwiema osobami?*

A.S.: — Bardzo dobre.

K.W.: — *Jak Komenda Główna przewidywała przebieg walk w stolicy?*

A.S.: — Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, bo nie brałem udziału we wszystkich odprawach, na których rozważano, czy Rosjanie przejdą Wisłę, czy jej nie przejdą. Plan „Burza" przewidywał, że ten zryw powstańczy, nie dość uzbrojony, bez wsparcia ogniowego, może trwać 3-4 dni, a trwał przeszło 60. Więc tutaj właśnie wszystko obraca się na jednej osi. Rosjanie nie przekroczyli Wisły, choć mogli, choć na południe od Warszawy były dwa mosty, a dwa przyczółki były w rękach czerwonych. Nie można sobie wyobrazić, i nie wyobrażał sobie żaden z naszych sztabowców, że nie zaistnieje żadna możliwość wykorzystania operacyjnego tych dwóch przejść, które można było zabezpieczyć artylerią i bronią stromotorową [?]. To, co nastąpiło, było konsekwencją zasadniczej różnicy mentalności dowódców po tej i po tamtej stronie.

K.W.: — *Dlaczego na początku walki siedziba KG AK znajdowała się na Woli? Tam nie było silnych punktów oporu sił niemieckich. Wydaje się, że był to jeden z najważniejszych powodów. Czy KG AK nie brała pod uwagę tego, że hitlerowcy przyślą posiłki?*

A.S.: — Przede wszystkim miejsce dowodzenia KG było przewidziane na Mokotowie. Tego przygotowanego technicznie miejsca dowodzenia na Mokotowie nie udało się uruchomić, bo nie

17. List gen. Chruściela do Pobóg-Malinowskiego z 12 grudnia 1958 r. [w:] Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1864-1945*, t. II, *Okres 1939-1945*, Londyn 1960, s. 662, przyp. 150.

doszli tam ludzie z pierwszego rzutu KG AK. Na Woli były dwa bataliony harcerskie „Radosława", a właściwie trzy. Słaba obsada niemiecka to jedno, a drugie to było przekonanie, że najprościej będzie zmienić miejsce dowodzenia, jak trzaśnie Wola. Linia Wola — most Poniatowskiego była bardzo ważnym strategicznie kierunkiem. Inny powód — wydawało się, że gdyby walka przedłużała się, to następnym schronieniem dla sztabu byłaby Starówka. Stamtąd istniało wyjście na most Kierbedzia i most kolejowy. Oczywiście, trzeba było liczyć się z tym, że Niemcy będą się bronić. Zawsze trzeba liczyć się z niekorzystną dla siebie sytuacją. Należy przewidzieć, że przeciwnik będzie silniejszy, choć chwilowo jest słabszy; że rozkaz nie dojdzie, bo łącznika na motocyklu zastrzelą. Musi się brać pod uwagę wszystkie elementy, które mogą pogorszyć naszą sytuację. Na pewno przy kalkulacji, ile sił potrzeba i jakie są możliwości ludzkie w poszczególnych dzielnicach Warszawy, starano się wziąć powyższe fakty pod uwagę. Nie było mnie przy tym, ale znam technikę pracy sztabowej i mentalność tych kilku osób, które miały zasadniczy wpływ na decyzję; to na pewno było wkalkulowane.

K.W.: — *Jak Pan Pułkownik myśli, kim w końcu był kpt. Konstanty Kaługin?*

A.S.: — Nie wiem. Mógł być szpiegiem, mógł być własowcem z wyrzutami sumienia, mógł być oficerem głębokiego wywiadu. Nie rozmawiałem z nim i nie wiem. W dalszym ciągu nie jest to wyjaśnione.

K.W.: — *Według płk. Rzepeckiego*[18] *nie tylko gen. Tatar, lecz także płk Drobik był zdania, że trzeba politycznie porozumieć się ze Związkiem Sowieckim. Myśleli już o tym w 1942 r. Czy to pokrywa się z rzeczywistością?*

A.S.: — Tak. Są dwa plany powstania narodowego. Pierwszy, z 1941, tzw. „Plan nr 54", i drugi, opracowany po napaści Niemiec na Związek Sowiecki. Ten drugi plan uwzględniał zmianę zasadniczych warunków. Był to „Plan nr 154". Myślę, że zabrakło drogi dyplomatycznej. Stalin bardzo chętnie przerzucił na Armię Krajową odpowiedzialność za wszystko, co się działo, ponieważ to on nie chciał naszej pomocy. Więc o porozumieniu

18. Ciechanowski, *Notatka z rozmowy z płk. dypl. Janem Rzepeckim...*, s. 159-160.

się z ZSSR niewątpliwie myślano; od 1942 roku brali to pod uwagę i ci, którzy pracowali nad nowym planem powstania, i polska dyplomacja. Przecież osiągnięto pewne porozumienie Sikorski-Majski w przekonaniu, że jest to niezbędne, i to drogą dyplomatyczną.

K.W.: — *Płk Bokszczanin napisał w liście do Ciechanowskiego, że wysłanie gen. Tatara do Londynu było raczej pozbyciem się go*[19]. *Co Pan Pułkownik sądzi o tym?*

A.S.: — Po pierwsze — Bokszczanin nie kochał AK i to może wyjaśnić, że istotnie chciał pozbyć się Tatara. Ale nie zmienia to faktu, że kilku emisariuszy zostało wysłanych do Naczelnego Wodza. W tym wypadku Bokszczanin bardzo się nie myli. On jeszcze silniej nie wierzył w to, co robimy, aniżeli Kirchmayer.

K.W.: — *Kiedy zaczęto przewidywać w Komendzie Głównej AK, że Polska będzie uwolniona przez Armię Czerwoną, a nie przez Anglosasów?*

A.S.: — Nigdy nie braliśmy pod uwagę tego, że uwolnią nas Anglosasi. Przysłanie wojska z zachodu obejmowałoby tylko oddziały polskie, gen. Maczka. Po co Anglicy mieliby przyjeżdżać do Polski? KG AK liczyła się z tym, że Polska może być uwolniona przez Armię Czerwową. Zaczęto to przewidywać z chwilą napaści Hitlera na Związek Sowiecki. Dlatego właśnie przerobiono plan powstania powszechnego.

K.W.: — *Płk Rzepecki pisał w swoim artykule, że gen. Sosnkowski opatrzył „Instrukcję dla Kraju" następującym komentarzem: „Przekazuję Wam instrukcję rządu, która jest nic nie warta i — róbcie jak uważacie"*[20]. *Czy Pan Pułkownik wie coś o tym?*

A.S.: — Nie wiem. Wiem tylko, że Sosnkowski przerzucił decyzję o powstaniu na kraj. Zrzekł się decyzji, siedział we Włoszech, a tu Jankowski miał decydować. Sosnkowski uchylił się od decyzji. Mówię to z poczuciem pełnej odpowiedzialności — uciekł.

---

19. List płk. Bokszczanina do Jana M. Ciechanowskiego z 1 kwietnia 1965 r. [w:] tenże: „Płk Bokszczanin o Armii Krajowej i Powstaniu Warszawskim. Listy do J. Ciechanowskiego", *Zeszyty Historyczne* 1988, nr 86, s. 10-11.

20. Rzepecki, *op.cit.*, s. 302.

K.W.: — *Kto opracował plan „Burza"?*

A.S.: — Prawdopodobnie Okulicki współpracował z Szostakiem i „Kuczabą".

K.W.: — *Odnośnie do poprzedniego pytania: kto najpierw pomyślał o „ujawnieniu się" i kto najbardziej popierał tę koncepcję?*

A.S.: — Sprawa „ujawnienia się" jest uregulowana rozkazem Komorowskiego. Natomiast kto popierał, trudno mi w tej chwili odpowiedzieć. Popierali to ci, którzy uważali, że musimy pokazać, że jesteśmy gospodarzami tej ziemi, na którą weszła Armia Czerwona.

K.W.: — *Gen. Sosnkowski wysłał płk. Okulickiego do kraju. Wydaje się, że wybór gen. Sosnkowskiego nie był najlepszy, bo gen. Okulicki pierwszy stwierdził potrzebę walk w Warszawie, a więc miał zupełnie inny pogląd niż jego zwierzchnik. Co Pan Pułkownik sądzi o tym?*

A.S.: — Odpowiedź zawiera się w tym, co już wcześniej stwierdziłem na temat poglądów Sosnkowskiego.

Rozmawiał Katsuyoshi WATANABE

Powyższy tekst rozmów, odtworzony z nagrań i notatek autora, został autoryzowany przez płk. dypl. Antoniego Sanojcę.

DOKUMENTY

Michał KOMAR, Krzysztof LANG

MYŚMY JUŻ O TYM MÓWILI, PROSZĘ PANA...

Film nosi tytuł „Proces". Realizujemy go w Wytwórni Filmów Dokumentalnych od stycznia 1989 roku. Jest to opowieść dokumentalna o losach oficerów Wojska Polskiego, aresztowanych w latach 1949-1953 przez Główny Zarząd Informacji MON (kontrwywiad wojskowy). Dwudziestu z tych oficerów skazano na śmierć i stracono.

W pierwszych dniach lipca 1989 roku pojechaliśmy do Kijowa, aby odnaleźć i skłonić do rozmowy ówczesnego zastępcę szefa G.Z.I., płk. Antoniego Skulbaszewskiego.

W Polsce zapewniano nas, że Skulbaszewski albo nie żyje, albo też, że nie sposób do niego dotrzeć.

Próby uzyskania informacji drogą oficjalną spełzły na niczym.

Rozmowę, która odbyła się w mieszkaniu Skulbaszewskiego w Kijowie, prowadził Krzysztof Lang.

Fragmenty rozmowy zamieszczamy poniżej.

●

ANTONI SKULBASZEWSKI: — Cóż ja panu mogę powiedzieć? W Warszawie są wszystkie archiwa. Tam nie trzymają słabej pamięci starego człowieka, ale dokumenty. Pamięć człowieka nie zawsze jest dobra, (w dokumentach) ma pan prawdę obiektywną.

KRZYSZTOF LANG: — *Ale dokumenty nie wystarczą.*

A.S.: — No tak, w nich nie ma ludzkości.

Jestem Skulbaszewski Antoni, syn Dionizego, po rosyjsku mówi się Anton Dionizowicz, ale jestem Polakiem, inżynierem lądowym. Urodziłem się na Ukrainie siedemdziesiąt pięć lat temu. Cukrownia, malutka osada robotnicza i wioska za rzeką. Ojciec był stolarzem i pracował w cukrowni. W domu rodzinnym mówiliśmy po polsku. Matka tylko po polsku, ojciec po polsku i ukraińsku, a po rosyjsku to w ogóle rozmowy nie było. I książki były polskie. Mickiewicz, Słowacki. W 1922 roku, bardzo dawne czasy, kilku bardziej statecznych Polaków wyjechało z naszej cukrowni do kraju, inteligencja fabryczna... i zostawili dużo polskich książek. Ja je stale czytałem, tysiące razy, te różne rycerskie książki, Sienkiewicza „Ogniem i mieczem", „W pustyni i w puszczy", Staś i Nel, to na pamięć umiałem. Kiedy przyszło mi piętnaście lat, pojechałem szukać szczęścia w mieście. W Charkowie budowali fabrykę traktorów, ciężko było bardzo, źle, i rzuciłem pracę. Pociąg zatrzymał się w Kijowie. Spodobało mi się tu, więc zostałem. Wtedy było łatwo, nie trzeba było jeszcze tych paszportów, nie było *propiski*. Zacząłem pracować, a jednocześnie uczyłem się na *Rabfaku*, fakultecie robotniczym. Wstąpiłem do Instytutu, a stamtąd zabrano mnie do wojska. Szkołę wojskową ukończyłem w 1937. W Kijowie znałem dużo Polaków, tam była taka, jak to powiedzieć po polsku? *obszczina*, zapomniałem, acha, społeczność, był klub polski, była biblioteka, chodziłem, brałem książki. W 1937 roku ten klub i bibliotekę rozpędzono. A mnie wywalono z wojska.

K.L.: — *Jak to się stało?*

A.S.: — Słyszał pan o stalinowskich łagrach? Przyjechał do mnie brat cioteczny i mówi: „Ty się nie zastrzel tylko — bo jako oficer miałem broń — twego ojca aresztowali dwa dni temu". Tu wszyscy Polacy straceni w latach 1937-38. Słyszałem wtedy przemówienie jednego z moskiewskich przywódców ówczesnych, w którym mówiono tak: „...wszyscy Polacy to są szpiedzy". Wtedy Kosior[1], sekretarz generalny w kraju, był roz-

1. Stanisław Kosior, ur. 1889, w 1917 roku członek Komitetu Piotrogradzkiego SDPRR(b), w latach trzydziestych sekretarz KC KPR/b/U, aresztowany w 1938 roku, stracony w lutym 1939 roku. Jego bracia Józef i Władysław, na stanowiskach w aparacie państwowym ZSSR, represjonowani, zmarli w 1937 roku.

strzelany jako szpieg polski, i jeszcze kilku innych Polaków na wysokich stanowiskach. Z mojej rodziny też: ojciec — wróg narodu, dwaj bracia — wrogowie narodu, mąż siostry — wróg narodu. *Czuwstwo* — jak pan przetłumaczy? Uczucie. Uczuciowość we mnie siedzi polska. No ale wie pan, rozmawiam po polsku po raz pierwszy od wielu lat. Kontaktów z nikim nie mam. Kiedyś próbowałem poznajomić się z chłopcami z konsulatu, ale zrozumiałem, że oni nie tego, to były lata, kiedy kontakty z miejscowymi trzeba było bardzo ostrożnie...

Tak że ja rozumiałem, że ta nawała sunie, może i na mnie. O ojcu nie myślałem, bo zwykły robotnik, stolarz, co on komu, Bogu Ducha winny. I jeszcze był ranny na tej wojnie rusko..., znaczy się rosyjsko-japońskiej, w głowie wybity miał kawał kości. Raczej myślałem, że mnie jako młodego oficera mogliby posadzić, ale że ojca to nie, no a potem przyjechał brat i powiedział: Wygarnięto...

Zameldowałem się u dowódcy i mówię, że ojciec aresztowany. Powiedziano mi: Zdajcie broń i napiszcie raport. Zdałem broń, napisałem raport. — Idźcie do mieszkania i czekajcie decyzji. A mieszkałem w takim domu hotelowym. Szesnaście dni minęło, trochę mnie tam niby ciągano, niby nie ciągano, potem zostałem wywalony, z braku zaufania, napisano. Zacząłem szukać pracy. Nikt mnie nie chciał przyjąć. Straciłem miejsce w hotelu. Przez miesiąc spałem na dworcu kolejowym. No ale w 1938 roku przyjęto mnie do wyższej uczelni; dyrektor jakiś tam był ludzki. Ja powiedziałem szczerze, jaka jest prawda, a on: — Piszcie podanie, nie zwracajcie uwagi.

K.L.: — *A co stało się z ojcem?*

A.S.: — Miesiące chodziłem, pytałem się, wypędzano mnie, aż pewnego razu: „Będziesz chodził, to zaraz sam usiądziesz.." Rozpoczęła się wojna, porzuciłem ostatni rok wyższej uczelni. Chciałem na wojnie dostać rehabilitację za ojca. Myśmy wtedy myśleli, że ta wojna potrwa kilka miesięcy, a jeśli człowiek się wykaże, to może potem żądać rehabilitacji. W końcu 1941 roku zostałem kontuzjowany. Straciłem wzrok, straciłem słuch. Ojca nie ma. Matka gdzie — nie wiem. Rodzeństwa nie ma. Ja sam ślepy i głuchy. Takie życie. Ale wozili mnie po różnych szpitalach, aż dowieźli do Taszkientu, gdzie przebywał nasz słynny okulista Fiłatow. Leczyli mnie przez cały rok 1942. Zacząłem odzyskiwać wzrok. Odzyskałem też słuch w prawym uchu. W początkach 1943 roku zameldowałem się w *Wojenkomacie*. Mogłem nie iść do wojska, ale mnie wydawało się, że to byłaby

zdrada wobec wszystkich ludzi, którzy walczą. W *Wojenkomacie* kazali mi czekać. Czekałem kilka dni. Wezwali. Ot, pojedziecie do polskiej dywizji Kościuszki. Jak Polak — to do polskiej dywizji. A ja byłem wtedy synem wroga ludu, tak, że ja tę polskość już dobrze odczułem. I zaoponowałem: — Nie chcę do polskiej dywizji! Wojowałem jako saper, służyłem w dywizji strzeleckiej i tam mnie odeślijcie.

K.L.: — *Dlaczego nie chciał pan służyć w polskiej dywizji?*

A.S.: — A co kto wtedy wiedział o tej polskiej dywizji? Ja wtedy znałem, że polskość do droga do więzienia dla wielu ludzi. Obawiałem się. Mówią: polska dywizja, polska dywizja, a potem ta sama droga, co moich bliskich. Wtedy milczało się, że jest się Polakiem. Ale w moich dokumentach napisane: Polak.

Wsiadłem do pociągu. Tam piosenki śpiewali: „Jak to na wojence ładnie", „Rozkwitały pąki białych róż" i inne. Do I Dywizji przybyłem 28 maja 1943 roku. To się dopiero zaczynało organizować. Przyjeżdżała Wanda Wasilewska, a dowódcą był generał Berling. Część oficerów liniowych, większość, to byli Polacy rosyjscy, bo większość oficerów zabrał Anders. Aparat polityczno-wychowawczy składał się z polskich komunistów, nie znałem ich. Pamiętam uroczystą defiladę, kiedy poświęcano chorągiew. Ksiądz Kubsz, nasz dywizyjny ksiądz, sympatyczny gość, podobał mi się bardzo... Generał Kieniewicz, nasz rosyjski generał, Polak z pochodzenia, rozmawiał ze mną: Gdzie chcesz służyć? Ja na to, że trochę ślepy jestem. No to pójdziesz do pułku. I służyłem w 3 pułku, u podpułkownika Piotrowskiego. Dywizja wyruszyła pod Lenino, była ciężka bitwa, ale Polacy spisali się świetnie. A po bitwie awansowałem na lejtenanta, podporucznika, na porucznika i potem to jakoś tam dalej szło, proszę pana. Nie sądziłem, że będę wojskowym, ale przyszło mi długo służyć. Ale naprawdę jestem inżynierem.

K.L.: — *Co się z panem działo po bitwie pod Lenino?*

A.S.: — Służyłem w pułku. Byłem jednym z oficerów dochodzeniowych. Takie tam drobne naruszenia dyscypliny, ktoś zgubił ładownicę z nabojami lub ktoś kogoś w mordę urżnął, przepraszam bardzo, albo bimber pili, nie polski bimber, a rosyjski. Robiło się wtedy wyjaśnienie i meldowało. Potem w związku z tą pracą odwołano mnie do prokuratury Dywizji.

K.L.: — *Kto pana odwołał?*

A.S.: — Przyszedł rozkaz do pułku. Począłem tłumaczyć, że jestem laikiem w tym zakresie, no ale zaczęli mnie uczyć. Henryk Hoder, prokurator, siedział ze mną, tracił dużo czasu. I był pan Kazimierz Drohomirecki, przedwojenny polski sędzia, starszy pan. On często ze mną pracował, uczył mnie. W 1944 roku II Dywizja była na froncie. Był potrzebny prokurator. Potem byłem w II Armii, u generała Świerczewskiego[2]. Po wojnie przeniesiono mnie do Naczelnej Prokuratury Wojskowej. W 1954 roku wyjechałem do Kijowa.

K.L.: — *A co pan robił w latach 1949-1954?*

A.S.: — W końcu 1949 roku kazano mi brać udział w śledztwach Ministerstwa Bezpieczeństwa. Była decyzja Biura Politycznego, nie, nie Biura, ale towarzysza Bieruta. Sprawy przeszły potem do Urzędu Informacji i ja byłem przy Informacji.

K.L.: — *Był pan zastępcą szefa Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego?*[3]

A.S.: — O tych sprawach mówią dokumenty z tamtych lat i późniejsze. Mnie trudno oceniać te sprawy. To nie jest proste, zwłaszcza dla mnie, bo miałem różne doświadczenia na tym tle. Na początku chodziłem się skarżyć... to mnie dobrze wyfajdano.

K.L.: — *Do kogo pan chodził?*

A.S.: — Do Bieruta. Wysłuchał mnie. Ale w jakiś czas potem dano mi łupnia.

---

2. Antoni Skulbaszewski był prokuratorem II Armii Wojska Polskiego od 18 kwietnia 1945 do końca wojny. Por. Kazimierz Kaczmarek, *II Armia Wojska Polskiego*, Warszawa 1978. Tamże omyłkowo Skulbaszewski występuje jako Skulbaczewski.

3. Główny Zarząd Informacji (kontrwywiad wojskowy) prowadził w latach 1949-54 śledztwa w sprawie tzw. spisku w wojsku. Najogólniej ujmując: rzecz zaczęła się od sprawy Tatara, Utnika i Nowickiego, a zakończyła na sprawie „szpiegowsko-dywersyjnej szajki Komara" i aresztowaniu marszałka Żymierskiego. Wysiłki G.Z.I., w tym osobiście płk. Skulbaszewskiego, doprowadziły do uwięzienia znacznej grupy generałów i wyższych oficerów Wojska Polskiego i wydania 38 wyroków śmierci. Dwadzieścia z nich wykonano.

K.L.: — *Kto?*

A.S.: — To stare dzieje. Powiedzmy sobie, że to nie był polski działacz.

K.L.: — *Więc kto?*

A.S.: — To był ktoś nasz.

K.L.: — *Pański bezpośredni szef, pułkownik Wozniesienski?*

A.S.: — Nie, nie. Ktoś nad Wozniesienskim.

K.L.: — *Kto? Niech pan powie.*

A.S.: — To nie było prawdziwe nazwisko. On pod przybranym nazwiskiem przebywał w Warszawie. Wysoki generał. Tak, że ja nie mogę panu w tej chwili powiedzieć, kto to był. Boję się omylić.

K.L.: — *I co panu powiedział?*

A.S.: — Słowo w słowo nie powtórzę, ale mniej więcej, że ja się wtrącam w nie swoje rzeczy i nie patrzę we właściwym kierunku. Prócz tego przypomniał mi moją przeszłość.

K.L.: — *Więc groził panu?*

A.S.: — W tym sensie, żebym pamiętał, co ja sam mam za sobą.

K.L.: — *Kto to mógł być?*

A.S.: — Ja nie wiem. Powtarzam panu, że nie słyszałem o nim do tamtego wieczora i potem już też nie.

K.L.: — *W którym to było roku?*

A.S.: — Stare czasy... mniej więcej w 1950 roku.

K.L.: — *Czy przed procesem Tatara, Utnika i Nowickiego?*

A.S.: — Tak, przed.

K.L.: — *A zatem wezwał pana generał z sowieckiego Bezpieczeństwa i przekazał panu odpowiednie instrukcje dotyczące śledztwa w sprawie Tatara?*

A.S.: — Nie, nie. On tylko stwierdzał, że nieprawidłowo postąpiłem i że patrzyłem nie w tym kierunku, co należy. A instrukcje to druga sprawa. Biuro Polityczne tym się zajmowało. I minister Radkiewicz. Wozniesienski, mój szef.

K.L.: — *A z kim z Biura Politycznego kontaktował się pan najczęściej?*

A.S.: — Jeździło się czasem do towarzysza Bieruta. Kazano mi przychodzić albo samemu, albo z Wozniesienskim i meldować. Prowadziłem dziennik i w nim zapisywałem wszystko, co ci wysocy przełożeni mi mówili. To było zabronione.

K.L.: — *Sławny zielony zeszyt?*

A.S.: — On gdzieś tam u was jest.

K.L.: — *Gdzie?*

A.S.: — W Warszawie.

K.L.: — *Chcę pana zapytać o proces T.U.N. i późniejsze „procesy odpryskowe".*

A.S.: — Proces Tatara organizowało Bezpieczeństwo. Wtedy mówiono, że Tatar, Utnik i Nowicki przyjechali do kraju celem dywersji politycznej[4]. Takie było wtedy spojrzenie. A dziś to inaczej widać.

4. W kierowanym przez Skulbaszewskiego śledztwie starano się wykazać, że Tatar, Utnik, Nowicki, Mossor, Kirchmayer, Wacek, Roman i Herman są agentami zachodnich wywiadów i organizatorami spisku. Koncept „dywersji politycznej" służył obronie: „...znałem zasadę władz bezpieczeństwa Polski Ludowej, że jak jest człowiek, którego się aresztowało, to artykuł się na niego znajdzie. Więc myślałem tylko o tym, na który artykuł się zdecydować. No więc zdecydowałem się na artykuł dywersji politycznej, ale okazało się w końcu, że mnie oskarżyli o zamach stanu i wywiad dla Anglików, co było bez sensu". (Relacja Mariana Utnika).

K.L.: — *Chcę pana prosić o spojrzenie sprzed czterdziestu lat.*

A.S.: — Sprzed czterdziestu lat? Niech pan weźmie pierwszą lepszą gazetę z tamtego okresu i znajdzie pan tam wszystko w bardziej precyzyjnej formie, niż ja to mogę powiedzieć.

K.L.: — *Ale co pan wtedy myślał?*

A.S.: — Ja sądziłem, że to co mi mówiono, to jest prawda. A mówiono, że to są ludzie, którzy przyjechali celem dywersji politycznej. Wtedy jeszcze pamiętano Mikołajczyka. On uciekł. Sądzono, że to może się z tym wiąże. A dziś Mikołajczyk porządny człowiek. Nawet obywatelstwo mu zwrócono. Może i słusznie. Ale wtedy to inaczej wyglądało. I tak to traktowano w Biurze Politycznym i w Bezpieczeństwie, a ci wszyscy, którzy byli niżej, rozumowali tak właśnie, a nie inaczej.

K.L.: — *Przecież pan był drugą osobą w hierarchii Informacji? Pan był kierownikiem śledztwa we wszystkich tych sprawach i wiedział, że stosowane przez was metody prowadziły do fałszywych zeznań.*

A.S.: — Mówiłem już panu, że chodziłem do prezydenta Bieruta w tej sprawie. I że miałem wątpliwości. Skończyło się to niczym. Znaczy moje wątpliwości nie są najważniejsze. Dziś to można mówić, co fałszywe, co prawdziwe. Ale wtedy? A niby skąd ty wiesz, że to wszystko fałszywe? A zresztą w organach Informacji przymus (w śledztwie) nie był taki ostry.

K.L.: — *Niemniej na procesie generał Tatar zeznawał nieprawdę?*

A.S.: — Diabli go wiedzą, co jest nieprawdą, a co prawdą! (...)

K.L.: — *Czy pan był przekonany o ich winie?*

A.S.: — Ja na pewno byłem przekonany o ich winie w tym lub większym stopniu, ale ich sądzono, a wszystkie sprawy były rozpatrywane przez Biuro Polityczne. Tam byli ludzie decydujący o losach kraju...

K.L.: — *Ale wtedy pan miał w ręku wielką władzę...*

A.S.: — To była władza dla pozoru... Miałem szefa. On miał

trochę więcej władzy. A nad nim byli... władza aż do wierzchu. (...) Ja dostałem polecenie towarzysza Bieruta, że mam tam iść i pracować[5]. I także polscy oficerowie szli w tym kierunku, nie tylko rosyjscy. Tak, że to zwalanie na Rosjan, to jest, wie pan: „nieobecni nie mają racji".

K.L.: — *Czy pan pamięta śledztwo w sprawie Romana?*

A.S.: — Nazwisko pamiętam, bo z tego to się zaczęło. On dużo naopowiadał. Jak się dowiedziałem o tym, to mówię: „Sam go chcę przesłuchać". Uprzedziłem go, że jestem z prokuratury. A on wszystko powtórzył. Władysław! nawet jego imię pamiętam.

K.L.: — *Czy pan pamięta proces Tatara?*

A.S.: — Mało pamiętam, bo na tym procesie, wie pan, organizacja... Ja siedziałem z tyłu. Nie każdy dzień. Tam kilka dni zeszło. Ale nie brałem udziału w procesie. Zresztą są akta sprawy, tam pan wszystko może sprawdzić. Na próżno to pytanie. (...)

K.L.: — *Podobno wyroki były ustalone z góry?*

A.S.: — Ja tak sądzę. Nie wiedziałem tego dokładnie, ale ze słów oficerów Bezpieczeństwa tak to rozumiałem. Nawet ze słów... nie, to oficerowie Bezpieczeństwa (mówili), że wyroki są znane...

K.L.: — *A czy pamięta pan, że po ostatnim słowie oskarżonych, tuż przed ogłoszeniem wyroku, spotkał pan Utnika na zapleczu sądu i zapytał go...*

A.S.: — Proszę pan, czy spotkałem, to nie wiem, ale nie mogłem rozmawiać! Absolutnie wyklúczone! A teraz ja mam zapytanie: o czym miałem mówić?

K.L.: — *Marian Utnik żyje. Opowiedział mi o tej rozmowie. Pan podszedł do niego i zapytał: „No i co, Utnik, sądzicie, jaki wyrok was czeka?" A on na to: „Skoro prokurator zażądał naj-*

5. Skulbaszewski pomija tu swoje kontakty z Franciszkiem Mazurem, który sprawował nadzór nad działaniami G.Z.I. z ramienia sekretariatu Komitetu Centralnego.

wyższej kary, a wszyscy świadkowie potwierdzili, że byłem zbrodniarzem i zdrajcą, to prawdopodobnie kara śmierci". Na to pan: „Śmiejcie się z tego, Utnik. Wyroki są już wiadome. Generałowie dożywocie, pułkownicy po 15 lat, a niżsi oficerowie mniej..."

A.S.: — Proszę pan, musiałbym być ostatnim durniem, żeby przed wyrokiem tak mówić z podsądnym. Nie wiem, dlaczego Utnik to wymyślił. To jest absolutnie niemożliwe. To jest... Tego nie może być, dlatego, że tego być nie może... Czy pan sobie wyobraża taką sytuację... w sądzie (...) i ja sobie urządzam pogaduszki...

K.L.: — *Ale wyrok był znany z góry? (...)*

●

K.L.: — *W następstwie procesu Tatara doszło do kilkudziesięciu procesów w Wojsku Polskim. Wszystkie śledztwa prowadził Główny Zarząd Informacji. Były wyroki śmierci.*

A.S.: — Wie pan, że kilku rozstrzelanych to pamiętam. Nie pamiętam, gdzie, bo to nie w Warszawie było, gdzieś na peryferiach, ale pamiętam, że było kilku...

K.L.: — *Machalla, Zerbst, Mieszkowski, Jungrav, Barbasiewicz, Oborski, Adamecki...*[6]

---

6. Zefiryn Machalla, major, ur. 1915, w 1939 roku dowódca kompanii w 5 pułku Strzelców Podhalańskich. Obóz pracy w ZSSR. Od 1941 roku w armii gen. Andersa. W Anglii ukończył Wyższą Szkołę Wojenną. Po powrocie do kraju służył w II Oddziale Sztabu Generalnego. Aresztowany w 1951 roku, stracony w 1952 roku, zrehabilitowany w 1956 roku.

Benno Zerbst, major, ur. 1913. We wrześniu 1939 roku dowódca baterii. Następnie w Polskich Siłach Zbrojnych we Francji i w Anglii. Absolwent Wyższej Szkoły Wojennej. Po powrocie do kraju w II Oddziale Sztabu Generalnego. Aresztowany w 1951 roku, skazany na śmierć w 1953 roku, stracony w sierpniu 1953 roku, zrehabilitowany w 1956 roku.

Stanisław Mieszkowski, komandor, ur. 1903. W czasie kampanii wrześniowej dowódca odcinka obrony Helu. Od kapitulacji Helu do 1945 roku w obozach niemieckich. W 1947 roku szef Sztabu Głównego Marynarki Wojennej. Od 1948 roku zastępca dowódcy Marynarki Wojennej. Aresztowany w 1950 roku. Skazany na śmierć w 1952 roku. Wyrok wykonano w grudniu 1952. Zrehabilitowany w 1956 roku.

A.S.: — Nie znam...

K.L.: — *Jest dwadzieścia takich nazwisk...*

A.S.: — Z nazwiskami to jest gorzej...

K.L.: — *A czy pan pamięta Franciszka Skibińskiego?*

A.S.: — Coś mi to nazwisko mówi, ale nie mogę skojarzyć. Kto to był?

K.L.: — *Tuż przed aresztowaniem był szefem katedry w Akademii Sztabu Generalnego. Dostał wyrok śmierci. Potem karę zmieniono na dożywocie...*

A.S.: — A za co go sądzono? W którym roku?

K.L.: — *Pan go przesłuchiwał.*

Józef Jungrav, pułkownik dypl., ur. 1897. W 1939 roku dowódca eskadry rozpoznawczej Naczelnego Wodza. We Francji — szef oddziału w dowództwie Polskich Sił Powietrznych. W Anglii był m.in. kierownikiem wyszkolenia w Inspektoracie Lotnictwa. Po powrocie do kraju w II Oddziale Sztabu Generalnego oraz w Akademii Sztabu Generalnego. Aresztowany w 1951 roku. Skazany na śmierć, stracony w sierpniu 1952 roku, zrehabilitowany w 1956 roku.

Zdzisław Barbasiewicz, podpułkownik, ur. 1909. W 1939 roku oficer 79 pułku piechoty. Szef łączności w konspiracyjnym Polskim Związku Powstańczym. W Ludowym Wojsku Polskim służył od grudnia 1944 roku, w Sztabie Głównym, a następnie w Sztabie Generalnym. Aresztowany w 1950 roku, skazany na śmierć w 1951 roku, stracony w styczniu 1952 roku, zrehabilitowany w 1956 roku.

Mieczysław Oborski, pułkownik dypl., ur. 1900. W 1939 roku służył w Szefostwie Komunikacji Wojskowej Sztabu Głównego W.P. Przydzielony do 2 Dywizji Strzelców Pieszych. Internowany w Szwajcarii. Po powrocie do kraju był m.in. szefem wydziału w Głównym Inspektoracie Artylerii W.P. Aresztowany w 1951 roku, skazany na karę śmierci w sierpniu 1952 roku, stracony w lutym 1953 roku, zrehabilitowany w 1956 roku.

Bernard Adamecki, pułkownik pilot, ur. 1897. W 1939 roku zastępca dowódcy lotnictwa armii Modlin. Szef oddziału lotniczego Komendy Głównej Armii Krajowej. W ludowym wojsku polskim był m.in. komendantem Technicznej Szkoły Lotniczej. Aresztowany w 1950 roku, skazany na śmierć w 1952 roku, stracony w sierpniu 1952 roku, zrehabilitowany w 1956 roku.

A.S.: — Ja byłem wtedy w Polsce? Nie pamiętam takiego[7]... Ja nie brałem udziału bezpośrednio, proszę pana. Przez to ja mogę... W tych sprawach bezpośredni udział brali tylko Polacy. Prokurator był Polak, oficerowie Polacy.

K.L.: — *Kto był prokuratorem?*

A.S.: — Pułkownik, a potem generał Stanisław Zarakowski.

K.L.: — *Jakie pana z nim łączyły stosunki?*

A.S.: — To był człowiek o (stanowczych) poglądach... Tak powiedzmy: Stachu, Stachu, serwus... jak tam leci? — ale w sprawach służbowych nie można go było kręcić.

K.L.: — *Jakie metody śledztwa stosowano w Zarządzie Informacji?*

A.S.: — W Zarządzie Informacji stosowano przesłuchania (...) i od 1950 roku jakiś czas był stosowany konwejer[8], to jest kiedy

---

7. „Wiedziałem, że czynem, który pociągnie za sobą natychmiastowe wykonanie wyroku (...) było ujawnienie przed kimkolwiek, nawet przed śledczym, faktu, że proces jest reżyserowany, że nie ma nic wspólnego z rzeczywistością (...) Pamiętam, że odpowiedziałem Skulbaszewskiemu na pytanie inaczej niż poprzednio. Powiedział natychmiast: 'Poprzednio mówiłeś coś innego'. Ja mu na to: 'Panie pułkowniku, czy to nie wszystko jedno, co powiem, przecież pan wie, że to wszystko nieprawda'. On rąbnął w stół i wrzasnął na mnie: ' — Ty taki synu, to ty chcesz we mnie wmówić, że to jest reżyserowany proces? To my tobie w łeb strzelimy (...) tak jak zastrzeliliśmy Barbasiewicza i Machallę, którym już kapusta z właściwego miejsca wyrosła'. Bo oni napisali do Bieruta, że zeznali nieprawdę i że są w rzeczywistości niewinni; i natychmiast ich rozstrzelano" (z relacji gen. Franciszka Skibińskiego).

8. „Nie bito, w każdym razie w czasie kiedy ja tam siedziałem. I o ile wiem, to nikogo nie bito. Było — słyszałem — zarządzenie marszałka Rokossowskiego zabraniające bicia w Informacji. To chyba zrozumiałe, bo on przeszedł wyjątkowo okrutne bicie bodaj w 1938 roku. Stosowano natomiast tzw. konwejer, czyli nieustające przesłuchanie (...) W moim przypadku przesłuchania przez półtora miesiąca trwały po 22 godziny. Potem odsyłano mnie do celi, co było szczególnie uciążliwe, bo człowiek natychmiast zasypiał, i natychmiast budzono go, by doprowadzić na przesłuchanie" (z relacji płk. Witolda Ledera).

„Po drugim lub trzecim tygodniu (konwejera — M.K., K.L.) byłem nieprzytomny. Budziłem się, a raczej łapałem świadomość wówczas, gdy uderzałem głową o beton lub o poręcz albo kant biurka (...) Nogi i ręce miałem tak grube, jakby to nie były ani nogi ani ręce (...) Muszę powiedzieć, że samobójstwo w moich warunkach nie było możliwe. Mogłem tylko być zabity. A ja sam, no jak? Ja ręką do szyi nie mogłem dostać" (relacja mjr. Zenona Tarasiewicza).

dobę lub dwie przesłuchiwano człowieka. Kiedy sprawa zaczynała się rozjaśniać, mówiło się: „ — Trzeba słuchać. Niech człowiek odpowiada. On wie, co ma mówić". Żadnych innych fizycznych metod nie stosowano. Stwierdzam kategorycznie. (...)

K.L.: — *Czy pan nigdy nikogo nie uderzył w śledztwie?*

A.S.: — Ja, w śledztwie, nigdy. Kiedyś pułkownik Kochan uderzył kogoś, kogo nazwiska nie pamiętam. Przyszedł i zameldował, że uderzył. Poszedłem do szefa Wozniesienskiego i powiedziałem, że ot taki przykry wypadek. A Kochan tłumaczył się, że go aresztowany zwymyślał, sprowokował. I to był jedyny przypadek w Informacji za moich czasów. Ja nigdy nie biłem. Nie mogłem. Nie chciałem. To nie jest dla mnie.

K.L.: — *A wie pan, że Kochan uważał, że wszystkie te śledztwa idą w niewłaściwym kierunku i że miał obiekcje co do stosowanych metod?*

A.S.: — On teraz ma obiekcje.

K.L.: — *Nie, wtedy. I nie tylko on. Pułkownik Czaplicki z Bezpieczeństwa po prostu oświadczył, że sprawa śmierdzi i że trzeba ją przerwać. A Kochan złożył memoriał w tej sprawie*[9].

A.S.: — Pierwszy raz słyszę, żeby on kiedykolwiek był u Bieruta. On był szefem oddziału III (śledczego) i my byśmy o tym wiedzieli. Wozniesienski by wiedział. I ja bym wiedział. Może po 1953 roku, albo w 1954, ale nie na początku.

K.L.: — *Czy pamięta pan pułkownika Fejgina?*

A.S.: — To był szef Światły i ten epizod ja dobrze znam. Skąd znam? Bo ja o tym czytałem. Jak Światło w czasie ich wspólnej podróży uciekł na Zachód i potem w amerykańskim radiu mówił. (...)

K.L.: — *Otóż w 1951 roku Kochan spotkał się z Fejginem. To było spotkanie w tajemnicy. I powiedział, że w Informacji dzieją się straszne rzeczy. W efekcie Fejgin zaniósł memoriał Kochana do*

9. Co potwierdza Anatol Fejgin (relacja w naszym posiadaniu — MK, KL).

Komitetu Centralnego i wręczył go albo Bermanowi, albo komuś z jego najbliższego otoczenia. Kochan bał się pana. Dlaczego?

A.S.: — No właśnie, dlaczego? On się nie mógł mnie bać. A zresztą nieobecni zawsze winni. A z tym Kochanem to nie mogło być... wtedy nie. Może później.

K.L.: — *Ale pan nie miał wątpliwości?*

A.S.: — Proszę pana, niech pan sobie wyobrazi gościa, który choć Polak, to nigdy w Polsce nie był. I przyjechał do Warszawy dopiero po wojnie. Co mógł wiedzieć? Wiedziałem, że sanacyjna Polska — bardzo reakcyjna. Wiedziałem, że Piłsudski to wróg Związku Sowieckiego i klasy robotniczej. Wiedziałem, że te wszystkie organizacje, z czasu wojny... no, nie wszystkie, oprócz AL, bo ta walczyła z Niemcami, ale AK, WiN (...) że zabijały sowieckich żołnierzy. Przy czym to nie własne, to nie samouczka. Tak nam mówiono. A my w naszym kraju sowieckim przyzwyczajeni byliśmy, żeby zawsze wierzyć każdemu słowu, które idzie z góry. Jeśli na górze powiedziano tak, to jest tak. Inaczej nie może być. A szczególnie tak było za czasów Stalina, proszę pana. No i jeśli starzy komuniści z kierownictwa, którzy rzeczywiście byli w podziemiu, siedzieli w więzieniach, teraz mówią, że to jest białe, a to jest czarne, to tacy jak my temu wierzyli bezapelacyjnie. Bo kim ja jestem, żeby powiedzieć: „A może wy nie macie racji, towarzyszu Bierut?" Takie było rozumowanie w tamtych czasach.

K.L.: — *A teraz?*

A.S.: — U nas się wszystko zmieniło i gdyby w tamtych czasach obowiązywał taki kurs jak dzisiaj, to procesów by nie było. Przecież Solidarność 1981 roku to też nie słodka kawa. Ale Solidarności nie ścigano tak, jak wtedy... No, jestem przekonany, że (gdyby wtedy panował taki kurs jak w 1981), to by takim jak ja powiedziano: „Wy nie rozumiecie naszych spraw, nie znacie ich. No to wam dziękujemy. Do widzenia". A wtedy uważało się, że to normalne, że oficerowie z Rosji biorą w tym udział...

K.L.: — *Aresztowania w Wojsku Polskim nasiliły się z objęciem stanowiska ministra Obrony Narodowej przez marszałka Konstantego Rokossowskiego.*

A.S.: — To jest bardziej skomplikowane, niż pan sądzi. Stalin obawiał się marszałków. Bał się Żukowa... I Rokossowskiego odprawił: niech tam sobie siedzi w tej północnej grupie wojsk. Polak? A niech idzie do Polski. Ale z drugiej strony to było mu wygodnie mieć sowieckiego marszałka w Warszawie. Bo Rokossowski był polskim marszałkiem, ale przede wszystkim sowieckim. Był całkowicie podporządkowany naszej władzy, powiedzmy, stalinowskiej władzy. A zresztą nawet prezydent Bierut często dzwonił do Stalina w różnych sprawach. Ja nie byłem przy tym obecny, ale wiem na pewno... (...) Pamięta pan „żelazną kurtynę" i Tito jako agenta amerykańskiego imperializmu? I ten cały obóz socjalistyczny postawiony, że tak powiem, pod broń? Ja sądzę, że te procesy — węgierskie większe były, a polskie potem — to był jeden silny prąd, którego początek był w Moskwie. Stalinowska grupa kierownicza nadawała ton kierownikom państw sprzymierzonych, a ściślej będzie, satelitów. (...) Sprawy (śledztw, o których mówimy) były organizowane w Polsce, ale były inspirowane wprost przez Moskwę, były w nurcie dobrze znanym polskiemu kierownictwu.

K.L.: — *Pan stykał się z Rokossowskim?*

A.S.: — Ano tak, ale on tymi sprawami nie interesował się. Nie brał udziału w tych sprawach . (...)[10]

K.L.: — *A potem umarł Stalin...*

A.S.: — Wie pan, ludziom się wydawało, że to jest wieczny człowiek. Stalin był, jest i będzie! Jego śmierć była przyjęta bardzo uczuciowo przez wszystkich oficerów. Potem było aresztowanie Berii (...) Wozniesienski wyjechał do kraju. A ja latem 1954 roku. Przed wyjazdem meldowałem się u marszałka Rokossowskiego. Nic szczególnego nie było. Pożegnał się ze mną. Po przyjeździe do Związku Sowieckiego dowiedziałem się , że sądzą Wozniesienskiego. Wezwano mnie jako świadka. Nie wiem, co tam było, bo świadek przyszedł, świadek wyszedł i sprawa dla świadka skończona (...).

---

10. Z dostępnych nam relacji wynika, że istotnie Rokossowski starał się trzymać z daleka od t y c h spraw — akceptując wnioski G.Z.I. i Prokuratury. Przyłożył jednak rękę do upiornej inscenizacji, poprzedzającej aresztowanie gen. Komara. Bronił też G.Z.I., Wozniesienskiego i Skulbaszewskiego przed zarzutami sformułowanymi przez tzw. Komisję Ochaba, a tym samym opóźnił przerwanie przestępczej działalności G.Z.I.

K.L.: — *Czy lata pięćdziesiąte w Polsce przesądziły o pana późniejszym losie?*

A.S.: — Nie mogły przesądzić, bo poszedłem do cywila. Jeszcze przedtem odnalazłem matkę. Jej w czasie wojny przysłali wiadomość, że zginąłem. No, ale potem poszczęściło się, bo to była duża radość, że nie jestem sam jeden. No i po odwilży chruszczowowskiej (...) chciałem dla niej i dla siebie coś zrobić. Pisałem do wszystkich. I oni wreszcie przysłali mi... *bumażkę*, znaczy, że go zrehabilitowano. Zmarł w 1940 roku. A gdzie pochowano — nie wiadomo. Może się jeszcze doszukam czegoś, może nie. Próbuję jeszcze szukać... Zacząłem pracę w zawodzie. Inżynier lądowy. Byłem w Persji sześć lat. Potem w Iraku. Od pięciu lat jestem na emeryturze. Pomagam dzieciom, wnukom, rodzinie. Dzieci czytają po polsku *Przekrój* i ja się z tego cieszę. Bo ja się poczuwam do polskości, te więzy z ojcem moim — to wszystko! Ja jestem Polakiem, ale odciętym Polakiem. I takie jest moje życie: odcięty Polak.

K.L.: — *Czy wraca pan myślami do tamtych czasów?*

A.S.: — Niekiedy. Jak coś przeczytam w polskiej prasie albo usłyszę w radiu. To nie są łatwe wspomnienia.

K.L.: — *Dlaczego?*

A.S.: — A jak pan sądzi? To są skomplikowane sprawy. Z dzisiejszego punktu widzenia niby one są proste, ale kiedy wracać do tamtego czasu, to już proste nie są. Myśmy już o tym mówili, proszę pana.

Rozmawiali Michał KOMAR i Krzysztof LANG

JAK STALIN ROZPĘTAŁ WOJNĘ DOMOWĄ W POLSCE W 1944 R.

DEKRET O OCHRONIE PAŃSTWA Z 30 PAŹDZIERNIKA 1944 r.

Publikujemy w pełnym brzmieniu dekret PKWN o ochronie państwa z 30 października 1944 r. Wielu autorów krajowych wspomina o nim, unika jednak choćby wzmianki o tym, jak drakońskie przewidywał sankcje, z reguły karę śmierci, za drobne a nawet banalne „przestępstwa": np. posiadaczowi radioodbiornika groziła kara śmierci (art. 6), także każdemu, kto nie złożył donosu na właściciela takiego aparatu (art. 11). Chłopi mogli być skazani na śmierć za niewywiązanie się z dostawy kontyngentów, również ich żony, jeśli utrudniły mężowi odstawienie resztek ziarna (art. 10). Wszystkie te „przestępstwa" podlegały jurysdykcji sądów wojskowych. Dekret działał z mocą wsteczną od 15 sierpnia 1944 r., co też było charakterystyczne dla stalinowskich metod rządzenia. Jego promotorem był Jakub Berman.

Dekret ukazał się w *Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej* nr 10 z 3 listopada 1944 r., poz. 40. Nie zamieszczono go w żadnym z licznych zbiorów dokumentów. Nikt nie pokusił się, by wyjaśnić dlaczego, z jakich przyczyn, PKWN wydał dekret, który nie różnił się od podobnych, ustanowionych przez hitlerowców w okupowanej Polsce, ale nie w Niemczech, ani też w podbitych krajach zachodniej Europy.

Fakty dowodzą, że PKWN wydał go na wyraźny rozkaz Stalina. Delegacji PKWN, która na przełomie września-października 1944 r. (28 IX-3 X 1944) przybyła do Moskwy po instrukcje, Stalin nakazał zaostrzenie walki z narodem polskim. O jego dyrektywach mamy dość dokładne informacje. Zawarte są w protokole rozszerzonego posiedzenia Biura Politycznego PPR z 9 października 1944 r. Uczestniczyło w nim 16 osób, podczas gdy Biuro składało się z pięciu członków (Gomułka, Bierut, Zawadzki, Berman, Minc). Protokolant (Wierbłowski) odnotował nazwiska generałów: Świerczewskiego, Jóźwiaka, Żymierskiego, ponadto: Ochaba, Zambrowskiego, Alstera, Kasmana, Skrze-

szewskiego, Kliszki i dwóch szefów resortu Bezpieczeństwa — Radkiewicza i Romkowskiego, który wtedy nie był nawet członkiem KC, co ma swoją wymowę.

Na wstępie protokolant zapisał: „Zagaił tow. Wiesław: Zamierzam postawić szereg zagadnień, nieco szerzej. Przede wszystkim uważam, że w związku z sytuacją, jaka się wytworzyła, należy wytknąć nową praktyczną linię postępowania. Dlatego opracuje się projekt rezolucji KC. Zaprosiliśmy dziś również kierowników niektórych wydziałów, aby wypowiedzieli się w dyskusji. Ponieważ rezolucja nie została jeszcze rozesłana wszystkim członkom KC, sprawa nie jest jeszcze dojrzała do dyskusji. Dzisiejsze posiedzenie skoncentruje się na dwóch zagadnieniach. Po pierwsze: sprawozdanie delegacji, która z ramienia PKWN była u tow. Stalina. Wizyta ta była powodem opracowania projektu nowej rezolucji, nakreślającej praktyczne kroki naszej pracy".

Dalej mamy relację z odprawy u Stalina złożoną przez Bieruta (Tomasza): „Po zapoznaniu się z sytuacją u nas tow. Stalin przeszedł na omówienie zagadnień wewnętrznych. Wskazywał na to, że szybkie rozwiązanie reformy jest kwestią podstawową, że powolne tempo realizacji grozi nam wielkim niebezpieczeństwem, że przeciwnik znalazł czas, aby się zorganizować i że opór się wzmaga. Tow. Stalin powiedział, że jeśli przed nami stoi zagadnienie usunięcia z widowni całej klasy, załamanie obszarników — a wtedy to już nie jest reforma, a rewolucja agrarna, a tego rodzaju rewolucji nie przeprowadza się w majestacie prawa i cackaniem się przygotowaniami. Rewolucje takie muszą być przeprowadzone metodami rewolucyjnymi. U nas tow. Stalin nie widział tych metod rewolucyjnych i krytykował nas za to. Sprawa ta stała ostrzej na wąskiej konferencji, zwołanej z inicjatywy tow. Stalina, w której brali udział tow. Bierut, Rola, Wanda i Morawski. Na tej drugiej konferencji tow. Stalin interesował się konkretnymi krokami, powziętymi celem realizacji reformy. Na nasze sprawozdanie reagował bardzo niecierpliwie. Podkreślił, że nie doceniamy ważności tej sprawy. Taka rewolucja agrarna może być przeprowadzona tylko drogą rozpętywania ruchu masowego na wsi i oddanie tak ważnej dla przyszłości sprawy w pacht jednemu człowiekowi, jednej partii — było błędem. Druga konferencja skończyła się bardzo ostrą krytyką, która wprawdzie nosiła charakter osobisty, skierowana była mianowicie do mnie, ale — jak się wydawało — biła nie tylko we mnie. Tow. Stalin krytykował naszą miękkość, rozlazłość, że nie umiemy wystąpić dostatecznie śmiało. Kiedy się dowiedział, że żaden obszarnik nie został jeszcze posadzony, wymyślał: „Cóż

wy za komuniści! To nie tylko brak komunizmu, to brak patriotyzmu, właściwego stosunku do potrzeb narodu". Ta krytyka wiązała się z naszym stosunkiem do walki z wrogiem. Zdenerwowanie tow. Stalina wynikało z informacji tow. Bułganina o zwolnieniu grupy ludowców, która wzywała do bojkotu i do walki z nami i urządzała nielegalne zebrania. Taka miękkość, podchodzenie w rękawiczkach do wroga, który nas zwalcza, dyskredytuje nas jako rewolucjonistów. Tow. Stalin zwracał uwagę na konieczność zmiany: *pieriestroitsa ili ustupit.*

BP, omawiając te sprawy, doszło do wniosku, że krytyka była całkiem słuszna, że Partia musi ją uznać i zastosować się do niej, by *pieriestroitsa* i zmienić nasze postępowanie".

Gomułka poparł stanowisko Stalina, orzekł: „Właśnie na tle reformy rozpocząć należy akcję represywną i sądową w odpowiedzi na akcję reakcji". Po nim znowu zabrał głos Bierut i powiedział: „Tow. Stalin ostrzegł nas, że w tej chwili mamy bardzo dogodną sytuację w związku z obecnością Czerwonej Armii na naszych ziemiach. — Wy macie teraz taką siłę, że jeśli powiecie 2 razy 2 jest 16, to wasi przeciwnicy potwierdzą to — powiedział tow. Stalin. — Ale tak nie zawsze będzie, wtedy nas odsuną, wystrzelą jak kuropatwy".

W dyskusji wszyscy gorliwie manifestowali swoją rewolucyjność. Aleksander Zawadzki oznajmił: „Należy aresztować wszystkich obszarników i administratorów pańskich aż do jednego i wywieźć ich rodziny. Osiągnie się przez to uspokojenie wsi". Rola Żymierski rzekł: „Ostra krytyka, z którą wystąpił tow. Stalin, była nie tylko krytyką, ale również ostrzeżeniem (...) Na próby tow. Tomasza tłumaczenia naszych błędów brakiem ludzi — tow. Stalin negował takie uzasadnienie i wskazał: Jeśli partia nie wykorzysta obecnego okresu, jeśli nie weźmie władzy w ręce — to Partia nie będzie istnieć. Jedyna droga jest wziąć odpowiedzialność na siebie. Nie liczyć się z niczym. A dalej: Tow. Stalin powiedział: «Jak tak patrzę na waszą pracę, to — gdyby nie było Armii Czerwonej — to przez tydzień was nie byłoby». On żądał intensywnej pracy, nie w rękawiczkach. «A co, jeśli Czerwona Armia pójdzie więcej na zachód i polskie wojska również? Z kim zostaniecie?»".

Edward Ochab stwierdził: „Czujemy się w cieplarnianych warunkach, czekamy na to, że KC w Moskwie da nam dyrektywy (...) Nas zdemoralizowała sytuacja, że znajdujemy się pod opieką Czerwonej Armii". Ochab dodał: „Zasadniczą sprawą jest twarda ręka w stosunku do reakcji. Wiadomo, że resorty Bezpieczeństwa i Milicji nie są na wysokości zadania, nie mają ręki komunisty". Kasman orzekł: „Partia nasza zachorowała na cho-

robę parlamentaryzmu (...) Kto by pomyślał, że będąc u władzy nie zastosujemy terroru wobec reakcji? (...) należy zerwać z legalnymi formami". Protokolant zapisał też takie jego słowa: „Terror wobec reakcji. Przerażenie ogarnia, że w tej Polsce, w której Partia jest hegemonem, nie spadła nawet 1 głowa. Różni się nasz rząd pod tym względem nawet od rządów francuskiego, włoskiego i in. Terror skupiłby wielu ludzi wokół nas, brak terroru rozzuchwala. Należy przyjrzeć się robocie Bezpieczeństwa, bo są sygnały, że wypuszcza się wrogów. Posadzić kilku zdrajców, nominantów Witosa. (Tomasz: Ja wam dam listę, towarzyszu Radkiewicz)". Ostatni z mówców, Hilary Minc, powiedział m.in.: „PKWN w tej formie nie może dalej istnieć. To jest taka chuderlawa szkapa, którą trzeba ciągnąć za ogon. Tej *Idiotenregierung*, która miała trwać kilka tygodni, nadano prawo obywatelskie".

Wielu krajowych historyków pisało o przełomie październikowym w 1944 r., choć niektórzy — jak W. Góra — w ogóle go negowali. Cytowany protokół z posiedzenia Biura Politycznego PPR nie pozostawia wątpliwości, kto nakazał zmiany i kto je wykonał. Mamy jednak drugi dokument, wskazujący jak pospiesznie przystąpiono do realizacji poleceń Stalina. Jest nim protokół posiedzenia PKWN z 4 października 1944 r. (znajduje się w Archiwum Akt Nowych w Warszawie). Już nazajutrz po powrocie delegacji z Moskwy kierownik Resortu Bezpieczeństwa Publicznego Stanisław Radkiewicz wygłosił obszerny referat, swego rodzaju *exposé* polityki swego resortu, całkowicie zgodny z linią wytyczoną przez Stalina. Radkiewicz orzekł: „Mamy wyraźnie dwie linie podziału, dwa centra polityczne, dookoła których grupuje się działalność wszystkich partyj, wszystkich kierunków politycznych w Polsce: 1/ Komitet Wyzwolenia Narodowego, który nakreślił linię postępowania w swoim Manifeście, 2/ rząd londyński w całym swoim składzie, bez podziału na grupę Mikołajczyka i Sosnkowskiego. Można powiedzieć, że figura Mikołajczyka stała się sztandarową figurą polityczną w Polsce, grupującą wrogie nam siły i obozy polityczne".

Dalej oznajmił: „W naszej ocenie próbowaliśmy poszczególne składowe części AK zdyferencjować. Rozróżnialiśmy NSZ — endecję, najbardziej faszystowską partię, piłsudczyków — sanacyjny trzon, potem BCh. Nasza polityka bezpieczeństwa szła przede wszystkim w kierunku zwalczania NSZ, jako najbardziej reakcyjnej grupy, następnie przeciwko sanacyjnej piłsudczyźnie. W stosunku do BCh uważaliśmy, że polityka nasza musi być bardzo oględna, bowiem BCh przeżywa proces wewnętrznych wahań politycznych. Zamierzaliśmy tę część pociągnąć

za sobą. To stanowisko nasze musi ulec zmianie. W sprawie oceny AK, którą dawaliśmy, to przeciwstawienie wewnętrzne — NSZ, piłsudczycy i BCh, który wchodzi w skład AK — nie potwierdziło się z życiem. W stosunku do BCh dotychczas kierowaliśmy się polityką wygrywania i pozyskiwania. Obecnie jednak kierować się musimy działalnością polityczną tej grupy, która niczym nie różni się od postawy AK. Nie możemy powodować się naszymi chęciami i zamiarami, lecz nastawieniem BCh wobec PKWN. Ponieważ nie ma żadnej różnicy, a przeciwnie w ostatnich czasach mamy bardzo [dużo] dowodów, że akty terrorystyczne pochodzą w swej znacznej części ze środowisk BCh, w związku z tym polityka obronna w stosunku do nich musi ulec zmianie".

Po czym dodał: „Instrukcje [SL]ROCh i AK całkowicie się pokrywają. Oba te ugrupowania mają za zadanie nie tylko walkę, ale i prowokację polityczną, szerzenie zamętu i wygrywanie różnych rozbieżności. Cytowane tu dokumenty potwierdzają tę linię podziału, o której mówiłem, tzn. z jednej strony PKWN, grupujący wszystkie szczerze demokratyczne siły — z drugiej wszyscy przeciwnicy PKWN, przeciwnicy walki z faszyzmem i okupantem".

Radkiewicz poinformował, że w ciągu miesiąca „padło u nas do 30 trupów, w tym znaczna część z ruchu ludowego. Padło ponad 20 milicjantów, 2 wójtów, sołtys, burmistrz".

Rozwijając tezę, że obóz antypekawuenowski jest jednolity i faszystowski, Radkiewicz orzekł: „Fakty te świadczą, że akcja NSZ i BCh nie ogranicza się do indywidualnych aktów terroru, a sięga do siły zbrojnej. Zbytecznie podkreślać, że za wszystkie te akty terroru polityczną odpowiedzialność ponosi całkowicie Mikołajczyk i wszyscy ci, którzy wstąpili na drogę walki z PKWN (...) Praktycznie nie ma różnicy między Sosnkowskim a Mikołajczykiem, bowiem we wszystkich sprawach idą oni razem".

Dalej z jego referatu protokolant zanotował: „Dla sformułowania zadań w walce z przestępcami wysuwa trzy punkty: 1) walka z terrorystami — zarówno w AK jak w BCh są specjalne grupy terrorystyczne, które mają za zadanie wykonywanie wyroków". „Naszym zadaniem — powiedział — jest unieszkodliwienie kierownictwa obcych grup. Aparat nasz, chociaż w niezwykle trudnych warunkach pracy, będzie unieszkodliwiał działalność agentów hitlerowskich i Mikołajczyka".

Dekret o ochronie państwa z 30 października jest jednym z podstawowych dokumentów, odsłaniających genezę wojny domowej w latach 1945-1948. Wprowadzone wtedy sądy wojskowe

dla cywilów, dla „przestępstw" politycznych przetrwały ponad dziesięć lat. Dekret bodaj nigdy nie został anulowany. Dopiero dekret z 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa, szczegółowo rozbudowany (zawierał 72 artykuły), zastąpił dekret październikowy. Nie przewidywał tak drakońskich wyroków za drobne przestępstwa. Ale i ten dekret ustanawiał karę śmierci np. za „sabotaż", za „wytwarzanie wbrew warunkom umówionej dostawy dla wojska przedmiotów zupełnie lub w znacznym stopniu niezdatnych do użytku". Słowem za produkcję bubli kara śmierci. Również kto przechowywał broń palną czy choćby amunicję lub „inne przedmioty mogące sprowadzać niebezpieczeństwo powszechne" mógł zostać skazany na śmierć (*Dziennik Ustaw* z 12 lipca 1946, nr 30, poz. 192).

Oba dekrety dowodzą, że terror stalinowski działał od pierwszych tygodni ustanowienia reżimu totalitarnego w Polsce w 1944 r.

DEKRET POLSKIEGO KOMITETU WYZWOLENIA NARODOWEGO Z DNIA 30 PAŹDZIERNIKA 1944 r. O OCHRONIE PAŃSTWA

Na podstawie ustawy Krajowej Rady Narodowej z dnia 15 sierpnia 1944 r. o tymczasowym trybie wydawania dekretów z mocą ustawy (*Dz. U.R.P.* Nr 1, poz. 3) — Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego postanawia, a Prezydium Krajowej Rady Narodowej zatwierdza, co następuje:

Art. 1. Kto zakłada związek, mający na celu obalenie demokratycznego ustroju Państwa Polskiego, albo kto w takim związku bierze udział, kieruje nim, dostarcza mu broni lub udziela mu innej pomocy, podlega karze więzienia lub karze śmierci.

Art. 2. Kto udaremnia lub utrudnia wprowadzenie w życie reformy rolnej, albo nawołuje do czynów, skierowanych przeciw jej wykonywaniu lub publicznie pochwala takie czyny, podlega karze więzienia lub karze śmierci.

Art. 3. Kto dopuszcza się gwałtownego zamachu na:

a) organ państwowy lub samorządowy albo na osobę, współdziałającą z takim organem,
b) jednostkę Polskich Sił Zbrojnych lub Sprzymierzonych albo osobę, należącą do nich,

c) zakłady, urządzenia lub komunikację powszechnego lub wojskowego użytku,

podlega karze więzienia lub karze śmierci.

Art. 4. (1) Kto w czasie wojny:

a) bez prawnego zezwolenia władzy wyrabia, przechowuje, nabywa lub zbywa broń, amunicję, materiał lub przyrząd wybuchowy albo inny przedmiot, mogący sprowadzić niebezpieczeństwo powszechne,

b) sprowadza niebezpieczeństwo katastrofy w komunikacji albo inne niebezpieczeństwo powszechne,

c) czyni przygotowania lub wchodzi w porozumienie z innymi osobami w celu spełnienia przestępstwa określonego w ustępie b),

d) wiedząc o niebezpieczeństwie, przewidzianym w ustępie b) przeszkadza działaniu mającemu na celu zapobieżenie mu,

podlega karze więzienia lub karze śmierci.

(2) Do przestępstw przewidzianych w (1) punkt d) stosuje się odpowiednio przepisy art. 219 § 2 i 220 kodeksu karnego z dnia 11 VII 1932 r. (*Dz. U.R.P.* nr 60, poz. 571).

Art. 5. Kto w czasie wojny dopuszcza się aktów sabotażu przez:

a) uszkadzanie lub niszczenie przedmiotów lub urządzeń, służących do użytku powszechnego lub obrony Państwa Polskiego albo Sprzymierzonego,

b) uniemożliwianie lub utrudnianie prawidłowego działania urzędów państwowych lub samorządowych, zakładów wytwórczych lub instytucji użyteczności publicznej,

c) wytwarzanie zupełnie lub w znacznym stopniu niezdatnych przedmiotów powszechnego lub wojskowego użytku,

podlega karze więzienia lub karze śmierci.

Art. 6. Kto w czasie wojny bez prawnego zezwolenia władzy wyrabia, przechowuje, nabywa lub zbywa aparat radiowy, nadawczy lub odbiorczy, podlega karze więzienia lub karze śmierci.

Art. 7. Kto przemocą lub groźbą wywiera wpływ na czynności rad narodowych, Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, sądów lub urzędów państwowych albo samorządowych, albo tym czynnościom przeszkadza, podlega karze więzienia lub karze śmierci.

Art. 8. Kto w czasie wojny zakłada związek mający na celu przestępstwo albo związek, którego istnienie, ustrój lub cel ma

pozostać tajemnicą wobec władzy państwowej albo kto w takim związku bierze udział, kieruje nim lub udziela mu pomocy, podlega karze więzienia lub karze śmierci.

Art. 9. Kto w czasie wojny zabiera innej osobie cudze mienie nieruchome w celu przywłaszczenia, używając przemocy albo grożąc użyciem natychmiastowego gwałtu na osobie albo doprowadzając człowieka do stanu nieprzytomności lub bezbronności, podlega karze więzienia lub karze śmierci.

Art. 10. Kto w czasie wojny uchyla się od obowiązku świadczenia osobistego lub rzeczowego, albo spełnienie tego obowiązku udaremnia lub utrudnia, podlega karze więzienia lub karze śmierci.

Art. 11. Kto mając wiarygodne wiadomości o przestępstwach określonych w art. 1-10 niniejszego dekretu, lub o przygotowaniach do ich popełnienia zaniecha donieść o tym w porę władzy, podlega karze więzienia lub karze śmierci.

Art. 12. W razie skazania za przestępstwa przewidziane w art. 1-11 niniejszego dekretu orzeka się ponadto utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych.

Art. 13. Sąd orzeka przepadek całego mienia w razie skazania na karę śmierci. W innych przypadkach sąd może orzec przepadek całego lub części mienia.

Art. 14. W czasie wojny stosuje się przepisy art. 85-99 i art. 101-103 (zbrodnie stanu) kodeksu karnego Wojska Polskiego także do osób, które ulegają odpowiedzialności karnej w myśl przepisów powszechnego kodeksu karnego.

Art. 15. O ile przepisy niniejszego dekretu inaczej nie stanowią, stosuje się do przestępstw, przewidzianych w niniejszym dekrecie, przepisy części ogólnej kodeksu karnego Wojska Polskiego.

Art. 16. (1) Do rozpoznania spraw o przestępstwa, objęte niniejszym dekretem oraz wymienione w art. 85-99 i art. 101-103 (zbrodnie stanu) kodeksu karnego Wojska Polskiego właściwe są sądy wojskowe.

(2) Prowadzenie dochodzenia w sprawach wymienionych w p. (1) należy do organów bezpieczeństwa publicznego, o ile nie zostało lub nie zostanie wszczęte postępowanie przez prokuratora wojskowego.

(3) Po ukończeniu dochodzenia organa bezpieczeństwa publicznego przekazują akta sprawy właściwemu prokuratorowi wojskowemu.

Art. 17. Wykonanie niniejszego dekretu porucza się Kierownikom Resortów: Obrony Narodowej i Bezpieczeństwa Publicznego.

Art. 18. Dekret niniejszy wchodzi w życie z dniem ogłoszenie z mocą obowiązującą od dnia 15 sierpnia 1944 r.

Przewodniczący Krajowej Rady Narodowej:
Bolesław BIERUT
Przewodniczący Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego: *Edward OSÓBKA-MORAWSKI*
Kierownik Resortu Obrony Narodowej:
Michał ROLA-ŻYMIERSKI generał broni
Kierownik Resortu Bezpieczeństwa Publicznego:
Stanisław RADKIEWICZ

OBÓZ KONCENTRACYJNY W ŁAMBINOWICACH 1945-1946

Sprawozdanie grupy czterech instruktorów Komitetu Centralnego PPR z 22 lutego 1946 r. ukazuje stosunki panujące w pow. Niemodlin, w ówczesnym województwie śląsko-dąbrowskim, w 1945 i na początku 1946 r. Dokument publikujemy w całości, bez zmian. Poprawiliśmy błędy ortograficzne i w niektórych wypadkach interpunkcję. Posiadamy go w postaci fotokopii. W jego nagłówku dokonano odręcznej adnotacji: tow. Zambrowski (wtedy członek Biura Politycznego i Sekretariatu KC PPR, faktycznie tym Sekretariatem kierował). Do sprawozdania dołączono dwa załączniki, których nie posiadamy.

Powiat Niemodlin należał do ziem odzyskanych i administracyjnie podlegał Ministerstwu Ziem Odzyskanych, czyli Władysławowi Gomułce.

Red.

Katowice 22 lutego 1946 r.

SPRAWOZDANIE Z WYJAZDU DO NIEMODLINA W DNIACH OD 14 DO 18 LUTEGO 1946 R.

Wyjechaliśmy do Niemodlina w składzie tow. tow.: Bielski, Tkocz, za zastępcę kierownika WUB kpt. Kowalski, zastępca komendanta woj. MO kpt. Gutman.

Stwierdziliśmy co następuje:

1. Charakterystyka powiatu.

W powiecie mieszka 32.477 mieszkańców, z tego 13.490 osób to repatrianci i przesiedleńcy. Z pozostałych 18.987 — 4.676 złożyło wnioski o weryfikację.

Stosunki w powiecie są bardzo zachwaszczone. Wszystkie stanowiska w administracji państwowej są przeważnie zajmowane przez mieszkańców Zagłębia, którzy traktowali, a częściowo traktują jeszcze dotychczas tubylczą ludność polską jako Niemców.

Wynikiem tego jest złe i okrutne odnoszenie się władz do miejscowej ludności polskiej, którą wyzuto z wszelkich praw i bezkarnie grabiono. Bardzo częste są wypadki, że na gospodarstwach zweryfikowanych Polaków mieszkają repatrianci, którzy pozbawili tubylców wszelkich praw i w bezlitosny sposób zmuszają ich do pracy jako swoich parobków.

W południowej części powiatu, w gminie Fryland, nie ma ani jednego gospodarstwa, gdzie by nie było dwóch gospodarzy — tubylca i repatrianta. Dochodziło do tego, że w celach grabieży, w celach opanowania i osiedlenia się w niezniszczonych i nierozgrabionych jeszcze wsiach wysiedlono polskie wioski — Ligota Kuźnicka i Ligota Tułowiecka, mieszkańców których osadzono w obozie w Łambinowicach.

W całym powiecie panuje straszne bezprawie. Ludzie stracili już poczucie krzywdy i sprawiedliwości. Żadna zbrodnia nie jest w stanie wywołać zdziwienia. Milicja, a częściowo i Bezpieczeństwo gwałcą i grabią ludność. Dochodzi do tego, że ludzie uciekają w popłochu widząc milicjanta.

2. Sprawa osadzenia Polaków w obozie w Łambinowicach.

Obóz ten istnieje bez żadnej podstawy prawnej i nie jest utrzymywany ani uznawany przez żadną władzę zwierzchnią. Straż obozowa w liczbie 60-ciu kilku ludzi nie otrzymała jeszcze do dnia

dzisiejszego żadnego wynagrodzenia za pracę. Strażnicy żyją z rabunków, których dokonywują na więźniach oraz na ludności miejscowej, którzy są pod strachem. Pijatyki i gwałty są w obozie na porządku dziennym. Obecnie znajduje się tam około 1.200 więźniów.

We wrześniu ub. r. wicestarosta Nowak podpisał nakaz wysiedlenia polskiej wsi Ligota Kuźnicka i osadzenia jej mieszkańców w obozie w Łambinowicach. Według jego tłumaczenia miało to nakłonić pozostałe polskie wsie powiatu do szybkiego zgłaszania się do weryfikacji.

Kierownikiem obozu był w owym czasie niejaki Czesław Gemborski, który nieludzko znęcał się nad więźniami. On też jest winowajcą zamordowania 46 Polaków w obozie w październiku ub. r. oraz własnoręcznie zastrzelił znanego w powiecie działacza Związku Polaków w Niemczech.

Ludność powiatu jest przekonana, iż kierownictwo obozu dopuściło się morderstwa z nienawiści do ludności tubylczej, którą uważali za Niemców oraz z chęci grabieży. Wersja o tych wypadkach podawana przez tamtejsze władze głosi, że Niemcy znajdujący się w baraku podpalili go, nie pozwalali gasić pożaru i rzucili się do ucieczki. Wówczas komendant obozu Gemborski wydał rozkaz strzelania w tłum, wynikiem czego zabitych zostało 44 ludzi (spis których załączam).

Sekretarz Komitetu Powiatowego (PPR) Konus i Marek oraz były komendant Milicji uważają jednak, iż była to prowokacja ze strony Gemborskiego. Że Gemborski jest odpowiedzialny za ową zbrodnię jest też przekonana ludność powiatu.

Aresztowany przez UBP (Urząd Bezpieczeństwa Publicznego — red.) Gemborski siedział krótki czas w więzieniu, jednak dzięki znajomościom oraz pokrewieństwu z zastępcą komendanta pow. MO podpor. Sułczyńskim udało mu się w krótkim czasie uzyskać doskonałe warunki w UBP tak, że będąc formalnie więźniem, faktycznie stał się urzędnikiem UBP i przesłuchiwał oskarżonych oraz oprowadzał komisję radziecką, która przebywała w obozie w Łambinowicach. Dzięki staraniom swego szwagra podpor. Sułczyńskiego oraz kierownika UBP podpor. Filipka oraz innych udało się wprowadzić w błąd wojewodę gen. Zawadzkiego, który polecił zwolnić Gemborskiego i odesłać go do swojej dyspozycji do Katowic, co też zrobiono. Na krok ten dał również swą zgodę wprowadzony w błąd przez tych samych minister Świątkowski (minister sprawiedliwości — red.).

Charakterystyczne jest, że wszystkie władze tamtejsze odnoszą się pobłażliwie do tych morderstw, tłumacząc to zaciekłością Gemborskiego i innych strażników obozowych wobec Niemców.

Należy dodać, iż zostało absolutnie stwierdzonym, że straż obozowa oraz Gemborski dokonywali i dokonują często rabunków przebierając się w mundury żołnierzy radzieckich, lub Wehrwolfu (podziemna organizacja hitlerowska — red.).

3. Milicja i Bezpieczeństwo.

Kierownicy MO i UB odnoszą się z największym pobłażaniem do rabunków i gwałtów. Tolerują je oni tak dalece, że nawet w wypadkach, kiedy dochodzą do nich skargi, nie czynią oni prawie nic, by ukarać winnych. Doprowadziło to do tego, że nastawienie ludności do MO i UB jest nieprzychylne. Zwłaszcza kobiety uciekają na widok milicjanta. Po zwolnieniu 26 milicjantów (wszyscy członkowie PPR) stan moralny milicji nie uległ żadnej poprawie. We wsi Grasz milicjanci dwukrotnie zarzynali woły zagrabione u miejscowych Polaków i sprzedawali mięso. Rabunki podczas rewizji oraz gwałty w ostatnich czasach miały miejsce w gminach: Dąbrowa, Fryland, Grabina. Komendant posterunku w Grabinie — Kopczyński — został za to aresztowany i oddany do dyspozycji prokuratora w Opolu. W czasie naszego pobytu kpt. Gutman aresztował za gwałcenie w Dąbrowie 3 milicjantów.

Według opinii ogólnej wydział śledczy milicji pracuje niedobrze. Komendant pow. MO podpor. Bukalski został w czasie naszej obecności odwołany z zajmowanego stanowiska. Jego zastępca podpor. Sułczyński cieszy się złą opinią. Swego czasu naszył on sobie bezprawnie drugą gwiazdkę, za co otrzymał naganę od pułk. Krstki.

Między Milicją a UB istnieje stosunek niechęci wzajemnej i częste są wypadki bójek między ich funkcjonariuszami.

Komendant UBP Filipek, który jest w powiecie od początku, nie wykazuje poważniejszego zainteresowania dla tępienia nadużyć. Na odwrót, można powiedzieć, że łączyły go i łączą z różnymi szabrownikami wcale dobre stosunki. Na przykład były zastępca kierownika UB, niejaki Książek, po zwolnieniu się z UB wystarał się o browar i objął kierownictwo browaru. Szalenie się wzbogacił (dochód oficjalny z browaru wynosi już około 1 mln zł). Robi różnego rodzaju interesy i kombinacje. Według powszechnej opinii jest on największym szabrownikiem w powiecie. Jednak tak kierownik UB Filipek jak i starosta Bielecki są z nim w bardzo dobrych stosunkach. Zastępca kierownika UB, podpor. Chmielnicki, jest obywatelem sowieckim. W roku 1940 ukończył uniwersytet w Kijowie, był wykładowcą jęz. rosyjskiego na uniwersytecie we Lwowie. Powołuje się na znajomość z Romanem Werflem oraz Bristigierową, twierdzi, że Wanda Wasilewska załatwia dla niego zmianę obywatelstwa. Tym niemniej obecność takiego człowieka w Niemodlinie musi się wydać podejrzaną.

Kilkakrotnie miały miejsce rabunki przy rewizjach ze strony funkcjonariuszy UB, jednak trudno zebrać fakty, gdyż ludność boi się je podawać.

4. Życie społeczne w powiecie

PPR liczy na terenie powiatu około 400 członków, w 90% pracowników MO i UB oraz administracji. Z tubylców przyjęto dotychczas do partii tylko 2. Pierwszy i drugi sekretarz pow., Konus i Marek, uczciwi i oddani sprawie towarzysze, są jednak stanowczo za słabi i nie dają sobie rady. Obaj są Ślązakami, tak że dzieli ich niechęć z pracownikami administracji, którzy są przeważnie Zagłębiakami. Partia ma słabe powiązanie z masami i nie oddziałowywuje należycie na masy.

PPS liczy 150 członków. Pracuje bardzo słabo. Współpraca z PPR „dobra", to znaczy, że PPS-owcy robią, co PPR im każe.

Stronnictwo Ludowe zaczynało się dopiero tworzyć w czasie naszej obecności.

PSL-u nie ma jeszcze, jednak są już próby sprowadzania *Gazety Ludowej*. Na początku lutego br. był tam niejaki Teodor Czajewski, wizytator z kuratorium szkolnego w Katowicach, który próbował organizować PSL nie wiadomo jak i z jakimi rezultatami.

Samopomoc Chłopska liczy 1.500 członków. Kierownik jej, tow. Bdzieński, pracuje dobrze i zdobył sobie szacunek i zaufanie.

Nastroje wśród osadników i repatriantów są niedobre, a bardzo często wrogie wobec obozu demokracji. Na przeprowadzonym przez nas zebraniu aktywu partyjnego towarzysze skarżyli się, że repatrianci śmieją się z nich.

Samowola, gwałty i bezprawie doprowadziły do tego, że ludność zobojętniała na wszystko i łaknie tylko praworządności i walki z nadużyciami. Pod tymi hasłami odbył się też w niedzielę dnia 18 bm. wiec w Niemodlinie, który się bardzo dobrze udał i który wobec zapewnień naszych, że odtąd będziemy walczyć z krzywdami i nadużyciami pozyskał nam zaufanie, którego nie wolno utracić.

5. Administracja

Starosta powiatu Bielecki (PPR) dobry, cechuje go jednak wybitna tolerancja do różnego rodzaju kombinatorów. Nie współpracuje należycie z partią. Wicestarosta Nowak (PPR) uczciwy człowiek, jest odpowiedzialny za osadzenie w obozie w Łambinowicach polskiej wioski Ligota Kuźnicka. Pracuje słabo. Inspektor samorządowy Więcek walczy z nadużyciami, uczciwy, bardzo ambitny. Wiadomości jego co do nadużyć są często grubo przesadzone. Kierownik PUR-u (Powiatowy Urząd Repatriacyjny — red.) kpt. Jastrzębski, reakcjonista, on też był promotorem wsiedlania repatriantów do mieszkań miejscowych Polaków. Komisarz ziemski reakcjonista, nie chce współpracować z Samopomocą Chłopską, osadził szereg byłych obszarników jako administratorów na mająt-

kach państwowych. Za jego też zezwoleniem w majątkach państwowych płacą tubylcom za całomiesięczną pracę tylko 10 kg żyta.

W powiecie tym było popełnionych niezwykle dużo nadużyć i gwałtów, jednak dowody jest trudno zebrać, gdyż ludzie boją się coś mówić, zaś przedstawiciele władz kryją jeden drugiego. Można tylko stwierdzić, że były starosta powiatu Wędzicha, który podobno pracuje obecnie w poselstwie RP w Sztokholmie, oraz były wicestarosta Bilski, który jest jakimś dyrektorem w Jeleniej Górze, powinien stanąć przed sądem za nadużycia.

6. Stan gospodarczy powiatu

Zniszczenia wojenne w powiecie oraz bezustanne rabunki początkowo przez kwaterujące wojska, później przez różnych szabrowników, doprowadziły ludność do strasznej nędzy. Na 3.800 gospodarstw jest w całym powiecie zaledwie 2.200 krów. Są całe wsie zamieszkałe przez ludność tubylczą, gdzie nie ma dosłownie ani jednej krowy. Ludzie chodzą obdarci, bosi i głodni. Istnieje konieczność natychmiastowego przyjścia z pomocą w pierwszym rzędzie tubylczej ludności.

Piaszczysta ziemia powiatu wymaga dużej ilości nawozów sztucznych. Brak pieniędzy w powiecie uniemożliwia chłopom zakup nawozów. Żalą się oni, że oddają kontyngent po cenach sztywnych, a za nawozy muszą płacić ceny paskarskie (240 zł za kg). Mimo, że powiat zdał już w 80-ciu kilku procentach kontyngent, nie otrzymał jeszcze żadnych towarów premiowych. Kierownik „Społem" Pawlak odmawia współdziałania w akcji siewnej, nie chce nawet pożyczać wag, odważników i worków niezbędnych do przewozu zboża siewnego. Posiada z centrali w Katowicach dowody zakupu na kilkadziesiąt tysięcy worków i innych artykułów, o których powszechnie wiadomo, że zostały wyszabrowane na miejscu. Kartofle, za które płaci chłopom po 9 zł za metr, sprzedaje po zmarznięciu do browaru po zł 130, co wywołuje oburzenie.

Bieda w powiecie utrudnia agitację i werbowanie nowych członków do partii. Charakterystycznym jest, że do Wehrwolfu należą przeważnie synowie już zweryfikowanych Polaków, którzy idą na lep reakcyjnej agitacji, że nawet jak będą zweryfikowani, to zostaną przesiedleni na wschód.

7. Wnioski

Aby naprawić krzywdy wyrządzone ludności, aby poprawić sytuację polityczną i gospodarczą w powiecie konieczne jest:

a) Usunięcie wszystkich skompromitowanych pracowników, którzy są współodpowiedzialni za popełnione gwałty i nadużycia, jak wicestarosty Nowaka, którego należy ukarać za osadzenie w obozie

mieszkańców polskich wsi, kierownika UB Filipka, jego zastępcy Chmielnickiego, zastępcy komendanta MO podpor. Sułczyńskiego, burmistrza miasta Niemodlina Pająka, komisarza ziemskiego, a także po pewnym czasie należy zmienić starostę Bieleckiego.

b) Wzmocnić aparat partyjny, posyłając tam kilku dobrych towarzyszy, wśród nich pierwszego i drugiego sekretarza Woj. Komitetu, pozostawiając jednak dotychczasowego pierwszego i drugiego sekretarza tow. tow. Komusa i Marka jako uczciwych ludzi, znających teren na miejscu.

c) Należy radykalnie zmienić politykę wobec tubylczej ludności polskiej przez wysunięcie działacza tamtejszego bezpartyjnego Czecha ze wsi Niewodniki na pierwszego wicestarostę oraz przez śmiałe wzięcie do pracy w administracji państwowej, milicji i UB szeregu tubylców, by ludność miała dowody, że demokratyczna Polska to ich władza.

d) Zlikwidować obóz w Łambinowicach i wywieźć znajdujących się tam Niemców do innych miejscowości.

Ukaranie wszystkich winnych nadużyć i gwałtów nad miejscową ludnością.

e) Przyjście z pomocą ludności przez kredyty pieniężne na zakup materiału siewnego i nawozów sztucznych, przydzielenie pewnej ilości bydła, pomoc Opieki Społecznej w postaci odzieży i obuwia.

Rozdanie premii za dostarczone świadczenia rzeczowe i przywiezienie towarów przemysłowych.

f) Przeprowadzenie kampanii politycznej pod hasłem walki o praworządność przeciwko nadużyciom.

Bielski
Tkocz
Kowalski
Gutman

2 załączniki.

CI, CO ODESZLI

Piotr WANDYCZ

IN MEMORIAM

Nagła przedwczesna śmierć Emanuela Mateusza Rostworowskiego — przedwczesna, bo miał 66 lat i pomimo stosunkowo niedawnej ciężkiej operacji był w pełni sił umysłowych — jest ciosem dla polskiej nauki. Historyk o ogromnej erudycji i szerokich horyzontach, wielce utalentowany pisarz, intelektualista, który swój bagaż kultury i *Kinderstube* wyniósł z domu, Rostworowski był niewątpliwie postacią wybitną. Słusznie uważany za jednego z najlepszych, jeśli nie najlepszego w Polsce znawcę XVIII wieku, wniósł szczególnie wiele do badań nad epoką stanisławowską. Wśród swych prac miał zresztą nie tylko książki z dziejów Polski, ale i opasły tom: *Historia Powszechna wiek XVIII* (Warszawa, PWN, 1977).

Zainteresowania Mateusza Rostworowskiego nie kończyły się jednak na 1790-tych latach. W swej pięknie napisanej książce *Popioły i korzenie: szkice historyczne i rodzinne*, wydanej cztery lata temu przez „Znak", porusza się on swobodnie wśród różnych epok. Zwłaszcza część pt. „Powstańcy w albumie rodzinnym" to historia XIX wieku widziana przez pryzmat rodzin czterech pradziadków autora: Rostworowskich, Moszyńskich, Popielów i Borkowskich. Ileż tu trafnych sformułowań i interesujących spostrzeżeń. A wszystko razem wyprute ze snobizmu, który łatwo mógł wystąpić na plan pierwszy.

Uniwersalność zainteresowań i wiadomości Rostworowskiego łączyła się oczywiście z faktem sprawowania przez wiele lat dyrek-

tury Polskiego Słownika Biograficznego. Jako kontynuator i następca Władysława Konopczyńskiego położył on wielkie zasługi, doprowadzając wydawnictwo do litery R (przynajmniej ten tom jest na półkach bibliotecznych w Yale) a zapewne przygotowując materiały do dalszych woluminów. Los nie pozwolił mu doprowadzić tego dzieła do końca. Nie pozwolił mu też zakończyć życia w swojej Rybnej, do której tak był przywiązany. Zapewne jest pochowany na cmentarzu na Salwatorze, o którym pisał stosunkowo niedawno, wspominając pogrzeb swego ojca Karola Huberta.

Z Mateuszem widziałem się przed kilkoma miesiącami w Krakowie na tzw. konferencji tynieckiej i nic nie wskazywało na to, że będzie to nasze ostatnie spotkanie. Wybierałem się do niego z listem, aby prosić o uwagi na temat moich obecnych prac, które zaczepiają o wiek XVIII. List ten już nigdy nie będzie wysłany. Niech tych parę myśli zza oceanu będzie potraktowane przez Rodzinę Zmarłego jako kondolencje, a równocześnie jako hołd ze strony kolegi-historyka dla znakomitego przedstawiciela naszego cechu. Nie wątpię, iż ci historycy polscy na obczyźnie, którym dane było poznać i zbliżyć się do Mateusza Rostworowskiego — profesora historii, członka rzeczywistego PAN, uczonego, pisarza i prawego Polaka — dzielą mój smutek z powodu Jego odejścia.

Piotr WANDYCZ

RECENZJE

Piotr WANDYCZ

NOWE KSIĄŻKI

W większym może stopniu niż poprzednio uwagi poniższe będą przeglądem, a nie *sensu stricto* recenzją wymienianych tu pozycji. Tytułów wydaje się być coraz więcej, czasu coraz mniej, zresztą najpopularniejsze książki znajdują zawsze recenzentów. Tutaj chodzi bardziej o te, które są zbyt często pomijane milczeniem. Zacznijmy od wydawnictw źródeł. Na szczególną uwagę zasługują *Dokumenty do dziejów polskiej polityki zagranicznej 1918-1939*, tom I *1918-1932* (Pax, Warszawa 1989) pod redakcją Tadeusza Jędruszczaka i Marii Nowak-Kiełbikowej. Przedmowę napisał Jędruszczak. Na wybór składa się sto siedem dokumentów poczynając od telegramu Piłsudskiego do rządów Ententy z 16 XI 1918, a kończąc na umowie koncyliacyjnej polsko-sowieckiej z 23 XI 1932, oraz siedemnaście dokumentów w aneksach. Redaktorom tomu chodziło o pokazanie najważniejszych postanowień międzynarodowych dotyczących Polski i o podkreślenie głównych linii naszej polityki zagranicznej: stąd instrukcje, *exposé* w sejmie, wytyczne przyjmowane na Radzie Ministrów, memoranda. Całość niezwykle użyteczna, wybór sensowny (oczywiście zawsze można dyskutować szczegóły) a zbiór podany jasno i przejrzyście. Należy oczekiwać z niecierpliwością następnego tomu, z tym, że sytuacja polityczna oczywiście ułatwi to zadanie. Jak będzie z papierem, nie wiem. Drugie wydawnictwo dokumentarne to *Dyplomata w Paryżu 1936-1939: wspomnienia i dokumenty Juliusza Łukasiewicza, ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej* (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1989). Wydanie rozszerzone opraco-

wali Wacław Jędrzejewicz i Henryk Bułhak. Jak wiadomo, w 1970 r. ukazała się angielska wersja tej książki, opracowana przez Wacława Jędrzejewicza i wydana przez Columbia University Press. Jakkolwiek trzeba było czekać prawie dwadzieścia lat na wydanie wersji oryginalnej, rezultat jest wart oczekiwania. Obecny tom nie tylko zawiera dokumenty, na które zabrakło miejsca uprzednio, ale i całkiem nowe materiały, które Henryk Bułhak znalazł w Warszawie. Wreszcie historycy polscy będą mogli cytować oryginał, a nie tłumaczenie. To duże osiągnięcie i cenna pozycja naukowa.

Mniejsze może znaczenie ma *Pamiętnik paryski 1918-1919 Eugeniusza Romera* (Ossolineum, 1989) przygotowany do druku przez Andrzeja Garlickiego i Ryszarda Świętka. Tematyka jest węższa, choć uwagi Romera są fascynujące dla badacza tego okresu, zresztą nie zawsze należy je brać *à la lettre*. Przypisy są bardzo rozpracowane i przez to użyteczne; zwłaszcza dane biograficzne zebrane z niezwykłą starannością. Zapewne jest to wkład Świętka, któremu należą się słowa uznania. „Dokumentem" *sui generis* są rozmowy gen. Jadwigi Sosnkowskiej z W.T. Kowalskim pt. *W kręgu mitów i rzeczywistości* (Interpress b.d.). Bardziej adekwatny byłby tytuł „W kręgu plotek i przeinaczeń", bo rzeczywiście trudno o coś bardziej bałamutnego, żenującego i mylącego. Miejmy nadzieję, z punktu widzenia rodziny Sosnkowskich, że ta książka zapadnie się jak najprędzej w nicość. Może życzy sobie tego również W.T. Kowalski, który przygotował ją do druku. W tych warunkach chciałbym móc coś powiedzieć na temat jego tomu *Polska w polityce międzynarodowej (1939-1945) zbiór dokumentów 1939* (PIW 1989), ale niestety nie miałem czasu jeszcze z nim się zaznajomić. Uwagi odkładam więc co następnego przeglądu. Podobnie ma się rzecz, choć z innych względów, z ukazującymi się dokumentami i relacjami dotyczącymi chwili bieżącej lub też okresu ostatnich kilku lat. Dokumentacji tej należałoby poświęcić osobne omówienie. Tutaj przykładowo wymieniam jeden tom: *Od trzynastego do trzynastego: grudzień 1981* (Polonia, pierwsze polskie wydanie 1983) opracowane przez Piotra Spiskiego.

Trudny do zaszeregowania jest tom obejmujący teksty źródłowe, analizy i kalendarz wydany przez Instytut Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji oraz Instytut Nauk Politycznych pt. *Postulaty: materiały do dziejów wystąpień pracowniczych w latach 1970/71 i 1980 (Gdańsk, Szczecin)* pod redakcją Beaty Chmiel i Elżbiety Kaczyńskiej (Warszawa 1988). Jest to mała poligrafia, ale czytelna i przejrzyście drukowana. Polski powojennej, choć dużo wcześniejszego okresu, dotyczy solidnie opracowana i interesująco napisana praca pt. *Wydarzenia 3 maja 1946* (Libella, Paryż 1989). Autorem jest Wojciech Mazowiecki. Stanowczo warto przeczytać.

Na przestrzeni ubiegłego roku ukazały się trzy cenne biografie czołowych polityków II Rzeczypospolitej, a mianowicie: Walentyna

Najdus, *Ignacy Daszyński 1866-1936* (Czytelnik, 1988); Jerzy Marek Nowakowski, *Walery Sławek: zarys biografii politycznej* (Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1988) i Roman Wapiński, *Roman Dmowski* (Wydawnictwo Lubelskie, 1988). Prace te wypełniają poważne luki i przyczyniają się do lepszego poznania wielkich postaci epoki międzywojennej. Skoro mowa o II Rzeczypospolitej, chciałbym zasygnalizować dwie książki, zresztą bardzo różne; zespołową pracę pt. *Problemy gospodarcze Drugiej Rzeczypospolitej* (Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, 1989) oraz *Studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom Kutrzeby i Mossora* (Pax, 1987) opracowane przez Marka Jabłonowskiego i Piotra Staweckiego. Ta druga pozycja stanowi oczywiście dokument historyczny, po raz pierwszy opublikowany w pełnym brzmieniu. Jest to dokument ważny nie tylko dla historyków wojskowości. Wreszcie książka tematycznie zbliżona, a więc również z historii wojskowości, Mieczysława Wrzoska *Wojsko polskie i operacje wojenne lat 1918-1921* (Dział Wydawnictw Filii UW, Białystok, 1988). Jest to rozprawa habilitacyjna wnosząca dużo cennego materiału i choć krytycy wytknęli tu i ówdzie drobne usterki, jest to w jakimś sensie praca pionierska.

Ostatnia pozycja z najnowszej historii Polski, którą pragnąłbym tutaj zasygnalizować, a którą chciałbym szczegółowo omówić w przyszłości, po dokładnej lekturze, to dzieło Andrzeja Friszke *O kształt niepodległej* (Biblioteka Więzi, Warszawa, 1989). Jest to rzecz o polskiej myśli politycznej w szerokim kontekście poczynając od kierunków Piłsudskiego i Dmowskiego, a kończąc na niektórych aspektach ideologii lat II wojny światowej.

Historia europejska wzbogaciła się ostatnio o ważną syntezę Henryka Batowskiego, *Między dwiema wojnami 1919-1939: zarys historii dyplomatycznej* (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1988). Autor, wielki znawca tej tematyki, której różnym aspektom poświęcił wiele książek, jak zwykle imponuje czytelnikowi erudycją i swobodą poruszania się w wielojęzycznej literaturze przedmiotu i archiwach większości państw Europy. Do jego dorobku należałoby kiedyś powrócić na tych łamach.

Z wydawnictw obcojęzycznych, które mogą zainteresować czytelnika polskiego, choć nie są poświęcone polskiej tematyce, wymieniłbym następujące pozycje. *L'Or et le sang: les buts de guerre économiques de la Première Guerre mondiale* (Paryż, 1989) pióra Georges-Henri Soutou; Detlof Brandes, *Grossbritanien und seine osteuropäischen Allierten 1939-1943* (Monachium, Oldenburg, 1988); *magnum opus* Donalda C. Watta, *How War Came* (New York, 1989) i Josepha Rothschilda *Return to Diversity: A Political History of East Central Europe Since World War II* (Oxford Univ. Press, New York, 1989). Jak można się zorientować z tytułów, są to bardzo różne książki. Soutou zagłębia się we wciąż zbyt mało rozpra-

cowaną tematykę gospodarczą pierwszej wojny światowej; niektóre rozdziały dotyczą tematyki polskiej. Brandes koncentruje się na sprawie projektowanej konfederacji polsko-czechosłowackiej podczas drugiej wojny i stosunkach Wielkiej Brytanii z jej wschodnimi sojusznikami. Ogromny tom Watta dotyka oczywiście wielokrotnie spraw polskich — jego stosunek do Becka, jak to zwykle bywa, jest niechętny. Rothschild wreszcie daje zarys ewolucji w Europie środkowo-wschodniej w ostatnich latach (powrót do pluralizmu). Czy książka ta jest już zdezaktualizowana przez szybki rozwój sytuacji? Czytelnicy muszą to sami osądzić.

Na zakończenie krótka wzmianka o książce dotyczącej emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii. Projekt badań nad tą tematyką istniał już od dość dawna, wspierany finansowo przez Fundację Grabowskiego. Obecnie mamy wynik badań w formie okazałego tomu zaopatrzonego w mapy, wykresy i ilustracje pióra trzech autorów — Keith Sworda, Normana Daviesa i Jana Ciechanowskiego. Pierwszy z nich opracował najdłuższą, socjologiczną część książki i był koordynatorem całości. Tytuł: *The Foundation of the Polish Community in Great Britain 1939-1950* (School of Slavonic and East European Studies, Londyn, 1989).

W tym przeglądzie nie wymieniam zazwyczaj tytułów książek, które nie dotyczą najnowszych dziejów, ale tym razem nie mogę się powstrzymać od zwrócenia uwagi na dwie, które historyk nowożytnik powinien przeczytać. Jedna z nich to świetny esej Andrzeja Walickiego *The Enlightenment and the Birth of Modern Nationalism: Polish Political Thought from Noble Republicanism to Tadeusz Kościuszko* (Notre Dame, 1989); drugie to Tadeusza Chrzanowskiego *Wędrówki po Sarmacji europejskiej* (Znak, 1988). Skoro już mowa o wydawnictwach Znaku, warto przypomnieć, że niedawno wyszedł w polskim tłumaczeniu pierwszy tom Normana Daviesa *Boże igrzysko*. Tytuł, jak pamiętamy, wzbudził niegdyś wątpliwości i wywołał dyskusję; autor powołał się chyba na Kochanowskiego. Tak się złożyło, że niedawno zetknąłem się z czterowierszem Krzysztofa Opalińskiego, na pewno dobrze znanym historykom XVII wieku:

> Nierządem Polska stoi — nieźle ktoś powiedział
> Lecz drugi odpowiedział, że nierządem zginie!
> Pan Bóg nas ma jak błazna. I to prawdy blisko,
> Że między ludźmi Polak, jak Boże igrzysko.

Piotr WANDYCZ

Rafał BUBNICKI

DUCH ORWELLA

Zaczęło się wielkie „poprawianie". Rozluźnienie cenzury w Polsce spowodowało, że publikacje prasowe dotyczące historii Polski w XX wieku, ukazujące się w ostatnich miesiącach, zakwestionowały oficjalne wersje historii znajdujące się w podręcznikach mających oficjalne *imprimatur* urzędu z ulicy Mysiej. Sytuacja w zakresie informowania społeczeństwa stała się płynna — wiadomości i interpretacje jeszcze wczoraj objęte „zapisem", dzisiaj mogą już być szeroko udostępniane. Chcąc dotrzymać kroku tym burzliwym zmianom niektórzy historycy, za zgodą wydawców, zaczynają „uzupełniać" poprzednio napisane książki, wprowadzając do nowych ich wydań zmiany mające sugerować, że znają świetnie historię, a nie pisali o wielu wydarzeniach lub interpretowali te wydarzenia zgodnie z ustalonym odgórnie schematem tylko dlatego, że nie było wolno.

„Historia Polski" profesorów Jerzego Topolskiego i Antoniego Czubińskiego opublikowana przez wrocławskie Ossolineum (I wydanie — grudzień 1988, II wydanie — wrzesień 1989) jest przykładem tego, jak historia zmienia się w oczach. W części dotyczącej czasów współczesnych (napisanej przez A. Czubińskiego) autor wprowadził liczne poprawki, uzasadniające informację umieszczoną na stronie tytułowej: „wydanie II poprawione". Oto fragmenty, które zostały zmodyfikowane.

Na s. 349 po zdaniu:

„W pierwszych latach XX wieku wprowadzono zarządzenia zmuszające również do nauczania religii w języku niemieckim",

autor dodał:

„Dzieci polskie we Wrześni w maju 1901 r. odmówiły uczenia się religii po niemiecku. Strajk szybko rozszerzył się na całą prowincję i nabrał wielkiego rozgłosu w skali międzynarodowej".

Na s. 488 w miejsce tekstu:

„Podpisanie układu o nieagresji pomiędzy ZSRR i Niemcami nie likwidowało w pełni stanu zagrożenia ZSRR ze strony Niemiec. Przywódcy radzieccy w pełni zdawali sobie sprawę, iż Hitler układ ten może złamać, podobnie jak wiele innych. W aktualnej sytuacji wydawało się, iż jest to jednak jedyna droga przynajmniej przejś-

ciowego uniknięcia wojny, możliwość neutralności i przynajmniej odroczenia nieuchronnego starcia.

Hitler natomiast sądził, iż w ten sposób udało mu się pokrzyżować grożącą ewentualność porozumienia się Anglii, Francji i Polski z ZSRR. Rokowania letnie delegacji anglo-francuskiej w ZSRR wykazały, iż państwa te nie myślały serio o porozumieniu z ZSRR. Prowadziły one rokowania z myślą, iż w ten sposób zmuszą Hitlera do odkrycia kart. Nie przypuszczały tylko, że Hitler pokaże taką właśnie kartę. Nie przypuszczały one, że może dojść do porozumienia pomiędzy III Rzeszą i ZSRR. Układ o nieagresji zaskoczył tak opinię publiczną w Niemczech, jak i w świecie. Stanowił on również duże zaskoczenie dla Polski.",

(tak w I wydaniu), pojawił się tekst inny:

„Do układu załączono tajny protokół dodatkowy, który przewidywał podział stref wpływów w Europie Wschodniej pomiędzy Niemcami i ZSRR na całym obszarze od Bałtyku do Morza Czarnego. Na terenie Polski rozgraniczenie stref tworzyć miała linia rzek: Narew, Wisła i San.

Stalin łudził się, że w ten sposób odsunął groźbę agresji niemieckiej na ZSRR. Armie hitlerowskie miały zatrzymać się na linii Wisły co najmniej na 10 lat. Natomiast Hitler przekreślił rysującą się niebezpieczną dlań koalicję Anglii, Francji i ZSRR i umocnił izolację Polski. Uzyskał on pewność, iż Polska nie tylko że nie uzyska pomocy ze strony ZSRR, ale że będzie musiała walczyć na 2 frontach naraz. Zajęcie ziem polskich miało w perspektywie stworzyć bezpośrednią bazę do uderzenia na ZSRR. Genialny Stalin sam pomagał mu w usunięciu polskiej przeszkody zabezpieczającej ZSRR przed agresją niemiecką".

Zmianę na s. 488 uzupełnia tekst na s. 489, dodany po słowach: „...nie zaatakuje nas" (3 w. od góry):

„Podpisanie układu o nieagresji pomiędzy Niemcami i ZSRR miało olbrzymie znaczenie polityczne. Fakt ten zaskoczył opinię publiczną świata. Szczególnie zaskoczona była Polska. Ona pierwsza poniosła też konsekwencje tego zwrotu politycznego. Bezpośrednio po podpisaniu układu Hitler wydał rozkaz do uderzenia na Polskę w dniu 26 sierpnia o świcie.

Jednak 25 sierpnia Anglia podpisała wreszcie z Polską układ sojuszniczy. Pojawiły się próby mediacyjne. W tej sytuacji Hitler w ostatnim momencie odwołał swój rozkaz. Atak nastąpił dopiero 1 września 1939 r. o świcie.

Układ o nieagresji był jawny. Natomiast protokół dodatkowy miał tajny charakter. Istnienie tego dokumentu ujawniono dopiero po zajęciu archiwów niemieckich w 1945 r. Strona radziecka kwestionuje jednak do dziś jego autentyczność. Autentyczność tę potwierdza natomiast rozwój wydarzeń w latach 1939-1941".

Na s. 494 zmianie uległ tytuł rozdziału. Było:

„Włączenie ziem Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy do ZSRR",

a jest:

„Włączenie ziem wschodnich II Rzeczypospolitej do ZSRR".

Na s. 495 po zdaniu: „Zjawiska te wywołały zaniepokojenie i opór ludności polskiej.", *zmienione zostało zakończenie rozdziału. W miejsce tekstu:*

„Właściwa ich interpretacja i ocena utrudniona była ze względu na podziały narodowo-klasowe i sytuację wojenną.

Przesunięcie granicy zachodniej ZSRR nastąpiło w chwili załamania się II Rzeczypospolitej. Decyzja rządu znalazła poparcie większości zamieszkującej te tereny ludności. W rozumieniu ustawodawstwa radzieckiego obszary te, na życzenie zamieszkującej je ludności, stały się częściami składowymi ZSRR, a mieszkańcy ich stali się pełnoprawnymi obywatelami republik Białoruskiej i Ukraińskiej. Od stanowiska tego ZSRR nie odstąpił również po złamaniu przez Hitlera układu o nieagresji i napaści na ZSRR w 1941 r.

Fakt ten został uznany przez wielu polityków na forum międzynarodowym, którzy stali na stanowisku, że granica wschodnia Polski winna opierać się na linii etnicznej (W. Churchill). Nie przyjmowano natomiast radzieckiej interpretacji prawnej tych zmian. Mimo zajęcia ziem polskich przez wrogie armie państwo polskie nie upadło; istniało nadal. Nadal obowiązywały też podpisane z nim układy".

autor umieścił tekst inny:

„Ludność ta bojkotowała wybory do Zgromadzeń Narodowych uznając je za bezprawne. W ślad za tym odmówiła przyjęcia dokumentów radzieckich (tzw. paszportyzacja), nie chcąc tracić obywatelstwa polskiego. Pociągało to za sobą nowe represje. W rozumieniu władz radzieckich obszary te na życzenie ich mieszkańców stały się częściami składowymi ZSRR. Podjęto akcję usuwania elementów niepewnych z pogranicza, organizując masowe deportacje ludności polskiej w głąb ZSRR".

Na s. 505 zamiast tekstu:

„Rząd radziecki natomiast oddzielał sprawę granic od kwestii wojny. Głosił on, że zmiana granicy stanowiła naprawienie krzywdy z 1921 r. oraz że w toczącej się wojnie zajmuje stanowisko neutralne. W ZSRR zdawano sobie sprawę, że wojna z Hitlerem jest nieunikniona. Chodziło jednak o maksymalne zyskanie na czasie".

pojawił się nowy akapit, nawiązujący do opisywanego w poprzednich zdaniach konfliktu między gen. Sikorskim, a prez. Raczkiewiczem i rządem RP (czerwiec-lipiec 1940):

„W obronie Sikorskiego wystąpiła grupa powiązanych z nim oficerów. Interweniował też rząd brytyjski, który wzywał do unormowania stosunków polsko-radzieckich. Na przeszkodzie stała jednak kwestia granicy".

Na s. 557 po zdaniu:

„Skorzystało z niej (amnestii z 22.02.1947 — przyp. R.B.) ok. 60 tys. działających w konspiracji przeciwników rewolucji ludowej".

w II wydaniu jest dodany następujący fragment:

„Jednocześnie zaostrzono represje wobec opozycji. Ferowano wyroki śmierci. Ze strony PPR wzmocniono agitację na rzecz przyspieszenia przejścia od demokracji ludowej do socjalizmu opartego na wzorcach radzieckich. Nastąpiło zahamowanie procesu powrotu emigrantów do kraju".

Na s. 588 po słowach:

„...we wrześniu 1947 r. przedstawiciele wolnych zawodów stanowili 4,8% członków PPS i około 3,1% PPR",

autor dodał:

„W gospodarce polskiej występował system trójsektorowy: własność indywidualna, spółdzielcza i państwowa. Eksponowano zasady ogólnodemokratyczne. Nie eksponowano haseł socjalistycznych".

Na zakończenie zmiana na s. 639. W zdaniu:

„W toku zmagań z kryzysem i siłami kontrrewolucji (w latach 1980-81 — przyp. R.B.) opracowano szczegółowy program wyjścia z kryzysu, dalszego rozwoju PRL w kierunku socjalistycznym, w sojuszu z innymi krajami socjalistycznymi", *słowo* „kontrrewolucja" *zostało zastąpione przez* „opozycja".

„Poprawki" wprowadzone przez A. Czubińskiego to albo informacje o faktach od dawna znanych historykom i czytelnikom literatury emigracyjnej i „drugoobiegowej", albo aktualizacje dotychczasowych interpretacji, dopasowujące terminologię do bieżącej sytuacji politycznej. Autor „poprawek" wierny jest konwencji, jaką przyjął w napisanej przez siebie części „Historii Polski". Jej cechy to stałe zmiany punktu widzenia (oscylującego między typowymi interpretacjami polskich historyków komunistycznych, a interpretacjami godnymi podręczników sowieckich), dezynwoltura w doborze faktów i „bezosobowa" historia. Ten ostatni termin wymaga wyjaśnienia, oznacza bowiem permanentne używanie czasowników w for-

mie bezosobowej (np. zrobiono, wykonano) w odniesieniu do wydarzeń w Polsce ostatnich dziesięcioleci. Taki zabieg językowy konstatuje fakt i usuwa w cień autorów decyzji politycznych i gospodarczych. Stosowany konsekwentnie sugeruje, że wydarzenia toczą się same — tylko czasami proces historyczny jest korygowany, gdy zdradza skłonność, aby opuścić utarte tory marksistowskiego rozwoju dziejowego (przykład: przewrót wojskowy 13.12.1981). Z politycznego punktu widzenia takie ujmowanie historii jest bezpieczne, nie nasuwa bowiem czytelnikowi myśli o możliwej odpowiedzialności osób za decyzje przez nie podjęte.

W tym miejscu nie zamierzam szczegółowo recenzować książki J. Topolskiego i A. Czubińskiego. Być może znajdzie się po raz drugi ktoś, kto podobnie jak Ryszard Terlecki („Biedna historia", *Tygodnik Powszechny* nr 13 z 27.03.1988) zrecenzował poprzednią książkę A. Czubińskiego, weźmie pod lupę omawianą „Historię Polski". Nie zdziwiłbym się jednak, gdyby stało się inaczej. Obaj autorzy napisali poprzednio książki, które były paralelne tematycznie (J. Topolski „Zarys dziejów Polski", Interpress, 1986; A. Czubiński, „Najnowsze dzieje Polski 1914-1983, PWN, 1988), a „Historia Polski" wydana przez Ossolineum jest kompilacją tych prac. Ponieważ wydawanie przez jednego autora tej samej w istocie książki (ewentualne zmiany są jedynie kosmetyczne), pod zmienionym tytułem, w innym wydawnictwie, nie jest na polskim rynku wydawniczym odosobnionym przypadkiem, może się zatem zdarzyć, że „Historia Polski" J. Topolskiego i A. Czubińskiego „przemknie" niezauważona przez recenzentów. Gdyby tak się stało, nie powinna ona jednak ujść uwadze osób zajmujących się socjologią polskiego rynku czytelniczego. „Historia Polski" ukazała się dwukrotnie w nakładzie po 50.000 egzemplarzy (Ossolineum zamierza książkę wznowić). Z księgarń zniknęła szybko — brak na rynku wydawnictw na temat historii Polski o charakterze podręcznikowym powoduje, że każda książka tego rodzaju jest chętnie kupowana. Kompletny brak rzetelnej informacji i recenzji w prasie wysokonakładowej, radio i telewizji, sprawia że tworzy się zamknięty krąg — czytelnicy ulegają złudzeniu, że otrzymują do rąk kompetentnie napisaną historię Polski, a wydawcy opierając się na popycie (i używając bardzo modnego sformułowania-wytrychu „prawa rynku") zwiększają nakład.

Taki jest stan obecny. Czas jednak wyjść poza wykrętne wytłumaczenia i postawić pytania zasadnicze.

Dlaczego wydawnictwo Ossolineum publikuje książki o niskiej wartości merytorycznej? Dlaczego wznawia je ze zmianami świadczącymi, że autor posiada kwalifikacje nie historyka, a urzędnika orwellowskiego Ministerstwa Archiwów? Dopóki nie będzie odpowiedzi na te pytania, duch Orwella będzie straszył we wrocławskiej oficynie!

Rafał BUBNICKI

Jerzy KORCZAK

W KRĘGU LEGENDY RYDZA-ŚMIGŁEGO

Stutysięczny nakład tej dwutomowej książki* rozszedł się błyskawicznie, jakby na przekór pojawiającym się tu i ówdzie wybrzydzaniom nad jej literacką ułomnością. Stanowi to jeszcze jeden dowód, że właśnie atrakcyjność tematu, a nie piękna i odkrywcza sztuka pisania, jest wciąż dominującym walorem dla większości czytelników. Trudno się temu dziwić, zwłaszcza, gdy w grę wchodzi postać Edwarda Rydza-Śmigłego, ostatniego marszałka przedwrześniowej Polski, którego poplątane wojenne dzieje stanowią prawdziwą egzemplifikację narodowego dramatu.

Wiele lat po wojnie Jan Lechoń dopatrzył się w losie tej tragicznej postaci jeszcze czegoś więcej. „Historia powrotu i śmierci Śmigłego jest to jedna z najbardziej przejmujących rzeczy, jakie zdarzyły się w tej wojnie, będącej przecież największą żywiołową katastrofą nowoczesności" — zwierzał się czytelnikom, twierdząc ponadto, że jest to postać, która będzie interesowała nie tylko historyków, lecz przede wszystkim pisarzy. Nie inaczej myślało też społeczeństwo, otaczając prawdziwym kultem skromną mogiłę na Cmentarzu Powązkowskim, gdzie jako Adam Zawisza pochowany został grudniowego mglistego dnia 1941 roku. Stale palące się znicze i setki uczniowskich tarcz przyczepionych do drzewa obok grobu potwierdzają fakt, że pamięć o marszałku przetrwała w narodzie przez najgorsze lata.

Opowieść Cezarego Leżeńskiego jest pierwszą tak obszerną, bogato udokumentowaną biografią Naczelnego Wodza, któremu po Józefie Piłsudskim przypadła w udziale marszałkowska buława. Historia tej najwyższej w wojsku godności pełna była personalnych niuansów; Sosnkowski czy Śmigły? To pytanie przez wiele miesięcy pasjonowało ludzi. Rozstrzygnięcie nastąpiło w listopadzie 1936 roku i dla wielu było prawdziwym zaskoczeniem. Wraz z tą nominacją nastąpiła nieunikniona walka o utrwalenie własnej pozycji, nie dość silnej na tle tak żywej charyzmy Wielkiego Marszałka. A więc: kokietowanie skrajnej oenerowskiej prawicy, koniunkturalna chłopomania, wreszcie tworzenie własnej koterii.

Poznajemy dzieje całego życia Rydza-Śmigłego od najwcześniejszego dzieciństwa, poprzez szybką i błyskotliwą karierę wojskową, wrześniową tragedię, internowanie w Rumunii, aż po owianą roman-

*Cezary Leżeński, *Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, Wyd. Lubelskie, 1989.

tyczną legendą śmierć w okupowanej Warszawie. Wiele w książce szczegółów nieznanych, lub oświetlanych dotąd fragmentarycznie, a cały ten bogaty życiorys stanowi w pewnym sensie rodzaj bryku z dziejów Polski od przełomu wieku aż po lata czterdzieste, gdy niepodległa Rzeczpospolita żyła już tylko w podziemiu.

Siłą jednak rzeczy czytelnicza uwaga skupia się przede wszystkim na wojennych latach marszałka. Wokół tego tragicznego okresu narosło najwięcej kontrowersji, sporów, legend wreszcie. Przez długie lata mało kto w ogóle wiedział, co działo się z marszałkiem po internowaniu w Rumunii. Niewielu zresztą jego los spędzał sen z powiek — należał do postaci, które, jak się zdawało, odeszły w niepamięć. W świadomości znacznej części społeczeństwa pozostał tylko jako buńczuczny wódz, który z licznych plakatów i na publicznych wystąpieniach zapewniał solennie, że nie oddamy wrogowi ani guzika. A potem, gdy już dopełnił się tragiczny wrześniowy los, stał się w obiegowym pojęciu jednym z głównych sprawców klęski i nieudolnego dowodzenia. Istniała przecież zrozumiała konieczność znalezienia winowajców. Taka jest historyczna prawidłowość, którą weryfikować może jedynie upływ czasu i pełny dostęp do źródeł.

Mijały lata. Poprzez propagandową indoktrynację — a może właśnie jako reakcja na nią — przebijała się inna, pełniejsza prawda. Wychodziły na jaw coraz dokładniejsze szczegóły o zdradzieckim uderzeniu Sowietów. Kraj w kleszczach dwóch wrogów — przy pełnej bierności sojuszników — znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Co miał robić Naczelny Wódz? Decyzja jego była jednoznaczna: postanowił pozostać w Polsce i walczyć do końca. Rozkaz wydany pułkownikowi Jakliczowi owego tragicznego 17 września pod Kołomyją mówi wyraźnie: wraz z uzbrojoną w karabiny garstką oficerów dołączy do walczących wojsk. Nie ma wątpliwości: szukał romantycznej śmierci na polu chwały, zgodnie z honorem dowódcy, który postanowił podzielić los zwykłego żołnierza. Od tego szaleńczego kroku został przez najbliższe otoczenie odwiedziony. Wybrał, nie bez dramatycznej rozterki, drogę bardziej odpowiedzialną, lecz daleko mniej efektowną, jaką było przedostanie się do Rumunii.

Od tej chwili zaczyna się rozwijać właściwy dramat zdetronizowanego przez historię wodza, który nigdy, ani przez chwilę nie zaniechał myśli o powrocie do kraju i prowadzeniu dalszej walki.

Leżeński potrafił zgromadzić nader bogatą dokumentację z każdego okresu jego dziejów. Istotnie, jak to sugeruje Lechoń, wszystkie etapy tych tułaczych miesięcy mogłyby starczyć na materiał do pełnej napięcia powieści, w której nie brakłoby nawet i romantycznych wątków osobistych. Tyle tylko, że jak to nieraz bywa — życie przewyższa fantazją beletrystów. Pewno też i dlatego nikt nie porwał się dotąd na taki powieściowy zamysł.

Osobowość Śmigłego, pozbawiona marszałkowskiego sztafażu, rysuje się zresztą pod piórem Leżeńskiego raczej szaro i zwyczajnie. To nie on, lecz wydarzenia dynamizują tekst swoim dramatyzmem i

niezwykłością. Śmigły jest człowiekiem skromnym, łatwym we współżyciu, lubianym przed podwładnych i współpracowników. Zainteresowania artystyczne także nie pozostawały bez wpływu na jego psychikę; w najtrudniejszych okresach wygnańczej doli nie zaniedbywał swoich malarskich pasji. Pisał także wiersze, niekiedy literacko udane, zawsze stanowiące dokument przeżywanego dramatu. W sytuacji, w której się znalazł, zarówno w pierwszym okresie, gdy przyszło mu żyć pod strażą rumuńskich żandarmów, jak i po udanej ucieczce na Węgry, zachował zawsze hart ducha i głęboką wiarę w sens dalszej walki. Jego ambicji politycznych nie zachwiał przebieg wydarzeń, czego najdobitniej dowodzi tworzony przez niego na Węgrzech Obóz Polski Walczącej. Najbliżsi współpracownicy, z niedostępnym Julianem Piaseckim na czele, snuli z nim razem dalekosiężne plany podziemnej działalności na terenie Polski. W tej materii klęska marszałka okazała się pełna. Kiedy wreszcie, pokonując wiele najprzeróżniejszych przeszkód i niebezpieczeństw, dotarł do Polski, czekały go już tylko nieustanne rozczarowania. Losy marszałka w kraju, gdzie w skórze skromnego nauczyciela Adama Zawiszy oczekiwał bez skutku pod gościnnym dachem generałowej Jadwigi Maxymowicz-Raczyńskiej, aż ponownie wybije jego godzina, stanowią zarówno świadectwo wielkiego osobistego dramatu, jak i daleko idącej politycznej naiwności.

Leżeński zebrał wiele faktów, dokumentujących ówczesne kontakty Rydza: obok dawnych, najwierniejszych piłsudczyków, także i te z dosyć dwuznaczną organizacją „Muszkieterów" i ich szefem, inżynierem Stefanem Witkowskim, skazanym później na śmierć z wyroku Polski Podziemnej.

Nie brak także w książce różnych szczegółów z życia osobistego marszałka, zwłaszcza historii małżeństwa z Martą Thomas, kobietą tyleż atrakcyjną, co owianą aurą tajemniczości. Ona właśnie pozostała do końca adresatką jego licznych miłosnych listów i poezji, przedmiotem wiernego uczucia. Zginęła w dziesięć lat po śmierci Rydza w okolicznościach nie do końca wyjaśnionych: jej zmasakrowane zwłoki odnaleziono w lipcu 1951 roku w górskim potoku niedaleko Nicei.

„Kwatera 139", jak się rzekło na wstępie, to tekst, do którego można wnieść sporo zarzutów. Stylistyczni puryści będą narzekać na zbyt jednostajny, mało urozmaicony język narracji, co często daje efekt szkolarskiej czytanki. Razi też tu i ówdzie sztuczność dialogów, wkomponowanych niekiedy na siłę. Fachowi historycy, a być może także świadkowie opisywanych wydarzeń, odnajdą również zapewne kontrowersyjność niektórych posunięć. Nie sposób jednak podważyć autorskiej rzetelności w docieraniu do źródeł, zarówno drukowanych, jak i relacji ustnych, dzięki czemu uzyskaliśmy po raz pierwszy przekaz tak pełny, budzący wiele przeróżnych refleksji nad nie tak przecież odległą jeszcze przeszłością.

Jerzy KORCZAK

Tadeusz WYRWA

FRANCUSKA MISJA WOJSKOWA W POLSCE W LATACH 1919-1932

Tradycyjne więzy łączące Polskę z Francją nie są ciągle wystarczająco opracowane, zwłaszcza jeśli chodzi o wzajemnie zazębiające się problemy z dziedziny politycznej i wojskowej. Dotyczy to szczególnie okresu międzywojennego, gdzie pełno jest wypaczeń i niedomówień. Wartościowym wkładem do tego okresu jest książka Tomasza Schramma na temat francuskich misji w Polsce i w innych państwach Europy środkowej[1]. Książka ta składa się z dwu części: pierwsza i najobszerniejsza dotyczy Polski i ta tylko stanowi przedmiot mojego omówienia. Część druga poświęcona jest głównie Czechosłowacji i w mniejszym stopniu Finlandii, Litwie, Łotwie, Estonii i Grecji. Ta ostatnia była jedynym spośród wspomnianych tutaj państw, które istniało przed pierwszą wojną światową i posiadało własną armię.

Autor wyjaśnia, że dysproporcja między pierwszą a drugą częścią książki powstała nie tylko wskutek większego zainteresowania dziejami misji w Polsce niż w innych krajach, ale też z powodu ograniczonych możliwości źródłowych. Książka opracowana jest bowiem na materiale źródłowym, jaki znajduje się w archiwach polskich i francuskich, które Schramm mógł wykorzystać, ale tam gdzie nie miała źródłowej dokumentacji, zamknął temat w ramach podstawowych informacji. Założeniem tego studium jest przedstawienie genezy, charakteru, celu i zakresu działania poszczególnych misji w optyce ogólnej polityki Francji, która w powersalskim układzie Europy środkowej — po stracie wschodniego sojusznika, jakim była dla niej Rosja — szukała nowego oparcia w świeżo powstałych państwach.

Po podpisaniu umowy dnia 25 kwietnia 1919 francuska misja wojskowa przyjechała do Polski jako stuosobowa grupa, która w krótkim czasie wielokrotnie wzrosła. Umowa nawiązywała do postanowień podpisanych przez Komitet Narodowy Polski w odniesieniu do Armii Hallera. Misja miała przede wszystkim prowadzić działalność szkoleniową i organizacyjną. W umowie była również wzmianka o dowodzeniu, co praktycznie było ograniczone, a z cza-

1. Tomasz Schramm, *Francuskie misje wojskowe w państwach Europy środkowej 1919-1938*, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, seria Historia, nr 143, Poznań 1987, str. 315.

sem zostało w ogóle zarzucone, zgodnie z zastrzeżeniem Piłsudskiego, który przy ustalaniu warunków misji wyraźnie podkreślił, że Polska potrzebuje doradców w różnych dziedzinach, wykładowców, ale nie dowódców.

Na czele misji stał szef w randze generała. Pierwszym szefem był generał Paul Henrys. Misja zaczęła swoją działalność w kilka miesięcy po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, kiedy armię polską musiano organizować od podstaw. Istniały różne formacje, zależnie od zaborów, i trzeba było je złączyć w jedną całość przy jednoczesnych walkach na wschodzie i rywalizacji o władzę. Jak słusznie podkreśla Schramm, działalność gen. Henrysa obejmowała wówczas całokształt stosunków polsko-francuskich i praktycznie misja przejmowała niektóre zadania, normalnie należące do placówek dyplomatycznych. Pod tym względem sytuacja trochę się poprawiła, gdy posła francuskiego w Warszawie, Eugène'a Pralon, zastąpił łatwiejszy we współpracy Hector de Panafieu.

Czołowym zadaniem misji było oczywiście organizowanie i szkolenie wojska, co stopniowo dało się urzeczywistnić. Wyszkoleniem zajmował się wtedy generał Claude Spire i do pierwszych konkretnych osiągnięć należało uruchomienie, w czerwcu 1919, Wojennej Szkoły Sztabu Głównego, gdzie dyrektorem nauk został pułkownik (późniejszy generał) Louis Faury, który podobne stanowisko zajmował również w nowoutworzonej Wyższej Szkole Wojennej.

W roli, jaką odgrywała wówczas misja, bardzo istotne było to, że jej szef, gen. Henrys, „uległ przemożnemu urokowi osobistemu Piłsudskiego"[2]. Skutek tego był taki, że — jak pisze Schramm — „w tym okresie misja była tym ośrodkiem francuskim, który najsilniej popierał polskie zamierzenia" (str. 52). A chodziło o okres ofensywy polskiej na Wschodzie, do której Francja odnosiła się z pewną rezerwą, stąd wydany rozkaz w Paryżu, nakazujący misji trzymanie się z dala od działań frontowych, rozkaz później odwołany.

W myśl postanowień konferencji w Spa, w lipcu 1920 roku wysłana została do Polski specjalna trzyosobowa misja brytyjska i francuska. Na czele tej misji stał gen. Weygand. Wyłoniła się sprawa stosunków między Weygandem i Henrysem, co wreszcie załatwiono i kompetencje ich w zasadzie nie kolidowały. Niemniej jednak pobyt w Polsce misji francusko-brytyjskiej osłabił pozycję gen. Henrysa, do czego prawdopodobnie przyczynił się niechętny stosunek Weyganda do Piłsudskiego, w przeciwieństwie do Henrysa, lojalnie oddanego Marszałkowi. Doszło więc do tego, że po półtorarocznym okresie dowodzenia misją (kwiecień 1919 - październik 1920) gen. Henrys został odwołany, co władze polskie przyjęły bar-

2. Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, Londyn 1956, tom II, str. 186.

dzo niechętnie. Gen. Henrys wyjechał z Polski żegnany uroczyście przez Piłsudskiego.

Następcą gen. Henrysa został gen. Henri-Albert Niessel, któremu poświęcony jest kolejny rozdział w książce Schramma. Niessel przejął dowództwo misji w chwili, gdy ustały walki na froncie polsko-sowieckim, co ułatwiło mu rozwinięcie szkolenia; przykładem było wznowienie w styczniu 1921 roku wykładów w Wyższej Szkole Wojennej. Działalność swoją gen. Niessel zaczął właściwie od krytycznej oceny osiągnięć gen. Henrysa. Na początku stosunki Niessela z Piłsudskim układały się poprawnie, z czasem uległy one jednak pogorszeniu, jak w ogóle stosunki misji z władzami polskimi. Piłsudski miał się wyrazić, że Niessel „zachowuje się, jakby był w kraju podbitym".

Schramm zwraca również uwagę na fakt, że gen. Niessel nie uniknął, podobnie jak i członkowie misji, wciągnięcia w rywalizację wojskową i polityczną różnych ugrupowań, przeciwstawiających się obozowi Piłsudskiego. Widoczne były zwłaszcza związki Niessela z narodową demokracją, która rywalizując z piłsudczykami, usiłowała jednocześnie podtrzymać tradycję swoich związków z polityką francuską. Niessel był też w dobrych stosunkach z Sikorskim, ówczesnym szefem Sztabu Generalnego i w swoich raportach do Paryża żalił się na Piłsudskiego, a dodatnio pisał o Sikorskim.

Pod koniec pobytu Niessela w Polsce została podpisana nowa umowa odnośnie misji. Ujęta w dwunastu artykułach, dotyczyła głównie warunków finansowych i organizacyjnych, związanych z pobytem w Polsce misji, która miała liczyć 200 członków. Dnia 29 grudnia 1921 roku gen. Niessel opuścił Polskę w nie najlepszej atmosferze, odmiennej od tej, w jakiej wyjeżdżał jego poprzednik.

Dziesięcioletni okres misji, obejmujący lata 1922-1932, czyli od wyjazdu gen. Niessela do likwidacji misji, ujęty jest przez Schramma w jednym rozdziale. Następcą Niessela został generał Charles Dupont, który przejął dowództwo misji w dniu 29 grudnia 1921 roku. Nowy szef zbyt się do tej placówki nie kwapił, co siłą rzeczy musiało zaciążyć na działalności tak jego, jak i misji. Działalność tę gen. Dupont rozpoczął od dyskusji z polskimi władzami wojskowymi na temat problemów finansowych. Utrzymanie francuskiej misji było opłacane z budżetu polskiego Ministerstwa Skarbu, które usiłując zmniejszyć koszta misji, zaproponowało zmianę poborów personelu. Gen. Dupont natomiast zaproponował ilościową redukcję misji, czemu z kolei sprzeciwił się gen. Sosnkowski, ówczesny minister spraw wojskowych, kładąc nacisk na potrzebę oficerów francuskich w szkołach, z Wyższą Szkołą Wojenną na czele, jak też instruktorów w różnych jednostkach. W sumie zmniejszono koszt utrzymania misji, ku niezadowoleniu Duponta, którego stosunek do Piłsudskiego nacechowany był wyraźną rezerwą.

Pomimo pewnych starć, współpraca misji w dziedzinie szkoleniowej i organizacyjnej utrzymana była na odpowiednim poziomie i należycie przez Polaków oceniana. Dnia 14 kwietnia 1923 roku podpisano umowę, określającą tempo redukcji misji, a przeszło rok później, 26 maja 1924 roku, nowa umowa zmniejszyła liczebność misji z 80 do 55 oficerów, a później jeszcze bardziej. Szalejąca wówczas inflacja utrudniała ustabilizowanie sytuacji finansowej członków misji.

W 1926 roku Dupont, po osiągnięciu już wcześniej wieku emerytalnego, został definitywnie odwołany. Przed wyjazdem z Polski był jeszcze świadkiem przewrotu majowego, który dezaprobował, zgodnie zresztą ze swym krytycznym stosunkiem do Piłsudskiego. Mimo burzliwego okresu, na jaki przypadł pobyt gen. Duponta w Warszawie, wywiózł on z Polski, jak podaje Schramm, dobre wspomnienia (str. 116). Dowództwo misji objął po nim generał Charles Charpy. Zmiana na stanowisku szefa misji zbiegła się przypadkowo z istotnym zwrotem w wewnętrznej polityce polskiej, co nie ułatwiło gen. Charpy sytuacji.

Zgodnie z założeniami, jakie wcześniej były ustalone przez Sikorskiego i Duponta, misja miała zakończyć swoją działalność 1 listopada 1927 roku. Postanowiono trzymać się tego terminu i po tej dacie przewidywano, że pozostanie jedynie płk Faury i ewentualnie kilku wykładowców z Centrum Wyższych Studiów Wojskowych, które było, po Wyższej Szkole Wojennej, drugą placówką w której utrzymywały się wpływy francuskie. Jeśli chodzi o Wyższą Szkołę Wojenną to, począwszy od 1919 roku, oprócz dyrekcji nauk, wielu było wykładowców francuskich, których liczba stopniowo się zmniejszała. Z końcem roku 1927/1928 odeszli ostatni, a wśród nich i płk Faury, kończąc współpracę wykładowców francuskich w Wyższej Szkole Wojennej, co uwidoczniało zmierzch działania misji w Polsce.

Po niespełna dwuletnim pobycie w Polsce gen. Charpy wyjechał z Warszawy 10 lutego 1928 roku. Pomimo zmiennej polityki francuskiej po Locarno i nowej sytuacji w Polsce, gen. Charpy potrafił ułożyć stosunki z władzami polskimi ku zadowoleniu obu stron. Dowództwo misji objął prowizorycznie, z uwagi na limit wieku, gen. Pierre Pujo, a po nim szefem został generał Victor Denain. Gen. Denain zdołał wskrzesić Centrum Wyższych Studiów Wojskowych, gdzie 5 grudnia 1929 roku rozpoczął się pierwszy kurs. Wykłady były podzielone między oficerów francuskich i polskich. Centrum przetrwało do 1932 roku.

Dnia 19 listopada 1930 roku podpisano nową umowę, która rolę misji wyraźnie określała jako szkoleniową, liczącą 8-miu oficerów. Umowa miała być rokrocznie automatycznie przedłużana. Od 1 października 1931 stan misji zmniejszył się do czterech członków i jej szefem został płk René Prioux. Ostatni termin przedłużający

pobyt misji w Polsce upłynął 1 sierpnia 1932 roku i generał Janusz Gąsiorowski, nowy szef Sztabu Głównego, powołując się na Piłsudskiego, powiadomił płk. Prioux, że umowa nie zostanie odnowiona, w związku z czym misja winna ulec zlikwidowaniu, co też wkrótce nastąpiło. Zakończenie w ten sposób działalności misji w Polsce nie spotkało się ze specjalną reakcją ze strony francuskiej.

Bilans wkładu francuskiej misji wojskowej w tworzenie armii polskiej — jak słusznie pisze Schramm — jest złożony i wieloraki. Bez względu jednak na to, z jakiego punktu widzenia będzie się wkład ten oceniać — trzeba bezsprzecznie przyznać, że był duży i zwłaszcza istotny w pierwszych latach budowy państwowości polskiej. Zasługą monografii Schramma jest, że starannie zebrał materiał i wykazał znaczenie misji, mało na ogół znanej nawet historykom. Druga część książki, odnosząca się do sześciu innych państw, mimo że zawiera luki, pozwala jednak zdać sobie sprawę z wagi, jaką miała w Europie środkowej działalność francuskich misji wojskowych, która nie zawsze ograniczała się do spraw związanych ze szkoleniem i organizowaniem armii.

Zlikwidowanie francuskiej misji wojskowej nie przyniosło korzyści ani Polsce, ani Francji i byłoby z dużo większym pożytkiem dla obu krajów, gdyby misja istniała, chociażby w zredukowanym ilościowo stanie. Być może uniknięto by niektórych przynajmniej błędów, jakie zaciążyły na stosunkach francusko-polskich. Schramm pisze (str. 118), że generał Louis Faury (mianowany generałem po powrocie do Francji w 1928 roku) zjawił się w Polsce po wybuchu drugiej wojny światowej na czele francuskiej misji wojskowej. W rzeczywistości przyjechał do Warszawy, z polecenia gen. Gamelina, dnia 23 sierpnia 1939 roku[3], zbyt już późno, żeby mieć jakikolwiek wpływ na przebieg wypadków, które poprzedzały wybuch wojny.

Tadeusz WYRWA

3. Zob. „Ze wspomnień generała Louisa Faury, szefa wojskowej misji francuskiej w Polsce w 1939 roku" w *Zeszytach Historycznych* nr 85, Paryż 1988, str. 68 i nast.

NAGRODA DLA PIOTRA WANDYCZA

Książka Piotra Wandycza o stosunkach francusko-polsko-czechosłowackich w okresie od Locarno do remilitaryzacji Nadrenii (*The Twilight of French Eastern Alliances*), wydana przez Princeton University Press, została nagrodzona przez amerykańskie towarzystwo krzewienia studiów słowiańskich (American Association for the Advancement of Slavic Studies) i przez amerykańskie towarzystwo historyczne (American Historical Association). Pierwsze z nich, na swym dorocznym zjeździe w listopadzie 1989 r. wyróżniło książkę nagrodą im. Wayne Vucinicha. Drugie odznaczyło ją w grudniu nagrodą im. George Louis Beer. Wandycz jest prawdopodobnie jedynym historykiem, który otrzymał dwukrotnie nagrodę Beer (za najwybitniejszą pracę z międzynarodowej historii europejskiej końca XIX i XX wieku), gdyż jego poprzednia książka o Francji i jej wschodnich sojusznikach w latach 1919-1925 została nią również odznaczona dwadzieścia siedem lat temu.

Pod koniec roku 1988 Uniwersytet Yale nadał Wandyczowi tytuł profesora im. Bradford Durfee. Zwyczaj nazywania niektórych katedr od nazwisk fundatorów (w Harvardzie istnieje na przykład katedra polonistyki im. Alfreda Jurzykowskiego) lub dawanie tytułów profesorom *ad personam* jest wyróżnieniem praktykowanym głównie, a może wyłącznie, na uniwersytetach anglosaskich.

OKRUCHY HISTORII

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI O WIZYCIE W MOSKWIE I KATYNIU

Po powrocie do Waszyngtonu z ostatniej podróży do ZSSR prof. Zbigniew Brzeziński udzielił wywiadu redaktorowi naczelnemu nowojorskiego Nowego Dziennika, *Bolesławowi Wierzbiańskiemu. Podajemy część tego wywiadu, dotyczącą Katynia.*

BOLESŁAW WIERZBIAŃSKI: — Wiemy z doniesień, że odbył pan podróż do Katynia. Jest to dla nas wszystkich fakt szczególnie interesujący. Sprawa Katynia jest także wielkim problemem politycznym, zaporą uniemożliwiającą poprawę stosunków między narodem polskim i rosyjskim. Czy chciałby pan podzielić się swoimi osobistymi wrażeniami z pańskiej tam bytności?

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI: — Było to dla mnie przeżycie niezwykle wzruszające i głębokie. Przed wjazdem do Związku Sowieckiego poprosiłem władze sowieckie, nie w formie zasadniczego warunku, ale dałem do zrozumienia, że to będzie bardzo istotne dla mojej wizyty, by mi umożliwili wyjazd do Katynia. I muszę powiedzieć, że w tej dziedzinie władze sowieckie wykazały dużą uprzejmość. Zorganizowały mi całą wizytę. Wziąłem ze sobą ambasadora amerykańskiego, Johna Matlocka, całkiem świadomie, aby podkreślić zainteresowanie Ameryki tą sprawą. W Smoleńsku spotkałem się z sekretarzem partii oraz z całą kawalkadą samochodów z różnymi urzędnikami miejskimi i partyjnymi, którzy nas zaprosili na śniadanie, bo było bardzo wcześnie rano. Podczas śniadania oświadczyłem

sekretarzowi partii, że ta wizyta jest zorganizowana dla mnie i wobec tego nie ambasador, ale ja chcę wyrazić moje życzenia i zacząłem od tego, że przede wszystkim chciałbym odwiedzić miejsce kaźni oficerów polskich zamordowanych przez Stalina i NKWD w roku 1940. I powiedziałem to bardzo wyraźnie. Od razu odczuło się pewne, nie zamrożenie atmosfery, ale zaambarasowanie strony sowieckiej. Potem oświadczyłem, że chciałbym widzieć stację Gniezdowo, gdzie oficerowie ci byli wyładowywani przez NKWD, oraz daczę NKWD, o której wspominał w swoim notatniku major Solski, który prowadził ten notatnik do ostatniej chwili przed egzekucją. Kiedy wspomniałem o daczy, jeden z obecnych przedstawicieli władz sowieckich oświadczył, że teren tej dawnej daczy jest zamknięty. Ale gospodarz naszego śniadania, sekretarz partyjny, machnął ręką i powiedział: „Oczywiście, pokażemy to panu".

Strona sowiecka była tym wszystkim bardzo zaambarasowana, ale muszę powiedzieć, że konsekwentnie się na wszystko zgadzali, powiedzieli, że mi to wszystko załatwią. Powiedziałem również, że chciałbym złożyć wieniec, na co odpowiedzieli, że już mi taki wieniec przygotowali. Do wieńca przyczepiłem dużą kartkę pokrytą plastikiem, na której napisałem bardzo dużymi literami: „Dla ofiar Stalina i NKWD" i podpisałem moim nazwiskiem.

B.W.: — *Czy mógłbym prosić o opisanie dojazdu oraz scenerię lasku katyńskiego?*

Z.B.: — Jechaliśmy przez podmiejskie wsie, przez Gniezdowo, aż w końcu wjechaliśmy do małego lasku i tam po prawej stronie szosy był parking, a po lewej wchodziło się w las już asfaltową drogą.

Do niedawna na tym parkingu był fałszywy napis, że tam było miejsce kaźni polskich oficerów zamordowanych przez hitlerowców w roku 1941. Fotografię tego napisu zamieścił prof. Zawodny w swej doskonałej książce o Katyniu. Ale już podczas mojego pobytu widniał inny napis, przypominający tylko o tym, że tu jest miejsce kaźni polskich oficerów, ale już bez wzmianki o hitlerowcach i o dacie mordu.

Oczywiście, w tamtych czasach musiała to być zwykła dróżka. Po 5-10 minutach dochodzi się piechotą do większej polany, na której rośnie dość dużo drzew i jest tam coś w rodzaju czterech grobów porośniętych trawą, które są właściwie symbolicznymi grobami zamordowanych oficerów. Stoi pomnik z fałszywym napisem, że są tam polscy oficerowie zamordowani przez hitlerowców w 1941 roku, na co od razu zareagowałem, zwracając się do sekretarza partii z uwagą, że napis ten powinno się usunąć. Odpowiedział, że to będzie zmienione w przyszłym roku. Jest na polanie także duży krzyż, który był umieszczony, o ile pamiętam, przez kardynała Glempa rok temu. Złożyłem swój wieniec w asyście ambasadora

Stanów Zjednoczonych Johna Matlocka i potem podeszła do mnie ekipa telewizji sowieckiej i jednocześnie zjawiła się duża grupa polskich rodzin pomordowanych oficerów, która z najgłębszym wzruszeniem, z wyrazem bólu na twarzach zaczęła się tam gromadzić. To był dzień Zaduszek. Udzieliłem wywiadu telewizji moskiewskiej, radiu i telewizji polskiej i do Associated Press, w którym powiedziałem trzy rzeczy: po pierwsze, że jestem wdzięczny władzom sowieckim za umożliwienie mi tej pielgrzymki, szczególnie, że władze sowieckie wiedzą, jakie jest moje stanowisko co do sprawców tej zbrodni. Po drugie, jest moim obowiązkiem, tu na tym miejscu, po raz pierwszy od 46-ciu lat, powiedzieć wyraźnie kto jest sprawcą tej zbrodni, a mianowicie Stalin i NKWD. I po trzecie, że przyznanie się do tej prawdy przez stronę sowiecką powinno być punktem wyjściowym do pojednania między narodem polskim i narodem rosyjskim, jako że istnieje pewna wspólnota cierpień, ponieważ wielu Rosjan i nie-Rosjan było ofiarami Stalina.

B.W.: — *Jaka była reakcja strony sowieckiej na pańskie oświadczenia i wywiady? Wprawdzie powołana została komisja polsko-sowiecka dla zbadania faktu i okoliczności mordu w Katyniu i innych miejscach kaźni, ale strona sowiecka dotychczas nie ogłosiła żadnego komunikatu w tej sprawie, w przeciwieństwie do strony polskiej.*

Z.B.: — Muszę stwierdzić, że wszystko, co powiedziałem, było w pełni nadane w telewizji sowieckiej w głównym wieczornym programie. I po tym oświadczeniu stosunek towarzyszących mi urzędników partyjnych absolutnie się zmienił. Sami zaczęli składać kwiaty na grobach, czuło się wzruszenie. Jeden z nich zresztą dziękował mi bardzo za to oświadczenie. Potem oglądałem miejsce wyładowywania oficerów, stację Gniezdowo, odbudowaną w innym kształcie po wojnie i odwiedziłem daczę, która już teraz nie istnieje, ale na miejscu której stoi budynek wypoczynkowy związków zawodowych. Było to miejsce, gdzie po raz ostatni sprawdzano listę tych, których zamordowano. I stamtąd — moim zdaniem — prowadzono ich przez lasek na egzekucję, a nie tą drogą, którą się obecnie dociera do tych grobów symbolicznych. Wydaje mi się, że droga od daczy przez las do miejsca kaźni jest tą ostatnią drogą ofiar.

Dzień był deszczowy, ponury, nadając tym chwilom bardzo specyficzną atmosferę. Muszę powiedzieć, że był to dla mnie moment bardzo wyjątkowy, ponieważ właśnie Katyń jest symbolem cierpień, jakich strona polska doznała od Sowietów, a w szczególności od stalinizmu.

B.W.: — *Czy rozmawiał pan na temat Katynia z kimś znaczącym w Moskwie?*

Z.B.: — Tak. Poruszyłem ten temat w rozmowie z Jakowlewem. On się zasłaniał tym, że nie mogą zlokalizować archiwów na ten temat, co wydaje mi się wybiegiem, dlatego że ostatecznie muszą jeszcze żyć niektórzy ze sprawców. Ja oczywiście również podkreśliłem, że sprawa Katynia to jest sprawa jednej trzeciej zamordowanych, że oficerowie ze Starobielska czy też Ostaszkowa zostali wymordowani gdzie indziej i to musi też być wyjaśnione.

B.W.: — *A czym pan tłumaczy niezdolność Gorbaczowa do przyznania się, że sprawcą wymordowania Polaków było NKWD? Bo jego zachowanie nosi charakter jakiejś niemożności przełamania się.*

Z.B.: — Wydaje mi się, że tu grają rolę dwa czynniki: w pewnym sensie, dla wielu Rosjan, co może być dla nas niezrozumiałe, sprawa Katynia jest mało istotna jako rzecz symboliczna. Oni rozumują raczej w ten sposób: Stalin zamordował dosłownie miliony ludzi, w tym miliony obywateli sowieckich. Zamordowanie 15 tysięcy w tym kontekście jest rzeczą nieistotną. Po drugie, mam wrażenie, że jest w tym jakieś poczucie wstydu. Dlatego też odczuwałem głęboką odmianę w bezpośrednim stosunku do mnie osób, które były ze mną w Katyniu. Po moim oświadczeniu, gdzie podkreśliłem jednak (bo to jest prawdą) pewną wspólnotę cierpień, od razu ulegli zupełnej zmianie. Z dużym wzruszeniem sami składali kwiaty. Jedna z Rosjanek płakała.

Rozmawiał Bolesław WIERZBIAŃSKI

Antoni SKARBEK

MÓJ UDZIAŁ W WYPADKACH MAJOWYCH 1926 ROKU

Warszawa, Maj 1926 rok — w gmachu Szkoły Podchorążych w Alejach Ujazdowskich odbywały się końcowe egzaminy na 1-szym i 2-gim roku szkoły oficerskiej. Po egzaminach mieliśmy wymaszerować do obozu ćwiczebnego w Rembertowie, gdzie już znajdowały się trzy kompanie młodszego rocznika w sile około 380-ciu podchorążych wraz z komendantem szkoły, płk. Paszkiewiczem.

Wśród podchorążych panował dziwny nastrój niepokoju — nikt z nas nie wiedział dokładnie, co było tego powodem. Od 6

maja byliśmy stale w pogotowiu alarmowym. Została wydana ostra amunicja i przydzielono nam ciężkie karabiny maszynowe (c.k.m.) oraz moździerze i działka piechoty. Chodziły pogłoski, że w Warszawie mają być rozruchy wywołane przez komunistów.

12 maja o godzinie 15-tej zdawałem egzamin z organizacji armii przed wykładowcą mjr. Merwinem, gdy w pewnym momencie mjr Merwin przerwał egzamin i szybko wyszedł z sali. Mjr Merwin był legionistą i prawdopodobnie został powiadomiony przez któregoś ze swoich kolegów o rozpoczęciu zamachu stanu przez marszałka Józefa Piłsudskiego.

Po kilku minutach został ogłoszony alarm i wymarsz w kierunku mostu Poniatowskiego. Mój dowódca plutonu, por. Piątkowski, który dowodził szpicą kolumny, wyznaczył mnie i kolegę na szperaczy. Kolumna szkoły oficerskiej spokojnie posuwała się w nakazanym kierunku na most Poniatowskiego. Po dojściu do mostu zauważyliśmy samotnie stojącego na jezdni prezydenta Wojciechowskiego. Por. Piątkowski wydał szperaczom rozkaz, by stanęli obok prezydenta jako jego asysta. Cała moja uwaga skupiła się teraz na osobie prezydenta. Stanąłem po jego lewej stronie. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego, ruszał szczękami i wzrok miał skierowany na most z kierunku Pragi. Widać było, że całą sytuację ogromnie przeżywa.

Tymczasem reszta podchorążych zaczęła obsadzać most i brzeg Wisły. Rozstawiono działka i karabiny maszynowe, część szpicy posunęła się do przodu i zamknęła most. Dopiero po pewnym czasie pojawiły się od strony Pragi samochody. które zostały zatrzymane przez naszą placówkę. Wysiedli z nich Marszałek Piłsudski ze swoim otoczeniem. Marszałek wraz z gen. Wieniawą-Długoszowskim, przepuszczeni przez placówkę, zaczęli iść w naszym kierunku. Reszta oficerów towarzysząca Marszałkowi została zatrzymana. Po przebyciu niewielkiej odległości grupa naszych oficerów zatrzymała także gen. Wieniawę i Marszałek sam drobnymi krokami zbliżył się do prezydenta. Trzymając lewą rękę w kieszeni, zasalutował i wyciągnął prawą do przywitania. Prezydent Wojciechowski założył obie ręce do tyłu i powiedział: „Panie Marszałku, wzywam Pana do poddania się prawowitej władzy". Na to Marszałek Piłsudski przymrużywszy oczy odpowiedział: „Panie prezydencie, właśnie przyjechałem, aby z Panem przedyskutować sytuację. Nie chcę rozlewu bratniej krwi". Prezydent Wojciechowski jeszcze raz powtórzył: „Nic nie mam do dyskutowania. Jeszcze raz wzywam do poddania się prawowitej władzy". Odwrócił się i skierował się do swego samochodu. Marszałek Piłsudski wykrzyknął za nim jeszcze „Panie Prezydencie, Panie Prezydencie!..." Por. Piątkowski kazał nam zamknąć drogę. Marszałek cofnął się parę kroków i zwrócił się do nas: „No i cóż, podchorążowie, nie puścicie mnie do Warszawy?". Na to odpowiedzieliśmy: „Panie Marszałku, my słuchamy i wykonujemy rozkazy naszych przełożonych". Wtedy Marszałek Piłsudski zauwa-

żył stojącego przy filarze mjr. dypl. Porwitta, naszego dyrektora nauk, i powolnym krokiem zbliżył się do niego. „Panie Majorze, powiedział, na pańskiej piersi widzę krzyż legionowy, i Pan też mnie nie puści do Warszawy?" Mjr Porwitt wyprostowany i blady spokojnym głosem odpowiedział: „Panie Marszałku, ja wykonuję rozkazy wyższych przełożonych". Na to Marszałek nic nie powiedział, odwrócił się, udał się do swego samochodu i odjechał w kierunku Pragi. Przy tej decydującej rozmowie prezydenta z Marszałkiem, poza mjr. Porwittem, stojącym około 20-tu kroków od nas i nami nikogo w pobliżu nie było. Natomiast gen. Wieniawa-Długoszowski, zajęty rozmową z naszymi oficerami, nie zauważył odjazdu Marszałka i został aresztowany i umieszczony w gmachu Szkoły Podchorążych, tak że w wypadkach majowych nie brał udziału.

Nasza obsada mostu od strony Warszawy stała na miejscu. Czekaliśmy na powrót młodszego rocznika, który z ćwiczeń w Rembertowie miał do nas dołączyć. Nareszcie po upływie około godziny ujrzeliśmy maszerującą kolumnę, na której czele jechał konno płk Paszkiewicz. Ogarnęła nas radość, że zdążyli dołączyć do nas bez przeszkód.

Zaczęło się już ściemniać, gdy przyszedł rozkaz opuszczenia mostu i obsadzenia wylotu skrzyżowania Alei Jerozolimskich z Nowym Światem. Tam zobaczyłem grupę generałów i wyższych oficerów, stojących na rogu i żywo dyskutujących. Porucznik Piątkowski wydał nam rozkaz zamknięcia wylotu Nowego Świata. Posunęliśmy się około stu metrów w głąb. Przed nami podniecony tłum. Nie wolno nam było nikogo przepuszczać. Stanęliśmy kordonem i zachowując spokój staraliśmy się wstrzymać napór podekscytowanych wypadkami ludzi. Po godzinie dostaliśmy rozkaz opuszczenia stanowisk i wycofania się jako straż tylna w kierunku szkoły. Po drodze, przy kościele Św. Aleksandra, napotkaliśmy kompanię marynarzy, spieszącą by dołączyć do oddziałów Marszałka, a którą kpt. Rzepecki, dowódca baonu szkoły oficerskiej, kazał otoczyć i rozbroić. Poszło bardzo gładko, od razu złożyli broń i amunicję — mieli mniej więcej pięć naboi na karabin.

Po dojściu do szkoły rozlokowaliśmy się na trawnikach przed Belwederem, czekając na dalsze rozkazy. Całą noc trwały przygotowania obronne Szkoły Podchorążych i Belwederu. Kopano okopy, ustawiano działa piechoty, miotacze min i karabiny maszynowe.

Po krótkim odpoczynku, por. Piątkowski wezwał mnie i nakazał objąć dowództwo nad patrolem składającym się z około 30 kolegów, dając zadanie rozpoznania koszar pułku szwoleżerów który mieścił się za parkiem Ujazdowskim. Doszliśmy do drewnianego płotu, w którym kazałem oderwać deski, by dostać się na dziedziniec koszar. Stwierdziłem, wysyłając małe patrole, że koszary są puste, jedynie na wartowni przy bramie znajduje się oddział ułanów. Postanowiłem okrążyć wartownię i zdobyć od żołnierzy wiadomości o pułku. Zamiar udał się. Szwoleżerowie oświadczyli, że

cały pułk wymaszerował cztery godziny temu, w jakim kierunku nie mogli podać, bo sami nie wiedzieli. Wobec tego wycofałem się z patrolem do szkoły i złożyłem o tym meldunek por. Piątkowskiemu. Po kilku godzinach znowu zostałem zawezwany i dostałem nowe zadanie: wziąć pluton i pójść do kasyna oficerskiego na ulicę Szucha i zbadać, co tam się dzieje. Po dojściu do kasyna stwierdziłem, że brama wejściowa jest zamknięta, ale za bramą na ganku stała grupa oficerów, więc zwróciłem się do nich z prośbą, by ją otworzyli. Na to nikt z nich się nie ruszył, nikt nie zareagował, wobec tego zagroziłem, że wysadzę bramę. Wtedy dopiero jakiś oficer zbliżył się z kluczem i otworzył. W kasynie stwierdziłem tylko parę osób. Zameldowałem o tym przez gońca por. Piątkowskiemu, który z kolei przekazał mi nowy rozkaz: dostać się do gmachu Ministerstwa Spraw Wojskowych i opanować środek gmachu. Płot z drutów kolczastych oddzielał ministerstwo od kasyna, więc po przecięciu ich weszliśmy na obszerny dziedziniec. Biegnąc, dostaliśmy się do bramy wjazdowej, która na przestrzał całego gmachu łączyła dziedziniec z ulicą (ulica 15-go Sierpnia). W wejściu była spuszczona krata. Nagle zostaliśmy ostrzelani przez nasz samochód pancerny, który miał nas tam wspierać. Na szczęście szybko odkryli pomyłkę i tylko jeden z naszych kolegów, podchorąży Malinowski, został lekko ranny.

Weszliśmy do środka budynku — żołnierze na wartowni poddali się. Niedługo potem zjawił się por. Piątkowski i oświadczył nam, że nasze miejsce zajmie pluton z młodszego rocznika, my dostajemy rozkaz zdobyć skrzydło gmachu, którego bok wychodzi na Plac Zbawiciela. Zdobyć i starać się utrzymać jak najdłużej. W szybkim marszu przy ścianie długiego budynku osiągnęliśmy nakazany cel. Drzwi były zamknięte, wobec tego kazałem wybić szyby w oknie (jak się okazało, było to okno od łazienki) i tak dostaliśmy się do wnętrza budynku. Weszliśmy na długi korytarz i klatkę schodową. W pewnym momencie zauważyłem na platformie pierwszego piętra przy schodach skradającego się do okna oficera z pistoletem w ręce. Podniosłem karabin i wezwałem do poddania się. Przerażony zaczął wycofywać się w głąb korytarza i zniknął. Nie chciałem strzelać, bo zdawałem sobie sprawę, że będziemy prowadzić walkę bratobójczą. Wiedzieliśmy także, że w gmachu Ministerstwa znajdował się wtedy gen. Składkowski z obsadą.

Kazałem kilku kolegom z karabinami maszynowymi skoczyć na piętro. Wtedy zostaliśmy ostrzelani z górnych i dolnych korytarzy przez ręczne i ciężkie karabiny maszynowe oraz granatniki. Z ulic dochodzących do placu Zbawiciela strzelała do nas artyleria. Tynk i cegły sypały się nam na głowy. Strat na razie nie mieliśmy.

Około godziny 3-ej po południu dotarł do nas goniec, podchorąży Ciuniowski, z rozkazem wycofania się do Szkoły Podchorążych. Na moje zapytanie którędy, wskazał ręką na dziedziniec i domki oficerskie, około 400 metrów. Zebrałem kolegów i podałem

im rozkaz — „jedyna droga, to wyskakiwać przez okna i skokami posuwać się do domków oficerskich". We dwójkę z kolegą wyskoczyliśmy pierwsi i skokami zaczęliśmy posuwać się w nakazanym kierunku. Za nami poszli inni. Po przejściu około 200-tu metrów dostaliśmy się w potworny ogień karabinów maszynowych z okien Ministerstwa Spraw Wojskowych oraz bram od strony placu Zbawiciela. Posuwaliśmy się stale naprzód. Do domków zostało nam tylko około 50 metrów. Podniosłem się do skoku i w czasie gdy go wykonywałem „coś" uderzyło mnie po nogach tak, że wywróciłem się na wznak. Nie wiedziałem, co się ze mną stało. Zacząłem badać każdą część mego ciała. Okazało się, że zostałem ranny w lewą nogę. Pod huraganowym ogniem doczołgałem się do domków oficerskich. Tam zaopiekowały się mną sanitariuszki i po opatrzeniu przewieźli mnie samochodem ciężarowym wraz z innymi rannymi do szpitala imienia Józefa Piłsudskiego. Tam po obejrzeniu rany orzekli, że kula wychodząc rozszarpała mięśnie, ale kość jest nienaruszona. W szpitalu przebywałem około półtora miesiąca.

Na trzeci dzień walk dowiedziałem się, że prezydent Wojciechowski zrezygnował ze swego stanowiska i przekazał władzę w ręce Marszałka Piłsudskiego.

Antoni SKARBEK
(płk Bohun-Dąbrowski)

Nina KOZŁOWSKA

ZAKOŃCZENIE BATALII ALEKSANDRA TIPLTA O HONOR ŻOŁNIERZY POLSKICH SPOD MONTE CASSINO

Wiosną 1983 roku zachodnioniemiecka telewizja nadała audycję pod tytułem „Zbrodnie wojenne na podstawie akt komisji Wehrmachtu do badań zbrodni wojennych — front zachodni: 1939-1945". Audycja dotyczyła naruszeń międzynarodowego prawa wojennego po stronie aliantów. W tej audycji oskarżano polskich żołnierzy zdobywających 18 maja 1944 roku ruiny klasztoru na Monte Cassino o wymordowanie kilkunastu bezbronnych, ciężko rannych niemieckich jeńców. Przeciwko temu oskarżeniu zaprotestował Aleksander Tiplt, Niemiec pochodzący z bawarskiego Rosen-

heimu, którego losy rodzinne zaprowadziły w końcu lat 20-tych do Sosnowca, tak że jeszcze przed wybuchem wojny ukończył także polskie gimnazjum im. Staszica. Tiplt jest z wykształcenia i zamiłowania historykiem, a z zawodu długoletnim kierownikiem pracy kulturalno-oświatowej zachodnioniemieckich związków zawodowych. Na swoje listy wyjaśniające fakty historyczne i żądające oficjalnego sprostowania otrzymywał od odpowiedzialnej za audycje radiostacji WDR (Westdeutscher Rundfunk) jedynie wymijające odpowiedzi. Wobec tego Tiplt przystąpił razem ze swoim kolegą z lat szkolnych, Stanisławem Nowickim, dziś zamieszkałym w Londynie, do żmudnego zbierania dokumentacji, wykazującej, że zarzut stawiany Polakom jest bezpodstawny. Wynikiem tej pracy jest obszerne, starannie przygotowane memorandum, które w streszczeniu zostało przedstawione w numerze 76 *Zeszytów Historycznych* z maja 1986 (str. 208-213). Na skutek tego memorandum i dalszych listownych upomnień WDR nadał 2 listopada 1986 roku w programie telewizji kolońskiej sprostowanie stwierdzające, że zarzut, jakoby polscy żołnierze przy zdobyciu Monte Cassino dokonali zbrodni na jeńcach niemieckich, „oparty był na niesprawdzonym źródle, którego wątpliwego charakteru autorzy i producenci filmu nie rozpoznali. Zarzut zbrodni popełnionych rzekomo przez Polaków nie może być dalej utrzymany, tak że odnośny fragment filmu został usunięty". Sprostowanie kończy się słowami: „Ponadto WDR bynajmniej nie miał zamiaru znieważyć honoru polskich żołnierzy".

Na tym jednak nie skończyła się akcja Tiplta. Podczas zbierania dokumentów i przeglądania wielojęzycznej literatury Nowicki natrafił na książkę Willi Bertholda *Vom Himmel zur Hölle* („Z nieba do piekła"), wydaną po raz pierwszy w 1957 roku w Süddeutscher Buchverlag w Monachium, a potem w formie kieszonkowej w Heyne Verlag w Monachium w 1985 i ponownie w 1987 roku. Akcja tego powieścidła toczy się w końcowej fazie drugiej wojny światowej i zawiera te same szkalujące zarzuty pod adresem żołnierzy z Armii Andersa. A. Tiplt rozszerzył więc swoją akcję na wymienione wydawnictwa. Z Süddeutscher Buchverlag nie było żadnego kłopotu. Po zapoznaniu się z obszernym memorandum odpowiedzialny redaktor oświadczył w imieniu wydawnictwa w grudniu 1987 roku: „Z memorandum, które Pan nam przedłożył wynika, że wnioski, do których doszedł autor wykorzystując informacje, których nie możemy już dzisiaj sprawdzić, nie mogą być dalej podtrzymywane. Żałujemy tego, co się stało, gdyż byliśmy dalecy od chęci znieważania honoru polskich żołnierzy".

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że *Süddeutsche Zeitung*, poczytny ponadregionalny dziennik wychodzący w tymże wydawnictwie, opublikował w kilka dni po wspomnianym oświadczeniu telewizyjnym artykuł, krytykujący filmy rzekomo dokumentarne, niedbale opracowane i opierające się na niesprawdzonych wypowiedziach podejrzanych świadków, jak np. film „Zbrodnie wojenne".

Heyne Verlag natomiast szukał wybiegów, tak że w końcu konieczna stała się pomoc adwokata. Przejęcie sprawy przez znanego w Monachium adwokata, dr Helmuta Rothemunda, miało jeszcze dodatkowy wymiar polityczny, gdyż był on do niedawna przewodniczącym Partii Socjalistycznej w Bawarii, a obecnie jest wicemarszałkiem bawarskiego parlamentu. Pismem z 21 listopada 1988 roku wydawnictwo Heyne zobowiązało się do wycofania książki Bertholda z kolportażu. Niemniej trwało jeszcze dalszych kilka miesięcy, aż sprawa została całkowicie zakończona i książka zniknęła z półek księgarskich. A więc w 45-tą rocznicę walk kolejna batalia o Monte Cassino zakończyła się zwycięsko.

Aleksander Tiplt starał się w ciągu swoich kilkuletnich badań dotrzeć do źródeł pomówienia o wymordowanie jeńców niemieckich. Jeden z żołnierzy II Baonu 1 Pułku Strzelców Spadochronowych przypomniał sobie, że po opuszczeniu góry klasztornej 18 maja 1944 na rozkaz radiotelegrafisty 1 Dywizji Strzelców Spadochronowych i udaniu się w kierunku na Roccasecca spotkał 20 maja znajomego członka kierownictwa nazistowskiego Związku Studentów Rzeszy, który jako „cywil" opowiadał o strasznym losie rannych na górze klasztornej. Według opinii Związku Niemieckich Strzelców Spadochronowych ów „cywil" był czynny we Włoszech w wywiadzie niemieckim. Ta propagandowa plotka była więc prawdopodobnie podłożem dalej rozpowszechnianego kłamstwa.

Akcja Aleksandra Tiplta i Stanisława Nowickiego była nie tylko walką o honor polskich żołnierzy, ale przede wszystkim walką z fałszem i propagandowym zakłamaniem historii. Aspekt ten podjął Władysław Bartoszewski w liście do adwokata H. Rothemunda, w którym podkreślał szczególną nikczemność szkalujących twierdzeń Bertholda, gdyż bitwa o Monte Cassino ma w Polsce ogromną wartość symboliczną. Tego rodzaju nieodpowiedzialne i oszczercze wypowiedzi wpływają negatywnie na trudny proces polsko-niemieckiego porozumienia. „W tak bardzo obarczonych winami stosunkach polsko-niemieckich trzymanie się prawdy historycznej jest sprawą najważniejszą — bo tylko na tej płaszczyźnie będzie można budować lepszą przyszłość", kończy Władysław Bartoszewski swój list.

Nina KOZŁOWSKA

LISTY DO REDAKCJI

Gliwice, 29 XII 1989

Szanowny Panie!

W dniu dzisiejszym dotarł do mnie zeszyt dziewięćdziesiąty *Zeszytów Historycznych*, a w nim moje workuckie wspomnienia. Bardzo mnie ucieszyło, że w tak poważnym wydawnictwie ukazały się te „łagierne" reminiscencje.

Moją radość mąci jedynie to, że błędnie podano moje nazwisko. Ja nazywam się DUŹNIAK, a nie, jak wydrukowano — DUZIK.

Tekst, poza kilkoma nieścisłościami, jest wierny: str. 135 — 10 wiersz od góry — jest o b r o n y, a powinno być w o j n y; str. 142 — 3 wiersz od dołu — jest k o n i a c y, a winno być k o m i a c y; str. 146 — 11 wiersz od góry — jest Szarkuprawlenije, a winno być Szachtuprawlenije; str. 146 — 17 wiersz od dołu — jest 2, a winno być z.

Łączę wyrazy szacunku,

Stanisław DUŹNIAK

Przepraszamy Pana, ale otrzymaliśmy Pana tekst wraz z notką, żeby podpisać go pseudonimem Stanisław DUZIK — *Redakcja.*

●

Warszawa 26.10.1989

Szanowny Panie Redaktorze

Do artykułu Józefa Lewandowskiego pt. „Ludowe Wojsko Polskie", (*Zeszyty Historyczne* nr 89) wkradło się kilka przeinaczeń i błędów, które pragnę sprostować.

1. Na str. 15 Autor pisze, że Tatar, Mossor, Kirchmayer i inni oskarżeni w procesie tzw. generalskim (lato 1951 roku) w „Ludowym Wojsku Polskim zrobili wysokie, często generalskie kariery i zajmowali odpowiedzialne stanowiska, niekiedy związane z tajnymi służbami".

Ani gen. Tatar, ani płk płk Utnik i Nowicki (a to właśnie był trzon grupy Tatara) nie służyli w LWP, zaś Kirchmayer, Mossor, Roman i Wacek nie byli związani z tajnymi służbami.

2. Wbrew temu, co twierdzi Lewandowski — Wacław Komar nie był dowódcą brygady im. Dąbrowskiego w Hiszpanii. Był natomiast dowódcą batalionu im. Dąbrowskiego, a następnie dowódcą 129 Brygady Międzynarodowej (w skład której wchodzili ochotnicy z Czechosłowacji, Jugosławii i Bułgarii).

3. Płk Stanisław Bielski, który przeszedł przez wyjątkowo okrutne śledztwo w ZSSR, istotnie mówił swym przyjaciołom, że „popełni samobójstwo, jeśli powtórzy się 1937 rok".

Był świadom, że do powtórki dochodzi — w chwili, gdy na procesie w Sofii prokurator zarzucił Trajczo Kostowowi utrzymywanie kontaktów z Waleckim, zgładzonym w 1937 roku w Rosji ojcem Bielskiego.

W maju 1952 roku Bielski został czasowo zatrzymany przez oficerów Informacji w związku z aresztowaniem jego przyjaciół, płk. Witolda Ledera i Ewy Lipińskiej. O podjęciu przezeń — w 1953 r. — ostatniej decyzji zadecydowała — prawdopodobnie — wiadomość dotycząca aresztowania płk. dr. Flato.

To samobójstwo zostało zaplanowane — i bez związku z najściem oficerów Głównego Zarządu Informacji. Ci zostali wezwani w chwili, gdy okazało się, że Bielski nie żyje.

4. Str. 18. Opowieść o spotkaniu Bieruta z Czou En-lajem „pewnego jesiennego dnia 1952 roku" jest niezgodna z prawdą. Jesienią 1952 roku Flato był jeszcze na wolności, a do spotkania Bieruta z premierem chińskim doszło w 1954 roku.

5. Decyzja o aresztowaniu Komara i jego współpracowników z II Oddziału Sztabu Generalnego została podjęta w oparciu m.in. o:

— zeznania w prowadzonych przez Informację śledztwach w sprawie tzw. „spisku w wojsku" (od sprawy Tatara, Utnika i Nowickiego),

— materiały śledcze m.in. z Czechosłowacji i NRD,

— pewność, że Komara łączą ścisłe kontakty z Jugosławią, skoro jego podwładni z Hiszpanii zajmują w aparacie Tito najwyższe stanowiska polityczne i wojskowe.

Myli się więc Lewandowski, gdy twierdzi, że te aresztowania były związane z „oczyszczaniem wojska z elementów kosmopolitycznych". Jest natomiast prawdą, że taką wersję rozpowszechniali w wojsku oficerowie sowieccy (np. gen. Kinasow) i niektórzy oficerowie GZP (znani Lewandowskiemu).

6. Wbrew temu, co pisze Lewandowski, latem 1958 roku Komar nie przebywał w okolicach Zielonej Góry.

7. Str. 22. Szef informacji, płk Wozniesienskij, miał proces w ZSSR i został skazany. Jego zastępca — płk Antoni Skulbaszewski — był w tym procesie świadkiem. W latach następnych pracował w Iranie i Iraku jako — jak sam twierdził w rozmowie przeprowadzonej w lipcu br. — „inżynier lądowy".

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Michał KOMAR

Paryż, 5 stycznia 1990

Drogi Panie Redaktorze!

Chciałbym prosić Pana Redaktora o zamieszczenie sprostowania błędów, jakie wkradły się do mojego opracowania pt. „Biskup Gawlina, generał Sikorski i Watykan" w *Zeszytach Historycznych* nr 90: na str. 100, wiersz 21 od dołu, zamiast Grippsie, winno być Crippsie i na tej samej stronie, wiersz 8 od dołu, zamiast Garlińskiego, winno być Gralińskiego.

Na str. 102, wiersz 21 od góry, po słowie lutego dodać: gen. Anders meldował; i również na tej samej stronie, wiersz 2 od dołu, zamiast 1984, winno być 1942.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

●

6 stycznia 1990

Drogi Panie Redaktorze!

W *Zeszytach Historycznych* nr 90 p. Jan Nowak oskarża mnie o „nieprawdziwe stwierdzenia" w „niezgodnym z faktami artykule", czyli krótko mówiąc: Zamorski łże. Mało tego, okazuje się, że to ja jestem sprawcą wznowienia nagonki na Józefa Mackiewicza. Gdybym siedział cicho, „sprawa poszłaby w zapomnienie". Może nawet p. Nowak by zapomniał i pominął tę „sprawę" milczeniem w swej *Polsce z oddali*.

Gdy jednak „sprawa", na skutek mych „nieprawdziwych stwierdzeń", odżyła, pozwolę sobie do niej wrócić i poradzić panu Nowakowi, by przeczytał nie tylko to, co podpisali panowie Mandziara i Huczyński w *Pulsie* nr 35, ale również to, co napisał Jerzy Malewski w nrze 36 tego kwartalnika.

A jeszcze lepiej by było, gdybyśmy się wszyscy zadumali nad stwierdzeniem Marii Danilewicz Zielińskiej: „Gorzko myśleć, że przelotna współpraca z *Gońcem* i ogłoszone tam antykomunistyczne artykuły stały się punktem wyjścia dotąd odnawiających się ataków na Mackiewicza, który pierwszy opublikował tam, gdzie to wówczas było możliwe, uczciwą relację o zbrodni katyńskiej" (*Kultura* nr 11/506, str. 115).

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Kazimierz ZAMORSKI

SPIS TREŚCI

Jacek Trznadel: *Stan wojenny (czas generała)* 3
Bolesław Drukier: *Dwie rewolucje* 7
Jan Ciechanowski: *Przystąpienie Anglii do wojny* 17
Henryk Godulski: *Na Zaolziu (1 maja 1945 - marzec 1947)* 37
Agata Tuszyńska: *Modlitewnik „na polskom jazykie"* ... 55
Andrzej Suchcitz: *Sprawa nadania gen. Komorowskiemu Krzyża Komandorskiego orderu Virtuti Militari* 75

WSPOMNIENIA

Józef Kuropieska: *Jak kandydowałem na senatora* 87
Katsuyoshi Watanabe: *Notatka z rozmów z płk. dypl. Antonim Sanojcą („Kortumem"), szefem I Oddziału KG AK* 158

DOKUMENTY

Michał Komar, Krzysztof Lang: *Myśmy już o tym mówili, proszę pana* 174
Jak Stalin rozpętał wojnę domową w Polsce w 1944 r. .. 190
Obóz koncentracyjny w Łambinowicach 1945-1946 198

CI, CO ODESZLI

Piotr Wandycz: *In memoriam* 205

RECENZJE

Piotr Wandycz: *Nowe książki* 207
Rafał Bubnicki: *Duch Orwella* 211
Jerzy Korczak: *W kręgu legendy Rydza-Śmigłego* 216
Tadeusz Wyrwa: *Francuska misja wojskowa w Polsce w latach 1919-1932* 219
Nagroda dla Piotra Wandycza 224

OKRUCHY HISTORII

Zbigniew Brzeziński o wizycie w Moskwie i Katyniu ... 225
Antoni Skarbek: *Mój udział w wypadkach majowych 1926 roku* 228
Nina Kozłowska: *Zakończenie batalii Aleksandra Tiplta o honor żołnierzy polskich spod Monte Cassino* 232

LISTY DO REDAKCJI

Stanisław Duźniak: *Sprostowanie nazwiska autora wspomnień „Droga do Workuty"* (Zeszyty Historyczne *Nr 90)* 235
Michał Komar: *Sprostowania do artykułu Józefa Lewandowskiego „Ludowe Wojsko Polskie"* (Zeszyty Historyczne *Nr 89*) 235
Tadeusz Wyrwa: *Sprostowanie błędów, jakie wkradły się do opracowania „Biskup Gawlina, generał Sikorski i Watykan"* (Zeszyty Historyczne *Nr 90*) 237
Kazimierz Zamorski: *Kilka uwag o sprawie Józefa Mackiewicza* 237

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 28 FÉVRIER 1990
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN

Dépôt légal : 1er trim. 1990

N° d'imprimeur 2447

PHOTOCOMPOSITION
AKTIS S.A.R.L.
42, AVENUE DE WAGRAM
75008 PARIS

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

F90